

KATALOŃSKI BESTSELLER
KŁĄTWA RODZIN\
PALMISANO

RAFEL NADAL



Klątwa rodziny Palmisano

O książce

Historia dwóch rodzin połączonych tajemnicą...

a może po prostu kłamstwem... w dobrej wierze...

Wyzwanie rzucone przeznaczeniu

W miasteczku Bellorotondo na południu Włoch jest pomnik poświęcony ofiarom I wojny światowej. 21 wymienionych na nim poległych nosi nazwisko Palmisano.

Nad męskimi potomkami tego rodu ciąży fatum.

Donata, żona ostatniego z nich, po otrzymaniu zawiadomienia o śmierci męża, który zginął na froncie w 1918 roku, orientuje się, że jest w ciąży.

Nie chcąc dopuścić, by jej dziecko podzieliło los innych mężczyzn z rodziny Palmisano, wymaga na przyjaciółce, młodej wdowie, która również jest w ciąży, obietnicę.

Musisz mi obiecać, że jeśli to będzie chłopiec, udasz, że jest twój, i wychowasz go jako Corwertiniego. Nazwiemy go Vitantonio.

Vitantonio i Giovanna, nieświadomi tego, że urodziły ich różne matki i nie mają tego samego ojca, jako bliźnięta szczęśliwie dorastają pośród winnic i gajów oliwnych. Do momentu, gdy zaczynają się w nich budzić uczucia, których nie rozumieją, a rodzący się faszyzm i widmo kolejnej wojny kładą się cieniem na ich beztrudnym życiu.

Klątwa rodziny Palmisano

Rafel Nadal (ur. w 1954 r. w Gironie)

Kataloński pisarz, z zawodu dziennikarz, który pracował dla najważniejszych hiszpańskich dzienników krajowych i zajmował kluczowe stanowiska w wydawnictwach i grupach medialnych. Jako pisarz zyskał popularność po opublikowaniu **Szampańskich dni**, sagi osnutej na kanwie historii jego rodziny, jednak międzynarodową sławę przyniosła mu przetłumaczona na kilkanaście języków **Klątwa rodziny Palmisano**.

Klątwa rodziny Palmisano

Spis treści

PROLOG. 24 sierpnia 2012 roku. Południe

CZEŚĆ PIERWSZA. *La maledizione*

Wielka wojna

Ostatni Palmisano

CZEŚĆ DRUGA. Ogród białych kwiatów

Dom Wdów

Zię

Czterech ewangelistów

Tak matka matce

Pokarm zmarłych

W *palazzo*

Miesiąc kwiatów

Rodzinne przykazania

Masseria

Żołnierze Chrystusa

Czerwona ziemia

W tóŜku

CZEŚĆ TRZECIA. Kolczyki z czereśni

Szesnaście lat

Ojciec Felice

Walka kogutów

Drugie wakacje w *masserii*

Targ w Altamura

Koniec lata

W Cinema Comunale

Pobicie

Koło Dziedziców

Wiatry z południa

Niedyskrecja

List z Hiszpanii

Na granicy francuskiej

Pogłoski o wojnie

CZEŚĆ CZWARTA. Deszcz gwiazd nad Matera

Dezertor

Dzwony żałobne

Wyznanie

Roosevelt

Anglik

Komunikat

Viva la liberta!

Strasznie długi sierpień

Niepokojąca uroczystość

Brytyjczycy w Tarencie

Spotkanie po latach

Nad potokiem

Deszcz gwiazd

Wyzwolenie Matera

Klątwa rodziny Palmisano

Ślady terroru

Połowanie

Primo Camera

W górach

 Broń doktora Saroniego

CZEŚĆ PIATA. Bombardowanie Bari

Lustro w barze

Atak Luftwaffe

Blask w oknie

Przeżązione miasto

Tajemnica z Bitonto

Smród czosnku

Serce Palmisanów

Pudełko po herbatnikach

Kaczki w stawie

 Strzelanina przy Piazza Garibaldi

 W krypcie

 Czereśnia

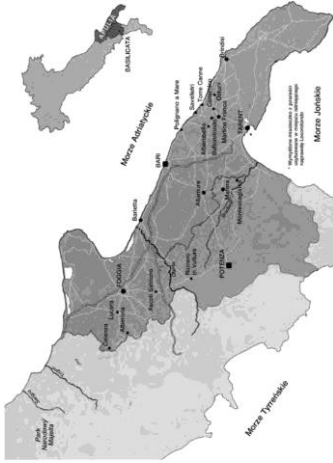
EPILOG. 24 sierpnia 2012 roku, o zmierzchu

Nota od autora

Podziękowania

Dla Anny
Dla Silvii
Dla Raquel

Kłątwa rodziny Palmisano



PROLOG

24 sierpnia 2012 roku. Południe

Klątwa rodziny Palmisano

Gdyby Bóg chciał wysłać na Ziemię zapowiedź końca świata, z pewnością wybrałby ten okropny dzień w tym właśnie zakątku południowych Włoch. Tak naprawdę apokalipsa musiała się już zacząć, bo kiedy dwudziestego czwartego sierpnia 2012 roku o drugiej po południu dotarliśmy do Bellorotondo, temperatura sięgała trzydziestu dziewięciu stopni Celsjusza i wyglądało na to, że zamierza dalej rosnąć.

- Nie mam czym oddychać - zaprotestowałem cicho, żeby nie tracić niepotrzebnie sił, i zadałem sobie pytanie, po jakie лихо przemierzamy w pełnym słońcu to przeklęte miasteczko, które rozsiadło się na jednym ze wzgórz Apulii opasanym kilkoma kręgami zabudowań.

Moja żona Anna nie odpowiedziała. Szliśmy jak w zwolnionym tempie, powłócząc nogami i próbując oszczędzić resztki energii, jakie nam zostały. W pałącym słońcu wspinaliśmy się bardzo długą ulicą, szukając cienia albo chociaż prześwitów między domami, jakiegoś punktu widokowego wychodzącego na równinę, w nadziei, że powieje stamtąd wiatr. Kiedy zatrzymaliśmy się, żeby odzyskać siły, ujmowaliśmy w dwa palce przepocone koszule, żeby odkleiły nam się od ciała.

Miasteczko wyglądało na wyludnione. Jedyną oznaką życia, na jaką się natknęliśmy od chwili, gdy zostawiliśmy na dole samochód, były dwa psy śpiące na starym dywaniku w cieniu kontenerów na śmieci. Gdy doszliśmy do końca Corso 20 Settembre, w najwyższej części miasteczka, cyfrowy termometr wskazywał czterdzieści stopni.

Już mieliśmy zrezygnować, przyznając się do ewidentnej porażki, kiedy skręciwszy w jakąś uliczkę, odkryliśmy plac. Był to rozległy punkt widokowy otwierający się ponad winnicami i gajami oliwnymi na dolinę; można było stamtąd podziwiać panoramę sięgającą niemal Adriatyku. Nad tą skromną oazą górowały trzy szarańczyny i dwa dęby. W cieniu ich rozłożystych, gęstych koron stały dwa pomniki pokryte wieńcami z szarfami i wstążkami w narodowych barwach Włoch. Pod drzewami stały dwie odrapane z farby ławki. Na jednej siedział staruszek, który albo zasnął, albo doznał jakiegoś ataku i chwilowo nie kontaktował - miał zamknięte oczy, przechyloną na bok głowę i otwarte usta. Nie widać było, żeby oddychał; sprawiał wrażenie, jakby przeniósł się na tamten świat i nikt tego jeszcze nie zauważył. W każdym razie z wyglądu starca można było wnioskować, że już się nie podniesie. U jego stóp leżał pies, w pozycji, jaką potrafią przyjąć tylko psy znad Morza Śródziemnego, wyciągnięte w cieniu latem w porze największego nasłonecznienia. Biedny zwierzak również wyglądał tak, jakby znajdował się w stanie agonalnym. Druga ławka była wolna, zwaliliśmy się na nią kompletnie padnięci.

Z pewnością na chwilę przysnęliśmy otumanieni upałem i monotonnym cykaniem świerszczy drapiących się po brzuchu na gałęzi szarańczyny. Kiedy pół godziny później odzyskaliśmy siły, udaliśmy się na taras widokowy na drugim końcu placu. Sięgająca wybrzeża panorama doliny Itria, krainy *trulli*, była jedyna w swoim rodzaju. Uznaliśmy, że to najpiękniejszy widok, jaki oglądaliśmy od początku podróży. Ale również i z tej strony nic doszedł do nas najmniejszy podmuch wiatru.

Klątwa rodziny Palmisano

Anna zaczęła robić zdjęcia. Ja podszedłem do jednego z pomników na środku placu - okazał się kamiennym blokiem upamiętniającym poległych w czasie pierwszej wojny światowej. Była na nim tablica z wrytymi nazwiskami miejscowych ofiar konfliktu. Naliczyłem czterdzieści dwie osoby, a kiedy przyjrzałem się dokładniej liście, zaparło mi dech: połowa poległych nosiła to samo nazwisko. Musieli należeć do jednej rodziny, Palmisano.

Coś mnie tknęło i podbiegłem do drugiego pomnika, poświęconego poległym w następnej wojnie światowej. Na wrytej tam liście nie było żadnego Palmisano; wyglądało na to, że i rodzina, i nazwisko nie przetrwały pierwszej wojny. Zestawienie ofiar robiło jednak wrażenie: tym razem połowa należała do rodziny Convertinich.

Wróciłem do pierwszego pomnika i zwołałem Annę. Powitałem ją zgrzybliwą uwagą, której nie zrozumiała:

- Obawiam się, że apokalipsa dotknęła to miasteczko już sto lat temu!
- O czym ty mówisz?
- O niczym, nieważne. Popatrz na tych nieszczęśników, ponad połowa

należy do tej samej rodziny. - Zacząłem głośno odczytywać i liczyć nazwiska zmarłych wryte na pierwszej tablicy: - Giuseppe Oronzo Palmisano, jeden; Donato fu Francesco Paolo Palmisano, dwa; Silvestro Palmisano, trzy; Gianbattista di Martino Palmisano, cztery; Nicola di Martino Palmisano, pięć; Giuseppe fu Vito Palmisano, sześć...

- *Ventuno... Sono ventuno!* - przerwał mi czyjś głos o niskim brzmieniu.

Odwróciliśmy głowy i zobaczyliśmy, że staruszek na ławce się rusza. Kiedy oderwał plecy od oparcia i je wyprostował, nie wyglądał już na tak małego i kruchego. Jego porwana zmarszczkami twarz i przenikliwe spojrzenie przyciągały wzrok. Pies też się obudził, ale nadal leżał na ziemi z szeroko rozłożonymi łapami.

- Jest ich dwudziestu jeden! - powtórzył. - Wszyscy zginęli w pierwszej wojnie światowej. *La maledizione dei Palmisano!*

Wymieniliśmy z Anną zdumione spojrzenia. Bez słowa podeszliśmy do ławki i usiedliśmy obok staruszka, od którego pierwszy raz usłyszeliśmy o klątwie rodziny Palmisano. W ciągu następnych godzin spędzonych w tym zakątku południowych Włoch dowiedzieliśmy się o niej znacznie więcej.

Klątwa rodziny Palmisano

CZĘŚĆ PIERWSZA

La maledizione

Wielka wojna

Pierwszy umarł Giuseppe Oronzo Palmisano (1), największy zwolennik wojny. Od dawna przygotowywał się na wypadek, gdyby wezwała go ojczyzna. Zginął dwudziestego czwartego maja 1915 roku, dzień po tym, jak Włochy wypowiedziały wojnę Austrii i przystąpiły do koalicji państw ententy. Biedny Giuseppe Oronzo zawsze twierdził, że walka na froncie to okazja, by nauczyć się samodyscypliny wzmocnić charakter i skierować na właściwe tory nadmiar energii młodych mężczyzn. Uważał, że pole bitwy jest jedynym miejscem, gdzie można brutalnie używać siły w sposób naturalny i uporządkowany. Jakby się uprawiało szlachetną sztukę, mawiał.

Giuseppe Oronzo był lojalny i obowiązkowy. Jego problem polegał na tym, że zawsze chciał rozstrzygać zatargi za pomocą rękoczynów. Mimo naturalnej skłonności do przemocy nie można go było jednak nazwać złym chłopcem. Jako pierwszy z Palmisanów zaciągnął się do wojska i został przyjęty do oddziału ochotników, co było zaszczytem dla kogoś pochodzącego z takiego miasteczka jak Bellorotondo. Niedługo potem jako pierwszy znalazł się na linii frontu na płaskowyżu Kras, w północno-wschodnich Włoszech, i jako pierwszy wziął udział w walce. Również jako pierwszy ze swojego oddziału wyskoczył z okopu, by ścigać Austriaków, którzy w początkowych godzinach wojny tylko się cofali. I pierwszy dostał kulę w pierś, dokładnie w mostek. Kiedy usłyszał odgłos przypominający zderzenie dwóch kawałków metalu i poczuł nieprzyjemne gorąco, pomyślał, że kula tylko musnęła guzik bluzy. Próbował biec dalej, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, ugięły się pod nim i Giuseppe Oronzo padł jak porażony. Gdy Austriacy przystąpili do kontrataku, jakiś kapral z podkręconym wąsem stanął nad nim i wbił mu bagnet w serce, ale biedny Giuseppe Oronzo nie czuł bólu, bo już wcześniej uszło z niego życie. Pierwszego Palmisana spotkał wątpliwy honor bycia jednym z pierwszych Włochów, którzy polegli pierwszego dnia wojny na austriackim froncie. Latem tamtego roku skończyłby dwadzieścia dwa lata.

Jako drugi zginął Donato fu Francesco Paolo (2). Był najbardziej bojaźliwy z całej rodziny, oddałby wszystko, żeby uniknąć poboru. Nie starczyło mu nawet czasu, by doświadczyć wszelkich okropności życia w okopach. On także zginął na froncie na Krasie, pod koniec lata, w wyniku wybuchu pocisku artyleryjskiego wystrzelonego przez obrońców przygranicznego miasta Gorycja. Kilka dni później poległ Silvestro (3), przeszyty kulami z nowych karabinów maszynowych Austriaków, które w październiku 1915 roku siały spustoszenie w oddziałach bezskutecznie szturmujących wzgórze Santa Lucia, na północno-wschodniej granicy Włoch Włoscy oficerowie, rozmieszczeni wygodnie w punktach obserwacyjnych położonych z dala od linii ognia, obsługiwani przez ordynansów w rękawiczkach, popijali herbatkę z porcelanowych fili-

Klątwa rodziny Palmisano

izanek i stamtąd wydawali rozkazy, wysyłając kolejne oddziały, by próbowały zdobyć szczyt. Do czasu, aż naczelny dowódca włoskiej armii, generał Luigi Cadorna, który sam nigdy nie zrozumiał bezsensu tej masakry, uznał, że ofensywa została zakończona. W ten sposób dobiegła końca trzecia bitwa nad Soczą, rzeką wciśniętą między piękne góry w pobliżu granicy z Cesarstwem Austro-Węgierskim, o której w Bellorotondo do tamtego dnia nikt nawet nie słyszał.

Najstraszliwsza śmierć spotkała bliźniaków. Jako mali chłopcy Gianbattista di Martino Palmisano (4) i Nicola di Martino Palmisano (5) nienawidzili nosić jednakowych ubrań. Do rozpaczy doprowadzały ich kobiety z miasteczka, które przystawały na ulicy, żeby pogłaskać lub przytulić malców i głośno oznajmić, jak miło na nich patrzeć, „takich ładniutkich, identycznych jak dwie krople wody”.

Pewnego dnia, kiedy mieli już dość tej przesadnej wylewności, postanowili się rozdzielić i nie pozwolili, by ubierano ich jednakowo. Przestali chodzić razem do szkoły, nigdy nie opuszczali domu w tym samym czasie. Nie bawili się już razem na podwórku. Gdy w dni świąteczne rodzina spacerowała po Via Cavour w centrum Bellorotondo, starali się za wszelką cenę iść jak najdalej od siebie, każdy innym chodem. Gdy byli starsi, robili wszystko, by odróżnić się fizycznie: Gianbattista zapuścił wąsy, Nicola wybrał brodkę; jeden cesał się z przedzielnym nożem po prawej stronie, drugi po lewej. Kiedy zalecali się do dziewczyn, Gianbattista wybierał żywiołowe, towarzyskie śmieszki, Nicola natomiast wolał powściągliwe domatorki.

Gdy w końcu zdołali zapomnieć, że są bliźniakami, a miasteczkowe kobiety zostawiły ich w spokoju, dostali powołanie do wojska. Otrzymali wezwanie tego samego dnia, pierwszego lutego 1915 roku, od tego samego listonosza. Trafili do tych samych koszar, obu ogolono głowy na tyso, a kiedy ubrano ich w identyczne mundury, byli do siebie tak podobni, że nie dało się ich odróżnić. Od tego dnia przechodzili to samo szkolenie i spali w tym samym piętrowym łóżku, jeden nad drugim. Sześć miesięcy później razem pojechali na północ, dostali przydział do tej samej kompanii, razem otrzymali wiadomość, że jadą na front i powinni być gotowi z marszu ruszyć do boju.

Skończyli właśnie po dziewiętnaście lat i znów byli jak dwie krople wody, ale już im to nie przeszkadzało i nie robili niczego, żeby temu zaradzić. Przeciwnie, stali się nierozłączni: spali obok siebie, okopywali się w tym samym błotnistym rowie i biegli jeden przy drugim, kiedy atakowali austriackie pozycje. Nikt w kompanii nie potrafił odróżnić braci. Kapitan Di Luca wydawał im rozkazy, jakby byli jedną osobą:

- Palmisano, wdrap się na wzgórze za lasem i ucisz raz na zawsze ten przeklęty karabin, bo nie daje nam żyć!

Gianbattista i Nicola nie pytali, kogo dotyczył rozkaz. Wyczołgali się z okopu i przyklejeni do siebie, jakby byli jedną osobą, podpełzali do skał. Potem biegli do jodłowego lasu, a pół godziny później nieprzyjacielski karabin wylatywał w powietrze. Towarzysze broni krzyczeli: „Niech żyje

Kłątwa rodziny Palmisano

Palmisano!", uznając za oczywiste, że obaj poczują się adresatami tej owacji.

W listopadzie na froncie, na którym bliźniacy zasłużyli z nawiązką na order za odwagę, Austriacy wypuścili chlor. Gdy śmiercionośna chmura się rozwiła, w okopach po obu stronach odkryto przerażającą liczbę trupów. W trakcie ataku wiatr zmienił kierunek i po zagazowaniu Włochów chlor dokonał spustoszeń także w szeregach atakujących ich Austriaków. Obie armie miały mnóstwo pracy przy zbieraniu zwłok ofiar tego szaleństwa. Kiedy ludzie kapitana Di Luki znaleźli bliźniaków, ci leżeli objęci jeden na drugim; ciała były tak splecione, że nie udało się ich rozdzielić. Twarze mieli posiniaczone w wyniku działania trucizny, a ich wykrzywione z przerażenia usta wypełniała gęsta piana. Bluzy śmierdziły gazem.

Kapitan nie wahał się ani chwili.

- Rzućcie wszystko i pochowajcie wreszcie zwłoki Palmisana. Nie zniosę tego horroru ani minuty dłużej!

Żołnierze spojrzeli na siebie zaskoczeni, po czym utkwili pytający wzrok na kapitana. Nie wiedzieli, o którym z bliźniaków mówi.

- Którego Palmisana, kapitanie? Nie możemy ich rozdzielić.

- Na miłość boską, nie widzicie, że to niepotrzebne? Pochowajcie ich tutaj, tak jak ich znaleźliśmy. Jak jednego człowieka.

Tak więc Gianbattistę di Martina Palmisana i Nicolę di Martina Palmisana pogrzebano na polance w jodłowym lesie, jednego na drugim, połączonych na wieczność.

Kiedy w miasteczku dowiedziano się, że bliźniacy umarli, obejmując jeden drugiego, wszyscy byli bardzo poruszeni. W kościele pod wezwaniem Niepokalanej odprawiono mszę, na którą stawili się tłumnie mieszkańcy. Pamiętali braci jako małych chłopców, zawsze tak samo ubranych, i cieszyło ich, że przed śmiercią znowu postanowili stać się bliźniakami.

Po tej tragedii kobiety z rodziny Palmisano nie zdejmowały żałoby do końca wojny. Jakiś czas później, w wigilię Bożego Narodzenia roku 1915, dotarła do nich wiadomość z Libii o śmierci Giuseppego fu Vita (6). Umarł z dala od frontów wojny, w miejscu niemal egzotycznym, które wydawało się raczej bezpieczne. Chłopak był drobny i od małego łapał wszelakie choroby. W Trypolisie za sprawą jakiejś infekcji temperatura wzrosła mu do czterdziestu dwóch stopni. Po trwających piętnaście dni majakach zmarł, nie wytrzymałszy ataku takiej gorączki.

Los zakpił z wieśniaków ukaranych przez wojnę: wiadomość o śmiertelnych skutkach wysokiej gorączki Giuseppego fu Vita dotarła do nich w dniu, kiedy temperatura w miasteczku spadała do trzech stopni poniżej zera. Gdy kobiety Palmisano, przerywając wigilijną ciszę, wybiegły z płaczem na ulicę, musiały stawić czoło największym chłodom od początku stulecia.

Martino Palmisano (7) zmarł w marcu następnego roku w czasie piątej bitwy nad Soczą od kuli, która utkwiała mu w rdzeniu kręgowym. Na tym

Klątwa rodziny Palmisano

etapie wojny wszyscy mieszkańcy miasteczka potrafili już wskazać tę rzekę na mapie. Większości z nich wydawała się bardzo ładna, ale też bardzo mała; płynęła w zakątku ziemi tak oddalonym od Bellorotondo, że niektórzy wątpili, czy w ogóle należy jeszcze do Półwyspu Apenińskiego.

Jesienią 1916 roku w odstępie kilku dni zeszli z tego świata Stefano (8), Giuseppe fu Piet (9) i Donato fu Vito (10). Pierwszego rozerwał granat, drugi zmarł z powodu powikłań wywołanych gangreną w nodze, trzeci na zawał serca, którego dostał w trakcie bitwy. Wszyscy trzej mieli narzeczone i planowali wziąć ślub po zakończeniu konfliktu, który przekształcał się w istne szaleństwo i zagrażał rodzinom połowy Europy. Po otrzymaniu smutnej wiadomości o tym potrójnym nieszczęściu trzy dziewczyny przemierzały razem ulice Bellorotondo, optakując swoją niedzielę, jakby właśnie zostały wdowami. Nikt nie potrafił powiedzieć dokładnie, czy trzej kuzyni ponieśli śmierć u podnóży Monte Hermada - ostatniej przeszkody na drodze do Triestu - w czasie siódmej, ósmej czy dziewiątej bitwy nad Soczą, walki bowiem toczyły się w zawrotnym tempie, a linia frontu zmieniała przebieg z tygodnia na tydzień. Jednak za sprawą trzech zgonów, które nastąpiły w odstępie kilku dni, nieszczęście, jakie spadło na tę biedną chłopską rodzinę, urosło do rangi legendy. Od tej chwili nikt w miasteczku nie wątpił już, że Palmisanoów przesładowuje jakaś straszliwa *maledizione*. A jeśli brakowało na to dowodu, pojawił się on dwa miesiące później, w Boże Narodzenie roku 1916. Drugi raz z rzędu tragiczna wiadomość dotarła do rodziny w tę szczególną noc: po wyjściu z pasterki mieszkańcy Bellorotondo dowiedzieli się o śmierci Giuseppego di Giovanniego (11). Pod koniec września najstarszy z Palmisanoów jakimś cudem ocalał podczas wybuchu w tunelu wydrążonym przez Austriaków pod pozycjami włoskimi na Monte Cimone, ale trzy miesiące później zginął w zasadzce w pobliżu przełęczy Stelvio. Giuseppe został wysłany w Alpy i przydzielony do oddziałów wysokogórskich jako specjalista od budowy kopalni, ponieważ miał umiejętności niezbędne podczas dziwnej wojny prowadzonej na froncie alpejskim pod ziemią. Zamiast walczyć na otwartej przestrzeni, na powierzchni, Włosi i Austriacy wiercili tunele i zakładali ładunki wybuchowe pod pozycjami wroga. Pod ziemią, we wnętrzu gór, Giuseppe był najbardziej kompetentnym ze wszystkich żołnierzy, za to nie czuł się pewnie, kiedy musiał wychodzić z tuneli i patrolować zaśnieżone przełęcze, czasami na wysokości ponad dwóch tysięcy metrów.

Przez resztę zimy i całą wiosnę 1917 roku do miasteczka nie przyszedł żaden telegram; brak wiadomości wydawał się zadawać kłam najgorszym przepowiedniom. W rzeczywistości ta przerwa była wynikiem małej aktywności wojsk, wymuszonej przez straszliwe warunki atmosferyczne panujące w Europie. Kiedy pogoda się poprawiła, klątwa znów dała o sobie znać. W dzień Zielonych Świątek nadeszła wiadomość o śmierci Catalda (12) w Albanii, akurat w momencie, gdy kraj ten stał się protektoratem Włoch i oficjalnie zakończył działania wojenne.

Jesienią doszło do klęski pod Kobaridem: front nad rzeką Soczą został przerwany, włoska armia wycofała się na całej linii, od Adriatyku po Dolinę Sugana w pobliżu Trydentu. Austriacy zabili, ranili lub wzięli do niewoli ponad trzysta tysięcy żołnierzy. Tylko w ciągu jednego dnia, dwudziestego piątego października 1917 roku, zaledwie kilka kilometrów

Kłątwa rodziny Palmisano

od siebie zginęli Vito (13), Giulio (14) i Angelo Giorgio (15), wszyscy trzej od kul z karabinu wystrzelonych z bardzo bliskiej odległości. Nie mieli już amunicji, a ich oficerowie kilka godzin wcześniej uciekli w popłochu, nie wydawszy nawet rozkazu odwrotu. Wszyscy trzej dopiero niedawno zostali zmobilizowani, wiosną poprzedniego roku skończyli osiemnaście lat. Kiedy wiadomość o potrójnej tragedii dotarła do Bellorotondo, mieszkańcy ostatecznie utwierdzili się w przekonaniu, że ani jeden Palmisano nie przeżyje tej bezlitosnej wojny i ciążyącej na rodzinie klątwy.

Mieszkańcy miasteczka zawsze uważali Domenica (16) za pocziwinę, ze wszystkiego zadowolone biedaczysko. Najbardziej okrutni mieli go za głupka i robili sobie z niego żarty, ale on się nie skarżył, bo w kierowanych pod jego adresem komentarzach nie dostrzegał złych intencji. Tych, którzy go nie znali, dziwił zawsze obecny na jego ustach uśmiech, który nadawał twarzy chłopaka nierozgarnięty wyraz, choć tak naprawdę był jedynie odzwierciedleniem niewinnej szczęśliwości. W dzieciństwie często bierał w domu cięgi, ponieważ przyglądał się ludziom i byle co wprawiało go w zachwyt. Z powodu wrodzonych trudności z koncentracją nauczyciele również często toili mu skórę, aż w końcu spisali go na straty i zaprzestali prób prostowania jego ścieżek biciem po twarzy.

Kiedy dorósł, odkryto, że nie jest wcale takim głupkiem, na jakiego wygląda, ale niezmordowanym, zdolnym pracownikiem, zwłaszcza w gajach oliwnych; był mocny jak dąb i nigdy się nie ociągał, a im więcej pracował, tym bardziej wydawał się szczęśliwy. Zasłużył sobie na szacunek również w czasie wojny. Zgłaszał się na ochotnika do najmniejbezpieczniejszych akcji, nigdy nie kwestionował rozkazów i nie odczuwał strachu. Tak naprawdę nigdy nie myślał o śmierci - jego głowa nie nadawała się do takich intelektualnych spekulacji. Dlatego w czasie walki wszyscy chcieli go mieć przy sobie. Nocami, w baraku, wspominał dziadka, który zabierał go do gaju oliwnego i zawsze traktował tak, jakby Domenico był najnormalniejszym ze wszystkich ludzi. Bardzo za nim tęsknił.

- Czuję, że dziś znowu będziemy mieli kłopoty! - rzucił na powitanie Cambrone, kolega z piętrowego łóżka, kiedy Domenico wszedł do baraku po zakończonej warcie. - Wezwali kapitana na stanowisko dowodzenia. Wygląda na to, że *Alpenjager* szykują kolejny atak, zanim pogorszy się pogoda - dodał, padając na pryczę.

Domenico nie zliczyłby, ile już razy tracili i zdobywali pozycje na płaskowyżu Asiago, między Vicenzą i Trydentem. Widział przerażenie, z jakim patrzył na niego Cambrone, ale nie przeczuwał zbliżającej się rzezi. Natomiast jego towarzysz, który podczas warty zauważył niezwykle ruchy po stronie wroga, domyślił się, że tego ranka, czwartego grudnia 1917 roku, atak austriackich batalionów alpejskich będzie inny niż dotychczasowe.

- Pozwól mi popatrzeć przez chwilę na twoją narzeczoną - powiedział głosem drżącym na myśl o zbliżającej się bitwie.

Kłątwa rodziny Palmisano

-Jeszcze mi zniszczysz! - Domenico zaśmiał się nerwowo.

Pocztówkę z nagą dziewczyną kupił w Bari, zanim wszedł do pociągu, który miał go zawieźć na front. Po dwóch latach wojny znał na pamięć najdrobniejsze detale ciała kobiety, którą dzielił z połową kompanii. Dziewczyna pozowała całkiem naga, opierając pośladki o stojak na kwiaty, przy łożku z aksamitną narzutą, które zachęcało, by na nim usiąść. Miała ciało anioła, lewą rękę odchyliła do tyłu pełnym elegancji ruchem, by z gracją wypiąć sterzące piersi.

- Zawsze gotowa do przeglądu - mawiali chłopcy, zachłannie wpatrując się w jej biust.

Miała czarne kręcone jedwabiste włosy, z małym loczkiem zwiniętym na ucho, długie na tyle, że pukle zakrywały jej kark. Twarz spoczywała łagodnie na prawej dłoni; wzrok dziewczyny przykuwało coś za obiektywem aparatu. Nikt w całej kompanii nie widział nigdy tak pięknej kobiety. Nazywali ją narzeczoną Palmisana.

Kiedy napłynęła potężna szara fala austriackich żołnierzy, zaczęły się przeplatać w szybkim tempie rozkazy i odwołujące je polecenia, coraz bardziej sprzeczne. Wkrótce było już jasne, że obrona pozycji zakończy się klęską; Włosi rozpiechli się w popłochu, co ułatwiło atakującym mi-azdzące zwycięstwo i znacznie zwiększyło liczbę ofiar wśród uciekających. Domenico, Cambrone i Campana bronili pozycji przez wiele godzin. Trzej towarzysze z baraku byli nierozłączni i zawsze walczyli na pierwszej linii. Dopiero kiedy spostrzegli, że wkrótce zostaną otoczeni, wycofali się i ze zdumieniem odkryli, że oficerowie dawno opuścili stanowiska dowodzenia.

Odnaleźli w dolinie niedobitków z batalionu, którzy uciekli w popłochu kilka godzin wcześniej. Campana i Cambrone dołączyli do zdziesiątkowanej kompanii, natomiast Domenico pomaszerował dalej. Po dwóch latach zacieklej walki na pierwszej linii miał dość. Postanowił wrócić do domu.

Na drogach panował taki chaos, że nikt nie zadał sobie trudu, by pytać go o papiery. Nikt również nie żądał biletu ani nie legitymował go na od-cinkach, które pokonał pociągiem. Ale kiedy osiem dni później dotarł do Bellorotondo, żandarmeria wojskowa czekała już, by zatrzymać go za dezercję.

Następnego ranka, gdy odwożono go do koszar w Bari, zobaczył dziadka stojącego po drugiej stronie ulicy.

- *Nonno! Nonno!* - zawołał, nie mogąc zrozumieć, dlaczego dziadek do niego nie podchodzi i dlaczego strażnicy nie pozwalają podejść jemu. Stracił panowanie nad sobą i zaczął głośno krzyżeć.

Stary Palmisano nie wytrzymał i uciekł, zrozpaczony, że nie może uściskać wnuka ani wytłumaczyć mu, co się dzieje. Na widok oddalającego się dziadka Domenico wydał z siebie wrzask, który rozdarł przejrzyste powietrze tamtego lodowatego zimowego poranka:

- *Nonno!*

Żołnierz z eskorty wbił mu kolbę karabinu w brzuch, pozbawiając go przytomności. To był jedyny sposób, by uciszyć chłopaka i wsadzić go do samochodu.

Następnego dnia ponownie zobaczył dziadka, w sali trybunału wojskowego w Bari, który miał go osądzić. Nie rozumiał, dlaczego *nonno* nie

Klątwa rodziny Palmisano

podszedł, żeby z nim porozmawiać, założył jednak, że skoro tu jest, nadal go kocha. Domenico rozchylił usta w spokojnym uśmiechu, który nie zniknął nawet wtedy, kiedy sędzia skazał go na karę śmierci.

- Nie płacz, *nonno*. Wojna szybko się skończy! - zawołał do dziadka, gdy wsadzano go do pociągu, którym miał wrócić na północ, by trafić w ręce dowództwa swojej kompanii. Miał wrażenie, że dziadek, który patrzył na niego z drugiego końca peronu, się skurczył.

Podróż powrotna na płaskowyż trwała znacznie krócej niż dotarcie do Bellorotondo. Dwa dni po wyjeździe z Bari był w Vicenzie, trzeciego zawieziono go do Asiago, a stamtąd do Col del Rosso, gdzie skoszarowano pozostałych przy życiu żołnierzy kompanii unicestwionych w wyniku klęski z czwartego grudnia. Jakiś świeżo upieczony kapitan natychmiast sformował pluton egzekucyjny złożony z nielicznych ocalałych z kompanii Domenico, wśród których znaleźli się Campana i Cambrone.

Kapitan wydał rozkaz „ognia!”, ale żołnierze stojący na wprost niewinnie uśmiechającego się Palmisana, który jeszcze nie rozumiał, co się dzieje, nie byli w stanie wykonać wyroku. Wystrzelili w powietrze.

- Ognia! - krzyknął ponownie rozsierdzony kapitan.

I znowu celowo nie trafili.

Oficer zagroził żołnierzom plutonu pistoletem, ale ci ponownie stawili mu opór.

- Na miłość boską, kapitanie...! - zaprotestował Campana. - Domenico mnóstwo razy ratował nam życie. Niespełna miesiąc temu sam zlikwidował dwa karabiny maszynowe, które trzymały nas w szachu w Valbelli...

- Strzelajcie, kurwa! Strzelajcie! Ja tylko wypełniam rozkazy. Jeśli nie zaczniecie strzelać, postawię was przed sądem wojennym!

Płacząc, zaczęli strzelać wszyscy naraz. Kiedy Domenico zwałił się na ziemię, usłyszeł jeszcze słowa pożegnania:

-Jestem zmęczony, *nonno*. Zabierz mnie do domu.

Skręcającym się na ziemi ciałem wstrząsnęła ostatnia straszliwa konwulsja, która przyprawiła obecnych o gęsią skórę. Domenico wyciągnął nogi i przestał drgać. Towarzysze broni otoczyli go i pożegnali, pochylając głowy w geście szacunku. Cambrone jako pierwszy przerwał milczenie:

- Skurwysyn! - krzyknął, wbiwszy wzrok w kapitana. Wyglądał, jakby oszalał. Zaczął strzelać z wściekłością w bezwładne ciało Domenico. Przy każdym wystrale myślał o podłych dowódcach, którzy wiedli ich po alpejskich równinach od klęski do klęski, a teraz zmusili do wykonania wyroku śmierci na najlepszym z towarzyszy, który nie był przy zdrowych zmysłach i zginął, nie rozumiejąc nic z tego, co się dzieje.

Kiedy wieści o okolicznościach śmierci poczciwego Domenico Palmisana dotarły do miasteczka, jego dziadek powiesił się na gałęzi drzewa oliwnego. Wiadomość poruszyła całe Bellorotondo do tego stopnia, że mało brakowało, a doprowadziłaby do buntu mieszkańców.

Giuseppe fu Francesco Paolo (17) doszedł do przekonania, że nie może mu się przydarzyć nic złego. Przez całą noc objaśniał swoją teorię koledze, z którym trzymał wartę w „orlim gnieździe”, skąd mieli obser-

Kłątwa rodziny Palmisano

wować drogę przez przełęcz. Styczniowy księżyc w pełni oświetlał bezchmurną noc, a za sprawą śniegu, którego napadało w ostatnich tygodniach, blask rozlewał się na wszystkie szczyty. Widok byłby wspaniały, gdyby nie straszliwe, paraliżujące zimno, które wzmagał wiejący bez końca wiatr z północy. Giuseppe nigdy nie przypuszczał, że chłód może aż tak boleć.

- Jeżeli istnieje boska sprawiedliwość, nie przytrafi mi się już mc złego - zaczął wyjaśniać z przekonaniem. - Na początku wojny było nas w sumie dwudziestu jeden Palmisanów, teraz zostało zaledwie dziewięciu! Chroni nas pech tamtych dwunastu.

Przed Giuseppem fu Francesco Paolo ukryto rozstrzelanie Domenica, nic dotarła do mego także wiadomość o trzech innych kuzynach poległych pod Kobandem, nie wiedział zatem jeszcze, że przeżyło jedynie pięciu Palmisanów; był przekonany, że ostatni zginął Cataldo. Kolega, z którym pełnił wartę, mc nie odpowiedział. Nie odzywał się, odkąd weszli na wieżę, więc Giuseppe fu Francesco Paolo zamiast rozmowy prowadził monolog, którego nie przerwał przez całą noc. Nie przyszedł mu do głowy lepszy sposób na zwalczenie zimna i senności.

Gdy wstawał świt, powiedział:

- Możemy być spokojni. Dziś już nie wrócą.

Podszedł do towarzysza, który nie odpowiadał. Kiedy położył mu dłoń na ramieniu i potrząsnął nim, żeby go obudzić, ciało wymknęło mu się spod ręki i osunęło na deski strażnicy; dopiero wtedy Giuseppe zauważył zaschniętą ranę po kuli, która przebiła szyję jego towarzysza. Musiało do tego dojść podczas ataku, który odparli poprzedniego wieczoru. Tak oto Giuseppe odkrył, że przez całą noc rozmawiał z nieboszczykiem.

Nawet nie znał jego imienia. Zamknął mu oczy, przeżegnał się i przez chwilę w zamyśleniu wpatrywał się w zwłoki, jak robili to oficerowie podczas ceremonii pogrzebowych. Następnie wziął karabin, założył plecak i zaczął schodzić z boczem góry. O tej porze ktoś powinien był już ich zmienić. Kiedy dotarł do obozu, nikogo nie zastał. Jego towarzysze uciekli w pośpiechu, o niczym go nie uprzedziwszy. Szedł dalej sam, szukając jakichkolwiek punktów odniesienia pośród szczytów, które wydawały mu się zupełnie obce. W Bcllorotondo każde wzgórze, każda dolina, każdy skrawek ziemi miały znajomą nazwę, ale tutaj czuł się zagubiony. Chociaż odkąd został wysłany na front alpejski, ciągle biegał po górach, nie zdołał jeszcze poznać ich nazw. Nagle usłyszał okrzyk:

-Halt!

Został schwytyany przez austriacki patrol.

Tydzień później Giuseppe fu Francesco Paolo trafił do obozu jenieckiego, na wschód od austriackiego miasteczka Mauthausen, gdzie odkrył z przerażeniem tysiące włoskich więźniów konających pośród żalosnych skarg. Strażnicy wydzielali jedzenie, dając jeńcom wyłącznie to, co przysyłano im z ojczystych krajów za pośrednictwem Czerwonego Krzyża. Skoro jednak tych, którzy dali się złapać, włoskie naczelne dowództwo uważało za tchórzy lub zdrajców, zabroniło wysłać im żywność.

W obozie spotkał kuzyna Michelego (18) umierającego na hiszpankę. Michele był jednym z ponad stu tysięcy Włochów, którzy dostali się do niewoli po klęsce pod Kobaridem. Giuseppe fu Francesco Paolo zdążył go

Klątwa rodziny Palmisano

jedynie uściskać i zamknąć mu oczy. Osiem dni później sam umarł z głodu, nie rozumiejąc, dlaczego został opuszczony przez rodaków.

Angelantonio (19), który nie miał braci, tylko same siostry, był najbardziej melancholijny ze wszystkich Palmisano. Wylądował też najdalej od domu - we francuskiej Szampanii. Na froncie nad Marną tak bardzo tęsknił za rodzinnymi stronami, że zaczął tracić zmysły. Włoskim żołnierzom z drugiego korpusu wojsk generała Albriciego ciężko było zrozumieć, co, do diabła, robią na francuskim froncie. Nikt im nie wyjaśnił, że po klęsce pod Kobaridem naczelne dowództwo Włoch poprosiło o pomoc sojuszników. Pięć francuskich i angielskich dywizji pospieszyło na ratunek Włochom, a w zamian za to, by potwierdzić obustronność sojuszu, około czterdziestu tysięcy Włochów zostało wysłanych do Szampanii i na Chemin des Dames.

W ten oto sposób Angelantonio znalazł się w piekielnych okopach w lesie koło Vrigny, niedaleko Reims, otoczony wspinałymi winnicami, z zadaniem obrony aż do śmierci 240. pozycji, bombardowanej dniem i nocą przez pociski niemieckiej artylerii. Z okopu - z powodu fatalnej pogody pełnego błota - oglądał kolumny cywili opuszczających stolicę Szampanii, uciekających z walących się piwnic na wino, w których od początku wojny chowali się przed niemieckimi bombardowaniami. Widział także, jak jeden po drugim ginęli jego towarzysze z okopów, przyniesieni przez bomby albo zatruci gazem, przed którym nie chroniły maski będące na wyposażeniu włoskiej armii - gaza nasączona roztworem węgla sodu.

Wkrótce zaczął się dziwnie zachowywać, a w okolicach Bożego Ciała 1918 roku ostatecznie postradał zmysły. Pewnej nocy, kiedy pełnił wartę, podczas gdy jego towarzysze próbowali wykorzystać przerwę w wymianie ognia między artyleriami obu armii i trochę pospać, wziął szczury biegające pod drutem kolczastym za wrogi oddział i krzykiem obudził kompanię. Dzielący okopy Włosi i Trancuzi, zaskoczeni tym alarmem, zaczęli ostrzeliwać pozycje przeciwnika, który po chwili odpowiedział kontratakami, nie do końca rozumiejąc, co się dzieje. Po godzinie bardziej historycznej niż skutecznej wymiany strzałów kapitan rozkazał wstrzymanie ognia.

Wracajcie spać. Nie widzę żadnych ruchów, nie wygląda na to, żeby szykowali uderzenie.

Następnej nocy Angelantonio wziął pohukiwanie sowy za zakamuflowane sygnały zwiastujące kolejny atak z zaskoczenia i znów obudził kompanię. Po półgodzinnej zajadłej strzelaninie, która wprawdzie nie przyniosła ofiar, ale nadwyrężyła nerwy żołnierzy po obu stronach, włoski kapitan kolejny raz rozkazał wstrzymanie ognia. W lesie we Vrigny za panował spokój, jednak tej nocy większość nie zmrużyła oka.

Trzeciej nocy, zanim zwinął się pod kocem, kapitan Monfalcone, student filozofii z Lukki, który także nie wiedział, dlaczego wylądował w Szampanii, kazał wezwać do siebie Angelantonia.

Kłątwa rodziny Palmisano

- Postuchaj, Palmisano, jeśli będzie ci się wydawało, że nas atakują, zawiadom mnie. Ale jeśli nic chcesz, żebym kazał cię na miejscu rozstrzelać, nie budź więcej całej kompanii.

Kapitan nie zdążył jeszcze zamknąć oczu, gdy usłyszał okrzyk:

Per Vittalia!

Zerwał się na równe nogi i zobaczył Angelantonia, jak biegnie sam w stronę pozycji wroga. Ponieważ miał nie budzić pozostałych, to kiedy wydało mu się, że są atakowani, postanowił przeprowadzić kontrofensywę na własną rękę. Niemieccy wartownicy wszczęli alarm. Gdy żołnierze ujrzeli samotnego mężczyznę, który, strzelając, zbliżał się w ich stronę, wycelowali broń, skoncentrowali całą swoją wściekłość na wariacie, który nie pozwalał im spać, i podziurawili go kulami. Angelantonio zaczął podrygiwać niczym w jakimś makabrycznym tańcu, a kiedy Niemcy przestali strzelać, zwałił się na ziemię. W obu okopach zapadła wyczekująca cisza. Żołnierze po jednej i drugiej stronie zadawali sobie pytanie, jak skończy się to dziwne zajście.

Dziękuję! - krzyknął w przypływie szczerości kapitan Monfalcone w stronę niemieckich pozycji.

Natychmiast zdał sobie sprawę, że nie powinien się odzywać, ale na wyrzuty sumienia było za późno. Rozkazał swoim ludziom, by wrócili na prycze.

- Jutro postaramy się odzyskać ciało tego biednego nieszczęśnika. Teraz spróbujmy się trochę przespać.

Kompania Ignazia (20) - najmłodszego z Palmisanów, który nie skończył jeszcze osiemnastu lat - spędziła noc dwudziestego dziewiątego czerwca 1918 roku na leśnej polanie u stóp Col dcl Rosso, na tym samym kawałku ziemi, gdzie sześć miesięcy wcześniej rozstrzelano biednego Domenica. O świcie, nieświadom, że w pobliżu spoczywają szczątki jego kuzyna, Ignazio odegrał kluczową rolę w odbiciu najbardziej symbolicznego z Tre Monti. Zginął jako bohater, od zabłąkanej kuli, dokładnie w momencie, kiedy dotarł na szczyt, a Austriacy szykowali się do oddania pozycji.

Ostatni Palmisano

Vito Oronzo, ostatni Palmisano, przeżył jedna po drugiej jedenaście bitew nad Soczą. Walczył bohatersko, nie odnosząc żadnej rany, przez trzy i pół roku trwania wojny. Wydawało się, że los chce, by został jedynym ocalałym z całej rodziny. Był zatwardziałym przeciwnikiem udziału Włoch w konflikcie, który w najmniejszym stopniu nie dotyczył chłopów z Apulii, ale nie robił nic, by uniknąć mobilizacji. Miał duże poczucie obowiązku, więc zawsze walczył z ogromną odwagą, nigdy jednak nie popadł w zuchwałość ani nie dał się ponieść zbytniemu entuzjazmowi. Tak naprawdę był najrozważniejszym z Palmisanów, a także tym, w którym wojna budziła największy respekt.

Na froncie żył z dnia na dzień, podczas akcji wykazywał olbrzymie skupienie i niesamowity instynkt samozachowawczy. Zawsze postępował zgodnie z zasadą, że na polu bitwy nie należy ryzykować bardziej, niż to konieczne, a największe niebezpieczeństwo grozi temu, kto się waha albo ulega strachowi. Nie oznaczało to jednak, że pozostawał obojętny na ból i nędzę, jakie niesie ze sobą wojna; w okopach cierpiał z powodu oddalenia od domu, głodu i panicznego strachu przed atakami gazowymi. A przede wszystkim tęsknił za Donatą, która była jego żoną tylko połowicznie, bo żeby przysiąc sobie wierność na wieki, w pośpiechu wzięli ślub tego ranka, kiedy wyruszał na wojnę, i ich małżeństwo nie zostało jeszcze skonsumowane. Od ponad trzech lat żołnierze 164. kompanii byli jego jedyną rodziną.

Przez ostatnie miesiące dzielił okopy z chłopakiem ze swojego miasteczka, Antoniem Convertinim. Stali się nierozłączni. Los chciał, że najpierw znaleźli się w tym samym batalionie, a po przegrupowaniu po klęsce pod Kobaridem walczyli w tej samej kompanii. Ich żony, Donata i Francesca, pochodziły z Matery, dwa dni drogi od Bellorotondo, były siostrami cioteczными i od dziecka nierozłącznymi przyjaciółkami. Obaj tego samego dnia otrzymali zawiadomienie, że dostali przepustkę, pierwszą od początku wojny, dzięki inicjatywie nowego szefa Sztabu Generalnego, generała Armanda Diaza, który poprzez taką politykę zamierzał podnieść morale podupadłego na duchu oddziału.

W dniu, w którym wyruszał do domu, do żołnierzy z batalionów stacjonujących nad Piawą dotarły pogłoski o zbliżającej się ofensywie. Wiadomość tchnęła w nich optymizm.

- Wasza strata - żartowali towarzysze, z zazdrością żegnając się z Vitem i Antoniem. - Zanim wrócicie, zdążymy już wygrać wojnę. Austriacy poddadzą się albo zwięją i będziecie musieli nas szukać aż za Lubianą.

Rzeczywiście wszystko wskazywało na to, że wojna zbliża się do końca. Kiedy siedemnastego października 1918 roku Vito Oronzo Palmisano w towarzystwie Antonia Convertiniego dotarł do Bellorotondo, wydawało się, że ostatecznie oszukał śmierć i uratował się przed rodzinną kłutwą. W tej głupiej wojnie zginęli jego bracia, Stefano i Domenico, a także osiemnastu kuzynów; Vito Oronzo był ostatnim ocalałym mężczyzną z całej rodziny.

Klątwa rodziny Palmisano

Powrót do miasteczka nieco go zdeprymował. Gdy walczył na froncie, wyobrażał jć sobie zupełnie inaczej. Tymczasem rodziny były w żałobie, opuszczone winnice i gaje oliwne przedstawiały sobą żałosny widok, nie wyglądało też na to, żeby starsi podziwiali poświęcenie żołnierzy na polu bitwy; czekali tylko na ostateczne zakończenie konfliktu. Vito Oronzo poczuł wściekłość, gdy zobaczył, że synowie najbogatszych mieszkańców miasteczka uniknęli mobilizacji, a ich winnice dobrze prosperują. Potwierdzało to krążące w okopach pogłoski, że wpływowi obywatele dzięki swoim pieniądżom unikali wysłania na front. Najbardziej haniebnym przykładem stanowił Antonio Salandra, premier, największy entuzjasta przystąpienia Włoch do wojny, który wzbogacił się w nikczemny sposób, dzięki czemu żaden z jego trzech synów nawet nie zbliżył się do pola walki.

Vito Oronzo postanowił dłużej tego nie roztrząsać, żeby nie psuć sobie krwi; odsunął od siebie te niepokojące myśli, by ciałem i duszą oddać się rozkoszom tygodniowej przepustki, o której marzył od trzech lat. Jesienne słońce w Apulii było cudowne, a towarzystwo Donaty podnosiło na duchu. Nie chciał tego zmarnować.

Przez kolejne dni co ranka ścieżką biegnącą między winnicami wspinali się do gaju oliwnego. Donata była dumna, bo jako jedna z niewielu w całej dolinie zdołała zebrać winogrona *verdeca*. Żeby zrekomensować brak rąk do pracy, harowała od świtu do zmierzchu wraz z innymi kobietami ze swojej rodziny i wbrew prognozom całego miasteczka uzyskała obfite zbiory. Wyżej, w największym gaju oliwnym, Vito i Donata spotykali się z kobietami i starcami z sąsiedztwa, którzy przychodzili, by pomóc im dokończyć zbieranie winogron *primitivo*, rosnących między drzewami i dojrzewających najpóźniej ze wszystkich. Pracowali podzieleni na ekipy - Vito Oronzo i Donata szli zawsze na czele pierwszej grupy, razem z Antoniem Convertinim i Francescą, którzy także zaoferowali im pomoc. Conccctta, wdowa po bracie Vita, Stefanie, przewodziła innemu zespołowi. W ciągu zaledwie ośmiu dni trwania przepustki zebrali wszystkie winogrona rosnące u stóp rzędów oliwek z gatunku *rossa*, nazywanych przez chłopów *nuzarol*.

Kiedy zapadał zmierzch, wracali do *masserii* od drugiej strony, przecinając gaj drzew uginających się pod oliwkami *aliastra*, które wyglądały na niemal dojrzałe. Vito Oronzo zerkał na nie kątem oka i zaniepokojony ostrzegwał Donatę:

- Na początku przyszłego miesiąca będziecie musieli szybko się uwijać, żeby je zebrać. *Gnastre* są już pewnie dojrzałe.

Nocami nadrabiali czas stracony podczas trzech lat przymusowego rozstania spowodowanego wybuchem wojny - zamykali się w domu i ob-sypywali pocałunkami.

Czas przeleciał im jak w mgnieniu oka. Dwudziestego czwartego października Vito Oronzo Palmisano i Antonio Convertini musieli wsiąść do pociągu jadącego do Bari, żeby wrócić na północ i odszukać swoją kompanię, która w ostatnich dniach przemieściła się wraz z całym batalionem w okolice Vittorio Veneto. Rozpoczęła się włoska ofensywa.

W dniu wyjazdu Vito Oronzo i Donata żegnali się o świcie w kuchni; ona poprawiała mu bluzę, rozpinając guziki, które przed chwilą zapięła.

Kłątwa rodziny Palmisano

- Myślisz, że potrzebują cię do wygrania tej przeklętej wojny? Na pewno nic możesz zostać kilka dni dłużej?

- Ani się obejrzyysz, a będzie po wojnie i wrócę tu, żeby cię pokąsać.

Vito Oronzo zaczął całować ją w szyję. Potem ugryzł ją w wargi i poszukał jej języka. Rozpuścił splecione w warkocz włosy, które opadły jej na piersi; je także całował, kończąc rozpinanie bluzki. Kiedy zadarł jej spódnice, Donata położyła się na stole kuchennym, a on przebiegł ustami jej ciało, delikatnie je podgryzając. Dali się ponieść zmysłom i kochali do utraty tchu.

Gdy wstali ze stołu, ostatni raz pocałował ją w usta; w drodze na stację dopinali jeszcze ubrania. Dotarli zgrzani na peron w tym samym momencie co Antonio i Trancesca, którzy przybiegli od strony miasteczka. Oni także zamaksudzili w kuchni swojego domu przy Piazza Santa Anna, w centrum Bellorotondo. Poprzedniej nocy zjedli kolację w *palazzo* Convertinich i dopiero o świcie uwolnili się od towarzystwa rodziny. Kiedy wrzeszcz wrócili do siebie, nie zdążyli już zasnąć.

Nie marnowałeś czasu! powiedzieli jednocześnie Vito i Antonio, gdy usiedli w wagonie i zdali sobie sprawę, że są jednakowo zdyszani.

Wybuchnęli śmiechem i wychylili się przez okno w korytarzu, żeby ostatni raz ucałować żony.

- Mam przecucie, że przed Bożym Narodzeniem będziemy z powrotem! - z przekonaniem krzyknął do Donaty Vito Oronzo, kiedy pociąg ruszał w stronę Bari, stolicy regionu.

Donata i Francesca patrzyły, jak odjeżdżają, śmiejąc się jak szaleni i machając im z okna na pożegnanie. Stały na peronie, trzymając się za ręce, i próbowały zatrzymać w pamięci śmiech mężów, którzy stawali się coraz mniejsi i mniejsi. Nagle pociąg skręcił; zobaczyły, jak ostatni raz im machają, po czym straciły ich z oczu.

Trzeciego listopada Austriacy podpisali zawieszenie broni. Ta najbardziej wyczekiwana z wiadomości dotarła do Bellorotondo późnym popołudniem. Była słoneczna niedziela, bardzo ciepła jak na tę porę roku; ludzie wyszli więc na ulice, by świętować dobrą nowinę. Następnego dnia władze miejskie ogłosiły trzy dni świąt, a obchody przeszły wszelkie oczekiwania oficjeli. Wiele rodzin było rozdartych między żałobą po poległych w okopach a radością z zakończenia działań wojennych. W końcu jednak postanowili zapomnieć o żałobie. Zmarli pozostali daleko w tyle, pogrzebani na mglistych terenach na północy kraju. Nadszedł moment, by cieszyć się z ogłoszenia pokoju. Plac przy punkcie widokowym każdego popołudnia wypełniali wieśniacy, którzy ścigali z całej doliny, by potańczyć przy dźwiękach orkiestry i uczcić jak Bóg przykazał powrót ocalałych.

Donata i Francesca także świętowały zakończenie wojny, ale nie tańczyły; krążyły w tłumie, starając się dowiedzieć, kiedy mężczyźni wrócą z frontu.

- Rzym nie ma pieniędzy, żeby żywić żołnierzy. Za dwa tygodnie wyślą ich do domu! - zapewnił je ksiądz, który szczycił się tym, że zawsze jest

Kłątwa rodziny Palmisano

dobrze poinformowany.

Tamtej niedzieli Donata zasnęła dopiero nad ranem, z głową ukrytą w ramionach opartych na kuchennym stole. Śniła jej się, że Vito Oronzo całuje ją w szyję i rozpina jej bluzkę. Obudziło ją pukanie do drzwi. Kiedy otworzyła, ujrzała nieznajomego mężczyznę. Urzędnik z ratusza nie śmiał na nią spojrzeć, włożył jej do rąk oficjalne zawiadomienie i odszedł w pośpiechu, mamrocząc coś pod nosem. Donata przeczytała:

Uprasza się burmistrza Bellorotondo, prowincja Bari. o poinformowanie członków rodziny, że żołnierz Vito Oronzo Palmisano, syn Giorgia i Brunety, numer identyfikacyjny 18309, 164. Kompania, 94. Pułk Piechoty, rocznik 1892, opuścił świat żywych dnia 4 listopada 1918 roku...

Donata nie zrozumiała do końca treści komunikatu. Spojrzała na nagłówek listu, który wcześniej przeskoczyła, chcąc jak najszybciej sprawdzić, czy informacja dotyczy powrotu jej męża do domu. W górnej części oficjalnego druku dużymi literami napisano: *94. Reggimento Fanteria. Consiglio di Amministrazione. AWISO DI MORTE.*

Świat jakby się zatrzymał. Poczuli, że uginają się pod nią nogi, i upadła zemdlnona na schodki przy wejściu. W tym samym momencie urzędnik z ratusza zmierzał szybkim krokiem w stronę Piazza Santa Anna z identycznym pismem dla Franceski - zawiadomieniem o śmierci Antonia Convertiniego. Jakimś niepojętym zrządzeniem losu obaj przyjaciele zginęli w południe czwartego listopada, kiedy cały oddział żył podpiśmym poprzedniego dnia zawieszeniem broni, które miało wejść w życie o czternastej.

Oficjalne zawiadomienie o tych absurdalnych zgonach dotarło do Bellorotondo z trzydniowym opóźnieniem, gdy demontowano już podest dla orkiestry, która uprzyjemniła obchody z okazji zawieszenia broni. Dziewięć tysięcy mieszkańców miasteczka postanowiło zacząć nowy rozdział i zapomniało opłakać pechowy los dwóch nieszczęśników. Donata musiała sama poradzić sobie ze śmiercią ostatniego Palmisana, która przypiętowała dopełnienie rodzinnej kłątwy. Schroniła się w domu Franceski, jedynej osoby, z którą mogła dzielić żalobę.

Od tego momentu spędzały całe dni razem, dotrzymując sobie towarzystwa. Żadna z nich nie chciała uwierzyć, że nie zobaczy już męża. Jak mogli zginąć, skoro wojna dobiegła końca? W grudniu wrócił z frontu Giuseppe Vicino, Chudzielec, robotnik Convertinich, który na ostatnie miesiące potyczek został przydzielony do kompanii Vita Oronza i Antonia. Kapitan kompanii zlecił Chudzielcowi, by oddał wdowom przedmioty osobiste poległych, opowiedział im o ich ostatnich chwilach i o tym, jak zostali dwiema ostatnimi ofiarami wojny.

- Dwudziestego szóstego października, kiedy Vito Oronzo i Antonio wrócili z przepustki, przypuściliśmy ostatnią ofensywę. Zmobilizowaliśmy siły, bo Amerykanie i Anglicy naciskali na naszych dowódców. „Przez ostatnie tygodnie skutecznie odpieraliście szturm oddziałów austro-węgierskich, pora, żebyście zrobili coś więcej”, powiedzieli. Włoscy generałowie poczuli się urażeni i wydali rozkaz ataku. Ze zdziwieniem odkryliśmy, że nasi przeciwnicy to mięczaki, i z przyjemnością przedarliśmy się przez ich linię obrony przy wjeździe do Vittorio Veneto. Kilka dni później wyzwoliliśmy Trydent, Austriacy już niemal nie strzelali. Ledwo zdołali uciec...

Klątwa rodziny Palmisano

Donata i Francesca słuchały zalane łzami. W dłoniach ścisnęły mocno niczym skarb portfele mężów; znalazły w nich swoje zdjęcia i ostatnie listy, które do nich napisały. Uważnie słuchały opowieści Chudzielca, żywiąc absurdalną nadzieję, że zakończy się szczęśliwie, jakby jego słowa miały moc zaprzeczenia rzeczywistości i wskrzeszenia ich mężów.

- ...czwartego listopada postanowiliśmy ruszyć dalej, żeby po ogłoszeniu rozejmu jak największa część terytorium znajdowała się pod kontrolą Włoch. Posuwaliśmy się naprzód, od dłuższego czasu już nikt nie strzelał. Po jednej i po drugiej stronie frontu wszyscy co chwila sprawdzali godzinę, bo o czternastej oficjalnie wchodziło w życie zawieszenie broni. Około dziesiątej zdradziecka kula trafiła Antonia w nogę. Zanim upadł na ziemię, drugi strzał przeszył mu pierś. Ukryliśmy się wszyscy, tymczasem on leżał wystawiony na kule snajpera, który strzelał ukryty w jednym z domów. Vito Oronzo nawet się nic zastanawiał; odkąd wrócili z prze pustki, byli nierozłączni. Wyszedł po Antonia. Snajper znowu strzelił i tylko cudem go nie trafił. Powrót biegiem do kryjówki byłby samobójstwem, dlatego przez ponad dwie godziny ukrywali się za gruzowiskiem. My w tym czasie próbowaliśmy oczyścić domy ze snajperów, ale przeszkadzała nam grupa Austriaków, którzy zostali w tyle. Antonio się wykrwawiał, więc Vito podjął decyzję. „Muszę go stąd wyciągnąć. Potrzebuje natychmiast lekarza!”, krzyknął ze swojej kryjówki. „To zbyt ryzykowne, nawet nie próbuj”, ostrzegłem go. „Nie przeżyje, musimy wyjść”, odpowiedział.

Chudzielec przerwał. Zanim wrócił do swojej opowieści, spuścił wzrok i wbił go w stół, jakby chciał poprosić o wybaczenie.

- Vito Oronzo zarzucił sobie Antonia na plecy i puścił się biegiem, szukając ściany, za którą mógłby się schronić. Usłyszeliśmy odgłos wys trzału i zobaczyliśmy, jak upada na ziemię. Zanim zdążyliśmy zareagować, snajper znowu strzelił i kolejny raz trafił Antonia. Później przekonaliśmy się, że kule przeszyły im czaszki. Obaj zginęli na miejscu.

Donata odwróciła głowę do okna. Już jakiś czas temu zamknęła oczy, próbując wyobrazić sobie ostatnie chwile życia swojego Vita Oronza.

Ostatni Palmisano zginął w czasie, kiedy wojnę uważano za oficjalnie zakończoną, nieświadomy, że umiera. Nie cierpiał. Była to smutna pociecha; Donata ukryła twarz w dłoniach i zapragnęła umrzeć.

Klątwa rodziny Palmisano

CZĘŚĆ DRUGA

Ogród białych kwiatów

Dom Wdów

Po wojnie w Bellorotondo zostały prawie same wdowy, jednak tym mi-
anem określano wyłącznie Donatę i Francescę. Kiedy postanowiły za-
mieszkać razem, by dzielić smutek, sąsiedzi nie bez odrobiny złośliwości
nazwali dom Franceski przy Piazza Santa Anna Domem Wdów. Młode
atrakcyjne wdowy miały na wsi duże wzięcie, a one należały do na-
jbardziej pożądanym. Donata odznaczała się urodą i pogodą, była
przesympatyczna, miała brązowe żywe oczy i roześmiane usta. Wdowa
po ostatnim Palmisano - ze swoim dyskretnym urokiem pasterki
z Matery, jak dziewczyny z kalendarzy reklamowych przedstawiających
sielankowe scenki - nie starała się w żaden sposób ukryć chłopskiego
pochodzenia. Wdowie po Convertinim wystarczyły natomiast trzy lata
małżeństwa, by wzbogacić swą urodę o uwodzicielską elegancję przed-
stawicielki jednej z najzamożniejszych rodzin Apulii. Francesca była
prześliczna, miała długie czarne włosy, ciemną karnację, niesamowite
zielone oczy, zmysłowe wilgotne usta przypominające dojrzały owoc oraz
wspaniałe ciało - piersi jędrne i krągłe niczym dwie brzoskwinie,
umięśnione plecy, mocne uda i giętką jak trzcina talię, którą kołysała przy
każdym ruchu długich nóg.

Przez pierwsze tygodnie wdowy bez przerwy płakały. Z czasem
nauczyły się powstrzymywać łzy, ale nadal godzinami snuły się po domu
niczym pokutujące dusze. Aż któregoś dnia Francesca weszła do kuchni
z szerokim uśmiechem, jakiego Donata nie widziała na jej twarzy od cza-
su, kiedy ich mężowie byli w miasteczku na przepustce.

Spodziewam się dziecka!

Donata skoczyła na równe nogi i uściskała kuzynkę. Uśmiechała się
równie promiennie jak ona, ale gdy usiadła na ławce w kuchni,
nieświadomie przygryzła wargę. Francesca zauważyła jej zmartwioną
minę, niepasującą do tej radosnej chwili. Coś było nie tak.

- Co z tobą? Nie cieszysz się? - zapytała.

- Oczywiście że się cieszę... - Donata zawahała się na moment. Wresz-

cie wyznała: - Ja też jestem w ciąży!

- Co ty mówisz? Dlaczego nic nie powiedziałaś? - Francesca wybuch-
nęła głośnym śmiechem. Wzięła kuzynkę za rękę i pociągnęła ją, żeby
wstała. - Zatańczmy! Jeśli to będzie chłopiec i dziewczynka, poženimy ich,
kiedy dorosną.

- Nie żartuj sobie z tego, nie śpię od kilku dni. Bardzo się boję.

- Nie rozumiem cię.

- A co będzie, jeśli urodzę chłopca?

O co ci chodzi? Nie chcesz mieć syna?

- Nie mogę urodzić chłopca, skazałabym go na klątwę rodziny
Palmisano. Jak miałabym wychowywać go ze świadomością, że kiedy
dorośnie, zginie. Nie wiem, co zrobiła w przeszłości ta rodzina, żeby
wywołać taki wielki boży gniew, ale nie zamierzam wydawać na świat
syna po to, by go złożyć w ofierze!

- To już przeszłość, wojna się skończyła.

Kłątwa rodziny Palmisano

- Wojny nigdy całkowicie się nie kończą. Wcześniej czy później wracają! Przecież nam połowę życia wydarła wojna, którą oficjalnie uznano za zakończoną.

Francesca nie była przesądna, ale wiedziała, że Donata ma rację - z jakiegoś niezrozumiałego dla niej powodu Bóg postanowił zemścić się na Palmisanach i skazał na śmierć mężczyzn z tej rodziny. Przytuliła kuzynkę, zastanawiając się, jak to możliwe, że nowe życie przyjdzie na świat obciążone tak złymi wróżbami.

Przez dłuższy czas żadna z nich się nie odzywała. Wreszcie Donata uwolniła się z objęć Franceski, spojrzała w jej wielkie zielone oczy i poprosiła błagalnym tonem:

- Musisz mi obiecać, że jeśli to będzie chłopiec, udasz, że jest twój, i wychowasz go jako Convertiniego. Nazwiemy go Vitantonio. Tylko my dwie będziemy wiedziały, że to na cześć mojego Vita Oronza, który go spłodził, i twójego Antonia, który da mu nazwisko i nadzieję na uniknięcie rodzinnej klątwy.

Przez kolejne miesiące, podczas gdy Francesca obnosiła się ze swoim brzuchem po ulicach miasteczka, Donata ukrywała ciążę w jaskiniach Sassi, ubogiej dzielnicy Matery, skąd pochodziła cała jej rodzina. Kiedy zbliżał się moment rozwiązania, wróciła niepostrzeżenie do Domu Wdów. Obie urodziły w dniu świętej Anny, dwudziestego szóstego lipca 1919 roku. Doktor Ricciardi jedyna osoba wtajemniczona w ich sekret - ukradkiem przyjechał odebrać poród, korzystając z tego, że wszyscy mieszkańcy skupili się na obchodach święta ku czci patronki Bellorotondo, w tym roku bardzo skromnych, jako że wiele rodzin nadal było w żałobie.

Donata urodziła pierwsza, niedługo po północy. Lekarz wziął noworodka na ręce i jak mógł, opóźniał wydanie werdyktu. Wreszcie powiedział ze smutkiem:

-To chłopiec.

Donata zamknęła oczy i zdusiła żałosny okrzyk, który wydobywał się z jej wnętrza. Czuła się tak, jakby przepołowiono ją ostrzem miecza.

Następnie otworzyła oczy pełne łez rozpacz i poprosiła:

- Pozwól mi go potrzymać, Gabriele.

Doktor Gabriele Ricciardi był od zawsze lekarzem rodzinnym Palmisanów, leczył także Convertinich. Jako jedyny lekarz w okolicy odwiedzał zarówno bogatych pacjentów, jak i biednych chłopów, którzy nie byli w stanie zapłacić mu nawet za dawkę chininy. Położył chłopca przy piersi matki i wyszedł do przedpokoju. Donata przytuliła synka tak mocno, że malec wybuchnął płaczem. Doktor słyszał wszystko zza drzwi; zastanawiał się, czy starczy mu sił, by dotrzymać tej okrutnej potajemnej umowy, na którą za chwilę miał przystać. Wrócił do pokoju Donaty.

-Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

- Ja umrę z żalu, ale on przeżyje mimo klątwy.

Nie odpowiedział; poczuł, że z oka spływa mu łza, i odwrócił się plecami do Donaty. Noworodek nie przestawał płakać.

Kłątwa rodziny Palmisano

- Co za energia! I pomyśleć, że na całym tym życiu ciąży wyrok śmierci z powodu jakiejś złośliwej kłątwy! - poskarżyła się rozgoryczona Donata.

W tym momencie lekarz rozumiał, że nie może się sprzeciwić jej woli.

- Lepiej, żebym zaniósł go Francesce, niech się przyzwyczai. Zostało jej jeszcze kilka godzin do porodu - oznajmił.

Chciał wziąć chłopca na ręce, ale Donata go powstrzymała.

- Jeszcze tylko chwilę - poprosiła. Zaczęła obsypywać syna pocałunkami i przysięgać mu wieczną miłość. - Może kiedyś to zrozumiesz - powiedziała. - Nigdy żadna matka nie kochała swojego dziecka tak bardzo, jak ja cię kocham w tym momencie...

Ricciardi usiadł w kącie ciemnego pokoju i płakał, bo nie wiedział, przeciwko komu skierować złość za tę niesprawiedliwą kławę. W końcu wstał zdeterminowany, pocałował Donatę w czoło, wziął od niej noworodka i zaniósł go Francesce.

Donata słyszała ze swojego łóżka, jak małe dziecko uspokaja się w ramionach nowej matki. Lekarz przestał krążyć w kółko i poszedł do kuchni. Od czasu do czasu do jego uszu dobiegał płacz dziecka, wydawało mu się także, że słyszy z daleka szloch Donaty. Potem w domu na kilka chwil zapadła cisza; doktor zdrzemnął się na krześle. Po przebudzeniu obmył sobie twarz i poszedł przygotować Francescę do zbliżającego się porodu. Donata od dłuższej chwili nie płakała. Kiedy Ricciardi wszedł do jej pokoju, odkrył, że gdy spał, młoda kobieta po cichu wymknęła się z domu.

Około szóstej rano Francesca wydała na świat dziewczynkę. Miasteczko ze zdziwieniem przyjęło wiadomość, że wdowa po Convertinim urodziła bliźnięta. Osiem dni później ojciec Felice, kapelan rodziny, odprawił uroczystą mszę w kościele pod wezwaniem Niepokalanej i ochrzcił dwójkę dzieci - Ytantoniam i Giovannę Convertinich.

Zia

Od czasu porodu Donata spędzała całe dni w domu Franceski, tak więc kiedy bliźnięta zaczęły mówić, od razu nazywały ją *zia*. W rzeczywistości małeństwa dorastały z dwiema matkami, które w tajemnicy przed całym miasteczkiem dzieliły się ich wychowaniem. W porze karmienia Donata zazwyczaj przystawiała do piersi Vitantonina, swojego syna, z kolei Francesca przeważnie wybierała Giovannę. Jednak od czasu do czasu się zamieniały i w ten sposób dzieci przywykły do obu matek: *mammy* i *zii*.

Dom Franceski oferował pewne udogodnienia - mieszkały w centrum miasteczka, korzystając jednocześnie z uroków i zalet życia na świeżym powietrzu. Tront budynku wychodził na Via Cavour, na jego tyłach zaś, od strony placu i fasady kościoła Świętej Anny, patronki Bellorotondo, znajdowało się niewielkie patio. Mieszkańcy nazywali Dom Wdów także domem przy Piazza Santa Anna. Z okien na piętrze wychodzących na plac roztaczał się niesamowity widok na gaje oliwne i *trulli* w dolinie [tria, ciągnące się od wzgórz Alberobello po leżące na wzniesieniu Cisternino. Dom wyróżniał się z daleka w środku majestatycznego Bellorotondo. Miasteczko opasywało wzgórze, które niczym wieża strażnicza zdawało się bronić najżyźniejszej doliny południowych Włoch, sprawiedliwie podzielonej między ubogich chłopów. Gdyby dom przy Piazza Santa Anna był nieco wyższy, docierałyby do niego wiatry z czterech stron świata, a od południa dałoby się z niego dostrzec domy i pałacyki w Martina Franca, uczepione swojego wzgórzka, pierwszego poza granicami doliny.

Położenie Domu Wdów nie mogło być lepsze, jednak kuzynki nie czuły się w pełni szczęśliwe. Tęskniły za swoim dzieciństwem, kiedy to pasły stada kóz na obrzeżach Matery. Aby złagodzić tę nostalgię, postanowiły zapełnić patio zwierzętami; kury, króliki i gołębie stały się wkrótce ulubionymi towarzyszami zabaw Giovanny i Vitantonina.

Bliźnięta dorastały pod dyskretną pieczę babci, Angeli Giustinian, weneckiej, która przeniosła się w dzieciństwie do Apulii, gdy oddelegowano tu jej ojca, notariusza. Poprzez małżeństwo została matriarchinią rodu Convertinich i nigdy nie zapomniała o tym, że bliźnięta są dziećmi jej pierworodnego syna i płynie w nich jej krew. Tragiczna śmierć Antonia na wojnie nie powinna przeszkodzić w tym, by dorastały jako pełnoprawni Convertini. Rodzina wzbogaciła się na handlu drewnem i szybko stała się jedną z najzamożniejszych w regionie. Odkąd Antonio Convertini senior postanowił sprowadzać jodłę z Austrii i handlować dużymi partiami kasztanowca z lasów w Toskanii i Gargano, stary tartak zaczął prosperować. Przedwczesna śmierć jej męża była dla rodziny niespodziewanym ciosem. Kiedy jednak wydawało się już, że interes upadnie, wdowa zaskoczyła wszystkich, stając na czele przedsiębiorstwa, które pod jej rządami zaczęło przynosić jeszcze większe zyski, zwłaszcza gdy postanowiła, że będą sprowadzać także rosyjską jodłę z nad Wołgi, znacznie bardziej wytrzymałą od austriackiej.

Angela szybko pokazała swój wyjątkowy charakter, a jej wizja rozwoju firmy do tego stopnia przewyższała wizję mężczyzn, z którymi konkurowała, że w miasteczku zaczęto nazywać ją *Signora* Angelą,

Kłątwa rodziny Palmisano

a wkrótce po prostu *Signora*. Nikt nie miał wątpliwości, że Angela Convertini jest Panią Bellorotondo.

Dwudziestego szóstego lipca 1923 roku bliźnięta skończyły cztery lata. W Bellorotondo hucznie obchodzono dzień świętej Anny. W połowie przyjęcia urodzinowego Trancesca źle się poczuła. Od tego momentu musiała coraz częściej chodzić do lekarza, aż wreszcie zdjęcia rentgenowskie potwierdziły najgorszą diagnozę - gruźlicę. Donata wyprowadziła się oszczędnie z domu Palmisanów na obrzeżach miasteczka, gdzie od czasu do czasu pomieszkiwała ze swoją szwagierką Concettą, i przeniosiła się na stałe na Piazza Santa Anna, żeby duszą i ciałem oddać się opiece nad dziećmi i chorą. *Signora* Angela podjęła desperacką próbę wysłania Franceski do sanatorium, jednak ta stanowczo odmówiła; twierdziła, że nigdzie nie zazna większego spokoju niż we własnym domu i że nikt nie zajmie się nią lepiej niż kuzynka. Każda wymówka była dobra, byle tylko za nic w świecie nie dać się rozdzielić z dziećmi.

Od tamtej jesieni aż do następnej wiosny Francesca spędzała długie okresy w łóżku, przeplatane z rzadka chwilową poprawą. Donata nie odstępowała jej na krok. Wspominały rozmaite wydarzenia z Matery i snuły plany na przyszłość, kiedy to Francesca wyzdrowieje, chociaż obie wiedziały, że już jej się nie polepszy i tragiczne zakończenie jest tylko kwestią czasu. Mimo wszystko Donata nie pozwalała kuzynce się poddać; co tydzień zabijała królika albo kurczaka i zmuszała ją do jedzenia pokarmów dostarczających energii, którą kradła choroba. Wieczorami przyrządzała dla niej rosół z gołębi i nie odchodziła od łóżka, dopóki Francesca wszystkiego nie wypija. Wraz z nadejściem lata nastąpiła chwilowa poprawa, jedna z tych niespodziewanych, tak że w dniu świętej Anny mogli wystawić na patio fotel na biegunach, by razem uczcić piątą urodziny bliźnięt i obejrzeć sztuczne ognie na cześć patronki.

Ale była to złudna poprawa. We wrześniu Francesca ponownie podu padła na zdrowiu i już nie wstała z łóżka. Jej stan tak szybko się pogarszał, że doktor Ricciardi przygotował jej na rychły koniec. Schudła do tego stopnia, że trudno ją było rozpoznać. Gdy kasłała, plamiła chusteczki krwią, a kiedy oddychała, gwizd niósł się po całym domu, zwiastując bliskość śmierci.

Wbrew prognozom lekarza Francesce nieco się polepszyło i przeżyła jeszcze październik i listopad. Pewnego grudniowego wieczoru, w przeddzień uroczystości Niepokalanego Poczęcia, sama zdała sobie sprawę, że zbliża się koniec; kazała wezwać notariusza Finiego i podyktowała mu testament. Następnego dnia z samego rana posłała po księdza, ojca Felicego, brata Angeli Convertini, który udzielił jej ostatniego namaszczenia. Po południu kazała wezwać *Signorę* Angelę i zamknęła się z nią w pokoju. Dwie godziny później wpuściły ojca Felicego, a chwilę potem do zebranych dołączyli burmistrz z notariuszem.

Opuścili dom po dziesiętnastej. Kiedy wszyscy wyszli, Donata zajrzała do pokoju chorej i zobaczyła, że Trancesca ledwo oddycha. Wyglądała, jakby spała, jednak na jej twarzy malował się tajemniczy uśmiech. Zaalar-

Klątwa rodziny Palmisano

mowana hałasem, otworzyła oczy. Wzięła kuzynkę za rękę i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze. A teraz przyprowadź do mnie Giovannę i Vitantonia, chcę się z nimi pożegnać.

Nigdy nie faworyzowała żadnego z bliźniąt; przytuliła je, jakby oboje byli jej dziećmi. Przez chwilę trzymała je przy sobie - przed śmiercią chciała przesiąknąć ich zapachem, zachować go na wieczność. W końcu Donata zabrała je z pokoju i położyła do łóżek. Kiedy wróciła, Francesca znów miała ten tajemniczy wyraz twarzy. Leżała z zamkniętymi oczami. Otworzyła je, usłyszawszy, że kuzynka weszła do pokoju.

- Już śpią? - zapytała słabym głosem.

- Pomodliły się do Anioła Stróża i padły wyczerpane. Od kilku dni nie chcą spać, czuwają do chwili, aż oczy same im się zamkną. Nie wiedzą, co się dzieje, ale czują, że coś jest nie tak.

Donata przytuliła się do płaczącej kuzynki, ucałowała jej powieki i policzki. Ich łzy się wymieszały. Francesca próbowała ją odsunąć, żeby spojrzeć jej w oczy, jednak zawiodły ją siły. Resztką energii przybliżyła usta do ucha Donaty i szepnęła:

- Ja dotrzymałam obietnicy dotyczącej Vitantonia. Teraz ty musisz mi przysiąc, że zawsze będziesz traktowała Giovannę jak własną córkę.

W momencie, w którym Donata odpowiadała „przysięgam”, Francesca bezskutecznie spróbowała po raz ostatni zaczerpnąć ustami powietrza; z jej gardła wydobył się ledwo słyszalny świst, po czym umarła.

Czterech ewangelistów

Podczas pogrzebu Franceski Donata Palmisano stała obok *Signory* Angeli. Nikogo to nie dziwiło, wszyscy bowiem traktowali ją jak członka rodziny Convertinich. Weszła do kościoła Niepokalanej, trzymając za ręce małą Giovannę i Vitantonio, i nie puściła ich do końca uroczystości. Dwie godziny później, u stóp monumentalnego panteonu rodziny Convertinich, w środkowej, najwyższej położonej części cmentarza w Bellorotondo, nadal ściskali się mocno za ręce; stali ze spuszczoneymi głowami, wystraszeni, tworząc poruszającą grupową rzeźbę. Donata i Giovanna były całe w czarni; Vitantonio miał na sobie białą koszulę podkreślającą żałobną czerń krawata i opaski na ramieniu.

Wszyscy podchodzili, żeby złożyć kondolencje Donacie, jakby była najbliższą krewną nieboszczki. Czułe głaskali po twarzy dzieci albo mierzwiłi im włosy, po czym wybuchali płaczem. Widok drobnych, bezbronnych bliźniąt budził w szorstkich, zahartowanych mieszkańcach Apulii współczucie, na jakie nie pozwoliliby sobie w innych okolicznościach.

Po pogrzebie Donata podeszła do braci Convertinich i po kolei ucałowała każdego z nich. Najpierw Angela, który po śmierci Antonia przejął zarządzanie tartakiem i został głową rodziny. Następnie Marca, Mattea, Lucę i Giovanniego, nazywanych w miasteczku „czterema ewangelistami”; wszyscy czterej studiowali w Bari, tam się ożenili i osiedlili na stałe. Marco został prawnikiem, Matteo pracował u teścia, producenta obuwia, Luca robił karierę w Banca Popolare, a Giovanni był inżynierem, ale właśnie założył ze szwagrem Firmę chemiczną w Otranto i zamierzał się tam przeprowadzić. Ucałowała także młodszą siostrę Franceski, Margherite, która wyszła za syna notariusza z Wenecji i wyjechała na północ, przebywając tę samą drogę co wcześniej jej matka, tyle że w odwrotnym kierunku. Na koniec podeszła do *Signory* Angeli. Obie uważnie patrzyły na siebie przez chwilę, która dla Donaty trwała całą wieczność. Wreszcie Angela Convertini położyła dłonie na ramionach młodej kobiety, przyciągnęła ją do siebie i dwukrotnie pocałowała w policzki.

Nie wypuszczając z dłoni rączek dzieci, Donata odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia z cmentarza. Niepewnym krokiem szli powoli pośród mieszkańców Bellorotondo, którzy rozstępowali się, by zrobić im przejście. Wszyscy rozprawiali o tragedii i wyglądali na szczerze smutnych. Gdy Donata i bliźnięta dotarły do bramy i ruszyły długą, wysadzaną cyprysami aleją prowadzącą do miasteczka, wszystkim obecnym wydało się całkiem naturalne, że to wdowa po Vicie Oronzie Palmisanie, uboga wieśniaczka z Matery, zajmie się dziećmi Franceski, wdowy po najstarszym synu Convertinich. Nikt nie wydawał się zaskoczony, że ani stryjowie, ani ciotka, ani babka Angela, która była prawdziwym kamieniem węgielnym rodziny, nie mają nic przeciwko temu.

Jak matka matkę

Dzień po pogrzebie, kiedy Donata szorowała na kolanach podłogę w sieni, Giovanna i Vitantonio wbiegli z Via Cavour, krzycząc:

- *Zia*, jakiś pan o ciebie pyta. Jest bardzo elegancki.

Zanim zdążyła wstać, zobaczyła notariusza Finiego. Nie wiedząc dlaczego, poczuła niepokój.

- Coś się stało? - zapytała, nie podnosząc się z kolan.

- Dzień dobry, pani Palmisano. Chciałbym zaprosić panią do mojej kancelarii, żeby omówić ostatnią wolę biednej Franceski, dotyczącą zarówno pani, jak i dzieci. Mogłaby pani zajrzeć do mnie jutro rano?

- Tak, oczywiście... Ale jaki jest problem z dziećmi? Sam pan widzi, że mają się dobrze.

W południe nie była w stanie niczego przełknąć. Później zapomniała podać dzieciom podwieczorek. Widząc, że płacze, bliźnięta rzuciły się jej w ramiona, głaskały ją i całowały, dopóki nie osuszyły łez. Późnym popołudniem zabrała je do kościoła Niepokalanej.

- Wróciliśmy, żeby zobaczyć *mamma*? - zapytał Vitantonio, trochę wystraszony, kiedy weszli do świątyni.

Bardzo nie lubił kamiennych lwów pilnujących drzwi do kościoła; z daleka wydawały się nieszkodliwe, ale z bliska widać było ich ostre zęby i dzikie spojrzenie. Ich oczy przywodziły mu na myśl wszelkiego rodzaju zagrożenia.

Donata skierowała kroki ku nawie po lewej stronie kościoła i zatrzymała się przed kaplicą Matki Boskiej Bolesnej. Gdy podniosła głowę, zobaczyła drewnianą figurę; jej wzrok spoczął na srebrnej szpadzie przeszywającej serce Najświętszej Pani. Poczula ukłucie bólu, który od dnia porodu powracał za każdym razem, kiedy wchodziła do kaplicy, by pomodlić się za syna. Posadziła bliźnięta w pierwszej ławce, a sama upadła na kolana przed zbolowaną Matką Boską. Była tak zdesperowana, że pozostawało jej jedynie błagać o litość Maryję.

- Jak matka matkę - wyrwało jej się szeptem.

Kiedy już pomodliła się do Matki Boskiej Bolesnej, przeszli do kaplicy Najświętszego Sakramentu, większej i lepiej nadającej się do nocnego czuwania. Donata usiadła na ławce, którą przesunęła za konfesjonał, a dzieci położyły się po obu stronach, opierając główki na jej kolanach, twarzą do dużej kamiennej szopki zdobiącej lewą część kaplicy. Poglaskała je po włosach; poczuła ulgę, gdy stwierdziła, że uspokoiły się, pochłonięte oglądaniem figur ze stajenki, zwłaszcza owiec niemal naturalnych rozmiarów, które pasły się pod okiem pasterzy, a także wołu i muła ogrzewających swoimi oddechami Dzieciątka Jezus.

Patrzyła, jak maluchy zasypiają, a kiedy wreszcie sama zamknęła oczy, miała koszmarne sny - lwy sprzed drzwi kościoła ścigały owieczki z szopki, miały ostre pazury i dzikie, wychodzące z orbit oczy. W którymś momencie sny przybrały twarze Angela Convertiniego i jego braci; owieczkami zaś byli Vitantonio i Giovanna - biegli wystraszeni i zarzucali rączki na szyję *zii*, szukając u niej ratunku. Tamtej mroźnej grudniowej

Kłątwa rodziny Palmisano

nocy Donata obudziła się zlana potem; przysięgła sobie, że już nie zaśnie, że strachu, że kiedy się obudzi, odkryje, że zabrano jej dzieci.

Następnego ranka zjawiła się w kancelarii, trzymając bliźnięta za ręce, gotowa udowodnić, że z nikim nic będzie im lepiej niż z nią. Po wejściu do gabinetu notariusza ogarnął ją strach - w fotelach po obu stronach biurka siedzieli Angela Convertini i jej syn Angelo. Pani Bellorotondo była w głębokiej czerni, surowej tylko na pozór, jako że jej szyję zdobił łańcuch z krzyżem z litego złota, jaki zwykle nosił biskup. Angelo miał na sobie ciemny garnitur z szewiotu, a z kieszonki w kamizelce zwiisał mu złoty łańcuszek zegarka, który niegdyś należał do jego ojca, założyciela dynastii. Odkąd Antonio zginął na wojnie, Angelo rościł sobie prawo do ostentacyjnego podkreślania swojej pozycji jako najstarszego syna i nie przepuszczał żadnej okazji, by odgrywać rolę dziedzica Convertinich. W końcu jednak zawsze ustępował wobec przytłaczającej osobowości matki, która nie robiąc tyle hałasu co on, wymuszała uznanie jej za niekwestionowaną głowę rodziny.

Obecni byli także czterej ewangelicści - Marco siedział sam na krześle, a Matteo, Luca i Giovanni zajmowali kanapę. Ojciec Felice, brat Angeli, krążył po pokoju z brewiarzem w dłoni, jakby czuł się skrępowany całą sytuacją. Wezwano także *signore* Maurizia, burmistrza, który z obojętną miną siedział w fotelu w głębi gabinetu. Obecność urzędnika jeszcze bardziej zaniepokoiła Donatę.

- Proszę spocząć na krześle obok Marca - powiedział notariusz. - Moja matka zabierze dzieci do kuchni i znajdzie im jakieś zajęcie.

Nie chciała puszczać ich dłoni, bo wszystko to wydało jej się podejrzanym. Gdy matka notariusza zabrała Vitantonia i Giovannę, pod Donatą ugięły się nogi i musiała się przytrzymać poręczy krzesła.

- Nie traćmy czasu - powiedział, by skupić na sobie uwagę obecnych, kiedy już usiadł za biurkiem.

Czterej ewangelicści wstali. Donata widziała, jak identycznym gestem obiema dłońmi skręcając koniuszki wąsów, gotowi karnie wysłuchać objaśnień notariusza Finicgo. Chociaż widok był komiczny, nie miała siły się śmiać, nie zareagowała także, kiedy ojciec Felice, który wreszcie usiadł, zaczął chrapać w kącie pokoju. Z trudem oddychała, zmówiła zdrowaśkę, by odegnąć najgorsze domysły. Nigdy nie czuła się tak pobożna jak w ciągu ostatnich godzin.

- Może się to wydać nieco dziwne - zaczął notariusz - ale wszyscy tu obecni jesteśmy zgodni co do tego, że jeśli taka była wola Franceski, należy ją uszanować. Zanim spisałem te dyspozycje, dałem jej jasno do zrozumienia, że są one sprzeczne z naturą i mogą zostać źle odebrane, a mimo to nalegała. Streszczę zatem testament. Dobra, które Francesca odziedziczyła po swoim mężu Antoniu, zostaną podzielone na dwie części. Dwa duże gaje oliwne przy drodze do Martina Franca o powierzchni sześćdziesięciu i stu czterdziestu hektarów oraz przynależne do nich *masserie* zostaną z powrotem włączone do ziem Convertinich i podzielone między szóstkę rodzeństwa, zgodnie z aneksem. Mały gaj oli-

Kłątwa rodziny Palmisano

wny o powierzchni pięciu hektarów przy wjeździe do miasteczka, *trullo* oraz dom przy Piazza Santa Anna zostały zapisane Vitantonioowi i Giovannie, którzy obejmą je w posiadanie po ukończeniu dwudziestego trzeciego roku życia. Do tego czasu formalną właścicielką tych dóbr będzie Donata Palmisano.

Notariusz podniósł wzrok znad testamentu i spojrzał na nią bacznie.

- Nie będziesz miała prawa sprzedać ani pozbyć się żadnej z tych własności, ale możesz je użytkować, dopóki dzieci nie osiągną pełnoletności. - Pierwszy raz zwrócił się do niej na ty. - Dzięki tej nieformalnej umowie Vitantonio i Giovanna znajdują się od tej pory pod twoją opieką. W przyszłym tygodniu zostaniesz wezwana do sądu opiekuńczego, by złożyć przysięgę i wyrazić zgodę...

Radosny okrzyk Donaty wystraszył zgromadzonych. W tej chwili zdali sobie sprawę, że Francesca prawdopodobnie podjęła właściwą decyzję.

- ...ojciec Felice, *signore* Maurizio i *Signora* Angela byli obecni, kiedy ostatni raz odczytałem Francescie dyspozycje prawne, i podpisali je na wyraźne życzenie nieboszczki. Wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że umowa jest sprawiedliwa. Za taką uważają ją także Angelo, Matteo, Marco, Luca i Giovanni, którzy poświadczą podpisem akceptację zapisów testamentu; *Signora* Angela podpisze jako pełnomocniczka w imieniu swojej córki Margherity. Gaje oliwne w Martina Franca zostaną na powrót włączone do majątku Convertinich, do którego należały, zanim dostał je biedny Antonio, który zginął na froncie nad Piawą...

Donata od jakiegoś czasu nie słuchała słów notariusza. Nie straci syna, Vitantonio, a w dodatku zyska córkę, Giovannę. Nic innego już jej nie obchodziło, me zwracała uwagi na dalsze wyjaśnienia Finiego, które ciągnęły się przez ponad godzinę. Nie słyszała szurania foteli i krzesel, kiedy wszyscy Convertini wstali z miejsc, nic dotarło do niej, jak żegnają się z notariuszem, ani nie zauważyła, że pozdrawiają ją skinięciem głowy. Do rzeczywistości przywrócił ją dopiero głos Finiego:

- Chodźmy zobaczyć, co robi ta dwójka w kuchni, ale najpierw proszę otrześć łzy.

Nadal me mogę w to uwierzyć! - powiedziała Donata i chwyciła notariusza za dłonie, żeby je ucałować.

Zadowolony prawnik pozwolił jej na ten gest, po czym dodał:

Ani ja. Ja też nie mogłem w to uwierzyć. Ale Francesca się uparła i narzuciła swoją wolę całej rodzinie. Rzecz jasna nie bez znaczenia był fakt, że zapisała im gaje oliwne i *masserie* w Martina Franca...

Niech sobie zatrzymają gaje. Jedynie, co się liczy, to dzieci. Myślałam, że chcą mi je zabrać.

- Musi pani wiedzieć, że jedyną osobą, która zamierzała o nie walczyć, była *Signora* Angela. Starła się za wszelką cenę skłonić Francescę do zmiany zdania. Przekonywała, że wnuki należą do rodziny, a nie do przyjaciółki, z którą nie łączą ich więzy krwi. Ostatniego dnia Francesca wezwała do siebie teściową i rozmawiały przez ponad dwie godziny; potem poszły po ojca Telicego, który także był zdania, że to nienormalne rozdzielać dzieci z rodziną. Kiedy w końcu wezwano mnie, biedna Francesca zużyła już resztkę energii, jaka jej została. Mimo to błagała, żebym tam na miejscu spisał jej ostatnią wolę dotyczącą dzieci i dołączył ją do testamentu, który podyktowała mi poprzedniego wieczoru. Zażądała

Kłątwa rodziny Palmisano

obecności burmistrza, chciała, żeby przed opuszczeniem pokoju wszyscy podpisali dokumenty.

Notariusz Hni przerwał. Coś go intrygowało, ale nie wiedział, jak o to zapytać. Nabrał powietrza i ciągnął swoją relację:

- Nie wiem, co powiedziała jej Francesca, ale *Signora* Angela w końcu sama przekonała burmistrza i księdza, żeby podpisali dokument jako świadkowie. Uznała, że to warunek konieczny, aby nikt z rodziny ani z mieszkańców miasteczka nie mógł nigdy zakwestionować legalności testamentu, zwłaszcza zapisu dotyczącego opieki nad Giovanną i Vitantoniem. Wszystko to wydarzyło się w wieczór przed śmiercią biednej Franceski... Może nigdy się nie dowiemy, co zostało powiedziane w tym pokoju, zanim zjawiliśmy się tam z burmistrzem!

Donata się tego domyśliła. Na wspomnienie przyjaciółki szeroko się uśmiechnęła. Notariusz spojrzął na nią spod oka.

- A może któregoś dnia zdołam zrozumieć, co tam zostało powiedziane - rzekł z nadzieją, jakby tylko myślał na głos i nie zwracał się do nikogo konkretnego.

Donata wzruszyła ramionami.

- A właśnie! - przypomniał sobie nagle. - Zanim *Signora* Angela ustąpiła, kazała włączyć do testamentu dwie klauzule. Musisz ich skrupulatnie przestrzegać. - Teraz znów zwracał się do niej na ty. - Każdej niedzieli masz przyprowadzać bliźnięta na obiad do *palazzo* Conventinich, a gdy przyjdzie pora, by pomyśleć o ich edukacji, to ona, jako babcia dzieci, podejmie decyzję. Będziesz musiała się pogodzić z jej wyborem.

Nie odpowiedziała. Cóż miała odrzec, skoro kiedy sama była mała, nie nauczyła się nawet czytać ani pisać, i robiła to dopiero teraz, jako dorosła osoba? Gdy mieszkała jeszcze w Matrcz i została narzeczoną Palmisano z Bellorotondo, nie marzyła nawet, że kiedyś ich dzieci pójdą do szkoły; w jej stronach dzieci miało się po to, by pracowały.

W kuchni Vitantonio i Giovanna ze śmiechem zajadali się ciasteczkami. Donata uznała, że klauzule *Signory* Angeli to niewielka cena za to, że będzie mogła zachować skarb, który powierzyła jej Francesca.

Pokarm zmarłych

Pierwszy rok minął bardzo szybko. W miarę jak zbliżała się rocznica śmierci Franceski, Donata coraz bardziej za nią tęskniła. W przeddzień Zaduszek zapadła świeca we wszystkich oknach domu, a po kolacji zostawiła nakryty stół na wypadek, gdyby zmarli bliscy zgodnie z tradycją postanowili ich odwiedzić.

- Nie mówcie nic *norinie* - ostrzegła dzieci, które jej pomagały. - Ona się na tym nie zna.

Począwszy od tego roku, we Wszystkich Świętych zawsze zamykali się w kuchni i szykowali na przypadające następnego dnia Zaduszki wielką misę ciasteczek zwanych *grano dei mord*, z gotowanej pszenicy połączonej z owocem granatu, orzechami włoskimi, cukrem i cynamonem. Na koniec stawiali w oknach zapalone świece. Całe miasteczko przyklasnęło temu pomysłowi - oświetlona tylna ściana domu nadawała Piazza Santa Anna bardzo teatralny wygląd. Jednak stół zastawiony dla zmarłych pozostał ich tajemnicą, chcieli uniknąć potępienia ze strony *nonny*, która co prawda świętowała z entuzjazmem religijne uroczystości, ale nieufnie podchodziła do tradycji inspirowanych wiarą ludową, uważała je bowiem za pogańskie i przesądne. Donata również w nie nie wierzyła, praktykowała te rytuały nie z powodu przekonań religijnych, ale z potrzeby zachowania łączności z przodkami.

Z pierwszego piętra domu ponad placem i kościołem Świętej Anny rozciągał się wyjątkowy widok na cyprysową aleję prowadzącą na cmentarz w Bellorotondo. Wychylając się przez kuchenne okno, Donata zawsze myślała o Francesce, ale nie czuła się jeszcze na siłach, by odwiedzić grób kuzynki. Woląла pamiętać ją żywą, uśmiechającą się z figlarnie wysuniętym językiem albo parszającą zaraźliwym śmiechem.

W końcu się zdecydowała. W Zaduszki roku 1925, kiedy zbliżała się rocznica śmierci Franceski, pierwszy raz od pogrzebu odwiedzili grobowiec Convertinich. Wyszli wcześniej rano, gdy dopiero świtało. Po drodze na cmentarz dzieci bawiły się, licząc cyprysy przy alei. Po prawej stronie naliczyły ich sto trzydzieści sześć, po lewej zaś tylko sto trzydzieści dwa. Cztery uschły, ścięto je tuż przy ziemi i nikt nie pomyślał o zastąpieniu ich nowymi drzewami.

Najpierw skierowali kroki do panteonu Convertinich, by pomodlić się przy grobach Tranceski i Antonia. Potem powtórzyli modlitwy po drugiej stronie ogrodzonego terenu, przy skromnej tablicy nagrobkowej Vita Oronza Palmisana. W taki oto sposób doroczna wizyta na cmentarzu w Bellorotondo w Zaduszki została uroczystość wpisana do kalendarza rodzinnych tradycji.

Od tamtego roku odwiedzali w pierwszej kolejności grób Franceski, gdzie bliźnięta razem składały bukiet białych chryzantem. Potem obracały się lekko w prawo i powtarzały modlitwy przed płytą nagrobkową Antonia, ojca, którego nie poznały, bo zginął na wojnie, zanim się urodziły. Donata starała się, by to Giovanna zawsze kładła bukiet czerwonych chryzantem na grobie swojego ojca. Później, na drugim końcu cmentarza, odmawiali te same modlitwy przed niszą, w której spoczywała trumna ze

W palazzo

Po powrocie z cmentarza jedli obiad z *normą* Angelą w *palazzo* Convertinich, wielkim domu zajmującym całą południową stronę placu, obok punktu widokowego zawieszono nad doliną Itria. Babcia uważała Zaduszki za jedną z najważniejszych dat w kalendarzu i choć nie stawiała talerzy dla zmarłych, kazała nakrywać do stołu, jakby chodziło o wielką uroczystość, aby żywi uczcili, jak Bóg przykazał, nieżyjących członków rodziny. Na tych szczególnych obiadach spotykali się wszyscy Convertim, łącznie z rodzinami stryjów Marca, Mattea, Luki i Giovanniego, które zjeżdżały z Ban i z Otranto. Marghenta przyjeżdżała z Wenecji tylko na Boże Narodzenie i latem, kiedy wszyscy wypoczywali nad morzem.

Giovanna zawsze była w swoim żywiole w *palazzo*, pośród dywanów, foteli z uszami i aksamitnych kotar. Od wczesnego dzieciństwa czepiała się spódnicy *nonny*, a ta ku ogólnemu zdziwieniu pozwalała jej zasiadać do stołu razem z dorosłymi. Przyglądała się jej kątem oka, korygowała złe zachowania i uczyła dobrych manier, którymi dziewczynka winna się wykazywać wśród ludzi, jak przystało na najstarszą wnuczkę Convertinich. Mała Giovanna nie zawsze jednak była jej posuszna; w naturalny sposób akceptowała obowiązujące w rodzinie zasady, ale już wtedy często udowadniała, że ma meujarzmioną osobowość.

Vitantonio z kolei czuł, że dusi się na rodzinnych spotkaniach. Był zdyscyplinowany, obowiązkowy, prostolinijny i spontaniczny. Wydawało mu się jednak, że w *palazzo* babki wszystko jest zbyt wymuskane, a dyscyplina bardziej niż przesadna. Dzieci nie mogły tam biegać, zakazywano im zabaw, krzyków i głośnego mówienia. Gabinet *nonny*, jadalnia, salon i galeria były przeznaczone wyłącznie dla dorosłych, dzieci mogły tam wchodzić wyłącznie, kiedy zostały wezwane. Zakaz dotyczył również piętra, tarasu, strychu i płaskiego dachu. Zanim weszły do jadalni, musiały pokazać czyste dłonie, a przy stole zachowywać milczenie i - co najważniejsze - siedzieć z wyprostowanymi plecami. Gdy jadły, dłoń powinna wędrować do ust, bo zbliżanie twarzy do talerza uważano za przejaw złego wychowania. W jadalni i w salonie mogły się odezwać tylko wtedy, kiedy dorośli udzieliли im głosu, nie wolno było się sprzeciwiać ani wygłaszać zbyt stanowczych opinii. *Nonna* w przesadny sposób czuwała nad tym, by używały podstawowych zwrotów grzecznościowych (proszę, dziękuję i nic ma za co), których w żadnym wypadku nie wolno im było pominąć, a kiedy wołała je do siebie, musiały zawsze odpowiadać: „Słucham, nonno”. Jeśli o tym zapomniały, udawała, że ich nie słyszy, i ponownie je przywoływała, aż w końcu użyły poprawnej formuły.

Vitantonio był szczęśliwy tylko wtedy, gdy *nonna* wpuszczała go do swojego gabinetu i pozwalała mu przeglądać kalendarze austriackich firm dostarczających Convertinim drewno. Uwielbiał zdjęcia ośnieżonych krajobrazów: jodłowych lasów, które wyglądały, jakby były zrobione z waty, zamarzniętych rzek, drewnianych domków o dachówkach jakby posypanych mąką i łąk pokrytych ponadpółtorametrową warstwą śniegu zachęcającego, by się w nim wytarzać. Otwierał usta ze zdziwienia na widok kolejki elektrycznej, którą - zgodnie z rodzinną legendą *nonna*

Kłątwa rodziny Palmisano

sprowadziła ze Szwajcarii, kiedy urodzili się on i Giovanna. Pociąg stał zawsze rozłożony w bawialni, gotów do podróży między alpejskimi szczytami, jodłowymi lasami, mostami i zasypnymi śniegiem stacyjkami. Dzieciom pozwalano tylko przyglądać mu się z daleka, jedynie dorośli mogli go uruchamiać.

Gdy dopisywała pogoda, Vitantonio spędzał cały dzień w ogrodzie ze swoim kuzynem Frankiem, starszym synem Angela. Chłopcy byli w tym samym wieku. Spotykali się zawsze na obiadach w *palazzo*. Ogród miał mnóstwo zakamarków, w których można było się schować. Wymykali się kuchennymi drzwiami wychodzącymi na dwie wspaniałe lipy o liściach w kolorze bladej zieleni. Wysadzaną bukszpanami ścieżką dochodziło się do furtki dla służby prowadzącej wprost na plac. Kiedy dzieci chciały się urwać i pobawić w punkcie widokowym z dala od surowego nadzoru dorosłych, korzystały z bocznych drzwi używanych przez służące i drobnych sprzedawców dostarczających do domu zakupy. Nieco dalej wzdłuż muru tej samej północnej fasady ustawiono misy na kwiaty z pokrytej emalią ceramiki, w których rosły wielkolistne alokasje, akanty, paprocie, asparagusy i hortensje, jedyne kolorowe akcenty w tej najbardziej wilgotnej części ogrodu. Idąc jeszcze dalej, wzdłuż tylnej ściany domu, również wychodzącej na ogród, dokładnie pod kuchennym oknem wpadało się wprost na fontannę, także z emaliowanej ceramiki, którą uruchamiano, pompując wodę żelazną rączką. Obok była mała sadzawka z czerwonymi rybkami i różowymi nenufarami.

W regionie, w którym woda była rzadkim, niemal nieistniejącym dobrem, fontannę i sadzawkę uważano za weneckie kaprysy *nonny*. Poleciała je zbudować nad jednym z dwóch zbiorników wykopanych obok *palazzo*, który gromadził wodę spływającą z placu. Angela Convertini skorzystała z prawa przyznanego niegdyś dawnym właścicielom, które odgrzebała wyłącznie po to, by móc podlewać ogród. Kiedy tylko widziała, że nadciągają czarne chmury, kazała służącym zamiatać plac, by mieć pewność, że nic nie zatamuje strumieni wody deszczowej spływającej rurami do jej zbiornika.

Na tylnej ścianie *palazzo*, wychodzącej na dolinę, znajdował się wsparty na kolumnach taras, na który można było wejść tylko z pokoju pani domu. Kolumny oplatały glicynie o fioletowych kiściach kwiatów, które spiralnie pięły się aż po balustradę i sięgały winorośli, dającej we wrześniu bardzo słodkie winogrona muskatowe. Pod tarasem *norma* trzymała donice z azaliami o żywych kolorach: białe, różowe, bordowe i czerwone. Całe miasteczko mówiło o kwiatach *Signory*, bo nikt inny nie porywał się na ich hodowanie w regionie o tak małych zasobach wody i tak wysokich temperaturach. Angela zawzięła się, że stworzy w swoim ogrodzie mikroklimat, i odniosła sukces: podlewała kwiaty trzy razy na tydzień i zatrzymywała wilgoć w ziemi, rozrzucając sosnową korę, którą przywożono jej z tartaku. Ponadto wkładała do doniczek kawałki zardzewiałego żelaza, co uzupełniało niedobory potrzebnych roślinom minerałów. *Nonna* była dumna z rezultatów, zwłaszcza z „królowej Bel-lorotondo”, azalii o intensywnie czerwonym kolorze, tak rozrośniętej, że nie byłoby jej w stanie objąć trzech ludzi. W kwietniu, kiedy kwitła, wprost zapierała dech tym, którzy ją podziwiali. *Nonna* wiedziała o tym, dlatego na kilka dni otwierała furtkę do ogrodu dla całego miasteczka.

Klątwa rodziny Palmisano

Zachęcała kobiety, by spacerowały między klombami intensywnie pachnących kwiatów, rywalizujących z roztaczającymi bardzo mocną woń glincyniami na pergoli.

Po stronie południowej, na wprost balkonu w salonie, rozpościerał się ogród przypominający labirynt, złożony z kwietników oddzielonych od siebie bukszpanowymi żywopłotami. Drzewa stykały się koronami: dwa cedry, wawrzyn, palma, dwie lipy, bananowiec, trzy drzewa pomarańczowe i olbrzymia czereśnia. Granicę między ogrodem i warzywnikiem wyznaczały szopa na narzędzia, pralnia, suszarnia bielizny, główny zbiornik na wodę deszczową spływającą z dachu domu oraz dwa migdałowce, które kwitły w połowie stycznia, zwiastując nadejście wiosny.

Kamienny mur pobielony wapnem chronił ogród przed niedyskretnymi spojrzeciami sąsiadów. Porastały go krzewy różane, których gałęzie zwieszały się aż na ulicę. W ciepłe letnie dni spacerujący przed *palazzo* spoglądali w górę, zazdroszcząc jego mieszkańcom tej bujnej zieleni. O sekretnym rajku Convertinich krążyły rozmaite legendy.

Miesiąc kwiatów

Kiedy nadchodził miesiąc kwiatów, *norma* zmieniała się nie do poznania. Godzinami pracowała w ogrodzie, sadząc geranium albo aksamitki i cynie, które pod koniec zimy wysiewała w glinianych naczyniach i starych puszkach gromadzonych w niewielkiej szopie za pralnią. W ciągu tych kilku tygodni miała dobry humor, nie dbała o sztywne przestrzeganie norm, zwłaszcza w ogrodzie, pozwalając sobie na oznaki czułości, które w innej porze roku uznalaby za nieobyczajne. Dzieci, świadome, że są traktowane inaczej, cieszyły się z nadejścia maja jako rozkosznej zapowiedzi zbliżającego się lata.

Na początku miesiąca *nonna* zarządzała zrywanie białych kwiatów, które przeznaczala do ozdabiania figurek Matki Boskiej w miasteczku; obdarowywała buketami wszystkie kościoły, szkoły swoich wnuków, przytułek, siostrzyczki z klasztoru Maryi Nieustającej Pomocy, przyjaciółki i sąsiadki, umieszczała je także we wszystkich reprezentacyjnych pomieszczeniach *palazzo*. Czasami wysyłała je nawet franciszkanom z Martina Tranca i do Massafry, dla zakonnice ze Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia Niepokalanego Poczęcia z Ivrei.

Pierwszego maja, wczesnym popołudniem, schodziła do ogrodu i niczym generał wydawała rozkazy armii złożonej z kucharki, dwóch służących i kilku robotników z tartaku, którzy stawiali się po obiedzie uzbrojeni w drabiny i różnych rozmiarów nożyce. Zanim zabrali się do pracy, napełniali wodą wszystkie znalezione w domu wiadra oraz miski i ustawiali je w rzędzie między kolumnami, by kwiaty zachowały świeżość do czasu, aż zrobi się z nich bukiety. Rozpierzchali się po ogrodzie i z żołnierską dokładnością wykonywali rozkazy *Signory*, która wskazywała im jeden po drugim kwiaty skazane na ścięcie.

Nonna osobiście zrywała irysy przeznaczone do kaplicy w *palazzo* i konwalie do kaplicy Najświętszego Sakramentu w kościele Niepokalanej. Robotnicy tartaczni, dłońmi stwardniałymi od kontaktu z pniami drzew, ścinali najładniejsze białe róże z krzewów pokrywających mury, zarezerwowane dla kościołów Świętej Anny i Madonny della Greca. Służące tymczasem cięły peonie, margaretki i gladiole dla innych parafii miasteczka, a kiedy wszyscy skończyli, przystępowali do wiązania buketów jaśminu, kaliny, tawuły kantońskiej, bzu i pierwszej w sezonie gipsówki, przeznaczonej dla szkół i żeńskich klasztorów. Gdy mała armia *nanny* wychodziła, by poroznosić kwiaty po całym miasteczku, ona zabierała się za ścinanie pierwszych lilii świętego Józefa, mocno pachnących i tak oblepionych pyłkiem, że brudziły wszystko, czego dotknęły. Stawiała je w wielkim wazonie z cienkiego zielonego kryształu u stóp figurki Matki Boskiej w holu; przez ponad tydzień intensywny zapach lilii przypominał gościom, że nastał miesiąc kwiatów i że niekwestionowaną królową tego świata jest *Signora* Angela Convertini.

Kłątwa rodziny Palmisano

W maju 1927 roku krzątanina wokół białych kwiatów przybrała szczególny charakter, bo za sprawą kwietniowych deszczy rośliny w ogrodzie wybujały, a w ostatnią niedzielę miesiąca Giovanna, Vitantonio i Franco mieli przyjąć w kościele Niepokalanej, z rąk biskupa Bari, sakrament bierzmowania. Kilka dni później czekała ich także pierwsza komunia, która, zgodnie z tradycją, nakazywała obchodzenie obu uroczystości w odstępie tygodnia po ukończeniu przez dzieci siódmego lub ósmego roku życia.

Kiedy *nonna* ogłosiła zakończenie zbiorów i wysłała swoich żołnierzy, by roznieśli kwiaty po miasteczku, dzieci, które wykręciły się od pracy, siedziały już od jakiegoś czasu na czereśni obciążonej dojrzałymi czerwonymi owocami. Wybierały do jedzenia te najciemniejsze, a podwójnie wieszały na uszach w charakterze kolczyków. Widząc, że wszyscy się rozpierzchli, zeszyły z drzewa, pozbierały niewykorzystane kwiaty i płatki, które obsypały ogród bielą, po czym rozegrały pamiętną bitwę na kwiaty. Giovanna zrobiła sobie diadem z jaśminu, a na uszach miała kolczyki z czerwonych czereśni. Vitantonio zaczął rzucać w nią garściami płatków róż i peonii. Ona chciała się zemścić, rozpoczęli więc dziwaczny taniec za gęstą kurtyną z białych kwiatów przypominających śnieg. Po chwili padli na ziemię, na kwietny dywan, i leżąc na plecach, z trudem łapali oddech.

W końcu wstali ze śmiechem. Franco, który jako ostatni zszedł z czereśni, podszedł do nich z garścią płatków w dłoniach, cisnął nimi w kuzynkę i pocałował ją w policzek. Giovanna odtrąciła go rozgniewana, ale on ponownie spróbował dać jej buziaka.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła, odpychając go coraz bardziej rozłoszczona.

Wtedy Franco rzucił się na Giovannę, unieruchomił ją i zbliżył usta do jej twarzy. Nie zauważył Vitantonio, który chwycił go mocno, szarpnął za rękę i oderwał od siostry, jednym pchnięciem powalając na ziemię. Franco uderzył nosem o ceglana kolumnę i zaczął krwawić.

Zaalarmowana krzykami *nonna* wyszła oszklonymi drzwiami na balkon i zobaczyła ślady krwi na dywanie z białych kwiatów. U stóp schodów Franco histerycznie szlochał, koszulę miał w strzępach, a na twarzy prawdziwą mapę. Nos nie przestawał krwawić...

Godzinę później, po wizycie lekarza, Vitantonio, który czekał wysłany na zewnątrz, kazano wejść do domu. W chwili gdy przekraczał próg salonu, wiedział już, że nie znajdzie zrozumienia. Czekali na niego *zia*, ojciec Felice i *nonna*, która przemówiła tonem oschłym jak nigdy wcześniej:

- W tym roku nie przystąpisz do bierzmowania ani do pierwszej komunii.

Twoje dzisiejsze zachowanie świadczy o tym, że nie jesteś jeszcze gotowy - dobił go ojciec Felice.

Vitantonio zaczął płakać, ale milczał.

Masz coś do powiedzenia o tym, co się stało? - zachęciła go *zia*.

- Nie ma tu o czym mówić - przerwała jej *nonna*. - W tym domu nie ma miejsca na takie gwałtowne reakcje.

- Znamy tylko wersję Franca. Powinniśmy wysłuchać i jego.

- Rozpuszczasz go. Jego zachowanie jest nie do przyjęcia. I nie polemizuj ze mną przy dzieciach.

Kłątwa rodziny Palmisano

- Chłopaka rozpiera energia, ale można go przejrzeć na wylot, niczego nie ukrywa. Nigdy nie kłamie, teraz też by tego nie zrobił.

Zia wstała, wzięła szlochającego Vitantonio za rękę i zawołała Giovannę, która czekała w kuchni.

- *Ggiannin!* - krzyknęła do niej, pierwszy raz od lat w języku, w jakim mówiło się w Materze.

Signora Angela zmierzyła Donatę wściekłym wzrokiem, ale nie ruszyła się z fotela. Spokój właściwy miesiącowi kwiatów trwał tym razem zaledwie dwadzieścia cztery godziny,

W dniu bierzmowania *zia* poinformowała *Signorę* Angolę, że nie weźmie udziału w uroczystym nabożeństwie w kościele Niepokalanej, i poszła z Vitantonio na poranną mszę do kościoła Świętej Anny. Poprzedniego wieczoru wyprawiła Giovannę do *palazzo*, gdzie dziewczynka miała spędzić noc, by rano *nonna*, która była jej matką chrzestną, ubrała ją w suknię księżniczki uszytą na miarę przez krawcową z Bari. Kiedy Donata wyszła z mszy, wpadła na *Signorę* Angelę, która czekała na nią wystraszona przy furtce do patio przy Piazza Santa Anna.

- Giovanna zniknęła. Rano ubrałam ją i zostawiłam przy śniadaniu w kuchni. Przebrałam Franca, a kiedy wróciłam, już jej tam nie było. Od godziny szukamy jej w całym domu. Nie wróciła do was?

Zabrzmiało to bardziej jak błaganie niż pytanie.

Weszły obie do domu, głośno wołając, ale Giovanna nie dała znaku życia.

Zia wiedziała, że dziewczynka od kilku dni gniewa się z powodu kary nałożonej na Vitantonio, i nie miała najmniejszej wątpliwości, że jej ucieczka jest formą protestu. Uznała, że Giovanna niedługo wróci, i próbowała uspokoić *nonnę*.

- Proszę iść do kościoła, nie wypada kazać czekać biskupowi. Poszukam jej, a kiedy się znajdzie, zaprowadzę ją na uroczystość. Nic mogła odejść daleko.

Gdy *nonna* zamknęła za sobą drzwi, Giovanna pojawiła się na schodach, ubrana jak księżniczka. Schowała się na piętrze.

- Jeśli Vitantonio nie pójdzie do bierzmowania, ja też nie mam zamiaru!

Rodzinne przykazania

W przeddzień świętego Jana, kiedy pakowali walizki w związku z przenosinami do domu nad morzem w Savelletn, jedna ze służących za-
pytała *Signorę* Angełę, dlaczego w tym roku nie zabierają ze sobą bliźnięt.

- Jeśli powodem jest zajście z Frankiem, musi pani wiedzieć, że chłopak sam był sobie winien. Gdy zanosłam kwiaty do kościoła, wracałam przez małą furtkę w ogrodzie i widziałam, jak napastował Giovannę.

Tego samego dnia po południu *norma* zjawiła się w domu Donaty.

- Nie zamierzam przeproszać, ale może za bardzo się pospieszyłam.

- Vitantonio tylko bronił siostry, ale pani nie była zainteresowana wysłuchaniem niespełna ośmioletniego dziecka. Dotąd się z tym nie pogodził...

- Tego u ciebie nie znoszę... - obruszyła się wielka dama z rodu Convertinich. - Uważam go za mojego wnuka na równi z Giovanną, możesz być pewna, że oboje traktuję jednakowo. Tak naprawdę jedynymi, którzy mogliby się skarżyć, są moje pozostałe wnuki, dzieci Mattea, Marca, Luki i Giovanniego, bo mieszkają daleko, nie mówiąc już o córkach Margherity, które widuję tylko latem i na Boże Narodzenie.

- Problem nie w tym, czy się kogoś widuje częściej, czy rzadziej.

Chodzi o okazywanie czułości. I o sprawiedliwość.

Okazywanie czułości to słabość. Ale możesz być pewna, że zawsze będę sprawiedliwa wobec Vitantonio. Wiem, że mam dług u ciebie i u niego. Gdyby mój najstarszy syn nie był tak nierozważny i porywczy na wojnie, dziś twój mąż by żył, a chłopiec miałby ojca. Pamiętam też, co zrobiłaś dla Franceski, kiedy była chora...

- Zawsze oceniała pani Vitantonio surowiej niż innych.

- Niczego nie rozumiesz! Czyż nie chciałaś, żeby był jednym z Convertinich? No to jest! Dlatego musi być silniejszy i bardziej zdyscyplinowany.

Za dużo mu pozwalasz, jest zbyt spontaniczny. Kara dobrze mu zrobi, nauczy się, że jeśli nie chce, by go lekceważono, musi wzbudzać szacunek. W przyszłości powinien umieć zachowywać się jak Convertini, a to wymaga pracy i dyscypliny. My, członkowie tej rodziny, wyznajemy religię, która ma własne zasady, jesteśmy członkami kościoła, który nie akceptuje uzależnienia od innych.

- Nie wydaje się pani, że tak wygórowane ambicje obrażają Boga?

- Nie opowiadaj głupstw! Gdyby Bóg chciał, żebyśmy wszyscy byli równi, takimi by nas stworzył!

- Ja jednak nadal uważam, że w tym, co pani mówi, kryje się ciężki grzech pychy.

- Czy grzechem nie jest również wyrzeczenie się dziecka? - Uniosła brwi i spojrzała Donacie w oczy. Potem się uśmiechnęła. - Jasne, że to jest grzech! Ale zrobiłaś to z miłości, więc Bóg ci wybacza, a ja pochwalam twoje postępowanie.

Signora Angela zagłębiała w głąb duszy młodej kobiety, która niespiesznie wytrzymała jej spojrzenie.

Klątwa rodziny Palmisano

- Chłopak musi się nauczyć walczyć i rozkazywać jak Convertini - ciągnęła po kilku sekundach - a ty musisz dołożyć starań, żeby tak się stało. Nie wyglądasz na córkę pasterza z Matery: masz w sobie dumę i siłę Convertinich, więcej nawet, weneckich Giustinianów. Tylko dlatego wyraziłam zgodę, żebyś zaopiekowała się dziećmi. Nie wiem, skąd bierzesz siłę, ale te maluchy mogą nauczyć się przy tobie więcej niż przy moich ofermowatych synach.

Signora Angola dalej patrzyła Donacie prosto w oczy, podziwiając ich spokój, którego tak jej zazdrościła. Podniosła dumnie głowę, jednak na jej twarzy malował się błagalny wyraz.

- Jutro wyjeżdżamy nad morze. Mam nadzieję, że kiedy wrócimy we wrześniu, cały incydent zostanie zapomniany,
- Zraniła go pani. Będzie pani musiała zdobyć jego serce - ostrzegła ją Donata. - I odzyskać szacunek Giovanni.
- O dziewczynkę się nie martwię, jest w niej duma Convertinich. Ale Vitantonio musi się jeszcze nauczyć, co znaczy należeć do rodziny, na której spoczywa tak wielka odpowiedzialność. Myślisz może, że ja nie płacę wysokiej ceny za bycie Panią Bellorotondo?

Masseria

Ostatni tydzień czerwca spędzili w Bellorotondo. Dzieci tęskniły za morzem i widmami Savelletri na wybrzeżu, podczas sennych godzin pierwszych dni lata, smaki były wyraźniejsze, kolory żywsze, zapachy mocniejsze, a wrażenia intensywniejsze. Nad morzem Vitantonio i Giovanna cieszyli się dużo większą wolnością, wszystko stawało się przygodą, leżeli na plaży oblepieni piaskiem, zwierając się sobie ze swoich sekretów, albo szukali robaków na przynętę do wędek i pozwalali, by pieściły ich uderzające o brzeg fale.

Vitantonio tęsknił za Frankiem, swoim nieodłącznym wakacyjnym towarzyszem. Nauczyli się łowić ryby do słoika, który przykrywali białą szmatką i zanurzali w wodzie na niewielkiej głębokości. Przez małe rozcięcie w szmatce do środka wpływały rybki zwabione kawałkami chleba i sera, których chłopcy używali jako przynęty. Kiedy zanurzali się w wodzie i wyciągali słoik, w który dzięki tej prostej sztuczce złapała się jakaś rybka, krzyczeli z radości i biegli powiadomić o tym całe miasteczko.

Morze było rajem. Vitantonio i Giovanna nie rozumieli, dlaczego *zia* nie pozwoliła, by jak co roku dołączyli do swoich kuzynów. Wreszcie w dniu świętego Piotra, gdy dzieci zrezygnowane zaczęły się już godzić z tym, że tegoroczne lato będzie inne niż poprzednie, wyjechali na wieś, do starej *masserii* Palmisanów. Ledwo postawili tam stopę, zapomnieli o piasku, o rybach i o przyjaciółach z Savelletri.

W domu Concetty położonym na obrzeżach miasteczka odkryli styl życia jeszcze swobodniejszy niż nad morzem i koniec końców byli wdzięczni za tę odmianę. Kąpali się w sadzawce służącej miejscowym do prania, polowali na świerszcze w warzywniku, biegali po polach, kiedy wieśniacy oczyszczali z chwastów gaje oliwne, i razem jedli kolację przy kuchennym stole. Wieczorami wszyscy zbierali się na podwórzu; siedzieli pod gołym niebem, dorośli śpiewali i snuli najrozmaitsze opowieści, a dzieci bawiły się w chowanego do momentu, aż pokonane przez sen zasypiały na kolanach *zii*.

Stara *masseria* Palmisanów znajdowała się w środku *comrady* składającej się z kilku *trulli*, cysterny, pieca oraz rozległego podwórza, które dzieliły trzy rodziny - Palmisanowie, Vicinowie i Galassowie. Concetta

1 Donata jako jedyne wdowy Palmisanów zostały w Bellorotondo po tragicznej śmierci mężów, po których odziedziczyły dom oraz trzy hektary winnic i gajów oliwnych. Odkąd Donata przeprowadziła się do miasteczka, Concetta musiała sama zajmować się ziemią, a także doglądać krów, świni i kłaczy, które dzieliły z Vicinami. Trzecia rodzina z *contrady*, Galassowie, nigdy nie była w stanie kupić żadnego zwierzęcia, nawet do spółki z sąsiadami - miała siedmioro dzieci i zaledwie hektar ziemi.

Masseria była tak naprawdę skromnym budynkiem na planie kwadratu wzniesionym wokół dawnego *trullo*. Na wieńczącym ją sztywnym kamiennym stożku Palmisanowie namalowali wapnem wielkie słońce z falistymi promieniami. Do domu przylegały dwa *trulli* służące za oborę dla zwierząt oraz schowek na narzędzia i magazyn na

Klątwa rodziny Palmisano

oliwki. Dwukrotnie rozbudowywali *masserię*, by wydzielić w części mieszkalnej dwa dodatkowe pomieszczenia, pomyślane jako sypialnie, gdyby powiększyła się któraś z gałęzi rodziny; wielka wojna i ciążąca na Palmisanach klątwa sprawiły jednak, że zmiany te okazały się niepotrzebne. Mimo nieszczęścia, które ich dotknęło, Concetta i Donata nie zamierzały się załamywać i na przekór ludziom i bogom wymalowały w środku słońca królującego nad *trullo* wielkie „P” od Palmisanów. Za przyzwoleniem Donaty Concetta przygarnęła do domu czwórkę najstarszych dzieci Galassów, jako że cała rodzina tych biednych rolników tłoczyła się w swoim *trullo* w jedynym pomieszczeniu.

Masseria Concetty pachniała jak kuchnia domu przy Piazza Santa Anna, gdy Chudzielec przywoził im owoce i warzywa. W dniu przyjazdu Vitantonio i Giovanni przy wejściu do *trullo* piętrzyły się kosze i skrzynie pełne cukinii, cebuli i ogórków, których zapachem przesiąkał cały dom. Kolorową nutę wносиły pomidory, zwłaszcza pierwsze *regina di Torre Canne*, które uprawiali w dużych ilościach, suszyli i zalewali na zimę oliwą. W wiadrze znajdowały się świeżo zerwane owoce, wczesne śliwki, niewielkie gruszki i kilka winnych brzoskwiń. Na kredensie w dużym pokoju stała okrągła taca z małymi morelami wydzielającymi słodki zapach; ich kolor przechodził z żółtego w pomarańczowy, niektóre były popękane od upału, inne upstrzone czarnymi plamkami. Kiedy weszli do kuchni, zobaczyli na podłodze jeszcze kilka skrzynek z morelami, z których Concetta robiła konfitury.

Woń owoców i warzyw towarzyszyła im przez całe lato. W miarę wakacji zbliżały się ku końcowi, dojrzewało coraz więcej roślin, które wносиły nowe aromaty i zmieniały nieznacznie zapach przesiąkający ściany domu. Pod koniec sierpnia zebrali bakłażany do zalania oliwą, powiesili do zasuszenia pęki ostrych papryczek i pozwolili, by do wszystkich pomieszczeń *masserii* wtargnęły najdojrzalsze pomidory. Dom wyglądał jak pomalowany na czerwono, przystrojony na przyjęcie - wszędzie stały miski, wiadra i miednice pełne pomidorów w kształcie żarówki. Concetta, *zia* i żona Chudzielca w trzy dni wypełniły nimi słoiki, które miały im zapewnić sosy na cały rok.

Giovanna pomagała w parzeniu pomidorów. Podczas obierania ich ze skórek co drugi zjadała, a po twarży ciekł jej sok. Vitantonio wolał śliwki i brzoskwinie, które zrywał z drzewa i od razu pożerał. Zęby uciec przed pszczołami zwabionymi przez resztki pomidorów i owoców oblepiających im twarze i nogi, dzieci wskakiwały do sadzawki, w której robiono pranie. W dniu, gdy odkryły ją pośród drzew owocowych i warzyw, ich kąpiel trwała bardzo krótko; tak naprawdę zdecydowały się wejść do wody wyłącznie dlatego, że nie chciały okazać strachu. Pierwsze wrażenie nie było najlepsze. Giovanna i Vitantonio bali się lepkich, przegniłych liści figowych unoszących się na powierzchni, chodzących po wodzie nartników, a także żyjących w sadzawce żab. Gdy tylko zamoczyli stopy, poczuli, jak grzęzną w pokrywającym dno błocie, a kiedy Salvatore, syn Chudzielca, powiedział im, że czasami do sadzawki zapuszczają się węże,

Kłątwa rodziny Palmisano

uznali, że mają dość kąpeli - oznajmili, że jest im zimno, i niezdarnie wygramolili się z wody.

Cztery dni później już się nie bali. Salvatore pomagał Giovannię pływać, podtrzymując ją ręką za brzuch. Vitantonio jak zauroczony obserwował pająki wodne albo łapał kijanki, przekonany, że kiedy zamieni się w żaby, będzie mógł je oswoić. W połowie lata sadzawka wysychała i wypełniała się ponownie dopiero pod koniec sierpnia, gdy nadciągały burze. Jednak zanim nadszedł ten przykry moment, pora kąpeli zajmowała drugie miejsce na liście najlepszych chwil dnia, które Vitantonio co wieczór wylizował *zii*. Na pierwszym figurował bezsprzecznie moment, kiedy po kolacji wychodzili na podwórze i słuchali opowieści dorosłych w oczekiwaniu na morską bryzę, która pozwoli im zasnąć.

Gdy niski poziom wody uniemożliwił kąpiele, wybrali się pierwszy raz nad staw Mangiato położony w połowie drogi między Martina Franca i Alberobello. Pojechali furą powożoną przez Salvatorego, kołysani powolnym, jednostajnym krokiem klaczy, który nie ulegał zmianie nawet wtedy, kiedy podnosiła ogon, żeby siknąć obfitym strumieniem, czym natychmiast wzbudzała u Giovanni i Vitantoma niekontrolowany atak śmiechu. Tamtego dnia dzieci biegały przez cały ranek po lesie, a przed obiadem zanurzyły się w ciemnej, mętnej wodzie stawu. Odczekały chwilę po posiłku, po czym znów wskoczyły do wody. Przyciągnęły uwagę chłopów, którzy mijali ich w drodze do Alberobello - oni też przychodzili odpocząć nad stawem, ale nigdy nie przyszłoby im do głowy, żeby się w nim wykąpać. Później, leżąc na łące z dorosłymi, do późnego popołudnia śpiewali sprośne piosenki, po czym ruszyli w drogę powrotną do *masserii*. Vitantoniowi pozwolono trzymać lejce. W ten sposób wycieczki nad staw Mangiato zajęły pierwsze miejsce na liście najlepszych momentów dnia opisywanych co wieczór *zii*.

Pod koniec lata Vitantonio i Giovanna zrywali czarne figi z drzewa rosącego przy sadzawce, ale owoce nigdy nie trafiały na stół, bo zjadali je prosto z figowca. W miarę jak dni stawały się coraz krótsze, musieli wcześniej wracać do domu. Znaleźli więc sobie nowe zajęcia - łuskali migdały i dzielili je na większe i mniejsze. Przyciskając migdały dłonią do blatu, turlali je w przód i w tył po kuchennym stole, dopóki nie odeszła skórka, i spośród wybuchów śmiechu opowiadali sobie rozmaite historie.

Ostatniego dnia września trochę popadało i figi, zwłaszcza gatunki *santa croce* i *deWahate*, popękały od nadmiaru wody. Nasiąknięte wilgocią nie miały smaku, ale dzieci i tak je zrywały, zaśmiewając się, bo czerwony miąższ, który wystawał z pęknięć, wyglądał jak otwarte usta. Gdy zapadł zmrok, wszyscy schronili się w kuchni. Concetta krzątała się przy fajerkach. Kiedy do dzieci dobiegł słodki zapach sosu pomidorowego, otworzyły szeroko oczy, próbując wypatrzeć, co też dla nich przygotowuje; od kilku dni jedli wyłącznie groszek oraz puree z bobu i cykorii. W tym momencie do kuchni weszła *zia*, która na widok pomidorów natychmiast odgadła, co planuje jej szwagierka.

- Faszzerowane bakłażany na niedzielny obiad?

Klątwa rodziny Palmisano

- Wiesz, co mówią: nie ma Bożego Narodzenia bez „palców apostołów” wypełnionych kremem, nie ma Wielkanocy bez baraniny z ryżem ani poniedziałku wielkanocnego bez *sartu*. Nie ma przyjęcia weselnego bez lukrowanych migdałów i nie ma lata bez półmiska faszerowanych bakłażanów.

- A kiedy to jadłaś te wszystkie przysmaki?

- Nigdy, ale słyszałam o nich.

- Czasami moglibyśmy też jeść *orecchiette* z potrawką z drozda albo z zająca - zauważył Salvatore, który chwilę wcześniej wszedł do kuchni z pęczkiem cebuli. - Musielibyśmy tylko po polowaniu zatrzymać zwierzynę, zamiast oddawać ją w ramach pańszczyzny dziedzicom z miasteczka.

Donata i Concetta powstrzymały wyrażające aprobatę uśmiechy i udały, że nie usłyszały słów chłopca.

Było to najlepsze lato bliźniąt. Vitantonio przez całe dni biegał samopas po polach, a przed kolacją, kiedy Salvatore wracał z pracy, rzucał wszystko i szedł się zobaczyć z przyjacielem. Syn Chudzielca nauczył go łapać świerszcze i żaby oraz robić kusze, a w niedziele chodzili ze strzelbą na polowanie. Podczas tych miesięcy spędzonych na wsi Vitantonio odkrył swoje korzenie, ale jedyną osobą, która miała tego świadomość, była Donata.

Żołnierze Chrystusa

W pierwszą niedzielę października, po powrocie do Bellorotondo, poszli na obiad do *palazzo* Nikt nie wspominał już o rozbitym nosie Franca ani o karze, która pozbawiła dzieci bierzmowania i wakacji nad morzem; sprawa została uznana za zamkniętą. *Norma* stopniowo znów narzuciła dzieciom swoje zasady, *zia* zauważyła jednak z zaskoczeniem, że kiedy nikt nie widział, skakała wokół bliźniąt, próbując zaskarbić sobie ich przychylność. Trzy miesiące później jej podejrzenia się potwierdziły.

Szóstego stycznia, w dniu Trzech Króli, *palazzo* odwiedzała wróżka Befana i zostawiła dla dzieci prezenty. Niemal zawsze były to ubrania, które *norma* kupowała w najlepszych sklepach w Bari albo sprowadzała za pośrednictwem Margherity z dużo modniejszej Wenecji. W poranek Befany 1928 roku, po przymierzeniu wełnianego swetra i butów do chodzenia po górach, Vitantonio odkrył jeszcze jedną paczkę ze swoim imieniem, owiniętą w wyjątkowo ozdobny papier, którą wróżka zostawiła na podłodze w galerii pod skarpetą zawieszoną na klamce przesuwanych drzwi. Kiedy ją otworzył, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Była w niej sterowana za pomocą systemu sznurków kolejka linowa składająca się z trzech wagoników, które wjeżdżały z alpejskiego miasteczka na sam szczyt góry. Stacja i domki wyglądały na drewniane, otaczały je jodły, a ich dachy pokrywał śnieg. Przypominały domy ze zdjęć w kalendarzach z austriackich tartaków albo te z makiety kolejki elektrycznej rozstawionej w bawialni, którą mogli uruchamiać tylko dorośli.

Po drugiej stronie galerii Giovanna przymierzała właśnie niebieskie lakierki i nie zauważyła, że Befana także dla niej przyniosła specjalny prezent. Dopiero *nonna* pokazała jej paczkę owiniętą w złoty papier, w której kryło się luksusowe wydanie *Czerwonego Kapturka*. Po otwarciu środkowych stron rozkładała się makieta przedstawiająca domek drwala i wszystkie postacie z bajki; za drzewami w lesie ukrywał się zły wilk, czyhający na Kapturka i jego babcię.

- To ja i ty - powiedziała *nonna*.

Gdy Giovanna zobaczyła dziewczynkę z długimi warkoczami i w czerwonej pelerynce, zapomniała o lakierkach i rzuciła się na szyję *nonnie*, która zrobiła się bardziej czerwona niż płaszczyk Kapturka.

Zima minęła spokojnie, a na wiosnę, kiedy ogród przy *palazzo* ponownie zakwitł i wojsko normy rozniosło po całym miasteczku bukiety białych kwiatów, Giovanna i Vitantonio znowu byli gotowi do bierzmowania.

Przystąpili do niego w drugi czwartek czerwca, na Boże Ciało, w katedrze w Bari. Żeby wynagrodzić dzieciom roczne opóźnienie, *nonna* postanowiła nadać uroczystości możliwie najbardziej podniosły charakter. Wykorzystała wpływy ojca Felicego, by jej wnuki dopuszczono do udziału w bierzmowaniu w stolicy regionu. Noc poprzedzającą wielki

Kłątwa rodziny Palmisano

dzień dzieci spędziły w *palazzo*. *Nonna* chciała spokojnie je wyszykować i osobiście sprawdzić, jak prezentują się w strojach, które po raz drugi poleciła uszyć dla nich na miarę. Kiedy Donata wyszła wczesnym rankiem z domu, nie spotkała nikogo na wyludnionych uliczkach Bellorotondo - największe ranne ptaszki były już w kościele Świętej Anny na rozpoczynającej się o ósmej mszy. Przez cały tydzień wiała tramontana, pozostawiając po sobie przejrzyste niebo, które Donata tak lubiła. Mogły to być ostatnie przyjemne dni - wkrótce ciepłe południowe wiatry podniosą temperaturę do nieznośnych poziomów.

Giovanna czekała na nią na schodach wejściowych, w białej sukience z organdy, z cieniutkim welonem na czarnych włosach, przypominających do złudzenia loki jej matki. Talię ścisła jej różowy pasek, a z dłoni w białych rękawiczkach zwiśla różaniec w identycznym różowym kolorze. Były to jedyne wyróżniające się dodatki, bo lakierki i podkolanówki także miała białe.

- *La mia principessa!* - wykrzyknęła Donata, kiedy dziewczynka zawiązała jej na szyi.

Trzymając się za ręce, weszły na piętro, gdzie *nonna* wzięła krawat Vitantonio. Ubrała go w granatową marynarkę i krótkie spodnie, dopasowane kolorem do swetra z dzianiny. Koszulę miał białą, podobnie jak rękawiczki, skarpetki, buty i wystającą z kieszonki marynarki chusteczkę. *Nonna* zrobiła chłopcu przedziałek po lewej stronie. Gdy Vitantonio odwrócił głowę, Donata o mały włos nie krzyknęła: *Santo Dio, Vito!*

Vitantonio był żywym portretem swojego ojca, tyle że w miniaturze. W marynarce i krawacie wyglądał jak Vito Oronzo Palmisano. Każdy, kto zobaczyłby go na zrobionym w pośpiechu tego ranka, kiedy wyruszył na wojnę, zdjęciu ślubnym, które Donata trzymała w ramce w salonie swojego domu, natychmiast zauważyłby podobieństwo.

Arcybiskup Bari odprawił w romańskiej katedrze Świętego Sabina długą, nudną uroczystość trwającą prawie trzy godziny. Wzdłuż bocznych kolumn i przejścia w głównej nawie stały dwa rzędy chłopców i dwa dziewczynek, w sumie ponad trzysta dzieci. Po namaszczeniu czół wszystkim bierzmowanym arcybiskup Curi miał zdrętwiałą prawą rękę i obolały kciuk. Za każdym dzieckiem stał świadek; czekał, aż duchowny nałoży krzyżmo, po czym wycierał olejek chustką, którą następnie obwiązywał czoło swojego podopiecznego, żeby przez resztę dnia pamiętał, iż został bierzmowany. *Nonna*, jako świadek Giovanny, stała przez całą uroczystość za dziewczynką. Świadkiem Vitantonio był ksiądz Felice, który także wytrzymał na stojąco po drugiej stronie nawy. Żadne z nich nie musiało słuchać napomnień arcybiskupa dla bierzmowanych i świadków - były zainspirowane katechizmem Piusa X, który oboje znali na pamięć.

- Królowie mają żołnierzy, którzy ich bronią i walczą, by powiększyć królestwo i uczynić je potężnym. Zawsze są wybierani spośród najmłodszych i najodważniejszych młodych ludzi. Pan chce mieć swoich żołnierzy. Bierzmowanie czyni z was doskonałych chrześcijan i żołnierzy Chrystusa. To prawdziwy honor służyć Królowi Nieba i Ziemi!

Wyszli od Świętego Sabina około trzynastej, głodni jak wilki, ale zanim udali się do hotelu na uroczysty obiad, zrobili sobie jeszcze grupową sesję fotograficzną na placu. Przyjęcie wydano w hotelu Oriente przy Corso

Kłątwa rodziny Palmisano

Cavour w Bari - był to kaprys Angeli Coiwertini, która nie zamierzała czekać dwóch godzin, by wrócić do Bcllorotondo i zgodnie z tradycją zjeść obiad w *palazzo*.

Podczas przyjęcia *zia* została posadzona po prawej ręce *nonny*, co ostatecznie potwierdziło, że należy do rodziny. Nie spuszczała wzroku z *Vitantonio*, spoglądała na niego ze źle ukrywaną matczyną dumą. Roztkliwiła się także na widok *Giovanny*, która z każdą godziną wyglądała dorosłej. Tęskniła za dniami, kiedy razem z *Francescą* karmiła dzieci pierśią. *Nonna* z uśmiechem obserwowała ją kątem oka. Gdyby *zia* umiała czytać w jej myślach, spotkałoby ją duże zaskoczenie - mimo odmiennych poglądów na temat dyscypliny *Signora* Convertini cieszyła się jak nigdy wcześniej, że postąpiła zgodnie z wolą synowej i pozwoliła, by to *Donata* Palmisano wychowywała rodzeństwo, z którego teraz obie czuły się takie dumne.

Podczas deseru *nonna* sięgnęła po kieliszek szampana, poprosiła biesiadników o uwagę i wzniosła toast:

- Dziś staliście się dużymi dziećmi, musimy więc zacząć myśleć o waszej przyszłości. Postanowiliśmy z *Donatą*, że w przyszłym roku wyjedziecie do szkoły z internatem w Bari. - Podniosła kieliszek i zawołała: Za moje wnuki! Za dzieci mojego umiłowanego *Antonio*, święć Panie nad jego duszą!

Przystawiła kieliszek do ust i wypita łyk szampana. Pozostali poszli w jej ślady. Oczy *Angeli* Convertini błyszczały tak jak oczy *zii*. Stryjowie przywołali bliźnięta, żeby wręczyć im prezenty: medaliki, katechizmy w okładce z masy perłowej i ilustrowane książeczki o tematyce religijnej. Chłopiec dostał jeszcze spinki do mankietów, a dziewczynka kolczyki i diadem. Jako ostatnia przywołała ich do siebie *nonna* i uroczyście zapieła każdemu na nadgarstku zegarek.

Po obiedzie opuścili Bari, jadąc wzdłuż wybrzeża. Na wysokości *Polignano a Mare* oddalili się od morza, żeby skręcić w boczną drogę prowadzącą do *Castellany* i *Fasano*. Nagle *nonna*, która prowadziła lepiej niż wszyscy mężczyźni z rodziny, ostro zahamowała i wykrzyknęła:

- Święty Boże!

Wystraszeni pasażerowie spojrzeli po sobie zdziwieni.

- Matko Boska, co za kwiaty! - zawołała *Angela* z niespotykanym u niej entuzjazmem. - Przeskoczcie przez płot i urwijcie kilka odnózek geranium - nakazała, zwracając się do *Vitantonio* i *Franca*, który uparł się, by wrócić do *Bellorotondo* tym samym samochodem co jego kuzyni.

Nonna zatrzymała się przed domkiem z niewielkim ogródkiem osłoniętym cieniem uschniętego, powykręcane eukaliptusa, tuż przed wjazdem do miasteczka, obok kąpieliska, które zostało niedawno otwarte ku uciesze zamożnych rodzin z Bari. Trzy schodki prowadziły na małą werandę otoczoną białą balustradą. Fasada była pokryta wapnem, podobnie jak dwie wąskie, podłużne skrzynki na kwiaty umieszczone pod oknami. Z jednej z nich zwisała kompozycja geranium w niezwykle żywych kolorach - różowym, fioletowym i szkarłatnym. Z drugiej wyrastały de-

Klątwa rodziny Palmisano

likatniejsze łodygi z sięgającymi ziemi kwiatami, krwistoczerwonymi niczym kardynalska peleryna. Na całym adriatyckim wybrzeżu me było takiego geranium jak to.

- Jeszcze nas zobacz! - zaprotestowała Donata.

- Przecież me robimy nic złego. Poza tym te domy i tak do końca czerwca stoją puste.

Franco został w samochodzie. Vitantonio już zdążył wspiąć się na ogrodzenie i zeskokczyć po drugiej stronie płotu. Wciąż miał na czole chustkę z bierzowania, a na nadgarstku zegarek. Rozpierała go duma jak nigdy wcześniej. Kiedy *zia* zobaczyła, że biegnie w stronę ganku, zawołała:

- Uważaj, me zaczeć o coś spodniami!

- Daj mu spokój, chłopak wie, co robi. W tym roku kończy dziewięć lat.

Zdezorientowana *zia* spojrzała na *normę* i spostrzegła, że ta z błyskiem w oku obserwuje ruchy wnuka. Nigdy nie zrozumie tej kobiety. Przez cały obiad karciała dzieci, pilnując, żeby się nie pobrudziły i przestrzegały dobrych manier, a teraz prosi Vitantonio, żeby przelał przez brudny, zakurzony płót i ukradł kilka odnózek geranium. Donata nie wiedziała, co o tym myśleć.

Bravissimo! - pogratulowała chłopcu *Signora* Angela, kiedy wręczyła jej dwie gałązki szkarłatnych kwiatów i kilka delikatnych odnózek zwisającego do ziemi geranium w kardynalskich barwach; miały zająć najlepsze doniczki w *palazzo*. *Monna* spojrzała z wyrzutem na Franca, który przez cały ten czas nie ruszył się z samochodu, po czym zwróciła się do Donaty:

- Widzisz, nic się me stało. Jeśli dużo od nich wymagasz, potem potrafią wyjść z oparów - powiedziała prowokująco. Chwyciła kierownicę, uruchomiła silnik i na pełnym gazie ruszyła w stronę Bellorotondo.

- Na szczęście nas nie widzieli - skwitowała *zia*.

Byliby szczęśliwi, że podobają nam się ich kwiaty - odparła Angela.

Taka była *nonna* - jak słońce, które panuje, przekonane, że krążą wokół niego wszystkie planety. I które nie zgodziłoby się, żeby było inaczej.

Czerwona ziemia

Kiedy pokonali wzniesienie koło Fasano, ziemia stała się czerwona; ich oczom ukazały się pierwsze ogrody, zapowiedź, że zbliżają się do doliny Itria. Chłopi mądrze rozmieszczali uprawy na zboczach. Na samej górze sadzili drzewa o dużych koronach: oliwki, figowce, migdałowce i czereśnie, które na tej kamienistej ziemi dawały niezwykle słodkie owoce; niżej rosły morele, śliwy, granatowce i wszelkiego rodzaju mniejsze drzewka; pod nimi ciągnęły się winnice z endemicznymi gatunkami winorośli, które we wrześniu dawały znakomite wino *primitivo*; jeszcze niżej uprawiano fasolę, bakłażany, paprykę, ogórki, cebulę, groszek i pomidory. Ostatni poziom przeznaczony był dla dyń pełzających po powierzchni czerwonej ziemi.

Od jakiegoś czasu samochód *normy* jechał między kamiennymi murami zbudowanymi bez zaprawy. Vitantonio opuścił szybę i z zadowoleniem patrzył na żyzne pola usiane mikroskopijnymi *trulli* i *masseriami*. Od toastu *nonny* podczas obiadu niecierpliwie czekał na powrót do domu.

Dotarli do *palazzo* późnym popołudniem i udali się prosto do ogrodu. Czekał już na nich miejscowy fotograf; norma przykazała mu, by w podniosły sposób uwiecznił dzień bierzmowania dwojga jej najstarszych wnucząt, postanowił więc sfotografować je na drewnianej ławce, pośród kwiatów i krzewów, przekonany, że takie roślinne otoczenie przypadnie do gustu Pani Bellorotondo. *Nonna* pierwsza zajęła miejsce na końcu ławki, lewą rękę wyciągnęła wzdłuż oparcia, a prawą zgięta pod kątem prostym i oparła na kolanach; trzymała w niej otwarty wachlarz z żółtymi i czarnymi motywami kojarzącymi się ze złotem i tuszem. Była cała w czerni. Na szyi miała sznur pereł, a włosy zebrała w kokieryjny kok. Wokół jej żywych sokolich oczu można było dostrzec pierwsze zmarszczki, zachowała jednak dawne rysy niegdyś bardzo pięknej twarzy, a także szczupłą figurę - młodzieńcza uroda ustąpiła miejsca eleganckiej dojrzałości.

Na drugim końcu ławki usiadła *zia* w białej radosnej sukience. Oparła rękę na kolanach; w prawej dłoni trzymała bukiet kwiatów, który Giovanna miała podczas bierzmowania. Donata wciąż była bardzo atrakcyjna.

Bliźnięta stanęły za ławką, między dwiema kobietami, które z dumą spoglądały prosto w obiektyw. Giovanna trzymała jedną rękę na oparciu i przenikliwym spojrzeniem wyzywająco patrzyła na aparat. Wyglądała na szczęśliwą. Wciąż myślała o tym, co powiedziała *nonna* podczas obiadu w restauracji hotelu Oriente. Cieszyła się, że zostanie wysłana do szkoły w mieście; chciała jak najszybciej dorosnąć, czuła, że w miasteczku zawsze będzie traktowana jak mała dziewczynka. Natomiast Vitantonio wydawał się wystraszony, niespokojnie spoglądał w kąt ogrodu. Bał się wyjazdu do miasta; coś, czego nie potrafił opisać, wiązało go z doliną i sprawiało, że czuł się chory, kiedy musiał ją opuścić. Wszystko było gotowe do zdjęcia. Zza chłopca wystawały mięsiste liście hodowanych przez *nonnę* alokazji i dzikiego wina, które pięło się po kamiennej ścianie. Po prawej stronie grupki wiszały gałęzie czereśni, od maja uginające się od

W łóżku

Zia weszła do pokoju, niosąc na tacy śniadanie: tost z oliwą i solą oraz szklankę mleka, które przywożono codziennie z domu Concetty i zgodnie z zaleceniami doktora Ricciardiego mieszano z naparem eukaliptusowym.

- Jak się dzisiaj czuje nasz domowy wojownik?

W dniu bierzmowania Vitantonio i Franco do zmroku bawili się w ogrodzie *palazzo* w żołnierzy Chrystusa, walcząc drewnianymi mieczami, które Chudzielec zrobił dla nich w tartaku. Po dusznym dniu temperatura gwałtownie spadła i Vitantonio wrócił na kolację do domu przy Piazza Santa Anna, trzęsąc się z zimna. Następnego dnia miał gorączkę i zia wezwała lekarza, który zdiagnozował anginę i zalecił odpoczynek. Po trzech dniach spędzonych w łóżku chłopiec miał ochotę wreszcie wstać, ale doktor Ricciardi, który zaglądał do niego każdego popołudnia, nie wyraził na to zgody.

- Musi leżeć w łóżku jeszcze przez dwa dni, dopóki gorączka całkowicie nie spadnie. Potem przez dwa, trzy dni powinien siedzieć w domu i nie wychodzić na dwór.

Kiedy zia zabrała brudne naczynia, Vitantonio wyciągnął rękę i wziął z szafki nocnej ilustrowaną książeczkę zatytułowaną *Bitwa o zboże*, którą podarowano im w tym roku w szkole w ramach kampanii rządowej mającej na celu przekonanie włoskich chłopów, by siali więcej pszenicy i tym samym zapewnili państwu samowystarczalność; Mussolini kazał rozdać ponad sześć milionów takich broszurek w szkołach w całych Włoszech. Vitantonio lubił oglądać obrazki przedstawiające pola z kłosami, bo przypominały mu mężczyzn młócących zboże i lato w *masserii* Concetty.

Gdy odłożył na szatkę książeczkę o zbożu, poczuł, że tęskni za lipcowymi porankami, za kąpielami w sadzawce, i niedzielnymi polowaniami z Salvatorem w gajach oliwnych. Zamknął na moment powieki i pomyślał z dumą, że jest już tak dorosły i odważny jak syn Chudzielca; oczami wyobraźni ujrzał siebie wspinającego się po drzewach i idącego ze strzelbą na polowanie w niskich górach Murgii albo na mokradłach Torre Canne. W pewnej chwili poczuł, że swędzi go całe ciało, i marzenia odpłynęły równie szybko, jak się pojawiły - okruchy, które rozsypał w łóżku, dostały się pod piżamę. Uratowała go zia.

- Wstawaj. Prześcielę ci łóżko i przewietrzę pokój.

Kiedy wrócił i znów się położył, poczuł się jak w raj. Powietrze pachniało świeżością, całą sypialnię zalewało poranne światło, a pościel była czysta i dobrze naciągnięta. Oparł się plecami o złożoną na pół poduszkę i pozwolił, by zaczerwały go promienie słońca odbijające się od liści najwyższych gałęzi drzewa cytrynowego, sięgających aż do jego okna. W progu pojawiła się Giovanna.

- Wciąż jesteś chory?

Podeszła do łóżka i przyłożyła wargi do jego czoła, jak podpatrzyła u zii. Potem chciała go pocałować w policzek, akurat w momencie, kiedy odwracał głowę. Ich usta się zetknęły.

Klątwa rodziny Palmisano

- Fu! - zaprotestował Vitantonio, śmiejąc się nerwowo. - Rodzeństwo się tak nie całuje.
- Ja całuję - odpowiedziała dziewczynka z powagą, po czym wyszła z pokoju.

Kłątwa rodziny Palmisano

CZĘŚĆ TRZECIA

Kolczyki z czereśni

Szesnaście lat

Co porabia mój chory braciszek?

Vitantonio aż podskoczył. Podniósł wzrok znad książki i zobaczył stojącą w progu Giovannę. Wyglądała zjawiskowo. Nie widział jej od Bożego Narodzenia; po przerwie świątecznej już się nie spotkali, bo na Wielkanoc wyjechała ze szkołą do Rzymu. Zauważył, że jest prześliczna i że bardzo się zmieniła. Pod obcisłą sukienką w niebieskie i czerwone kwiaty pączkowała bezwstydną moc jej prawie szesnastu lat.

Obejrzał ją od stóp do głów, nie mogąc odgadnąć, dlaczego wydaje mu się taka odmieniona. Giovanna zauważyła jego spojrzenie i wybuchnęła spontanicznym śmiechem, eksponując białe zęby i wilgotne, wydatne wargi. Czarne włosy miała związane w koński ogon, który sięgał połowy pleców; na czoło wymknęło jej się kilka zadziornych kosmyków. Zaczęła przybierać prowokacyjne pozy, niczym artystka rewiowa. Kiedy odwróciła się do niego profilem, Vitantonio z zaskoczeniem zauważył, że piersi jego siostry zaczynają przypominać biust dorosłej kobiety. Z ucha zwisła jej para czereśni.

- Jak wyglądam?

- Wyjechałaś jako mała brzydka siostra, a teraz jesteś dużą brzydką siostrą.

Wybuchnęła głośnym śmiechem, a jej piersi dorosłej kobiety jeszcze bardziej odznaczyły się przez sukienkę. Oparła rękę o framugę, drugą podwinęła sukienkę, odsłaniając długie nogi okryte pończochami w cielistym kolorze.

Mów sobie, co chcesz, ale oglądają się za mną wszyscy chłopcy.

Vitantoniovi wydała się bardzo atrakcyjna, ale postanowił jej tego nie mówić. Przecież jest jego siostrą! Czuł się niekomfortowo, patrząc na nią w taki sposób. Giovanna podeszła do łóżka, dotknęła wargami jego czoła i zawyrokowała:

- Nie masz wcale gorączki, to lipa.

Włożyła mu do ust czereśnię, a sama zjadła drugą. Wypluła do ręki pestkę i odwróciła się na pięcie. Ładnie pachniała; zostawiła po sobie ślad perfum, chyba różanych. Patrząc, jak wychodzi, Vitantonio poczuł między udami ciepło i ogarnął go wstyd.

Zaskoczyło go pojawienie się *zia*.

- Wstawaj, prześcielę ci łóżko.

Podobało mu się, że *zia* dba o niego tak samo jak wtedy, gdy był mały.

Odkąd w dniu bierzmowania złapał anginę, nie musiał więcej leżeć w łóżku z powodu choroby. Od tamtej pory minęło sześć lat - pięć ostatnich spędził w internacie w Bari. Brakowało mu tych przyjemnych chwil, kiedy zapadał w drzemkę, słuchając, jak *zia* krząta się po domu. Na początku kwietnia zdiagnozowano u niego obustronne odoskrzelowe zapalenie płuc, a ponieważ ambulatorium w internacie było dość prymitywne, postanowił przerwać naukę i przeleżeć chorobę w domu.

Za każdym razem, gdy *zia* przychodziła przewietrzyć pokój, a przy okazji strzepnąć okruchy chleba z prześcieradła i pościelić mu łóżko, cieszył się, że zdołał przekonać księży, by pozwolili mu wrócić do mi-

Kłątwa rodziny Palmisano

asteczka. Tamtego dnia, kiedy weszła do jego sypialni, wstał, starając się ukryć dziwną reakcję, jaką wywołały u niego odwiedziny Giovanni. Potem wrócił do łóżka, zachwycony, że znów jest świeże i gładkie, i na chwilę zapadł w drzemkę. Obudził go okrzyki doktora Ricciardiego wspinającego się po schodach.

- Cóż to dzisiaj czyta nasz chłopak?

Nie czekając na odpowiedź, położył na szafce nocnej dwie powieści: *Pustelnię parmeńską* i *Gracza*. Lekarz opowiadał Vitantoniovi o książkach, których chłopak nie znał, i przynosił mu je z własnej biblioteczki; w tym zakątku świata niefatwo było znaleźć ucznia zainteresowanego jego ulubionymi autorami, jak Stendhal czy Dostojewski. Vitantonio podziękował z uśmiechem, a doktor Ricciardi wyciągnął z teczki kolejną niespodziankę - egzemplarz magazynu literackiego, który niedawno się ukazał.

- *Il garofano rosso* Elia Vittoriniego, część pierwsza - wyrecytował teatralnie lekarz, czytając z okładki. - Nie znamem tego autora, ale na pewno ci się spodoba. - Puścił do chłopca oko i schował mu magazyn pod poduszkę.

W miasteczku mówiono, że doktor Gabriele Ricciardi nie jest zbyt nim entuzjastą faszystów i że w każdej chwili może zostać skazany na wygnanie. Na razie jednak do niczego takiego nie doszło, jako że żałoźne rodziny z Bellorotondo nie chciały zostać pozbawione lekarza i naciskały na lokalne władze, by przymknęły oko na impertynenckie, ale nieszkodliwe komentarze doktora, i nie informowały o nich stolicy.

Wizyta trwała dwie minuty. Tyle czasu wystarczyło, by przekazać chłopcu książki i kazać mu kilka razy odkaslnąć. Vitantonio słyszał, jak lekarz idzie na dół po schodach, i był ciekaw, czy zostanie, by porozmawiać w kuchni z *zia*. Przez pierwsze dni choroby syna Donata zaalarmowana słuchała świstów, jakie chłopak wydawał przy oddychaniu; przywodziły jej na myśl chorobę Franceski. Lekarz przekonał ją jednak, że bronchit nie ma nic wspólnego z gruźlicą, wystarczą gorące okłady, częste inhalacje z eukaliptusa, duża ilość płynów i długi odpoczynek. Vitantonio stwierdził, że tym razem Ricciardi nie został na dłużej, bo chwilę później usłyszał warkot motocykla, który odbił się echem od fasad domów przy Via Cavour, a potem rozległ po drugiej stronie ogrodu, na Piazza Santa Anna. Chłopakowi zrobiło się przykro, że wizyta trwała tak krótko, zauważył bowiem, że kiedy doktor zostawał dłużej, żeby porozmawiać z Donatą w kuchni, *zia* przez cały dzień miała dobry humor.

Doktor Ricciardi jeździł francuskim peugeotem, który nie wiadomo jakim cudem trafił do Bellorotondo. Dzięki niemu lekarz zyskał dużą popularność wśród dzieci, które podchodziły, żeby podziwiać motocykl, a przy okazji ekstrawagancki strój kierowcy: skórzaną kurtkę, okulary 1 pilotkę pochodzącą pewnie z czasów wielkiej wojny. Gdy motocykl zbliżył się do wyjazdu z miasteczka i odgłosy silnika ustały, Vitantonio zamknął oczy. Wsłuchiwał się w ciszę przerywaną jedynie od czasu do czasu krzykami bawiących się na placu dzieci. Usłyszał szczekanie psa dochodzące z oddali, może z prowadzącej na cmentarz alei, i osły ryczące w ogrodach dolnej części Bellorotondo. Potem wychwycił odgłos koła czempakowego, które uruchomili sąsiedzi, żeby nabrać wody z cysterny. Wyciągnął spod poduszki magazyn z fragmentem powieści Elia Vit-

Kłątwa rodziny Palmisano

toriniego i próbował czytać, ale wciąż prześladowało go wspomnienie Giovanny stojącej w progach w sukience w niebieskie i czerwone kwiaty, z czereśniami na uchu. Schował magazyn do szuflady szatki i zasnął, zatanawiając się, co takiego zmieniło się w jego siostrze.

W czasie wakacji chętnie pracował w fabryce. Rodzina zawsze mówiła o swoim przedsiębiorstwie „fabryka” lub „magazyn”, ale w miasteczku nazywano je po prostu „tartakiem” albo „zakładami drzewnymi”. Vitantonio często tam zaglądał, zachodził do biura, by przywitać się z *normą*, lubił także spotykać się z Vicinem, chudym, rachitycznym robotnikiem, który przywoził im do domu przy Piazza Santa Anna oliwę i warzywa. Od lata, które spędzili w *masserii*, chłopak traktował go jak wujka.

Jako dziecko, kiedy tylko pozwolono mu pokręcić się po fabryce, biegł do magazynu i wspinał się po stosach desek i szkieletach dachów. Dorosli mu tego nie zabraniali, próbując zapomnieć o tym, że w czasach, gdy żył jeszcze *signore* Antonio, jedna ze źle ułożonych stert zawałiła się, zabijając dwóch mężczyzn. Vitantonio szukał też w fabryce kawałków drewna na miecze; Chudzielec wycinał z nich długie, szpiczasto zakończone listwy, które służyły za ostrza, i krótsze, które przybijał na krzyż, tworząc rękojeść. Gdy chłopak przyniósł do *palazzo* pierwszy drewniany miecz, Franco zaprzagnął miecz taki sam, i od tego dnia zawsze chodzili do magazynu razem.

Od kiedy był już wystarczająco silny, żeby utrzymać łopatę, pomagał mu w wypełnianiu worków trocinami - należało je szeroko rozwierać, żeby włożyć do środka całą szutlę. Była to lekka praca, a ponieważ trociny nie ważyły wiele, mógł bez wysiłku nagarniać duże ilości. Kiedy podrośł, podczas inwentaryzacji przychodził do fabryki mierzyć objętość drewna z jodły, przywożonego w coraz większych partiach z tartaków nad Wołgą 1 wyładowywanego w porcie w Tarenzie ze statków, które eksploatowali z innymi importerami drewna z południa Włoch.

Niestraszna była mu także ciężka praca, na przykład ładowanie na ciężarówkę drewnianych klocków czy piłowanie pni. Nie znosił natomiast przenoszenia desek. Nic potrafił właściwie ułożyć ich sobie na ramieniu, więc kiedy szedł, obcierały mu skórę, pozostawiając bolesne rany. Za to Chudzielec, choć zasuszony i wymizerowany, prznosił naraz po cztery, pięć desek; umiał znaleźć dla nich idealną równowagę wystarczyło, że przytrzymał je jednym palcem, by nawet nie drgnęły.

W ostatnim tygodniu maja Vitantonio doszedł do siebie po zapaleniu płuc i zajrzał do fabryki, żeby przed powrotem do Bari na końcowe egzaminy trochę popracować. Ostatniego dnia, gdy wyładowywali z ciężarówki i składali w szopie drewno kasztanowca z Gargano, chłopak niespodziewanie zapytał Chudzielca:

- Jaki był mój ojciec? Waleczny?
- O tak, był bardzo waleczny - odpowiedział mężczyzna, kiedy już minął efekt zaskoczenia. - I odważny. W kompanii wszyscy podziwialiśmy jego męstwo. Darzyliśmy go szacunkiem, bo dzięki pieniądzom *Signory* Angeli mógł uniknąć poboru, ale tego nie zrobił. Ponieważ był jed-

Kłątwa rodziny Palmisano

nak synem dziedziców, starałem się zachować dystans i nigdy nie miałem z nim do czynienia na tyle, żeby móc powiedzieć ci coś jeszcze.

Chudzielec spojrział Vitantonioowi w oczy i poczuł, że chłopak ma potrzebę dowiedzenia się czegoś więcej. Lubił go i żałował, że nie jest w stanie zaspokoić jego ciekawości.

- Trzymałem się raczej z Palmisanem, który pochodził z tej samej warstwy społecznej co ja. Tuż przed wybuchem wojny obaj zapisaaliśmy się razem do związków zawodowych; twój ojciec śmiał się z nas, kiedy czytaliśmy związkowe broszury. „Odkąd zostaliście socjalistami, zmieniliście Kościół, ale dalej czytacie katechizm, jak kobiety z miasteczka”, mówił.

Śmiali się, wspominając błażeństwa, jakie wyprawiali Antonio Conwertini i Vito Oronzo Palmisano, zanim zginęli razem na froncie, ostatniego dnia wielkiej wojny. Panował lepki upał, Vitantonio rozpiął więc kilka guzików koszuli, odsłaniając znamie, ciemnoczerwoną plamkę w kształcie serca znajdującą się między lewym obojczykiem a ramieniem. Na jej widok Chudzielec zmienił się na twarzy.

- Co jest? - zapytał chłopak,

- Nic, po prostu nie czuję się najlepiej - powiedział Vicino na odczcpnego.

Ruszył w stronę wyjścia z fabryki, wspominając dzień, w którym Vito Oronzo Palmisano skonał w jego ramionach po nocy majaczenia.

Skłamał Donacie - ostatni Palmisano wcale nie zginął nieświadomy, że umiera; kiedy po niego poszli, jeszcze żył, zmarł dopiero po straszliwej agonii. Chudzielec ponownie przeżył tamtą noc czwartego grudnia 1918 roku. Przypomniawszy sobie, jak podczas gdy pozostali świętowali zawieszenie broni, on oczyszczał przyjacielowi ranę. Oczami wyobraźni ujrzał kształtne serce widniejące na lewym obojczyku Vita Oronzo Palmisano, który błagał:

- Jeśli nie przeżyję, powiedz Donacie, że zginąłem na miejscu.

Franco czuł się poirytowany tym, że Chudzielec jest taki zręczny w pracy, i od jakiegoś czasu starał się go sprowokować. Pewnego dnia, kiedy ładowali klocki na wojskową ciężarówkę, Vitantonio przyłapał kuzyna, jak krzyczy na biedaczynę, który nie wiedział, czym zasłużył na impertynencką naganę z ust syna właścicieli. Podczas przerwy w pracy siedział na stosie desek i zwijając papierosa, tłumaczył jednemu z kolegów, dlaczego nie popiera imperialistycznych dążeń Mussoliniego - wystarczyła mu katastrofa, jaką była wielka wojna, której doświadczył na własnej skórze, walcząc na froncie. Franco usłyszał jego słowa i postanowił skorzystać z okazji.

Wpadł oburzony do biura ojca i wypalił:

- Musisz wyrzucić Vicina!

- Zostaw go w spokoju! - interweniował Vitantonio, który na próżno starał się powstrzymać kuzyna. Chudzielec nic zrobił nic złego.

- To związkowiec!

-To robotnik! Pewnie najlepszy, jakiego mamy.

Kłątwa rodziny Palmisano

- Vitantonio ma rację. - Angelo podważył opinię syna. - To najlepszy robotnik w całej fabryce, do tego oddany rodzinie Convertinich. Dałby się zabić za twoją babcię.

Następnie z kpiącym uśmiechem spojrzął na Vitantonio i podważył także jego zdanie.

- Ale Tranco ma rację, nie możemy pozwolić na nic, co postawiłoby pod znakiem zapytania naszą lojalność wobec rządów Mussoliniego, zatem Chudzielec będzie musiał opuścić fabrykę i czekać, aż go znowu wezwiemy. Dwa miesiące bez wypłaty skłonią go do przemyślenia swojego zachowania, a przy okazji posłużą jako przestroga dla innych. Zresztą i tak mamy teraz mało roboty; kiedy do portu w Tarencie przyplynie partia jodły, ponownie go zatrudnimy.

- Nie może zostać bez pracy przez dwa miesiące. Z czego będą żyli?

- Powinien był wcześniej o tym pomyśleć wtrącił Franco.

- Masz rację - zakończył stryj Angelo, by zdusić jakąkolwiek próbę repliki ze strony Vitantonio.

Ojciec Felice

W dniu Bożego Ciała *nonna* wezwała wieczorem Donatę i dzieci do *palazzo*. Drzwi otworzyła im kucharka, która wyjaśniła, że ojciec Felice doznał udaru mózgu. Cała rodzina siedziała w salonie, niemal po ciemku. Poszukali wzrokiem babci, ale nie było jej w pokoju. Różaniec prowadził ojciec Constanzo, rektor kościoła Niepokalanej. Powitał ich dyskretnym skinieniem głowy i wrócił do recytowania Litanii Loretańskiej:

Stella matutina

Ora pro nobis

Salus infirmorum

Ora pro nobis

Refugium peccatorum

Ora pro nobis

Donata usiadła w fotelu pod dwoma obrazami przedstawiającymi bi ałe i czerwone kwiaty, zajmującymi główne miejsce w pokoju. Vitantonio zerknął kątem oka na stryjów i kuzynów, którzy mechanicznie odmawiali litanie; wydawali się błądzić daleko myślami. Stał, trzymając ręce na oparciu fotela, na którym siedziała *zia*. Litanie były dla niego najbardziej znośną częścią modłów, wychwytywał w nich bowiem pewien rytm, który działał na niego uspokajająco. Recytował gorliwie, z nadzieją, że modlitwa pomoże jego ojcu chrzestnemu wrócić do zdrowia.

Regina Angelorum

Ora pro nobis

Regina Patriarcharum

Ora pro nobis

Regina Prophetarum

Ora pro nobis

Do salonu weszła *nonna*, szepnęła coś na ucho *ziz*, a ta wstała z fotela i dała dzieciom znak, żeby poszły z nią na górę. Udali się prosto do pokoju ojca Felicego. Przy drzwiach siedziała na krześle zakonnica, która także odmawiała różaniec i nie podniosła głowy, żeby na nich spojrzeć. W środku byli doktor Ricciardi i jakiś lekarz z Bari, którego nie znali. Kiedy podeszli do łóżka, ojciec Felice nawet nie drgnął. Miał otwarte oczy, ale na nich nie patrzył. Nic nie powiedział.

- Ucałujcie go - poprosiła dzieci *nonna*.

Giovanna podeszła i pocałowała księdza w czoło. Vitantonio cmoknął go w policzek i poczuł, że ojciec Felice ma nieogoloną twarz i drapie.

- Proszę wracać do zdrowia. Kiedy poczuje się ksiądz lepiej, pojedziemy na święto *del maggio* do Accettury - powiedział, zanim odszedł od łóżka, świadom, że chory go nie słyszy.

Módlcie się za niego - upomniała ich *nonna*, gdy wychodzili z pokoju.

Kiedy ojciec Felice szedł tego ranka do katedry Świętego Sabina, gdzie miał koncelebrować mszę o dwunastej i towarzyszyć biskupowi podczas

Walka kogutów

W internacie były dwa koguty, Vitantonio i Giocavazzo, najsilniejsi, najzuchwalsi i najbardziej niezależni ze wszystkich uczniów. Rywalizowali ze sobą o szacunek reszty chłopców. Pozostali byli kurczakami i kurami podzielonymi na dwie wrogie grupy, które realizowały niedające się ze sobą pogodzić zamysły obu przywódców.

Niewielu chłopców nie należało do żadnej z tych dwóch frakcji; samotnicy chodzili własnymi drogami, jak Agrese, który lekko utykał i nikt go nie lubił, albo Sante Miccoli, usychający z tęsknoty za domem i snujący się po internacie jak pokutująca dusza. Stanowili małą dziwną grupkę, która nie miała łatwego życia, bo ci, co nie należeli do żadnej paczki, zawsze obrywali Związka Miccoli, który był nieco zniewieściaty, przez co budził w innych władcze instynkty. Vitantonio roztaczał nad młodymi dyskretną opiekę, nie pozwalając, żeby go wykorzystywano. Jego zielone oczy przypominały mu Giovannę.

Bandy biły się o wszystko, choć chwilę potem nikt nie pamiętał przyczyny konfliktu. Tak naprawdę nie liczył się powód, chodziło jedynie o to, żeby wyładować energię hamowaną przez zbyt surową dyscyplinę narzucaną przez księżkę.

Vitantonio i Giocavazzo nauczyli się patrzeć na siebie kątem oka i nienawidzić na odległość. Ich rywalizacja sięgała dawnych czasów, lat spędzonych w podstawówce w Bellorotondo i w gimnazjum w Martina Franca, gdzie unikali bezpośrednich konfliktów, czując respekt dla siły przeciwnika. W internacie w Bari kontakt był jednak nie do uniknięcia. W ostatnim trymestrze 1935 roku konfrontacja wydawała się nieuchronna.

Kiedy grupka chłopców znęcała się nad biednym Agresem, który próbował uciec, powłócząc chorą nogą, niemal doszło do bójki. Vitantonio postawił im się i sam rozpędził napastników. W chwili gdy podłożył nogę dwóm ostatnim przeciwnikom, przewracając ich na ziemię, pojawił się bojowo nastawiony Giocavazzo.

- Widzę, że odważnie sobie poczynasz z tą zgrają dupków. Zobaczymy, czy jesteś na tyle waleczny, żeby zaatakować bezpośrednio mnie.
- Jeśli chcesz porządnej walki, wystarczy słowo i zbierzemy się wszyscy na boisku. Ale powiedz tym z twojej bandy, żeby zostawili w spokoju biednego Agreseg. Utyka, bo w dzieciństwie chorował na polio, ale jest bystrzejszy niż wy wszyscy razem wzięci. W czasie egzaminów sami łazicie za nim i prosicie go o pomoc.

Giocavazzo przez chwilę bacznie patrzył rywalowi w oczy, jednak nic nie odpowiedział. Obie bandy otoczyły chłopców w oczekiwaniu, że w każdej chwili posypią się ciosy. Ku zdumieniu zebranych Giocavazzo odwrócił się i zawołał:

- Idziemy! Nic tu po nas.

Dotychczas zawsze wyglądało to tak samo - obaj liderzy często bili się z trzema czy czterema przeciwnikami naraz, ale jeszcze nikt nigdy nie widział, by walczyli ze sobą. Dlatego w dniu, kiedy wreszcie doszło do bój-

Kłątwa rodziny Palmisano

ki, wiadomość rozniósł się lotem błyskawicy i rywali otoczyło pół internatu.

Zdarzyło się to dzień po powrocie Vitantonio z domu, gdy już doszedł do siebie po chorobie i po tym, jak ojciec Felice został częściowo sparaliżowany wskutek udaru mózgu. Vitantonio stał się bardziej drażliwy. Palił po kryjomu w toalecie, kiedy usłyszał, jak Giocavazzo wyśmiewa się z rodziny *zii*.

- Palmisano to byli tchórze. Jak inaczej wytłumaczyć, że zginęła cała rodzina? Nie ma żadnych wątpliwości, istnieje tylko jedno wytłumaczenie: na wojnie śmierć natychmiast rozpoznaje cykora.

Vitantonio otworzył drzwi toalety i z wściekłością rzucił się na chłopaka. Zaatakował go z zaskoczenia i przyparł do ściany. Zdezorientowany Giocavazzo dostał dwa ciosy w twarz i upadł na podłogę. Vitantonio skoczył na niego i wytoczył się na korytarz.

- Convertini i Giocavazzo leją się w łazience na drugim piętrze! - Wiadomość rozeszła się po całym internacie, zaczęli nadsiedzać uczniowie ze wszystkich klas.

Vitantonio był zwinniejszy i potrafił skutecznie unieruchamiać przeciwników. Giocavazzo miał za to więcej siły i zadawał celne ciosy. Walka była wyrównana. Okładali się już od dłuższej chwili, obaj czuli w gardle smak krwi, brakowało im powietrza. Tocząc się po podłodze, Vitantonio chwycił w locie rękę Giocavazza, wykręcił mu ją za plecami i unieruchomił go twarzą do ziemi. Odkąd zaczęli się bić, pierwszy raz zdołał mocniej go przyprzeć. W tej samej chwili usłyszał podjudzający głos Franca:

- Zabij go. Już jest twój. Zabij go.

Ze wstrętem spojrzął na przekrwione z wściekłości oczy kuzyna. Był jego najlepszym przyjacielem, nie mógł patrzeć, jak daje sobą pomiatać agresywniejszym kolegom. Nie podobało mu się jednak, że teraz tak krzyczy, rozjuszony. W tym momencie Vitantonio zorientował się także, jakie zamieszanie wywołała bójka; przyglądała im się połowa internatu, zagrzewając do dalszej walki. Ta wyczekująca postawa niemile go zaskoczyła. Był świadom, że wszyscy chcą zobaczyć poniżenie przegranego, by utwierdzić się we własnej dumie. Nagle stracił ochotę na kontynuowanie bójki. Żaden z tych chłopaków nie zasługiwał na to widowisko. Jeśli potrzebują silnych emocji, niech sami się tłuką.

Opadł całym ciałem na plecy Giocavazza i przybliżył usta do jego ucha.

- Remis? Udamy, że już nie mamy siły, i przerwiemy?

Chłopak nie odpowiedział, ale przestał się szarpać.

- Odwróć się i zrzuć mnie na podłogę - nalegał Vitantonio.

Po chwili obaj wstali. Poprawiając ubrania, mierzyli się nieufnym spojrzeniem, aż wreszcie ciszę przerwał Vitantonio:

- Już cię miałem, cudem się uwolniłeś. Następnym razem będziesz martwy - rzucił dla zachowania pozorów.

- Następnym razem od razu cię zniszczę. Dziś wzięłeś mnie z za skoczenia - odparł Giocavazzo, żeby cokolwiek powiedzieć. Wciąż nie pojmował, co takiego się wydarzyło.

Pozostali uczniowie także niczego nie rozumieli. Drugi raz w ciągu kilku tygodni zanosilo się na ciekawą walkę, ale finał nie spełnił ich oczekiwań.

Kłątwa rodziny Palmisano

- Dlaczego go nie dobiłeś, kiedy już go miałeś? Gdybyś złamał mu rękę, już by się nie wyswobodził - zapytał z wyrzutem Franco, rozczarowany najbardziej ze wszystkich.

Vitantonio nie odpowiedział. Uczniowie spoglądali na rywali z nadzieją, że znów się na siebie rzucą. W tym momencie pojawił się prefekt odpowiedzialny za dyscyplinę.

- Który zaczął?

Obaj rzucili ojcowi Pio wyzywające, dumne spojrzenie, które oznaczało, że nie zniżą się do donosu. Niespodziewanie rozległ się głos Franca.

- Całą winę ponosi Giocavazzo.

Vitantonio spiorunował kuzyna wzrokiem i poczuł się zmuszony wziąć całą odpowiedzialność na siebie.

-To nieprawda, ojcze. Ja zacząłem.

Obaj skończyli za drzwiami w gabinecie prefekta, w sali Leona XIII, „sali tortur”, jak nazywali ją uczniowie z internatu. Mogli tam godzinami stać za karę z książką w rękę (najlepiej żywotami świętych albo innym dziełem o tematyce religijnej), bez przerwy nawet na pójście do toalety. Rekord pobił chłopak, który przestał okrągłe dwadzieścia cztery godziny. Prefekta nie interesowała treść książek, które kazał im czytać, chodziło jedynie o zmuszenie chłopców do trzymania w rękach czegoś ciężkiego, by na zawsze zapamiętali karę.

- Niech cię diabli wezmą, Convertini, ale z ciebie dziwak! - krzyknął Giocavazzo z drugiego końca sali, kiedy prefekt wyszedł i zostawił ich stojących z ciężkimi tomami w dłoniach.

Gdy spędzili już w sali tortur cztery godziny, Giocavazzo poprosił Vitantonia:

Daj znać, gdyby ktoś się zbliżał.

Wymknął się na korytarz, przy którym znajdowały się sale lekcyjne, o tej porze puste. Wszedł do pierwszej z nich i napisał na tablicy: Ojciec Pio robi to z siostrą Lucią.

Kilka godzin później cały internat wierzył w to oszczerstwo. Jeden z uczniów zapewniał, że któregoś ranka, kiedy przyszedł zamieść pokój prefekta, przyłapał go ściskającego się z zakonnica. Inni twierdzili, że widzieli, jak „robią te rzeczy” w ogrodzie, a niektórzy przysięgali, że nakryli ich, jak obłapiają się w klasie albo całują w gabinecie księdza.

Następnego dnia Vitantonio zapytał Giocavazza:

- Skąd wiedziałeś o prefekcie i siostrze Luci?

- Nie wiedziałem, wszystko zmyśliłem. Ale popatrz, okazuje się, że każdy widział, jak się całują...

Vitantonio skrzywił się z dezaprobatą.

- Ojciec Pio to kawał skurwysyna, ale nawet on nie zasługuje na to, żeby wymyślano na jego temat takie kłamstwa. Reputacja jest najświętszą rzeczą, jaką mamy.

- Sam jest sobie winien. To on mi podsunął ten pomysł. Wiesz, kim był proboszcz Giovanni Montero?

Vitantonio nie miał pojęcia, o czym mówi Giocavazzo. Wzruszył ramionami i zamienił się w słuch.

- Jego Eminencja Giovanni Montero był proboszczem bazyliki Świętego Mikołaja w Bari. W tysiąc sześćset sześćdziesiątym drugim roku został oskarżony o utrzymywanie stosunków z zakonnica. Wicekról

Kłątwa rodziny Palmisano

wysłał do Ban arcybiskupa Brindisi, żeby wyjaśnić, ile jest prawdy w plotce, która od kilku miesięcy krążyła po mieście. Gdy podano do wiadomości publicznej informację o wszczęciu dochodzenia, lista grzechów popełnionych rzekomo przez proboszcza znacząco się wydłużyła; w połowie śledztwa przypisywano mu już ojcostwo dwójki dzieci, choć nie było jasne, czy matką była mężatka, kobieta wolna czy niewolnica, a pod koniec oskarżono go o to, że zgwałcił żonę furmana i przy okazji wykorzystał seksualnie także jego. Dochodzenie wykazało, że wszystko było czystym wymysłem rozpowszechnionym przez złośliwe języki społeczeństwa mającego wyraźną tendencję do plamienia honoru innych. Jednak szkoda została już wyrządzona. Dla mieszkańców Ban proboszcz bazyliki był winny. Dokładnie tak samo jak nasz prefekt od dyscypliny.

Vitantonio patrzył na niego coraz bardziej zdeorientowany. Giocavazzo uchodził za jednego z najbardziej tępych uczniów w internacie.

- Skąd o tym wszystkim wiesz?

Ojciec Pio sam zawiązał sobie pętlę na szyi, kiedy nas ukarał. Wiesz, jaką książkę dał mi do trzymania w sali tortur? *Historię Kościoła w Bari na przestrzeni wieków*. Zawiera cały rozdział poświęcony życiu Jego Emnencji Montera. - Giocavazzo przez chwilę spoglądał na Vitantonio ze złośliwym błyskiem w oku, po czym dodał: - Wszystko, co wymyśliłem na temat prefekta, wzięłem z książki, którą sam mi dał.

Wybuchnął głośnym śmiechem, który przyciągnął uwagę pozostałych uczniów. Nie mogli zrozumieć, dlaczego ci dwaj, zamiast się bić, powierzają sobie jakieś sekrety.

Od tamtego dnia chłopcy stali się nierozłączni. Któregoś ranka, kiedy wychodzili z sali lekcyjnej, Giocavazzo podszedł do Vitantonio.

- Mój brat też chorował na polio; najmłodszy, Raffaele. - Przełknął ślinę i dodał: - Rodzice się wstydzą i nie puszczają go do szkoły. Mieszka z dziadkami.

Przez chwilę w milczeniu szli jeden obok drugiego, niemal się dotykali. Giocavazzo patrzył w ziemię.

- Będiesz na mnie zły, jeżeli dam nauczkę temu dupkowi Trancowi za to, że mnie wsypał? - zapytał nagle.

Nie mam nic przeciwko temu, ale go nie bij. To mój kuzyn, nie mogę pozwolić, żebyś go tłukł, i nie stanąć w jego obronie.

Następnego dnia dwóch zakapturzonych osobników napadło na Franca w toalecie, unieruchomiło go i zabrało mu ubranie. Przez całe popołudnie chłopak szlochał nagi w kącie łazienki. Siedział skulony, z twarzą między kolanami i głową ukrytą w ramionach, wstrząsany spazmami. Przed kolacją jeden z księży usłyszał płacz, wszedł do łazienki i za stał chłopca w tym opłakanym stanie. Wyprowadził go owiniętego w koc.

W niedzielę Franco opowiedział w domu mniej poniżającą wersję wydarzeń - wyznał, że pobiło go dwóch zakapturzonych chłopaków.

- Podaj mi ich nazwiska, już ja się postaram, żeby zostali wyrzuceni! - zareagował z wściekłością ojciec.

Kłątwa rodziny Palmisano

Ale chłopak nie wiedział, co odpowiedzieć. To mógł być każdy. Mimo że Vitantonio otaczał go opieką, Franco nie cieszył się zbyt dużą popularnością w internacie. Księża obiecali drobiazgowe śledztwo i przykładową karę. Zostały jednak zaledwie dwa tygodnie do letnich wakacji i całe zajście w końcu poszło w niepamięć.

Drugie wakacje w *masserii*

Tego lata bliźnięta skończyły szesnaście lat. Giovanna zaskoczyła wszystkich, oznajmiając, że chce spędzić wakacje na wsi, w domu Con cetty. *Nonna* zniechęcała ją, argumentując, że na wsi umrą z gorąca i z nudów, ale dziewczyna uparła się jak małe dziecko i tłumaczyła, że od dawna nie widziała ciotki.

- Ani Vicinów - skwitowała Donata z drwiącym uśmiechem; już jakiś czas temu zauważyła, że dziewczyna interesuje się Salvatore Vicinem, synem Chudzielca.

Giovanna udała, że nie wie, o czym mówi *zia*, i próbowała wplątać brata w swoje dziwne plany.

- Vitantonio ciągle powtarza, że tęskni za polowaniami z Salvatore...

W końcu osiągnęły kompromis - bliźnięta miały spędzić lipiec na wsi, a na początku sierpnia przyjechać nad morze, do domu w Savelletri, by dołączyć do *nonny* i kuzynów.

Pod koniec czerwca przenieśli się do *masserii*. Kąpiele w sadzawce uważali teraz za dziecinadę, zresztą nawet gdyby chcieli, i tak nie mogliby się w niej chłodzić, od kilku miesięcy bowiem nie spadła ani jedna kropla deszczu, błoto na dnie zbiornika było twarde jak kamień i zamiast nartników i kijanek pojawiły się jaszczurki. Przez całą wiosnę nie padało, a od kilku tygodni panował nieznośny skwar wywołany przez *sirocco*, które w tym roku zaczęło wiać za wcześnie. Normalnie południowe wiatry niosące tumany piasku znad pustyni nie powinny się pojawiać do lipca, tym razem jednak się pospieszyły i już teraz omiatały wszcz i wzdłuż całą Apulię. Chłopi byli bliscy rozpaczcy. Giovanna i Salvatore jako jedyni wydawali się nie przejmować upałami.

Vitantonio odniósł wrażenie, że tego lata syn Chudzielca nie ma już tyle energii co wcześniej; nie zastawiał pułapek na ptaki ani nie zabierał go na polowania. Zbyt łatwo wszystkim się zachwycał. Chciał spędzać czas, spacerując po gajach oliwnych, albo pod byle pretekstem proponował jakąś dłuższą wycieczkę. Wymyślał coraz to nowe tematy do rozmów z Giovanną, a ona przy każdej sposobności zachęcała go do mówienia.

Kiedy wybierali się gdzieś furmanką, dorośli siadali z tyłu, a Salvatore i Giovanna na ławeczce z przodu, obok Vitantonio, który powoził. Lubił stan hipnozy, w jaki wprawiało go ospałe kołysanie kobyłego zadu i powolne tempo jazdy. Gdy jedno z kół wypadało z koleiny, furmanka chybotwała się gwałtownie na boki do momentu, aż trafiała z powrotem w rowek i odzyskiwała równowagę; Giovanna i Salvatore korzystali z okazji, żeby złapać się za ręce, i chichotali jak głupi, mierzeni drwiącym spojrzeniem Vitantonio.

Kiedy chłopak miał już dosyć śmiechów pary, wkładał im w dłonie lejce i przeskakiwał na tył wozu, do dorosłych. Zwalał się na postanie z worków i derek dla klaczy, zakładał ręce za głowę i obserwując płynące powoli obłoki o kapryśnych kształtach, pogrążał się w marzeniach. Spacer z Giovanną i Salvatorem były zbyt spokojnym zajęciem dla pełnego energii Vitantonio, który nudził się w ich towarzystwie. Zaczął

Kłątwa rodziny Palmisano

więc chodzić do gajów oliwnych z dziadkiem Salvatorego i pozostałymi mężczyznami z *contrady*, a czasami wybierał się w góry z Żukiem, psem starego Vicina; kundel był brzydki i miał krótkie łapy, ale polował jak żaden inny. Vitantonio lubił spędzać dzień na powietrzu. Wracał zmęczony dopiero późnym wieczorem i pochłaniał wielki półmisek bakłażanów albo zielonych papryk, które Concetta smażyła dla niego na małym ogniu z oliwą i pomidorami *regina di Torre Canne*.

Po kolacji wychodzili na podwórze i na próżno czekali, aż się trochę ochłodzi. Słuchali opowieści o wielkiej wojnie, które snuł po powrocie z fabryki Chudzielec. Giovanna siedziała między mężczyznami, trzymając na kolanach Michelego, najmłodszego spośród siedmiorga dzieci Galassów, który łąził za nią przez całe dni. Chłopiec niedawno skończył sześć lat, a Giovanna postawiła sobie za cel nauczenie go czytania i pisania.

Co ranka, kiedy mężczyźni wychodzili do pracy, Michele zjawiał się w *masserii* i z progu obserwował, jak Giovanna zmywa talerze i szklanki po śniadaniu, udając, że nie zauważa obecności malca. Gdy kończyła, odwracała się plecami do zlewu i rozkładała teatralnie ramiona, zachęcając chłopca, żeby rzucił jej się na szyję. Potem podnosiła go i mocno przytulała. Przecierała szmatką czerwoną ceratę na kuchennym stole i szła do kredensu po zeszyt i ołówki, które trzymała w pudełku po ciastkach. Sadzała Michelego na ławce, wyciągała ze sztućcami nóż, temperowała ołówki, otwierała zeszyt, pisała drukowane litery jako wzór i kazała chłopcu skopiować je na całej stronie. Podczas gdy malec zapętniał kartkę, Giovanna kończyła sprzątanie kuchni. Potem otwierała skrzynię z pieczywem i wyjmowała z niej pięć kilogramów owych bochen chleba z ogromnym słońcem i literą P na skórce, symbolami, które Concetta zawsze rysowała na cieście, żeby oznaczyć swoje pieczywo - wszystkie rodziny z *contrady* piekły chleb we wspólnym piecu. Giovanna ząbkowanym nożem kreśliła na bochnie krzyż, po czym odcinała sporą pajdę i kładła ją przed chłopcem, bo wiedziała, że w domu Galassów śniadania są bardzo skromne. Michele rzucał się na chleb i pożerał go ze wzrokiem wbitym w muchy schwyte na zwisających z żarówki lep.

Po śniadaniu malec klękał na ławce, pochylał się nad stołem i z wysuniętym językiem zaczynał zapętniać literami kolejną stronę. Czasami Giovanna stawiała za nim i poprawiała ułożenie jego dłoni albo uczyła go, jak bardziej elegancko trzymać ołówki. Po kilku dniach nauki synek sąsiadów rozpoznawał już samogłoski. Giovanna nie posiadała się z radości.

- Gdyby mały Michele mógł się uczyć, zaszedłby bardzo daleko - powiedziała poważnym tonem podczas jednego z wieczorów, kiedy siedzieli na podwórzu, słuchając opowieści.

Upał był jeszcze bardziej nieznośny niż poprzednich nocy. Pachniało słomą, a w powietrzu unosiły się drobiny, które wpadały do gardła i utrudniały oddychanie.

- Sama to powiedziałaś: gdyby mógł. Ale nie może - uciął bezceremonialnie ojciec Michelego.

Sporunowała go nienawistnym spojrzeniem. Mężczyzna uciekł przed jej wzrokiem i wbił go w ziemię. Wkrótce wszyscy zaczęli się rozchodzić do domów, choć wiedzieli, że przy takim upale nie zmrzną oka.

Kłątwa rodziny Palmisano

Nie spali już od kilku nocy; kiedy kładli się do łóżek, zdeorientowane z powodu irracjonalnych temperatur cykady nadal drapały się po brzuchach, powodując nieznośny harmider. Czasami któraś wciskała się do wnętrza *frulli* w poszukiwaniu chłodniejszych ścian, a wówczas koncert nabierał apokaliptycznego wymiaru i nie sposób było zasnąć przez całą noc. O świcie, gdy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki nagle zapadała cisza, mężczyźni i kobiety musieli wstawać, by wykorzystać pierwsze poranne godziny do pracy przy drzewach oliwnych. Przed południem temperatura rosła do czterdziestu stopni i pozostanie na polu byłoby samobójstwem, wracali więc do domów, żeby leć w cieniu i nie trwonić resztek sił.

Giovanna zasypiała co noc ostatnia. Przewracała się w łóżku z boku na bok, wymyślając rozmaite sposoby, by porwać małego Michelego i zabrać go ze sobą do miasteczka, żeby mógł się uczyć u ojca Sinisiego w szkole podstawowej w Bellorotondo.

Lipiec minął jak z bicza trząśł. Na świętego Daniela, dwudziestego pierwszego lipca, tańczyli na podwórzu przy dźwiękach akordeonu. Giovanna i Salvatore czuli, że ich czas dobiega końca, dlatego przez całą noc nie odstępowali się nawet na krok. Pozostali ze śmiechem tręcili się łokciami na widok czułych gestów pary. Dziewczyna tylko na moment rozstała się z Salvatorem; podeszła do Vitantonio, który siedział na schodkach *trullo* z narzędziami, wzięła go za rękę i pociągnęła, żeby zatańczył z nią na środku podwórza.

- Rodzeństwo ze sobą nie tańczy! - zawołał. Uwolnił się od niej i zaszył w kącie z dala od muzyki. Bawił się z Żujkiem, próbując raz na zawsze zapomnieć o kołyszącej się talii i zaraźliwym śmiechu Giovanny.

Kiedy dorosli już spali, Salvatore zaprowadził dziewczynę za sadzawkę i próbował ją pocałować. Powstrzymała go oschłą reakcją, której się nie spodziewał. Zawsze bawił go ostry ton Giovanny, ale tym razem skierowany był do niego; chłopak poczuł się skonfundowany.

- Tańczę z tobą, bo podoba mi się to, co opowiadasz, i wiem, że należysz do grupy działaczy antyfaszystowskich. Lubię cię, ale nie pozwolę, żebyś mnie pocałował, bo jesteś brzydszy od psa twojego dziadka.

- Dziewczyny ze wsi mówią co innego - zaprotestował, świadom powodzenia, jakie miał u kobiet. - Nie pozwalasz się pocałować, bo jesteś pełną uprzedzeń dziewczynką z bogatego domu. Gdybyś była rewolucjonistką, za jaką się uważasz, potrafiłabyś uszczęśliwić takiego mężczyznę jak ja.

Zatem już wiesz, co masz robić. Załadaj od partii, żeby poszukała ci wystarczająco rewolucyjnej dziewczyny, która padnie ci w ramiona i pozwoli się obcałowywać - wypaliła Giovanna, po czym odeszła, śmiejąc się jak szalona i tłumiąc w sobie ogromną chęć pocałowania chłopaka.

Targ w Altamurze

W Savelletri na wybrzeżu Vitantonio i Giovanna mieszkali w domu *nonny*, razem z Frankiem i jego rodzicami. Spotykali się też z innymi kuzynami, którzy mieli tam własny dom. Donata była zapraszana na dwa tygodnie, potem zostawiała dzieci pod opieką *nonny* i ciotki Carmeliny, sama zaś wracała do Bellorotondo albo na wieś do Concetty. Vitantonio i Giovanna bali się wyjazdu *zii*, bo ciotka Carmelina Ferrante, zona Angela, była smutną, strachliwą kobietą, czasem nie do wytrzymania.

Carmelina cierpiała z byle powodu. We wszystkim widziała tylko ciemne strony miała skłonność do przepowiadania najgorszych katastrof. Jeśli ktoś się przeziębił, orzekała, że ma zapalenie płuc. Kiedy ktoś miał problemy z oddychaniem, diagnozowała gruźlicę. Gdy któraś z jej przyjaciółek zachodziła w ciążę, Carmelina zastanawiała się, czy dziecko urodzi się upośledzone. A jeśli dwoje kuzynów Convertini chorowało w tym samym czasie, sugerowała, że jedyną gwarancją uniknięcia rozprzestrzenienia się rzekomej epidemii zagrażającej najmłodszym członkom rodziny jest natychmiastowe przerwanie wakacji.

Jeżeli wybierali się na wycieczkę samochodem, Carmelina wyobrażała sobie tysiące wypadków. Gdy podróżowali pociągiem, bała się, że skład wypadnie z torów. Jeśli szli popływać łódką, kazała wszystkim siedzieć nieruchomo, w obawie, że się wywrócą. Latem, kiedy Angelo proponował, by wypili kawę w ogrodzie, odmawiała, bo uważała, że to zdradziecka pora roku i w każdej chwili może się zmienić pogoda. Jeśli temperatura dalej rosła, zadając kłam zapowiadany przez nią zmianom, zaczynała się bać upału i dostawała obsesji na punkcie porażenia słonecznego. Natomiast we wrześniu, gdy tylko odkryła jakąś samotną chmurkę na błękitnym, jasnym niebie, robiła znak krzyża i wołała:

- Wielki Boże, znowu to samo!
- Co się dzieje?! Co się dzieje?! - krzychał zdeorientowany Angelo,

który zawsze chodził zaspany.

- Ta chmura, tam na dole. Znowu grozi nam burza!
- Tylko z powodu jednej chmury? Święty Boże, poślubiłem wariatkę.
- Pod koniec lata burze zawsze nadciągają niespodziewanie - upierała

się, po czym kazała służbie zabierać poduszki z tarasu, tak „na wszelki wypadek”.

Tranco z wiekiem stawał się takim samym maniakiem jak jego matka, natomiast Vitantonio i Giovanna nie byli w stanie przywyknąć do tej najbardziej stukniętej osoby w rodzinie. Jeśli dzieci się spocily, ciotka nie pozwalała im zaspokoić pragnienia, bo słyszała, że pewien hiszpański król umarł dawno temu po wypiciu zimnej wody po meczu peloty. Kiedy chciały iść na plażę, musiały włożyć kapelusze i koszule dla ochrony przed słońcem. Gdy pojawiały się fale, nie mogły wchodzić do wody, miały też zakaz zbliżania się do skał, nawet kiedy morze było spokojne, bo - zdaniem Carmeliny - kąpielowiczów wciągały wiry, topili się, a ich ciała nigdy nie wypływały na powierzchnię. Po jedzeniu musieli czekać z kąpielą ponad trzy godziny, jako że ciotka panicznie bała się skurczu żołądka. No i oczywiście nie wolno im było skakać do wody na główkę, bo

Kłątwa rodziny Palmisano

mogli złamać sobie kręgosłup albo pod wpływem wstrząsu dostać ataku serca.

Jeśli wydarzenia choćby w minimalnym stopniu potwierdzały, że marną, i sytuacja się komplikowała, Carmelina głośno, że to zapowiedź nieuchronnej katastrofy. Z powodu tej manii zasłużyła sobie na przydomek Ciocia Nieszczęście wymyślony przez Giovanę. Kiedy *zia* i *norma* usłyszały go po raz pierwszy, udały powagę, ale gdy tylko zostały same, wybuchnęły śmiechem, przyklaskując inwencji dziewczyny, i same też zaczęły go używać.

Gdy sprawy przyjmowały wyraźnie zły obrót, Carmelina doznawała przypiływu fanatyzmu religijnego. Co chwila biegła do spowiedzi, żeby uzyskać rozgrzeszenie z nieistniejących grzechów - była przekonana, że jedynie w ten sposób zdoła złagodzić boską żądę ukarania niezbyt pobożnych letników. Ojciec Felice unikał jej, argumentując, że udzielanie spowiedzi członkom rodziny byłoby nierozważne i niestosowne, natomiast rektor z Savelletri nie miał żadnej wymówki. Kapłan ogarniał strach, kiedy przychodziła do jego konfesjonału - jeżeli osądzał ją zbyt surowo, korzystała z okazji, by w histeryczny sposób okazać skruchę; jeśli zaś zbyt szybko odpuszczał jej grzechy, obrażała się i domagała cięższej pokuty.

Czasami wyznaje mi z płaczem, że jadła między posiłkami albo nałożyła sobie na talerz obfitszą porcję, i żąda, żebym zadał jej taką pokutę, jakby popełniła morderstwo. Gdyby to ode mnie zależało, już dawno skazałbym ją na wieczny ogień za to, że jest tak uciążliwa i znerwicowana. 1 niech Bóg mi wybaczy - powiedział wyprowadzony z równowagi rektor ojcu Felicemu w dniu, kiedy natarczywość Carmeliny wywołała w nim kryzys wiary.

Zgodnie z rodzinną tradycją w sierpniowe święto Matki Boskiej opuszczali na kilka dni dom nad morzem i przenieśli się do wyschniętego interioru, do *palazzo Ferrante* w Altamura, rodzinnej posiadłości Carmeliny. Przyjeżdżali dzień wcześniej, samochodami stryjka Angola i *nonny*. Dzieci marudziły przez całą drogę, bo bały się dwóch braci Ferrante, którzy na stałe mieszkali w Neapolu i byli jeszcze większymi maniakami niż ciotka. Jednak gdy tylko dojeżdżali do Altamury, przestawały narzekać i dawały się porwać straszliwemu wrzeniu, jakie co roku ogarniało miasto z okazji wielkiego letniego targu.

Piętnastego sierpnia kończyły się żniwa i wygasły wszelakie kontrakty. Wszyscy ścigali z tego powodu do stolicy Górnej Murgii: właściciele ziemscy, zarządcy, dzierżawcy, stali i sezonowi robotnicy. W tym świętecznym dniu kupowano, sprzedawano, zatrudniano, dawano pracę - albo jej odmawiano - i podpisywano nowe umowy wynajmu mieszkań i domów w gospodarstwach oraz dzierżawy ziem ważne do piętnastego sierpnia następnego roku.

Targ odbywał się na placu przed katedrą. Tam finalizowano wszelkiego rodzaju umowy, uzgadniano zarówno wielkie przedsięwzięcia, jak i mniejsze transakcje. Wcześniej trzeba było jednak wziąć udział w uroczystej mszy, która dla wieśniaków stanowiła okazję, by zobaczyć

Kłątwa rodziny Palmisano

z bliska dziedziców i móc podziwiać stroje modne w stolicy prowincji. Rodziny Ferrantc i Convertini szły z *palazzo* do katedry spacerkiem. Vi tantonia dziwiło, że w przeciwieństwie do mieszkańców doliny Itria osiadłych w rozproszonych pośród pól *contradach* i *trulli*, wieśniacy z Altamury żyją w mieście; codziennie musieli wstawać o czwartej rano, żeby przebyć długą drogę do gospodarstw, w których pracowali. W świąteczne dni zostawiali furmanki na ulicach poza murami miasta, zaparkowane jedna za drugą przy trzy poziomowych domach: pólsuterena służyła za stajnię dla mułów, na parterze mieściły się kuchnia i pokój, a na piętrze - spichlerz.

Gdy dzieci były małe, katedra w Altamurze budziła w nich strach, jej fasady strzegły bowiem dwa kamienne lwy, równic drapieżne jak te z kościoła Niepokalanej w Bellorotondo. Później, już jako nastolatki, śmiali się z tych dziecinnych lęków i po wyjściu z mszy przystawali, by włożyć rękę do paszczy zwierząt. Giovanna zawsze zatrzymywała się dłużej, bo odkryła - trochę ze złością, a trochę z dumą - że kiedy wykonuje ten rytuał, chłopcy wodzą za nią wzrokiem. Vitantonio poganiał ją, chciał jak najszybciej obejść targ, ale koniec końców i tak musiał czekać, bo stryjostwo w nieskończoność witało się z resztą właścicieli ziemskich, którzy o tej porze zbierali się na Corso Federico II. Dopiero gdy pozdrowili wszystkich dziedziców z okolicy, stryj Angelo wypinał pierś jak kogut i stał na czele orszaku; to on zarządzał *masserią* o powierzchni siedmiuset hektarów należącej do rodziny Carmeliny, jako że jego dwaj szwagrowie z Neapolu byli niebywałymi obibokami.

Przecieli plac po przekątnej, żeby przywitać się z zarządcą i *capo masaro*, którzy przez cały ranek negocjowali sprzedaż bydła. Kiedy podeszli bliżej, zdumiona Giovanna zauważyła, że Galasso, sąsiad cici Concetty i Chudzielca, rozmawia ze zwierznikiem dzierżawców. Trzymał za rękę małego Michelego, który rozdzierająco płakał. Tak naprawdę to chłopiec przyciągnął uwagę Giovanny; jego ojciec miał na sobie marynarkę, krawat i kapelusz, nie poznałaby go, choćby przeszła obok sto razy.

- Michele! Co tu robicie?! - zawołała zaskoczona.

Małec puścił się biegiem i uwiesił na szyi dziewczyny. Ta rzuciła pytające spojrzenie jego ojcu.

- Przyszedłem, żeby go wynająć do roboty. Mieliśmy szczęście, *masaro* uznał, że jest rozgarnięty, i wziął go na pastuszkę.

- Na miłość boską, on ma dopiero sześć lat!

- W domu jest sześć innych gąb do wykarmienia, a ja nie mam ich już czym żywić! W *masserii* Ferrantc dadzą mu jeść.

Kiedy Giovanna usłyszała nazwę *masserii*, ogarnęła ją rozpacz - gospodarstwo należało do jej stryjostwa. Była tam raz i to wystarczyło, by poczuła wstyd z powodu złego traktowania wyrobników - spali w stodołach gorszych niż stajnie dla koni. Wyobraziła sobie Michelego w jednej z tych nienadających się do mieszkania szop, z dala od rodziny, o ponad dzień drogi od domu, otoczonego przez niezajomych, biednych nieszczęśników, zainteresowanych jedynie tym, by przeżyć w nieludzkich warunkach, i zrobiło jej się niedobrze. Chłopiec obejmował ją za nogi, a ona nie była w stanie go pocieszyć. Sama miała ochotę zapłakać.

Kiedy opuścili targ, podeszła do stryja Angela i błagała go, by przykazał ludziom z *masserii* dobrze traktować małego Michelego.

Klątwa rodziny Palmisano

- Lepiej się do tego nie wtrącaj. Zdarza się, że mamy ponad stu wynajmowanych za dniówkę wyrobników i jeśli chcemy, żeby *masseria* prosiła, nie możemy sobie pozwolić na specjalne traktowanie kogokolwiek.

- To dziecko, ma sześć lat!
- Rozpieszczając go, nie oddajesz mu przystęgi. Chcieli pracy dla chłopca, to ją mają. Powinni dziękować Bogu.

Giovanna odwróciła się do stryja plecami i nie odezwała do końca dnia. Ani następnego, ani w drodze powrotnej na wybrzeże. Przerwała milczenie jedynie po to, by wyżalić się Vitantoniovi.

- Salvatorec ma rację. Właściciele ziemscy z Górnej Murgii to skurwysyny, nie mają serca...

Norma przerwała jej ostro:

- Co to za słownictwo? Nigdy więcej nie chcę słyszeć, że wyrażasz się w taki sposób. Twój bunt budzi mój niepokój, ale twoje złe maniere są po prostu niewybaczalne. - Następnie dodała cicho, jakby mówiła sama do siebie: - Rzeczywiście ta banda pyszałków do niczego się nie nadaje. Nie potrafili przekształcić gospodarstw, żeby uprawiać oliwki i winorośl. Za sto lat nadal będą siać zboże, czekając, aż Boska Opatrzność ześle deszcz albo rząd korzystnymi subwencjami zrekomensuje im uprawę ziemi, która w dalszym ciągu nie będzie wydawać żadnych plonów.

Koniec lata

W sierpniu Giovanna zdała sobie sprawę, że tęskni za Sahratorem, i lato zaczęło jej się strasznie dłużyć. Vitantonio, Franco i ich paczka z plaży wydawali jej się zbyt dziecinni, a ciocia Carmelina była wprost nie do zniesienia. Dziewczyna dogadywała się jedynie z *nonna*. Towarzyszyła babci, gdy ta jeździła samochodem do Bari i Neapolu, by odwiedzić przyjaciółki, które spędzały lato w swoich majątkach na wybrzeżu. Angela Convertini zadawała się głównie z żonami najbardziej postępowych właścicieli ziemskich, którzy zastąpili dawne uprawy pszenicy i owsa rozległymi gajami oliwnymi i winnicami, dzięki czemu ich *masserie* przynosiły dochody. Kiedy *nonna* przyjmowała wizyty na tarasie domu w Savelletri, Giovanna spędzała całe popołudnie na płóciennym leżaku, udając, że czyta, a w rzeczywistości słuchając plotek.

Zawsze, kiedy nadciągało sirocco, ciotka Carmelina korzystała z okazji, by przepowiedzieć kolejne nieszczęścia. Twierdziła, że jeśli zaryzykują kąpiel, porwie ich ten przeklęty wiatr, który wieje w głąb morza, a ich ciała zostaną znalezione dopiero po kilku dniach na wybrzeżu Dalmacji. Pierwszy wrzesnia był jednym z takich wietrznych dni, kiedy to ciotka Carmelina nie pozwalała im nawet zbliżyć się do wody. Vitantonio ruszył na poszukiwanie swojej paczki. Giovanna postanowiła mu towarzyszyć, bo skoro nie mogła się kąpać, lepiej było tracić czas z dziećmi, niż siedzieć samej w domu i czekać, aż południowy wiatr podniesie temperaturę do czterdziestu stopni. Gdy wyszli z domu, natknęli się na Salvatorego, który czekał na nich na rogu.

Co tutaj robisz? - zapytała zdumiona, starając się ukryć urywany oddech.

- Cała wieś tu jest. Plaże są pełne, od Savelletri po Torre Canne. Całe Bellorotondo zjechało nad morze, a ja przyszedłem się z tobą zobaczyć. Zapomniałaś, że dziś pierwszy wrzesnia?

Tego ranka obudził ich hałas wozów i koni nadjeżdżających z doliny Itria drogą przez Fasano. Pierwszego wrzesnia chłopcy masowo ściągali na wybrzeże, by pożegnać lato. Co roku powtarzali ten rytuał - wyruszali o świcie konno, rowerami, furmankami lub pieszo i spędzali cały dzień na plaży. Był to jedyny dzień lata, kiedy wybierali się nad morze. Dzieci zażywały kąpeli, a dorośli leniuchowali na piasku. Po obiedzie kobiety przynosiły wodę ze źródła i pilnowały maluchów, które znów wskakiwały do morza, podczas gdy mężczyźni ucinali sobie drzemkę na plaży. Wczesnym popołudniem bez pośpiechu ruszali w drogę powrotną do swoich domów.

Giovanna i Vitantonio zazwyczaj z niecierpliwością czekali na dzień, gdy ich sąsiedzi przybędą na wybrzeże, i chodzili od plaży do plaży, dopóki nie spotkali kogoś znajomego. Ale tego roku, wściekli z powodu zakazu kąpeli wydanego przez ciotkę Carmelinę, zupełnie zapomnieli o świętowaniu końca lata. Do chwili, aż wpadli na Salvatorego.

Syn Chudzielca przyjechał poprzedniego wieczoru motocyklem i zatrzymał się w domu kuzynów z Torre Canne zajmujących się rybołówstwem. Miał znajomych i kuzynów w całej gminie. Giovanna nie wiedziała,

Kłątwa rodziny Palmisano

czy mówi o prawdziwych krewnych, czy też nazywa tak towarzyszy z partii.

Trójka młodych ludzi ruszyła w drogę; szli brzegiem morza, zostawiając za sobą mały port rybacki i ostatnie domy Savelletri. Kierując się na południe, skręcili w piaszczystą ścieżkę wijącą się pośród ostów o białych i różowych kwiatach. Poprzedniego wieczoru rozpętała się pierwsza letnia burza i jeszcze panował chłód. Deszcz zawiesił w powietrzu zapach kopru włoskiego, którego łodygi oblepione były setkami ślimaczków. Od pewnego miejsca, tam gdzie kończyły się skały, ścieżka zaczynała się wspinać zboczem niskiego wzgórza porośniętego lentyszkami i tamaryszkami, wstrząsanymi przez silne porywy wiatru. Jego podmuchy wznosiły także obłoki piasku, który wpadał im do oczu. Nieco dalej droga rozdzielała się na trzy czy cztery ścieżki, które kreśliły wymyślne figury geometryczne pomiędzy krzakami, by za jakiś czas z powrotem się połączyć.

- Dokąd idziemy? - zapytała Giovanna.

- Do szafasu - odparł Salvatore i wskazał dłonią rozpostartą nad wodą brezent, trzymający się niepewnie na czterech palach. Szafas został wzniesiony na skalistym odcinku wybrzeża, które zaraz za wydmami przechodziło w ciąg naturalnych basenów.

Vitantonio często przypląwał łódką do tych skał i też budował szafasy z drewna i brezentu, w których chował sprzęt wędkarski, kiedy łowił ośmiornice na przynętę przywiązaną do żyłki z białą szmatką. Gdy ośmiornice, zwabione przez biały kolor, chwytaly przynętę, wyciągał je kasarkiem i unieszkodliwiał, wbijając im zęby w głowę, dokładnie między oczami. Giovanna wolala łowić w ciemne, spokojne noce, kiedy *nonna* pozwalała im wypłynąć w morze z lampą naftową, pod warunkiem że nie będą za bardzo się oddalać od portu. Zgodnie z sugestią *zii*, łódka została nazwana *Principessa*. Giovanna nie dopuszczała dyskryminacji na pokładzie, tak więc zawsze zmieniali się przy wiosłach; gdy jedno manewrowało, odpychając się z obu stron, drugie wychylało się za burtę, obserwując dno z lusterkiem w dłoni, i wbijało harpun w sparaliżowane odbłaskiem ryby. Tą prymitywną techniką łowili mątwy, skorpcny, dorady oraz inne żyjące między skałami stwory. Łapali też jeżowce za pomocą z jednego końca rozłupanej na pół kamieniem trzciny bambusowej, którą zakleszczali zwierzę, jakby zrywali figi.

W szafasie zastali kuzyna Salvatorego. Po dokonaniu prezentacji obaj chłopcy ściągnęli koszule i spodnie, przytroczyli sobie do pasa skórzane sakwy i zeszli na skały. Mieli w dłoniach śrubokręty; kiedy byli tuż przy wodzie, schylili się i zaczęli skrobać kamienie. Vitantonio postanowił pójść w ich ślady. Znalazł w szafasie pośród gratów zardzewiały kawałek żelaza i skacząc po skałach, dotarł do brzegu.

Ciała trzech chłopaków były niemal czarne, spalone słońcem Apulii. Pół godziny później wspięli się z powrotem z sakwami pełnymi czareczek, które wysypali na drewnianą skrzynkę służącą im za stół. Kuzyn chwycił jedną muszlę, przysunął ją do ust i wyrwał zębami mięso. Vitantonio zrobił to samo. Salvatore wybrał czareczkę w mocno pomarańczowym kolorze, skropił ją sokiem z cytryny, a kiedy maść się skurczyła, oderwał go nożem od muszli, przytrzymał kciukiem na stalowym ostrzu i zbliżył do warg Giovanny. Dziewczyna powoli żuła mięczaka, pozwalając, by jej usta

Kłątwa rodziny Palmisano

przeniknął intensywny smak morza. W czareczkach zazwyczaj gustowali bardziej mężczyźni niż kobiety, ale Vitantonio nie znalazł nikogo, kto jadłby się nimi z takim smakiem jak Giovanna. Salvatore odkrył to dopiero na widok jej zadowolonej miny; dziewczyna nieustannie go zaskakiwała. Uśmiechnął się z podziwem i przygotował dla niej kolejną muszlę.

Rozpalili ognisko z gałęzi, które burze przyniosły na skały, i wsadzili czareczki do rondla, żeby ugotowały się we własnym sosie. Giovanna z zainteresowaniem przyglądała się trzem chłopcom; woda morską wyparowała, a sól pokryła ich ciemne ciała białym osadem. Z uznaniem odkryła, że przez ostatnie miesiące jej brat urósł, a jego mięśnie stały się twardsze. Potem skierowała spojrzenie na Salvatorego; wprost pożerała go wzrokiem. Syn Chudzielca umieścił nad ogniem patelnię i podsmażył na niej trzy ząbki czosnku oraz ostrą papryczkę. Kiedy uznał, że dostatecznie się zrumieniły, dodał cztery dojrzałe pomidory i pół szklanki wody, żeby szybciej zmiękły, i zaczął czekać, aż się zagotują. Zdjął patelnię z ognia i dorzucił posiekaną natkę pietruszki. Giovanna podeszła do niego od tyłu i powiedziała prowokująco:

- Jeśli wszystko w domu robisz równie dobrze, będziesz doskonałym mężem.

Nawet nie zwrócił na nią uwagi. Był pochłonięty swoim pokazem. Odlał makaron, który jego kuzyn ugotował w osobnym garnku, zmieszał go w rondlu z sosem i czareczkami i przez kilka sekund trzymał nad ogniem. Zrobił kilka kroków do tyłu, przyjrzał się spaghetti, dodał jeszcze szczyptę pieprzu, po czym z ukłonem zaprosił wszystkich na obiad.

- Zjecie z nami?

Nie ma mowy. Musimy lecieć, w przeciwnym razie nie zdążymy na czas do stołu, za co zapłacimy zakazem wyjścia po południu - ucięła Giovanna.

Dziewczyna wzięła widelec, nadziała na niego czareczkę, owinęła wokół niej kilka nitok makaronu i włożyła to wszystko do ust.

- Mam wrażenie, że dziś zjedlibyśmy tutaj smaczniej niż w domu - przyznała, wychodząc.

Gdy zaczęli schodzić ścieżką, zatrzymała się nagle, poprosiła Vitantonio, żeby na nią czekał, i zawróciła w stronę szafasu. Weszła do środka i ruszyła prosto na Salvatorego, który akurat nawijał na widelec makaron. Chłopak wstał i spojrzał na nią pytająco.

Rzuciła mu się na szyję i pocałowała go w usta.

- Nadal jesteś tak samo brzydki jak Żujek, ale z tą opalenizną prezentujesz się całkiem nieźle - powiedziała, po czym wyszła ze śmiechem równie szybko, jak się pojawiła.

Kiedy dogoniła Vitantonio, zobaczyła, że wypełnił stoik małżami, które zamierzał wykorzystać jako przynętę, jeśli tej nocy pójdą na ryby. Ostatnie burzowe chmury się rozwiały. Niebo jaśniało pełnym blaskiem, nie było śladu po wcześniejszym chłodzie. Znowu zaczynał doskwierać upał, jakby ubiegłej nocy nie spadła ani kropla deszczu. Przyspieszywszy kroku, dotarli do pierwszych zabudowań miasteczka. Giovanna czuła się szczęśliwa.

W Cinema Comunale

Kiedy w sali zgasły światła, Primo Camera stanął w drzwiach Madison Square Garden otoczony fanami, którzy próbowali dotknąć go zza pleców dziennikarzy i błyskających fleszami fotografów. Pojawienie się olbrzyma na ekranie Cinema Comunale w Bellorotondo zostało przyjęte ogromną wrzawą. Jego kapelusz fedora płynął ponad głowami zebranych, włoski bokser miał bowiem dwa metry i dwa centymetry wzrostu. Całe kino wstało i przez ponad minutę oklaskiwało obraz nowego mistrza świata wagi ciężkiej.

Niespodziewanie na górze ekranu ukazały się napisy i zjeżdżały na dół, zapowiadając zmianę scenerii. Publiczność wpadła w zachwyt - tym razem bokser pojawił się na plaży Long Island, zadając lewą pięścią serie szybkich ciosów workowi treningowemu. Co jakiś czas znieścacka zmienił rękę, żeby uderzyć od dołu.

- Prawy *uppercut* - pouczył Vitantonio siedzącego obok niego Giocavazza.

Potem bokser skakał przez skakankę na tej samej plaży, otoczony przez dziewczyny w kostiumach kąpielowych, i w sali ponownie wybuchła wrzawa. Widzowie usiedli dopiero wtedy, kiedy kamera najechała na jego nogi tańczące w rytm skakanki, po czym wspięła się, by pokazać z bliska zahartowaną od walki twarz, przeciętą czarnymi gęstymi brwiami. Mimo wyglądu twardziela sprawiał wrażenie dobrego chłopaka. Primo Camera był dobry.

Chwilę później wchodził na ring w Madison Square Garden w srebrnym szlafroku z błyszczącego jedwabiu. Vitantonio pochylił się i wymienił porozumiewawczy uśmiech z Frankiem, od którego dzieliły go dwa fotele. Camera był ich idolem, ryczeli jak opętani, kiedy w szóstej rundzie biedny Jack Sharkey poleciał na matę i już się nie podniósł. Zdarzyło się to dwudziestego dziewiątego czerwca 1933 roku, w dzień świętego Piotra; bohater faszystowskich Włoch zdobył wówczas błyszczący pas mistrza świata.

Od tego momentu rytm reportażu przyspieszył. Migawki z walk zmieniały się na ekranie tak szybko, że widzowie ledwo byli w stanie śledzić wydarzenia. Napisy zapowiedziały pojedynek z Maxem Baerem, który odbił się rok później, nie zobaczyli jednak zdjęć z porażki, osobiście ocenzone przez Mussoliniego. Następnie równa wymiana ciosów zilustrowała walkę z Joem Louisem z czerwca 1935 roku, jednak i tym razem film nie pokazał upadku Włocha na matę pod koniec szóstej rundy. Od tej ostatniej porażki, którą faszystowskie władze starały się zminimalizować, minęły zaledwie trzy miesiące, mimo to Vitantonio był dobrej myśli. Podzielił się swoim optymizmem z Giocavazzem.

- Kiedy dadzą mu kolejną szansę, odzyska światowy tytuł. Jest najsilniejszy.

Pod koniec kroniki filmowej powtórzono migawki z dni chwały włoskiego boksera. W sali rozległa się kolejna salwa braw, które nie uciły do chwili, aż na ekranie pojawił się Vittorio de Sica, z czarującym uśmiechem pedałujący na rowerze. Rozpoczęła się projekcja filmu

Klątwa rodziny Palmisano

Mężczyźni, co za łajdacy! Już pierwsze sekwencje okazały się cudownym balsamem, który natychmiast uspokoił bestie z Cinema Comunale w Bel lorotondo. Vitantonio, który ponownie wychylił głowę, by podzielić się z Frankiem swoim zachwytem, zauważył, że kuzyn wstał z fotela i wbija wzrok w jeden punkt na sali. Zastanawiał się, co tak przykuło jego uwagę, gdy spostrzegł, że trzy rzędy przed nimi Salvatore obejmuje plecy Giovanni.

- Gdyby to była moja siostra, zabroniłbym jej tego - oświadczył Frańco, kiedy wychodzili z Comunale. - fest synem komunisty, sam także musi nim być.

Nie zaczynaj znierpliwić się Vitantonio. - Chudzielec to dobry człowiek i dobry pracownik. Gdyby tylko w fabryce było więcej takich jak on.

Giovanna i Vitantonio od sześciu lat uczyli się w Bari, ona w Istituto Margherita, on w liceum imienia Orazia Flacca, ale ich internaty były dwoma odrębnymi światami, więc praktycznie nie widywali się w mieście. Spotykali się jedynie na Boże Narodzenie i Wielkanoc albo podczas szczególnych uroczystości, które rodzina organizowała w *palcizzo*. Przy każdym kolejnym spotkaniu coraz mocniej się ściskali. Podczas wakacji Giovanna pokazywała się od czasu do czasu w Cinema Comunale ze znajomymi Salvatorego, o pięć, sześć lat starszymi od kolegów Vitantonio. Pierwszy raz, kiedy zobaczył ich razem, poczuł bardzo nieprzyjemne ukłucie, szybko jednak o nim zapomniał. Gdyby nie chodziło o syna Chudzielca, nie zniósłby takiej sytuacji. Natomiast Franco nie mógł znieść właśnie tego, że Giovanna afiszuje się z Salvatorem.

Pobicie

Vitantonio dostrzegł Salvatorego po drugiej stronie Corso 20 Settembre i już miał przeciąć ulicę, żeby go dogonić, kiedy zobaczył, jak dwaj mężczyźni zagradzają jego przyjacielowi drogę, podczas gdy trzeci chwytą go z zaskoczenia od tyłu i unieruchamia, wykręcając mu rękę. Gdy Vitantonio otrząsnął się ze zdumienia, chciał ruszyć Salvatoremu z pomocą, ale jakiś samochód zahamował gwałtownie na środku ulicy, blokując mu przejście. Napastnicy wpełzły swoją ofiarę do auta. Został zatrzymany? Żaden z nieznanym nie miał na sobie munduru, a samochód, model fiata, którego Vitantonio nigdy wcześniej nie widział, nie wyglądał na pojazd tajnej policji. Dwaj mężczyźni usiedli z tyłu po obu stronach Salvatorego, trzeci zaś rzucił zza maski groźne spojrzenie Vitantonio, który stał nieruchomo na środku ulicy. Kiedy ostatni napastnik usiadł obok kierowcy, samochód odjechał na pełnym gazie.

Chłopak nie ruszał się jeszcze przez chwilę, nie wiedząc, co ma robić. Próbował zrozumieć to, co się wydarzyło, szukał jakiegoś wyjaśnienia, ale przychodziły mu do głowy wyłącznie czarne scenariusze. Nagle wydało mu się, że widzi za szarańczym Franca, obserwującego z ukrycia całą scenę. Ruszył biegiem w jego stronę, ale kiedy dotarł na plac, po kuzynie nie było już śladu.

Tymczasem Salvatore zauważył z przerażeniem, że wyjechali za miasteczko i skręcają w drogę do Alberobello. Starał się nie tracić opanowania, ale nie był w stanie zachować spokoju; nie rozumiał, co się dzieje. Auto zatrzymało się na pustkowiu, gdzie palono śmieci. Wtedy naprawdę się wystraszył. Cztery mężczyźni wysiedli z samochodu i siłą wyciągnęli go na zewnątrz. Salvatore nic znał żadnego z nich, nie pochodzili stąd, mogli być z Bari. Gdy zorientował się, że mają odsłonięte twarze, pomyślał, że nie przejmują się tym, że ich rozpozna, i zaczął drżeć o swoje życie. Wpadł w panikę. W tym momencie czyjaś pięść rozkwaśła mu nos i przez chwilę nic nie widział. Zmoczył się. Kolejny cios trafił go w wątrobę. Kolana ugięły się pod nim, jakby były z gumy. Kiedy upadał, dostał kopniaka w twarz; miał wrażenie, że głowa odrywa mu się od reszty ciała.

Poczuł, że brakuje mu tchu. Desperacko zaczął łąpać powietrze ustami, ale połknął dym z palonych śmieci, który przeniknął mu do płuc. Zrobiło mu się niedobrze. Potem wstrząsnęło nim kilka gwałtownych skurczów. Dostał kolejną serię kopniaków w głowę i brzuch, po czym stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, jeden z mężczyzn sikał mu na twarz, a dwaj pozostali śmiali się z szeroko otwartymi ustami. Z trudem przypomniał sobie, że są na wysypisku. Zwrócił uwagę na zepsute zęby jednego z oprawców, najgrubszego z całej trójki, przypominające mroczne jaskinie, jak domy w dzielnicy Sassi w Materze, które odkrył w dniu, gdy odwiedzili ojca zii mieszkającego w jednym z nich. Gdy otworzył ponownie usta, żeby zaczerpnąć powietrza, połknął mocz i znów zebrało mu się na wymioty. Próbował się podnieść, jednak zdał sobie sprawę, że jego ręce i nogi nie

Kłątwa rodziny Palmisano

reagują. Gość od ciemnych jaskiń jeszcze raz kopnął go w twarz i Salvatore znowu stracił przytomność.

Znaleźli go rano robotnicy opróżniający śmieciarkę. Kiedy Chudzielec i Vitantonio dotarli na miejsce, Salvatore nadal leżał związany, z ustami pełnymi odpadów. Śmieciarze nie ruszali go, bojąc się, że nie żyje. Ojciec zabrał go do domu i wezwał doktora Ricciardiego. Kilka miesięcy później lekarz wyznał Salvatoremu:

Kiedy cię zbadałem i zobaczyłem, jak oddychasz, pomyślałem, że złamane żebra przebiły płuca. Dawałem ci najwyżej dwadzieścia cztery godziny życia.

- Pasuje ci rola wszechmogącego Boga, doktorze! Wolę ciebie od tego prawdziwego! - powiedział ze śmiechem Salvatore.

Lekarz nie do końca zrozumiał.

- Boga? - zapytał.

- No przecież. Ty jesteś Bogiem, bo przywróciłeś mi życie, a ratując mnie, odebrałeś je skurwysynowi o zepsutych zębach, który tak mnie urządził. Bo przysięgam ci, że go znajdę i zabiję!

Jesienią Franco przeniósł się do szkoły w Rzymie. Rok później, ku zaskoczeniu wszystkich, postanowił pojechać na wojnę do Hiszpanii.

W dzień pożegnania *norma*, która dobrze wiedziała, że wnukowi brakuje charakteru, wyznała Giovannie:

- Wojny nigdy nie są dobre, a tym bardziej dla twojego biednego kuzy-
na. To tchórz, i wszyscy o tym wiedzą, ale udaje chojraka, żeby upodobnić się do Vitantonio. Dlatego kilka miesięcy temu wyjechał do Rzymu pod pretekstem nauki. A teraz wybiera się na wojnę do Hiszpanii. Nie wiem, co zamierza robić pośród ochotników, pewnie uczepli się spodni jakiegoś kapitana i zostanie jego lokajem, jest zdolny do wszystkiego, byle tylko nie zbliżyć się do linii frontu. Nie rozumiem, jak Vitantonio z nim wytrzyma. Twój brat złości się na niego, ale jako jedyny wszystko mu wybacz.

Kolo Dziedziców

Właściciele ziemscy i handlarze z Bari należeli do Koła Kulturalnego Dziedziców, prestiżowego stowarzyszenia, które wbrew pretensjonalne mu przymiotnikowi wchodzącemu w skład widniejącej na fasadzie nazwy dużo bardziej mż kulturę promowało hazard i pogawędki przy stole. Tutejsze partie karciane były słynne w całej okolicy, podobnie jak spotkania towarzyskie, w czasie których rozmawiano głównie o sytuacji gospodarczej i trudnościach, jakie mieli pracodawcy ze znalezieniem posusznych, oddanych robotników. O polityce wspomniano natomiast tylko w kontekście dyskusji o konfliktach międzynarodowych - dzięki tym debatom członkowie Kola czuli się bardziej światowi. Byli podzieleni na zwolenników sojuszu Rzym-Berlin, który Mussolini zamierzał podpisać z nazistowskimi Niemcami, i tych, którzy woleliby przywrócić dobre stosunki z Anglią; wszyscy jednak zgodnie popierali ekspansjonistyczne plany Duce dotyczące południa Francji, basenu Morza Śródziemnego i oczywiście Afryki Wschodniej.

Dyskusje odbywały się w salonie i bibliotece, z której zasobów nie korzystano, nie licząc gazet. Jeżeli któryś z członków podchodził do regału i sięgał po książkę, robił to zazwyczaj po to, by poszukać informacji mających pomóc mu w wygraniu sporu, który utknął w martwym punkcie z braku niepodważalnych argumentów. Po kolacji organizowano równolegle dwie lub trzy partie, rozgrywane za zamkniętymi drzwiami w salach specjalnie przygotowanych do gry, odkąd stawki poszły w górę i jeden ze starych właścicieli ziemskich postawił swoją *masserie*.

Po zakończeniu partii spotykali się w salonie z kieliszkiem koniaku czy grappy w dłoni i hawańskim cygarem w ustach i rozprawiali o kartach, aż wreszcie niektórzy uczestnicy wymykali się niepostrzeżenie do ogrodu, miejsca niezwykle przyjemnego zwłaszcza latem, gdzie dwie lipy i olbrzymi wawrzyn zapewniały błogi cień. Jednak członkowie klubu lubili je nie ze względu na temperaturę, ale na tylne wyjście łączące dyskretnie ogród z dziedzińcem sąsiedniej posiadłości, mniejszym, ozdobionym po kobiece- mu, z miniaturowymi różami w doniczkach i hortensjami w skrzynkach. Ściany pokrywało dzikie wino, a w kącie stała fontanna z wodą tryskającą z ust syreny i spływającą do zbiornika pełnego czerwonych i czarnych ryb.

Wczesnym popołudniem albo po kolacji członkowie klubu w pośpiechu przecinali oba ogrody i tą drogą dyskretnie wchodzili do domu Pięksnej Antonelli, atrakcyjnej wdowy po zbankrutowanym handlarzu ubraniami, która prowadziła najbardziej znany dom schadzek w mieście. Główne wejście znajdowało się przy sąsiedniej ulicy, jednak do czasu, aż zapadała ciemna noc i sąsiedzi szli spać, nikt z niego nie korzystał. Gdyby dziewczęta przyjmowały wyłącznie klientów, którzy wchodzili drzwiami od ulicy, wdowa przeobrażona w *madame* musiałaby zamknąć swój interes; na szczęście ogród klubu dostarczał Pięksnej Antonelli najlepszych klientów z całej Apulii.

Kłątwa rodziny Palmisano

Większość kolegów Vitantonio z internatu chodziła do liceum imienia Orazia Flacca w Bari. Spali, jedli i uczyli się, przestrzegając żelaznej dyscypliny narzuconej przez księżę. Codziennie po wyjściu z internatu ruszali do szkoły mieszczącej się przy nadmorskiej promenadzie. Ponieważ siedzieli w porządku alfabetycznym, towarzyszem Vitantonio ze szkolnej ławy został niejaki Aurelio Cavalli. Pochodził z samego Bari i mieszkał tuż obok przybytku Pięknej Antonelli. Jego matka była krawcową, a okna jej pracowni wychodziły wprost na ogród klubu i potajemny eden przy domu schadzek. Chłopak miał smykałkę do handlu, szybko więc dostrzegł szansę na ubicie interesu - kiedy pani Cavalli wychodziła odwiedzić klientki, żeby wziąć miarę, jej syn brał pieniądze od kolegów za możliwość podglądania dziwek z okna jego domu.

W drodze ze szkoły do internatu Vitantonio i jego koledzy musieli minąć dom Cavallego, wkrótce więc zostali jego najlepszymi klientami. Z pracowni krawieckiej podglądali prostytutki, które ni stąd, ni zowąd wychodziły do ogrodu w halkach, i śmiali się nerwowo, patrząc, jak rozpuszczają włosy i nawzajem się czeszą. Kiedy za oknami na piętrze zapalały się lampy, czekali w napięciu, próbując uchwycić moment, gdy dziewczyny będą się rozbierać. Efekty tego czuwania były znikome, ale wyobraźnia robiła swoje i chłopcy podniecali się tak, jakby byli w podgląd danym pokoju i mogli bez przeszkód kontemplować nagość dziwek. Zwłaszcza kiedy przebierała się Isabeila Dardicce, najmłodsza ze wszystkich, słodka jak pyszny owoc, który zachęca, by go ugryźć.

Najbardziej aktywni członkowie klubu z pracowni krawieckiej wkrótce znaleźli sobie nową rozrywkę - obserwowali przez okno przychodzących i wychodzących mężczyzn, a potem wyśmiewali się ze szkolnych kolegów, których ojcowie byli najwierniejszymi klientami burdelu. Któregoś dnia, podglądając mężczyzn, Vitantonio ze zdumieniem zobaczył, jak budynek klubu opuszcza stryj Angelo; przeszedł przez furtkę w małym ogrodzie i poufale przywitał się z dziewczynami.

- O kurwa, stryj Angelo! - wyrwało mu się.

Świadkiem całej sceny był Pasquale Raguseo. Należał do jednej z niewielu rodzin wieśniaków z doliny Itria, którym wiodło się dobrze dzięki winnicom. Mieszkał w tym samym internacie co Vitantonio. Czym prędzej wychylił głowę przez okno pracowni i krzyknął:

Stryju Angelo! Stryju Vitantonio!

Vitantonio spuścił głowę - umierał ze wstydu.

- Jesteś bydlakiem! Teraz będzie wiedział, że go szpieguję.

Na konsekwencje tego incydentu nie trzeba było długo czekać. Następnego dnia krawcowej złożył wizytę prezes Koła Dziedziców i zażądał od niej dyskrecji, jeśli chce zachować renomę i pracę.

Krawcowa, przed którą otwierają drzwi wszystkie domy w mieście, nie może niczego widzieć ani słyszeć. Musi zachować tajemnicę spowiedzi, jak kapłan - zagroził biednej kobiecie, która płakała i przysięgała, że to się więcej nie powtórzy.

Tego samego dnia młody Cavalli z zalem zamknął swój interes.

Drugą konsekwencją całego zajścia Vitantonio poznał w następną niedzielę w *palazzo*. Po obiedzie stryj Angelo wstał od stołu, wziął go za ramię i zaprosił do swojego gabinetu.

- Chodź, zapalisz sobie moje kubańskie cygaro.

Kłątwa rodziny Palmisano

Vitantonio stanął osłupiały. Nigdy nie lubił stryja i przyjmował za pewnik, że ten brak sympatii jest obustronny. Usiedli naprzeciwko siebie i Angelo zapalił mu cygaro. Chłopak pocił się i zastanawiał, jak długo potrwają ta demonstracja życzliwości i w którym momencie przejdzie w wybuch gniewu. Tymczasem, ku jego zaskoczeniu, stryj nalał mu kieliszek armaniaku, który przysyłał francuscy dostawcy, i przybrał pouczający ton.

- Jesteś już dorosły i na pewno brakuje ci ojca. Są rzeczy, o których by ci powiedział, może nadszedł moment, żeby zrobić to inny członek rodziny, jak ci idzie z dziewczynami?

Vitantonio zachłysnął się i nie potrafił ukryć zaskoczenia. Nie wiedział, czy powinien wyznać, że Salvatore zabrał go kilka razy do owianego złą sławą lokalu na obrzeżach Bellorotondo. Wahał się. Chciał zyskać na czasie, żeby sprawdzić, do czego stryj zmierza; uznał, że najlepiej będzie postępować ostrożnie i udawać niewiniątka.

- Posłuchaj, stryju... ja...

- W porządku, widzę, że nigdy nie byłeś z kobietą. Może nadeszła pora, żebym ci kogoś przedstawił. Dam ci adres, powiesz, że to ja cię przysłałem. Ale nie mów o tym Francowi, są pewne sprawy między mężczyznami, których ojciec i syn nie powinni ze sobą dzielić.

Angelo zachęcał go, żeby poszedł na dziwkę? Vitantonio nie wierzył w tę nieoczekiwaną propozycję. Mózg działał mu na pełnych obrotach, aż nagle poczuł przyływ inspiracji.

- Bardzo stryjowi dziękuję, ale nie mogę tego zrobić w Bellorotondo.

Nie chciałbym, żeby dowiedziała się *zia*, byłaby bardzo zdegustowana.

- Musisz przejść inicjację... Nie ma jakiegoś miejsca, gdzie czułbyś się swobodniej?

- Może w Bari. Słyszałem, że za Corso Vittorio Emanuele jest taki dom, bardzo dyskretny, zwłaszcza jeśli wejdzie się od strony Koła Dziedziców...

Nawet jeżeli go zaskoczył, Angelo nie dał nic po sobie poznać. Skinął jedynie głową, a dwa dni później zabrał Vitantonio do Koła Kulturalnego Dziedziców

- Chłopak jest dobrym uczniem, zasługuje na ten dowód naszego zaufania. Zapisałem go do klubu i poradziłem mu, żeby od czasu do czasu przychodził uczyć się do naszej biblioteki - oznajmił Angelo kolegom podczas partii kart. - Będzie mógł przysłuchiwać się rozmowom i w ten sposób uzupełnić swoje wykształcenie.

Vitantonio myszkował po bibliotece, ale po chwili ukradkiem wyszedł do ogrodu. Gdy znalazł się po drugiej stronie małej furtki łączącej oba patia, w drodze na miotną schadzkę z Isabellą Dardicce na rachunek stryja odwrócił się, spojrzął na piętro sąsiedniego domu i pomachał Cavałlemu, który szpiegował go z okna.

Następnego dnia o wszystkim wiedziała cała szkoła i kiedy po dwóch pierwszych porannych lekcjach Vitantonio wyszedł na dziedziniec, koledzy powitali go głośnie brawami i mnóstwem zazdrosnych spojrzeń.

Kłątwa rodziny Palmisano

Jeśli stryj Antonio mówił, że wybiera się do miasta, nikt nie wiedział, czy ma na myśli Bari, Brindisi czy Tarent. Niezależnie od tego, czy jechał na obiad w interesach, czy miał spędzić czas w klubie, czy też wziąć udział w jakimś politycznym zebraniu, żaden członek rodziny nigdy mu nie towarzyszył ani o nic go nie pytał, w związku z czym nie mieli pojęcia o jego eskapadach. Do czasu, kiedy Vitantonio nakrył go w ogrodzie. Od tamtej pory stryj zaczął nieoczekiwanie interesować się bratankiem. Angelo desperacko szukał kogoś, kto miałby dobry wpływ na jego syna, który ni stąd, ni zowąd wyjechał uczyć się do Rzymu, a skończył na wojnie w Hiszpanii. Franco w każdej chwili mógł wrócić do Bellorotondo.

Od czasu tego incydentu, za każdym razem, gdy Angelo przyjeżdżał do Bari w interesach, posyłał po Vitantonio i zapraszał go do najlepszych restauracji w mieście. Księża nie robili problemów, uważali, że relacje między mężczyznami z różnych pokoleń jednej rodziny korzystnie wpływają na proces kształcenia przyszłych właścicieli miejscowego przemysłu. Angelo zabierał też czasami chłopca na spotkania z klientami i delegatami z zagranicznych zakładów drzewnych.

Vitantonio nadal jednak mu nie ufał. Nigdy się nie rozumieli. W biurze Zakładów Drzewnych Convertinich stryj Angelo potrafił utrzymać dyscyplinę narzuconą przez *normę*, był jednak kapryśny i nieśmiały, jeśli chodzi o podejmowane decyzje. Przede wszystkim zaś bezwzględnie traktował robotników, w przeciwieństwie do *Signory* Angeli, która choć trzymała ich na dystans, dbała o swoich ludzi, jakby byli najcenniejszym dobrem fabryki.

Angelo tak bardzo przyzwyczał się do obecności bratanka podczas swoich wypadów do miasta, że któregoś dnia poprosił go, żeby poszedł z nim do lekarza. Opuścił gabinet skołowany - pielęgniarka wręczyła mu saszetkę z preparatem, który miał rozpuścić w wodzie i wypić przed udaniem się do radiologa na rentgen żołądka. O ile w biurze tartaku był despotyczny i wymagający, to poza nim do niczego się nie nadawał. Nie wiedział, jak zażyć proszek, powiedział więc do Vitantonio:

- Chodźmy do Albergo delle Nazioni.

Dwadzieścia minut później siedzieli w sali jadalnej najlepszej restauracji w Bari, która o tej porze była całkowicie wyludniona. Kelner w białych rękawiczkach przyniósł srebrny dzbanek i rozpuścił w wodzie zawartość saszetki. Podał mu preparat w kieliszku, który napełniał trzykrotnie, dopóki Angelo wszystkiego nie wypił.

Zdjęcia rentgenowskie nie wykazały niczego groźnego i żeby to uccić, kilka dni później stryj znów zabrał Vitantonio do Albergo delle Nazioni. Tym razem przyszli w porze obiadu; w połowie posiłku Angelowi zebrało się na szczerą rozmowę. Chłopak bał się, że stryj będzie go wypytawał o miłosne przygody, ale ku jego zaskoczeniu zaczął mówić o Francu 1 rodzinnym interesie.

- Chcę, żebyś rzucił szkołę i pracował w fabryce. To jedyny sposób, jaki przychodzi mi do głowy, żeby ściągnąć do niej Franca. Czas najwyższy, żeby przestał szwendać się z żołnierzami i zajął miejsce należne mu jako dziedzicowi Zakładów Drzewnych Convertinich. Dobrze się dogadujecie, przy tobie czuje się pewnie. Któregoś dnia odziedziczy firmę, a wtedy ty zostaniesz jego prawą ręką i będziesz dostawał godziwe wynagrodzenie.

Kłątwa rodziny Palmisano

Stryj delikatnie podniósł sztućce, jak przystało na mężczyznę z dobrej rodziny, i skupił uwagę na kuropatwach, które od jakiegoś czasu krzyczały z talerza: „zjedz mnie”. Ale gdy tylko włożył widelec do ust, zniknęła etykieta właściwa obiadom w *palazzo*. Jadł zachłannie, nie podnosząc łokci ze stołu, nie kontrolował odgłosów, jakie wydawał przy przeżuwanu. Vitantonio uznał to za odrażające. Zebrał się w sobie i odpowiedział:

- Zamierzam studiować prawo. Chciałbym bronić chłopów z Apulii. Prawo? Bronić chłopów? Czy ty oszalałeś? Co to za praca?
- Taka, jaką chcę wykonywać. Chciałbym pomagać biedniejszym chłopom w poprawieniu ich sytuacji i bronić ich przed nadużyciami ze strony właścicieli ziemskich, którzy nie mieszkają w naszym regionie i umywają ręce od wszystkich problemów.
- Nie ma mowy! Nie opowiadaj bzdur! Członek rodu Convertinich nie może zrezygnować z rodzinnego interesu i pracować dla biednych nieszczęśników, którzy nigdy do niczego nie dojdą.
- Już postanowiłem, nie zamierzam rzucać nauki. Franco jest wystarczająco dorosły, może sam prowadzić interes, i ma do tego większe predyspozycje, niż sądzisz. Gdybyś poświęcał mu więcej uwagi, nie musiałby wyjeżdżać do Hiszpanii z ochotnikami, żeby odzyskać poczucie własnej wartości.

Odkąd faszyci napadli na Salvatorego, Vitantonio zmęzł, stracił niewinność. Teraz zaskoczyły go własne słowa. Podniósł głowę i wyzywająco spojrzął na stryja. Zauważył, że ten oddycha z trudem, i zdał sobie sprawę, że przytył jak wieprz miał okrągłe różowe policzki, podwójny podbródek zwisał mu tak, że zasłaniał szyję, a oczy i usta wydawały się mikroskopijne pośrodku komicznej, nabrzmiałej jak balon twarzy.

- W fabryce będziesz zarabiał dużo pieniędzy... powiedział Angelo, próbując sprowadzić rozmowę na inne tory.
- Sam ciesz się swoimi pieniędzmi! - uciął Vitantonio.

Stryj Angelo poczuł się onieśmielony. Na jego twarzy pojawił się dziwny grymas, a prawym okiem zawładnął nerwowy tik. Nigdy nikt nie postawił mu się z takim zuchwałstwem. Tym bardziej dziewiętnastoletni smarkacz. Ale musiał przekonać bratanka, udał więc, że nie przykłada wagi do jego słów.

- Bycie prawą ręką właściciela Zakładów Drzewnych Convertinich to nie zabawa. Z czasem zaczniesz prowadzić swoje własne inwestycje i zgromadzisz pokaźny majątek. Pewnego dnia przybędą ci rodzinne obowiązki i będziesz musiał stanąć na wysokości zadania. Powinieneś szybko nauczyć się zawodu, a kiedy Franco wróci z Hiszpanii, przekażesz mu całą swoją wiedzę.

- *Norma* i *zia* także chcą, żebyś skończył studia. Podjąłem już decyzję, że zostanę adwokatem.

- One zrobią, co ja im powiem. Ty powinieneś postąpić tak samo! Jako członek tej rodziny musisz wykazywać więcej dumy.

- A czy duma nie powinna kazać mi być kimś więcej niż tylko podwładnym mojego kuzyna?

Wiatry z południa

Od dwóch lat panowała susza, z północy Afryki nadciągały palące wiatry. Drzewa oliwne w dolinie każdego ranka spuszczały liście ku ziemi, by chronić się przed słońcem i utrzymać resztki wilgoci, jaka im została; nocą znów zwracały się w stronę gwiazd, jakby błagały o kilka kropeł rosy, ale te nie spadały. Z punktu widokowego w Bellorotondo rozstaczała się niesamowita panorama - w południowym słońcu liście wydawały się srebrne i lśniły jak Adriatyk. Widziane z bliska, były szarzielone. Od kilku dni oliwki traciły kwiaty z powodu braku wody; chłopci wiedzieli, że drugi sezon z rzędu zbiory będą bardzo skromne. Nie wytrzymywali tego nerwowo, toteż byle iskra mogła doprowadzić do tragedii.

Także w *palazzo* lepki upał wpływał na samopoczucie mieszkańców. *Nonna* co ranka wychodziła na taras i wpatrywała się w horyzont w nadziei na zmianę pogody, która jednak nie następowała. Przez całą wiosnę z cystern płynęła mętna woda, ale któregoś czerwcowego dnia i ona wreszcie się skończyła. Angola uznała to za niepowetowaną stratę i od tamtej pory kazała ciągle zamiatać ogród i plac, aby kiedy wreszcie nadejdzie burza, nie uronić ani jednej kropli deszczu. Wychodziła o świcie na taras, zaciskała dłoń na balustradzie i z tego szczególnego obserwatorium dyrygowała służącymi. Gdy wracała do swojego pokoju, na podłodze balkonu zostawały uschnięte kwiaty, które odruchowo odrywała od pnączy glicynii, także cierpiących z powodu odwodnienia.

W południe wychodziła do ogrodu kuchennymi drzwiami w nadziei na odrobinę powietrza, które złagodziłoby wrażenie duszności, jaką odczuwała w domu. Żeby nie marnować więcej wody, pewnego gorętszego niż inne ranka opróżnili sadzawkę. Następnego dnia, przyglądając się pustej fontannie pokrytej suchymi liśćmi, *nonna* machinalnie przycisnęła żelazną dźwignię; z kranika wydobył się metaliczny, chropawy odgłos przypominający zwierzęcy skowyt. Wystraszona, szybkim krokiem ruszyła w stronę ganku, jakby uciekała przed nieszczęściem.

Kiedy dotarła do miejsca, gdzie rosły azalie, wydała okrzyk, który odbił się echem w brukowanych uliczkach starej części miasteczka - kwiaty Pani Bellorotondo więdły, na ziemię zaczynały opadać żółte liście. Najcenniejsza z roślin *nonny* wyglądała na zwiotczałą i chorą, Angela przestraszyła się, że przez tę przeklętą suszę kwiat został skazany na śmierć. Krzyk zaalarmował służbę. Kucharka i służąca wyszły wystraszone na ganek i zobaczyły, że ich pani stoi wyprostowana przy roślinach. Z rękami w górze, z zaciśniętymi pięściami spoglądała w niebo, rzucając wyzwania Stwórcy:

- Cóż takiego zrobiłam, żeby zasłużyć na tę karę? Co masz mi do zarzucenia? - protestowała Pani Bellorotondo. - Czyżby moja wina polegała na tym, że wbrew wszelkim przeszkodom hoduję najświętsze kwiaty do twoich kościołów? Czy zgrzeszyłam dumą, nie chcąc pogodzić się z fatum tego nieszczęsnego regionu? Czy zgrzeszyłam pychą, tworząc raj pośród suchej ziemi, skazanej na brak jakiegokolwiek rzeki? Mam się poddać jak wszyscy ci chłopcy, których stworzyłeś zrezygnowanych i ubogich duchem?

Kłątwa rodziny Palmisano

Gdy służące zobaczyły, że drży, chciały ją podtrzymać, ale je odepchnęła.

- Niech przygotują mi samochód - zażądała. - Jadę do fabryki.

Dotarli do magazynu, wtargnęła do biura Angela i kazała mu napełnić cysterny *palazzo* wodą.

- Przywieź ją z rzeki Bradano albo ze źródła w Torre Canne. Gdyby to nie wystarczyło, każ ją sprowadzić z Abruzji. Jeśli będzie trzeba, zabierz zbiorniki nad brzegi Padu albo niech szukają wody w sercu Alp. Rób, co uznasz za stosowne, ale chcę widzieć cysterny *palazzo* wypełnione po brzegi. I to jutro! Zanim cały ogród umrze z pragnienia!

Podczas gdy Pani BeLlorotondo dyskutowała z Bogiem i obwiniła go o skazanie na śmierć jej azalii, mieszkańcy *trulli* rozpaczali, albowiem drzewom oliwnym nie wystarczyła już zmiana ułożenia liści, innego w dzień, innego w nocy. W niektórych gajach drzewa zaczęły żółknąć, a kwiaty od wielu dni leżały na ziemi. Chłopi bali się marnych zbiorów, ale w przeciwieństwie do *Signory* Angeli nie mieli bezpośredniego połączenia ze Stwórcą i nie byli z nim w na tyle zażytych stosunkach, żeby obwinić go o tak niezasłużoną karę. Nie ufali przy tym pośrednikom, takim jak ojciec Constanzo. Rektor kościoła Niepokalanej wraz z innymi duchownymi z doliny odprawiał msze i wołał o deszcz, modląc się do wszystkich świętych z kalendarza. Mieszkańcy Apulii spoglądali z rezygnacją w niebo i przeklinali los, który sprawił, że urodzili się na tej wyschniętej ziemi.

Kiedy następnego ranka do *palazzo* dotarł pierwszy zbiornik z wodą z rzeki Bradano, *norma* kazała natychmiast wylać ją w ogrodzie. O tej samej porze w kuchni domu przy Piazza Santa Anna Donata i Giovanna łuskały przeznaczony do suszenia bób - nakłuwały każde nasiono nożem i dzieliły je na dwie części. Doktor Ricciardi wszedł z poważną miną, nie starając się nawet ukryć, że przynosi im złą nowinę.

- Mały Michele popełnił samobójstwo.

Obie wydały z siebie stłumiony okrzyk. Donata ukryła twarz w dłoniach. Giovanna upuściła nóż, tak że wbił się w stół. Wstała zmieniona na twarzy.

- Jak to popełnił samobójstwo?! - zawołała. - To znaczy, że nie żyje? Mały Michele? Mój Michele?

- Mówią, że od tygodni słyszano, jak płacze nocami - tłumaczył doktor Ricciardi. - Wczoraj rano, kiedy wyszedł z owcami, puścił się biegiem i rzucił do wąwozu. Gdy mężczyźni dotarli na brzeg przepaści, zobaczyli jego roztrzaskane ciało na dnie, w suchym korycie rzeki. Nie mogli nic zrobić, żeby go uratować.

Giovanna poczuła nagłe ułkucie i złapała się ręką za brzuch; setki sztyletów, jeden za drugim, przesywały jej żołądek. Zgięła się wpół, przyłożyła dłoń do ust i wymiotowała. *Zia* wstała, żeby przytrzymać ją za głowę, a Ricciardi pobiegł po mokrą szmatkę, żeby przemyć jej twarz. Objęli płaczącą rozpaczliwie dziewczynę; im również popłynęły łzy.

Kłątwa rodziny Palmisano

- Nie wiem, jak mógł to wytrzymać przez tyle czasu. Nie zdawali sobie sprawy, że to jeszcze dzieciak, że potrzebuje matki? Miał zaledwie sześć lat, kiedy zabrano go do tej okropnej *masserii* i zostawiono samego z tymi wszystkimi mężczyznami. Powinniśmy byli do tego nie dopuścić!

Ricciardi przyznał jej rację.

- Nawet pies nie zasługuje na takie życie, porzucenie przez wszystkich.

Kiedy dotarli do *trullo* Galassów, żeby złożyć kondolencje rodzinie, zobaczyli zawodzące głośno kobiety, które czuwały przy niedawno przywiezionych z Altamury zwłokach. Giovanna nie miała odwagi wejść do środka, zaczęła na podwórzu, w kącie, z dala od mężczyzn z *contrady*, którzy siedzieli w milczeniu ze wzrokiem wbitym w ziemię. Stojący pośrodku grupy Salvatore wygłaszał do zawstydzonych ludzi płomienną mowę. Obarczał ich winą za to nieszczęście, zarzucał fatalistyczną rezygnację, z powodu której zawsze chodzą ze spuszczoną głową. Galasso, ojciec chłopca, wyglądał na najbardziej zrezygnowanego.

- Nie mogliśmy nic zrobić. Michele od urodzenia był wątlą, zawsze uczepiony spódnicy matki.

Kobiety krzychały coraz bardziej histerycznie. Giovanna pomyślała, że w końcu wystraszą biednego Michelego swoim płaczem, i postanowiła wejść do środka. Stała przed ciałem i poprosiła chłopca o wybaczenie:

- Obiecałam ci, że zajdziesz daleko, a nie skończyłeś nawet ośmiu lat.

Wybiegła na podwórze, chwyciła Salvatorego za ramię i odciągnęła go na bok.

- Chcę, żebyś wprowadził mnie do partii. Zrobię, co będzie trzeba, od tej chwili poświęcę wszystkie siły walce z łajdakami, którzy skazują tę ziemię na cierpienia.

Niedyskrecja

W pierwszych dniach grudnia 1938 roku ojciec Felice przeszedł kolejny udar, został sparaliżowany do połowy i już nie wstał z łóżka. Na Boże Narodzenie Donata i dzieci przenieśli się do *palazzo*, by pomóc *normie*, która uparła się, że będzie sama doglądać brata. Po świętach *zia* wróciła do domu, a Vitantonio na uniwersytet. Był to jego pierwszy rok na wydziale prawa, nie chciał opuścić nawet jednego wykładu. Natomiast Giovanna została jeszcze na kilka dni w Bellorotondo, by dotrzymać towarzystwa babci i pomóc jej przy ciętym dziadku, który coraz bardziej tracił siły; wszystko wskazywało na to, że nieubłaganie zbliża się do końca swoich dni.

Przez czas, który spędziły razem w *palazzo*, Giovannę i *normę* cieszyło ciche porozumienie, jakie zawsze między nimi istniało. Po śniadaniu Giovanna siadała na tarasie i czytała, korzystając ze styczniowego słońca, które ogrzewało ogród, rozmyślnie założony po południowej stronie domu. Okładka książki w kolorowy papier, by ukryć, że czyta zakazaną literaturę, którą przywiozła sobie z Bari, i odsunąć w czasie moment, gdy babcia odkryje, że zamiast D'Annunzia pochłania dzieła Baudelaire'a, Moravii i innych niezbyt godnych polecenia autorów. Około południa wychodziła na spacer i zaglądała do domu przy Piazza Santa Anna, by zjeść z *zią* obiad. Wczesnym popołudniem wracała do *palazzo* i znów trochę czytała, a *nonna* w tym czasie przyjmowała gości albo szła z wizytą do którejś z przyjaciółek.

O zmierzchu obie zamykały się w gabinecie i odpowiadały na korespondencję skierowaną do ojca Felicego, niespodziewanie obfitą od czasu, kiedy rozeszła się wiadomość o jego drugim udarze. Dłuższe listy Giovanna czytała na głos, babcia miała bowiem zmęczone oczy i z trudem odcyfrowywała tekst. Pisała również odpowiedzi, które dyktowała jej *nonna* - Angela uważała, że ponieważ drży jej ręka, jej charakter pisma nie jest dostatecznie elegancki.

Ojciec Felice zmarł w dzień Objawienia Pańskiego. Nadeszło tyle listów kondolencyjnych, że obie kobiety poczuły się przytłoczone. Wierni z poprzednich parafii księdza kreślili tylko po kilka linijek na wizytówce, natomiast przyjaciele rodziny i byli uczniowie seminarium przysyłałi bardzo długie kondolencje, toteż odpowiedzenie na wszystkie zajęło im dwa tygodnie.

Giovanna i Angela spędzały razem wiele godzin w gabinecie *palazzo* i czerpały z tej intensywnej pracy ogromną pociechę. Pewnego popołudnia, kiedy już prawie uporały się z korespondencją, roztargnienie *nonny* wywołało prawdziwe trzęsienie ziemi. Tego dnia, po powrocie z obiadu u *zii*, Giovanna odkryła w holu wiadomość; babcia wybrała się do kancelarii parafialnej i zostawiła jej do przepisania list. Przy okazji *nonna* dopuściła się niewybaczalnej niedyskrecji.

Cara Giomna!

Przepisz ten list na czysto; jeśli zdepysz, zanieś go sama na pocztę. Ja muszę iść do kancelarii proboszcza Niepokalanej, żeby zamówić mszę za

Kłątwa rodziny Palmisano

duszę ojca Felicego, potem przy okazji odwiedzę Marię, która od kilku dni leży w łóżku z zapaleniem płuc. Wrócę na kolację, przed siódmą.

Nonna Angela

Giovanna usiadła w gabinecie, zapaliła lampkę na biurku i zabrała się do przepisywania listu skierowanego do biskupa Otranto, przyjaciela ojca Felicego z czasów młodości, kiedy razem studiowali w seminarium w Padwie.

Bellorotondo, 18 stycznia 1939 r.

Do Jego Ekscelencji Przewielebnego Biskupa Otranto

Proszę Waszą Ekscelencję o wybaczenie zwłoki w odpowiedzi na list, do której w normalnych okolicznościach nigdy by nie doszło. Piśzę, by przekazać Księdzu Biskupowi szczegółowe informacje o śmierci naszego ukochanego ojca Felicego (Panie, świeć nad jego duszą). Jak Księdzu Biskupowi wiadomo, opuścił nas w dzień Objawienia Pańskiego, by szukać pokoju w naszym Panu, Jezusie Chrystusie, któremu zawsze służył wiernie i z entuzjazmem. Ksiądz Biskup mógł się sam o tym przekonać w ciągu tylu lat przyjaźni i współpracy. Przed Bożym Narodzeniem doznał kolejnego udaru; niestety, już nie był w stanie podnieść się z łóżka, choć jasność umysłu i pamięć zachował nienaruszone aż do ostatniego tchnienia. Tylko ciało od jakiegoś czasu było dla niego bezużytecznym ciężarem.

Ojciec Felice zmarł krótko po lekturze listu Księdza Biskupa, który dodał mu sił i bardzo go ucieszył. Ja również dziękuję za życzenia pomyślności przesłane nam z okazji świąt Bożego Narodzenia, które jeszcze dane nam było spędzić razem. Proszę być pewnym, że doskonale pamiętał Księdza Biskupa do ostatniego dnia i że polecał Waszą Ekscelencję Najwyższemu.

Raz jeszcze proszę o wybaczenie zwłoki, ale w tych dniach bawili u mnie wnuczka i przybrany wnuczek. To dla mnie wielka radość, której od kiedy studiują w Bari...

Giovanna poczuła ucisk w piersiach, w płucach zabrakło jej powietrza. Ponownie spojrzała na tekst i przeczytała raz jeszcze: *przybrany wnuczek*. Te dwa słowa dudniły jej w głowic niczym uderzenia młotem. Gabinet za czał wirować jej przed oczami. Chwilowe zamroczenie niemal pozbawiło ją świadomości, a kiedy zdołała w końcu złapać oddech, powróciła do lektury z nadzieją, że znajdzie w liście jakieś wytłumaczenie.

...proszę o wybaczenie zwłoki, ale w tych dniach bawili u mnie wnuczka i przybrany wnuczek. To dla mnie wielka radość, której od kiedy studiują w Bari, nie zaznaję tak często, jak bym tego chciała, dlatego poświęcałam im cały wolny czas. Proszę przyjąć moje przeprosiny i życzenia wszystkiego najlepszego na zaczynający się rok 1939.

Szczerze oddana

Angela Giustiniana, wdowa po Convertinim

Przez jakiś czas siedziała przy biurku wbita w fotel, oddychała z trudem, nie będąc w stanie zrozumieć, co się stało. Wreszcie wstała, wybiegła z *palazzo* i zatrzymała się dopiero przed drzwiami domu *zii*.

Kłątwa rodziny Palmisano

- Co to znaczy „przybrany wnuczek”?! - krzyknęła, wchodząc. - Dlaczego *norma* pisze, że Vitantonio jest jej przybrany wnuczkiem? Rzuciła się na zię i zaczęła walić ją pięściami w klatkę piersiową, powtarzając coraz bardziej natarczywie:
 - Co *nonna* chciała przez to powiedzieć? Co znaczy, że Vitantonio jest jej przybrany wnukiem? Co przed nami ukrywaliście?
- Donata się przeraziła. Co też, do licha, powiedziała jej ta przeklęta Angela Convertini? To nie powinno było się zdarzyć. Mocno objęła Giovannę i posadziła ją przy stole w kuchni, jak wtedy, gdy była małą dziewczynką.
- Przeplakały całą noc; Donata opowiadała, nie pomijając żadnego szczegółu, o losach rodziny i klątwie ciążyącej na Palmisanach. Dwanaście godzin później, kiedy wstały od stołu, zza gajów oliwnych pod Cisternino zaczynało wschodzić słońce. Giovanna parsknęła nerwowym śmiechem.
- Wiesz co? Czasami, gdy patrzyłam na Vitantonio, nie byłam w stanie zobaczyć w nim brata. Zawsze zastanawiałam się dlaczego.
 - To jest twój brat! Nie zapominaj o tym!
- Stały przez jakiś czas twarzą w twarz, patrząc na siebie. W końcu Giovanna przerwała milczenie:
 - Nie wiem, czy nienawidzę cię za to, że mnie okłamywałaś, czy kocham cię bardziej za to wszystko, przez co musiałaś przejść. Jesteś jak ta matka, która poprosiła króla Salomona, żeby oddał jej dziecko innej kobiecie, bo nie chciała dopuścić, by rozplątano je mieczem... Jak mogłaś się wyrzec swojego syna? Jak wytrzymałaś to cierpienie?
- Wszyscy mężczyźni w rodzinie zginęli. Vitantonio jako jedyny ocalał, ale też był skazany.
 - Kłątwa rodziny Palmisano... Pomyśleć, że krążące po miasteczku plotki okazały się prawdą...
 - Kłątwa rodziny Palmisano to nie jest czcza gadanina. Zginęli wszyscy, dwudziestu jeden. Jeden po drugim. - Oczy Donaty ponownie napełniły się łzami. Przysięgnij mi, że nic nie powiesz Vitantonio - poprosiła jeszcze raz. - Nie może o tym wiedzieć. Musi na zawsze pozostać Convertinim. Jego życie zależy od dotrzymania naszej tajemnicy.

List z Hiszpanii

Signora Angela Corwertini
Palazzo Convertim
Bellorotondo - Apulia
Włochy

Girona (Hiszpania), 5 lutego 1939 r.
Kochana Babciu!

To już nie potrwa zbyt długo. Dziś wyzwoliliśmy Gironę, ostatnie ważne miasto przed granicą z Francją. Republikańscy bandyci uciekają w popłochu i prawie nie stawiają oporu okrytym chwałą oddziałom frankistowskim, u boku których walczyliśmy my, członkowie włoskiego Korpusu Oddziałów Ochotniczych. Niedługo będziemy świadkami wiekopomnego zwycięstwa faszyzmu, które wzbudzi podziw całej Europy.

Myślę o Was wszystkich w sposób szczególny. Weszliśmy do Girony, obchodząc mury wzdłuż drogi krzyżowej, od ostatniej stacji do pierwszej. W końcu znaleźliśmy się w mieście o wąskich stromych uliczkach, często za kończonych nienadającymi się do użytku schodami. W centrum zachowały się bardzo stare kościoły i choć żaden z nich nie jest tak wspaniały jak nasze w Lecce, Trani i Barletcie, całość robi duże wrażenie. Miasto wygląda tak, jakby czas zatrzymał się tu w epoce wypraw krzyżowych i jakby czekało, byśmy je wyzwolili. Po wypędzeniu ostatnich czerwonych odkryliśmy na przedmieściach kapliczkę zbudowaną z bali i grubych desek. Jest poświęcona naszemu świętemu Mikołajowi. Kiedy weszliśmy do środka, znaleźliśmy tam., traki!

Są własnością rodziny, która jak my sprowadza drewno, ale ostatnio zakłady zostały skolektywizowane przez rewolucjonistów i w magazynie stojącym w ogrodzie posiadłości nie ma praktycznie żadnych zapasów.

Postanowiłem zamieszkać w domu tych ludzi, równie dużym jak palazzo, ale trochę bardziej zniszczonym. Jest ze mną Fabrizio, lekarz kompanii. Wyczerpani marszem z Barcelony żołnierze śpią ukryci w szopach, niektórzy zagrzebują się w trocinach, bo jest bardzo zimno. Mówią, że ta noc znowu będzie mroźna. Dowódca zajął sąsiedni dom, są z nim pozostali oficerowie i kucharz, który przysłał nam kolację. Podzielił się nią z tymi poczciwymi ludźmi, którzy nigdy nie próbowali spaghetti z czosnkiem, oliwą i ostrą papryką. Nie wiem, czy im smakowało, ale byli tak wyголоdzeni, że wszystko zjedli.

Po południu, kiedy już wyzwoliliśmy całe miasto, przespacerowałem się po najstarszej części Girony. Widziałem mnóstwo zwłok chłopców, zaledwie siedemnasto-, osiemnastoletnich. Czy Giovanna jest przy Tobie? Powiedz jej, co robią rewolucjoniści: posyłają dzieci na wojnę, palą kościoły i okradają fabryki swoich pracodawców. A Vitantonio? Jeśli słuchasz, wiedz, że mi Ciebie brakuje. Gdybyś poszedł z nami, byłbyś teraz naszym dowódcą.

Codziennie modlę się za Was i za naszego Duce. Teraz maszerujemy na Figueras, na północy, mówią, że za niecały miesiąc dotrzemy do granicy francuskiej i wszystko się skończy. Daj Boże.

Do zobaczenia, żegna się z Tobą Twój wnuk, który Cię kocha i poleca Bogu we wszystkich modlitwach.
Franco

Klątwa rodziny Palmisano

PS Dziś rano, kiedy żegnaliśmy się z naszymi gospodarzami, nadzorca magazynu wpadł z krzykiem, że zniknęły pasy od traków. Wygląda na to, że żołnierze kradną gumę i robią sobie z niej zelówki. Kazałem podoficerowi odnaleźć winnych i zmusić ich do zwrócenia tego, co zabrali. Jako adiutant dowódcy nie mogłem pozwolić, żeby szeregowcy okradali ludzi, którzy są prawie tacy jak my.

Na granicy francuskiej

Otóż nie, Giovanna nie biegła przez *palazzo*, by przeczytać obraźliwe słowa Franca. Ona również była w hiszpańskim piekle, ponad tysiąc siedemset kilometrów od Bellorotondo. W chwili kiedy jej kuzyn Franco i włoscy ochotnicy wyruszyli z Girony na północ w ślad za dywizją nawarską armii frankistowskiej, Giovanna opuszczała w pośpiechu mias to Figueres, rozpoczynając uciążliwy marsz w kierunku granicy z Francją, drogą bombardowaną przez samoloty generała Franco. Choć tego dnia, szóstego lutego 1939 roku, dzieliło ją od kuzyna tylko czterdzieści kilometrów, nigdy wcześniej nie byli sobie tak dalecy. Giovanna zawsze pogardzała Frankiem, teraz jednak dzieliła ich prawdziwa przepaść. On siedział z faszystowskimi ochotnikami, ona wycofywała się z niedobitkami oddziałów republikańskich. On zabiłby, żeby poczuć się macho, ona tylko po to, by ratować komuś życie. On dałby wszystko, by przypodobać się kuzynce, ona znajdowała ulgę w nienawiści do tych, którzy rozpętali zalewającą Europę falę okrucieństwa.

Oszołomiona rewelacjami od *zij*, chłodno pożegnała się z *normą* i pospiesznie opuściła Bellorotondo. Cztery dni zajęło jej przejechanie pociągami całych Włoch i południa Francji, a cztery kolejne przekroczenie granicy i dotarcie do Barcelony, gdzie dołączyła do Salvatorego i jego żołnierzy, którzy jesienią nie pogodzili się z odwołaniem Brygad Międzynarodowych. Od tamtego czasu ciągle uciekali. Maszerowali teraz w przednym kierunku, na północ, w przedstawiającej wstrząsający widok procesji przymierających głodem mężczyzn i kobiet próbujących dotrzeć do Pirenejów. Szli ogarnięci niemocą, w kolumnach, które łamały się tylko wówczas, gdy bombardowały ich samoloty nieprzyjaciela.

- *Maledetti sparvieri!* - krzyczała Giovanna, kiedy wśród atakujących maszyn rozpoznawała włoskie „krogulce” *savoia marchetti* 79.

Uciekinierzy wlekli ze sobą mnóstwo gratów, takich jak materace czy naczynia kuchenne. Giovanna szła za staruszką o zagubionym spojrzeniu, która dźwigała pustą kłatkę - w odruchu współczucia, świadoma, że wojna została ostatecznie przegrana, wypuściła ptaki na wolność. Złośliwi oberwańcy maszerowali z tym, co im zostało, z nadzieją na rozpoczęcie nowego życia.

Uciekali dopiero od dwóch tygodni, ale każdy dzień był jak rok, a suma wszystkich dawała wieczność. Przeszłość zamieniła się w całkowicie nierealny czas. Jakże szybko Giovanna straciła kontakt z normalnością! O czym myślano w Europie przez trzy ostatnie lata, w czasie kiedy w Hiszpanii zabijali się ludzie? Gdzie byli ci, którzy pisali zakazane książki, okładane przez nią dla niepoznaki w kolorowy papier, żeby nie odkryła ich *nonna*? Gdzie byli studenci, z którymi spotykała się na tajnych zebraniach na uniwersytecie? Gdzie była ona sama? Trzy tygodnie wcześniej pisała listy w *palazzo*, a teraz została przeniesiona do innego czasu, poruszała się w innej przestrzeni, co innego zaprzętało jej umysł. Żyła w skrajnie okrutnej rzeczywistości. I nie poznawała samej siebie.

Po przyłączeniu się do Salvatorego pierwszego dnia zostawili w tyle Barcelonę, drugiego Mataró, w następnych Arenys, Blancs, Tossę,

Klątwa rodziny Palmisano

Gironę... Teraz uciekali z Figueres, a Giovanna zadawała sobie pytanie, i tu spośród tych uciekinierów umrze, zanim dotrą do granicy. Chodziła od kolumny do kolumny, próbując opatrywać rany, pomagała starcom, którzy szli resztkami sił, niosła ulgę umierającym w ostatnich chwilach ich życia. Któregoś dnia, kiedy ktoś zawołał: „sostro!”, podeszła, jakby chodziło o nią. W ten sposób mimowolnie została pielęgniarką i dobrą wróżką tych nieszczęśników.

Z Salvatorem widywała się nocami, na kilka godzin. Nie znalazła jeszcze odpowiedniego momentu, by opowiedzieć mu o rewelacjach na temat jej rodziny, które kilka tygodni wcześniej odkryła w liście *nonny* do biskupa Otranto. Tulili się do siebie, było jej dobrze, ale zasypiając, wspominała Vitantoma. Chciała móc go uściskać, powiedzieć, że nie są rodzeństwem, że za nim tęskni. Przysięgła jednak *zii*, że dochowa tajemnicy. Dlatego uciekła do Hiszpanii.

Pogłoski o wojnie

Również Vitantonio przebywał poza Bellorotondo, tak że on też nie mógł przeczytać listu od Franca. Byłby szczęśliwy, gdyby otrzymał jakiegokolwiek wieści od kuzyna, choć nie mógł mu wybaczyć, że związał się z faszystowskimi ochotnikami ani że przez niego uciekła Giovanna. Uznał bowiem za pewnik, że siostra wstąpiła do Brygad, by swoją ofiarą naprawić zło, jakie wyrządził Franco, walcząc po stronie frankistowskich rebeliantów, którzy powstali przeciwko hiszpańskiej republice. Co im wszystkim odbiło? Co robią Giovanna, Salvatore i Franco w tym kraju dzikusów? Czego szukają w Hiszpanii, jeszcze biedniejszej niż ich własna ojczyzna? Vitantonio nie był faszystą, nie był też antyfaszystą, jak wielu spośród jego przyjaciół, którzy choć nie czuli sympatii do reżimu, uważali dysydentów za *rompicaglioni*. Był po stronie wieśniaków z Apulii, przed wko właścicielom wielkich *masserii*, ale walka polityczna go irytowała.

Na uniwersytecie, daleko od Bellorotondo, stał się mężczyzną. Był typem południowca, miał ciemną karnację, czarne włosy, zawadiacki łoczek opadający niedbale na szerokie czoło, wystające kości policzkowe i przenikliwe, ale bardzo łagodne spojrzenie, które przyciągało wzrok. Ciepły uśmiech łagodził ostre rysy twarzy. Miał szerokie bary, a jego ramiona i nogi wyglądały jak z marmuru. Wszystko w nim było połączeniem siły i delikatności. Na tym polegała jego atrakcyjność - kobiety już od jakiegoś czasu się za nim oglądały, ale zamiast mówić, że jest „przystojny”, nazywały go „pięknisiem”.

Wrócił właśnie do Bari na drugi rok prawa, bo nie chciał tracić zajęć przybliżających go do otwarcia własnej kancelarii adwokackiej, która broniłaby interesów wieśniaków z *trullii*. Ostatnie dni stycznia spędził w *masserii*, pomagając Vicinom i Concetie przy podcinaniu winorośli. Tamtego roku prace w polu były spóźnione; od kiedy Salvatore wyjechał do Hiszpanii, ani Chudzielec, ani ciotka nie nadążali z robotą. Wybrał się też na dwudniowe polowanie i ponownie odkrył przyjemność, jaką daje poczucie, że w górach może polegać na samym sobie. Przeczynał, że wkrótce przyjdzie mu wykorzystać tę umiejętność.

W całej Europie krążyły pogłoski o wojnie. Vitantonio zaczął zadawać sobie pytanie, co zrobi, jeśli Włochy wezmą w niej udział. W Wielkim Tygodniu Mussolini skierował ultimatum pod adresem rządu w Tiranie zamierzał najechać na Albanie. Chłopak podzielił się swoimi obawami z *ziq*.

-Jeśli przystąpimy do wojny, musisz pójść w góry. Nie możesz walczyć u boku tych, którzy zdradziecko zabili ci ojca, ale nie możesz też walczyć przeciwko ojczyźnie!

Klątwa rodziny Palmisano

CZĘŚĆ CZWARTA

Deszcz gwiazd nad Materą

Dezertter

Guameri, Marinosci, Raffaele, Carmelo Pizzigallo, Giocavazzo, Sante Miccoli, Cavalli... Całe roczniki z gimnazjum Bruniego w Martina Franca i z liceum imienia Orazia Flacca w Bari poszły na wojnę. Nawet Argese zdołał ukryć, że utyka, i był teraz na greckiej Kefalonii, w tym samym batalionie co Pasquale Raguseo. Z ich rocznika brakowało tylko jednego ucznia.

Vitantonio Convertini, syn Antonia i Franceski, urodzony w 1919 w gminie Bellorotondo, prowincja Bari.

Vitantonioowi zarzucono, że nie stawił się do wojska. Od czerwca 1940 roku ukrywał się w jednej z grot w Materze. Był dezertterem.

Jego ucieczka wywołała poruszenie wśród kolegów. Zawsze myśleli, że to właśnie on jest najlepiej przygotowany, by przetrwać na froncie, a kiedy nasiliły się pogłoski o bliskim wypowiedzeniu wojny, wszyscy przewidywali, że pierwszy zgłosi się jako ochotnik. Jego dezercja bardzo ich zaskoczyła. Co mu się stało? Co sprawiło, że najodważniejszy chłopak z całego miasteczka okazał się tchórzem? Czyżby miało to coś wspólnego ze zniknięciem Giovanni? A może został marksistą, jak Salvatore Vicino?

Nikomu nie przyszło do głowy, by przypisać jego ucieczkę chorobliwej obawie Donaty przed wojną. Nikt nie wiedział o panicznym strachu, jaki wzbudziło w niej przystąpienie Włoch do konfliktu, który groził powtórną zamianą Europy w wielkie cmentarzysko. *Zia* bała się, że nowa konfrontacja wskrzesi ciężącą na Palmisanach klątwę, ubłagała więc chłopaka, by poszedł w góry. Prosiła go o to również *nonna*. Wszyscy jej pozostali wnukowie byli na wojnie: ci z Bari, z Otranto i z Wenecji, w sumie dwunastu. Stryjów Marca, Lukę i Giovannię także powołano do służby. Franco z kolei od czasu powrotu z Fliszpacji odnosił sukcesy jako agent tajnej policji reżimu. Ojczyzna nie miała powodów, by narzekać na rodzinę Convertinich, armia mogła obejść się na tej wojnie bez pomocy Vitantonio.

W czerwcu 1940 roku Mussolini wypowiedział wojnę jednocześnie Francji i Wielkiej Brytanii. Gdy armia włoska rozpoczęła pobór młodzieży z rocznika 1919, Vitantonio posłuchał błagań obu kobiet i nie stawił się na wezwanie. Za dwa miesiące miał skończyć dwadzieścia lat. Nigdy nie przepadał za Czarnymi Koszulami Mussoliniego, a jeszcze mniej podobali mu się Niemcy - byli przecież po tej samej stronie co Austriacy, którzy w ostatnim dniu poprzedniej wojny gdzieś na północ od Trydentu zdradziecko zabili jego ojca i męża *zii*. Dlaczego miałbym im pomagać?" - pomyślał, kiedy otrzymał kartę powołania. I uciekł do stolicy Lukanii.

Matera miała około pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców i doskonale nadawała się, by w niej zniknąć. Była zapomnianym przez świat miastem o domach wykutych w skale, od epoki brązu zamieszkanym przez te same rodziny. Sasso Caveoso i Sasso Barisano, największe na świecie osiedla skalnych domów, wyglądały jak dwa wielkie naturalne amfiteatry zawieszane nad kamienistym wąwozem. W jaskiniach żyło ponad dwadzieścia tysięcy ludzi, w większości wieśniaków i pasterzy. Mieszkali w nieludzkich warunkach, razem ze zwierzętami gospodarskimi,

Klątwa rodziny Palmisano

narażeni na ciągłe epidemie. Ani w Rzymie, ani w stolicach prowincji południowych Włoch nikt nie pamiętał o istnieniu Matery. W tym wykle tym mieście Vitantonio nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

Znalazł schronienie u dziadka Nsignaleta, ojca Donaty. Jego wykuty w skale dom znajdował się na końcu wysuniętego na południe Sasso Caveoso. Vitantonio nie wiedział, że wrócił do korzeni - mieszkał teraz w tej samej jaskini, w której dwadzieścia lat wcześniej Donata ukrywała się podczas ciąży.

Przez trzy lata nikt nie wiedział, co się z nim dzieje. Przenosił się z miejsca na miejsce, mieszkał w jaskini dziadka albo w chatkach pasterzy z Górnej Murgii, regionu makii i wzgórków, pośród których chował się, kiedy pomagał ukrywającym go mieszkańcom Sassi wypaszać bydło; była to forma podziękowania za udzielenie mu schronienia i za milczący układ, który gwarantował, że jego potajemny pobyt w mieście umknie uwadze ciekawskich. Przez cały ten czas Vitantonio tylko jeden raz postąpił lekkomyślnie i po kryjomu wrócił do Bellorotondo.

Dzwony żałobne

O zachodzie słońca do jaskini przybył Chudzielec z wiadomością, że *norma* dogorywa i że, zdaniem doktora Ricciardiego, jej odejście jest kwestią godzin. Natychmiast wyruszyli w drogę, szli całą noc i cały następny dzień, leśnymi ścieżkami uczęszczanymi jedynie przez dziki i najbardziej doświadczonych górali. Wiadomość o śmierci Angeli zaskoczyła ich po południu, gdy zatrzymali się na krótki odpoczynek w zagajniku dębowym niedaleko Bellorotondo. Żona Galassa, która już tam na nich czekała, powiedziała, że *Signora* zmarła tego dnia w południe. Vitan-tonio, który dopiero po zapadnięciu nocy mógł zejść do miasteczka, uświadomił sobie, że *nonna* odeszła na zawsze, kiedy usłyszał żałobne bicie dzwonów.

Sześć miesięcy wcześniej Pani Bellorotondo zachorowała na reumatyczne zapalenie mięśnia sercowego - wcześniejsze niedoleczone anginy doprowadziły do niewydolności serca. Od dawna męczyło ją nawet chodzenie po pomieszczeniach *palazzo*. Każdy najmniejszy wysiłek pozbawiał ją tchu, ale leżenie w łóżku okazywało się jeszcze bardziej uciążliwe, musiała więc wstawać, żeby poczuć się lepiej. W miarę upływu czasu jej stan ciągle się pogarszał. Miała opuchnięte kostki, niepokojąco schudła, nie pozwoliła jednak, by zbadał ją specjalista od chorób serca i płuc z Bari. Ku zaskoczeniu wszystkich, wezwała doktora Ricciardiego, do którego zawsze była uprzedzona z powodu jego poglądów politycznych, i poprosiła go o diagnozę.

- Mój lekarz chce mnie położyć w szpitalu w Bari i upuszczać mi krew. Mówi, że dzięki temu odżyję, ale ja nie dam się tak zniewolić. Nie oddam się w ręce studentów medycyny, którzy praktykują w klinice na biednych chorych. Nic mam zamiaru ruszać się z domu. Założę się, że pan, doktorze, jest tego samego zdania!

Ricciardi czuł przed nią respekt, ale się jej nie bał. Wprost przeciwnie, z lubością wspominał co bardziej zacięte pojedynki słowne, które toczyli niegdyś na temat włoskiej polityki.

- Nie chodzi o to, gdzie ma się pani leczyć, *Signora* Angela. Pani choroba wymaga pilnej interwencji. Ja nigdy nie zaordynowałbym pani upuszczania krwi, ale może sama powinna to sobie pani zaordynować.

Nonna bez dalszych protestów oddała się w ręce lekarza i rygorystycznie podporządkowała leczeniu, które zalecił jej jakby mimochodem i które miało pokonać trawiącą ją chorobę. Niczego jej nie narzucał, przypominał tylko, że taką samą kurację stosują znamienite rody w europejskich stolicach. Pani Bellorotondo nie miała zamiaru dać się pokonać jakiejś banalnej chorobie, zносиła więc cierpliwie upusty krwi aplikowane przez jej lekarza w Bari, nadzorowane na odległość przez doktora Ricciardiego, i szybko wracała do zdrowia.

Klątwa rodziny Palmisano

Spędzała całe godziny na tarasie, od pierwszych promieni świtu do zachodu słońca, usadowiona w fotelu twarzą zwróconą w stronę ogrodu. Czasami nawet zostawała tam po zmroku, bo gdy leżała w łóżku na plecach, nie mogła oddychać. Znajdowała pociechę w cierpliwym obserwowaniu niewielkich zmian w świetle roślin i w codziennych popołudniowych wizytach Donaty. Kiedy nie miała towarzystwa, mówiła sama do siebie i dyskutowała zaciekle ze Stwórcą, wypominając Mu, że zostawił ją samą w *palazzo*, które powoli zaczyna ją przytłaczać i przyprawia o nos talgię. Tęskniła za Giovanną, ulubioną wnuczką, która nadal przebywała daleko od Włoch i nie przejawiała chęci powrotu do domu. Brakowało jej również Vitantonio, którego pokochała bardziej niż rodzone wnuki.

Po jakimś czasie wróciła jej energia, ale nadal nie wychodziła z domu i spędzała dni, wygrzewając się na tarasie w promieniach słońca. Wiadomość o śmierci jej synów, Marca i Giovanniego, na froncie rosyjskim w bitwie nad Donem przyszła w grudniu i zastała ją siedzącą w fotelu na wprost nagich drzew ogrodu. To było ponad jej siły - nagle poczuła zmęczenie życiem i postanowiła przerwać leczenie. Zawsze surowo oceniła swoje dzieci, wydawały się jej pretensjonalne i pozbawione charakteru, ale nie miała pewności, czy wyłącznie one ponoszą za to winę. Rodzina Convertinich była zbyt wymagająca w stosunku do swoich młodych, którym nigdy nie udawało się spełnić pokładanych w nich nadziei. Kiedy chłopcy byli mali, ojciec nie zwracał na nich uwagi, pozwalał im mówić, ale myśli zaprzętały mu jedynie interesy. W końcu synowie Angeli zaakceptowali, że ich zdanie się nie liczy zamiast przygotowywać się do powiększenia rodzinnego imperium, zadowolili się dobrym ożenkiem i wykorzystywaniem biednych wieśniaków w posiadłościach odziedziczonych po ojcu i otrzymanych w spadku po bracie Antoniu. Żaden z nich nie okazał nigdy najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu przejścia tych dóbr w zamian za przyzwolenie na kaprys Franceski, która uparła się, by Vitantonio i Giovanna pozostali pod opieką ubogiej wieśniaczki z Matery. Uznali jej decyzję za dziwną, ale była im ona bardzo na rękę.

Antonio nie przypominał braci. Najstarszy z Convertinich dorastał pod okiem matki, która była bardzo wymagająca, ale działała na niego dopinając i już we wczesnym dzieciństwie dała mu odczuć, że jest jej faworytem. Kiedy zaciągnął się do wojska jako ochotnik, przestała się do niego odzywać. Zawsze to sobie wyrzucała. Żałowała, że w tak bezsensowny sposób zmarnowała ostatnie cztery lata, ignorując swojego pierworodnego, jedyne syna, który naprawdę ją obchodził. Od tamtego czasu minęło ponad dwadzieścia lat, a ona nadal nie doszła do siebie po jego śmierci. Nie miała siły, by udźwignąć odejście kolejnych synów. Może nie kochała ich tak mocno jak Antonia, ale byli jej dziećmi; nie potrafiła ich sobie wyobrazić, jak umierają z zimna na drugim końcu Europy. Ta myśl przyprawiała ją o straszliwe cierpienie.

Nie potrafiła się również pozbierać po śmierci wnuków. W ciągu dwóch lat wojny zginęło ich pięciu: jeden w czasie inwazji w Alpach Francuskich, jeden podczas oblężenia portu w Tobruku na północy Afryki, dwóch w okolicach Janiny na północy Grecji, a ostatni na pokładzie okrętu wojennego *Bartolomco Colleoni* zatopionego przez australijski krążownik w czasie osłaniania niemieckiego desantu u północno-zachodnich wybrzeży Krety. Wszystkie te nieszczęścia miały związek z nieudol-

Klątwa rodziny Palmisano

nością dowódców. Książęta, hrabiowie, markizowie, pozbawieni jakichkolwiek talentów wojskowych, dzielili zwierzchnictwo nad armią z faszystowskimi watażkami, którzy awansowali, bo nie mieli żadnych skrupułów. W przypadku większości z nich osobiste ambicje szły w parze z pogardą dla życia żołnierzy - obiecali im łatwe zwycięstwo, a teraz wszystkie fronty załamywały się i zapełniały trupami.

Pod koniec 1942 roku, po otrzymaniu wiadomości o śmierci Marca i Giovanniego w bitwie nad Donem, *nonna* uznała, że żyje już wystarczająco długo. Dała sobie kilka dodatkowych tygodni, by wyłagać jeszcze od Boskiej Opatrzności możliwość pożegnania się z Giovanną i poproszenia jej o wybaczenie, ale ukochana wnuczka nie dawała znaku życia. Gdy Angela zrozumiała, że cudu nie będzie, przestała walczyć. Jej oddech osłabł, a twarz zrobiła się biała, lekko sina. *Nonna* zaczęła gasnąć niczym lampka spalająca ostatnie krople oliwy. Dwa miesiące później zmarła.

Kiedy wjeżdża się do Bellorotondo od południa, od strony Górnej Murgii, cmentarza trzeba szukać dokładnie po przeciwnej stronie miasteczka. Cały teren okala mur z pobielonych wapnem kamieni, przy którym znajdują się najskromniejsze nisze, w środku zaś stoją monumentalne mauzolea okolicznych wielkich rodów. Z daleka widać jedynie wystające znad pokrywającej wzgórze roślinności ogrodzenie i apsydę cmentarnej kaplicy wznoszącej się wśród cyprysów, równie wysokich jak te wzdłuż prowadzącej do miasteczka alei. Vitantonio przyszedł od tej właśnie strony. Przeskoczył mur i znalazł sobie kryjówkę z dobrym widokiem na grobowiec Convertinich. Czekał na kondukt skulony na podłodze krypty rodziny Raguseo, pewien, że ich przodkowie wybaczą mu najście - był przyjacielem ich wnuka Pasqualego.

Vitantonio patrzył zdumiony na towarzyszący trumnie tłum, złożony głównie z kobiet. Wszyscy, którzy nie byli na wojnie, przyszli na pogrzeb do kościoła Niepokalanej, a po mszy ruszyli na cmentarz, by pożegnać Panią Bellorotondo. Z ukrytego punktu obserwacyjnego pomiędzy grobami Curricich i Pentasugliów widział sztywne postacie i poważne twarze przesuwające się powoli pośród rozsianych wszędzie krzyży różnej wysokości. Zadał sobie pytanie, czy którykolwiek z obecnych kochał *nonnę*. Uznał, że niektórzy na pewno ją szanowali, ale większość się jej bała, nawet po śmierci. Dlatego byli obecni na pogrzebie. Na czele konduktu żałobnego szli Angelo i Matteo, stryjowie, którzy zdołali uniknąć poboru. Pojawił się również Franco; kroczył napuszony, dumny z bycia agentem reżimowej policji.

Vitantonio zakręciła się w oku łza, kiedy zobaczył *zię*, idącą za trumną wraz z ciotkami z Bari i Otranto. Rozpoznał również ciotkę Margheritę, która przyjechała z Wenecji w towarzystwie swojej starszej córki; zdziwiła go nieobecność młodszej. Na próżno jej wypatrywał - nikt mu nie powiedział, że jego kuzynka pochowała niedawno męża, zabitego w zasadzce greckich partyzantów na Kefalonii, i nie czuła się na siłach, by odbyć podróż. Wśród nielicznych mężczyzn idących w konduktie dostrzegł doktora Ricciardiego oraz notariusza Piniego i jego syna, który

Kłątwa rodziny Palmisano

teraz był właścicielem rodzinnej kancelarii i nie powołano go do wojska, bo twierdził, że jest astmatykiem, choć nigdy nie musiał się z tego powodu leczyć. Na końcu konduktu żałobnego zobaczył Chudzielca w towarzystwie najdłużej pracujących w fabryce robotników.

Oglądał pogrzeb, jakby był na projekcji filmu. Obraz widziany na żywo mieszał mu się ze scenami sprzed lat. Przeżył raz jeszcze pierwsze prezenty od Befany i wszystkie wojny kwiatowe z Giovanną; przypomniał sobie niedzielne obiady, uroczyste msze w kościele Niepokalanej i wakacje spędzane w Savelletri; oczami wyobraźni zobaczył *normę*, jak pisze w swoim gabinecie w *palazzo* albo jak dumnie wyprostowana podąża uliczkami miasteczka w stronę fabryki. Ze swojej kryjówki widział postacie poruszające się wokół grobowca Convertinich, które lata wcześniej z szacunkiem chyliły głowy na widok przechodzącej Pani Bellorotondo.

Przyglądał się tłumowi, który defilował przed stryjami, by złożyć im kondolencje. Cekał, aż żałobnicy sobie pójdą. Ukryty wśród szczątków przodków rodziny Raguseo, przez uchylone drzwiczki słyszał rozmowy; miał ochotę wyjść i przywitać się ze wszystkimi sąsiadami, nie wolno mu było jednak ryzykować. Światy jego i obecnych na pogrzebie mieszkańców Bellorotondo istniały równolegle i były od siebie odległe. Podobnego wrażenia doznawał, gdy leżał chory w łóżku i słyszał inne dzieci bawiące się na Piazza Santa Anna. Zawsze wydawało mu się to niesamowite.

Uczestnicy ceremonii zaczęli się rozchodzić. Vitantonio widział, jak wracają aleją do miasteczka. Zabijał czas, licząc w myślach cyprysy. Kiedy wszyscy żałobnicy opuścili cmentarz, ostatni raz odszukał wzrokiem grobowiec Convertinich. Znalazł go dokładnie tam, gdzie przecinały się linie będące przedłużeniem skrzydeł anioła górującego nad mauzoleum Currich i trąbki cherubinka na grobie Pentasugliów. Wejście do grobowca było zasłane kwiatami, wiązanki *nonny* mieszały się z uschłymi wieńcami pozostałymi po pogrzebach stryjów Marca i Giovanmego. W skupieniu odmówił kilka modlitw za Antonia i Trancescę, których nauczyła go *zia*, gdy w Zaduszki odwiedzali ich groby.

Gdy uznał, że w pobliżu nie ma już nikogo, przemknął na drugi koniec cmentarza i podszedł do niszy, w których leżeli Palmisanowie. Zerwał czerwoną zimową różę z samotnie rosnącego krzewu i powiesił ją na wysokości trumny Vita Oronza. Kiedy miał już wracać do swojej kryjówki, by tam zaczekać, aż się ściemni, drogę zastąpił mu Ricciardi.

- Wiedziałem, że cię tu spotkam.

Doktor sądził, że po śmierci *nonny* jest jedynym człowiekiem, który zna sekret Donaty. Nigdy nie zapomni tamtych dramatycznych godzin spędzonych w domu wdów, może dlatego, że nadal był lekarzem Vitantonio i podczas każdego badania widział znamię w kształcie serca, które wiele lat wcześniej, kiedy zaraz po studiach zaczynał praktykę lekarską w Bellorotondo, odkrył również na lewym obojczyku jego ojca, Vita Oronza Palmisana.

Za pierwszym razem, gdy zobaczył czerwone serce na obojczyku Vitantonio, nie mógł ukryć niedowierzania.

Nie rozumiem. Takie znamiona na skórze nie są dziedziczne!

- Mozę to jest znak kłątwy - powiedziała Donata, po czym zrobiła znak krzyża.

Klątwa rodziny Palmisano

Wyciągając rękę do chłopaka, Ricciardi uśmiechnął się na wspomnienie słów Donaty.

- Już nie będę mógł ci dostarczać książek, zsyłają mnie na Lipari - powiedział na powitanie. - Jutro wywożą mnie do Tarentu, stamtąd do Reggio, potem do Mesyny i na wyspę... Gdybym był młodszy, potraktowałbym to jako wycieczkę krajoznawczą.

- Przykro mi. Myślę jednak, że lepsza jest zsyłka niż więzienie.

Może też będę musiał nauczyć się patrzeć na to w ten sposób. Potrzebujesz czegoś? Zanim wyjadę, mogę coś dla ciebie załatwić, książki, lekarstwa. Prawie niczego nie wolno mi zabrać.

Chininę? zapytał Vitantonio.

Po powrocie do Matery dzięki chininie przez kilka miesięcy cieszył się wielką popularnością. Tak wielką, że kiedy opuszczał miasto, by wypasać kozy na wzgórzach Murgii, często musiał zmieniać kryjówki. W tamtych czasach ten, kto w górach Lukanii miał chininę, stawał się bogiem, a bogowie byli celem pielgrzymek, które mogły przyciągnąć uwagę karabinierów.

Wyznanie

Kiedy zobaczył wchodzącą do chaty *zię*, wycierającą długim marszem, uścił ją, podał jej szklankę wody i zaczął, aż trochę odsapnie. Od kilku dni ćwiczył sposób, w jaki powie Donacie, że postanowił walczyć po stronie aliantów. Gdy spostrzegł, jak bardzo jest zmęczona, opadły go wątpliwości. Zapytał o Giovannę.

- Masz jakieś wieści od Uannm?

Odkąd zaczął się ukrywać w grotach, nazywał ją Ggiuannin, jak mieszkańcy Materzy, czasami też używał zdrobnienia Uannin. Przywykł do języka, który był mu bliski od dziecka. *Zia* często go używała, choć w Bellorotondo posługiwała się nim tylko wtedy, gdy złościła się na dzieci albo kiedy chciała oznaczyć swoje terytorium, by położyć tamę natręctwu *nonny*.

- Nadal pracuje jako pielęgniarka w obozach dla uchodźców na południu Francji, ale jakiś czas temu napisała, że szykuje się do powrotu do Włoch odparła *zia* z nutką niepokoju w głosie, wyczuwalną zawsze, kiedy mówiła o Giovannie. - Twierdzi, że już niedługo będziemy musieli podjąć walkę z faszystami i że w tej decydującej godzinie ma obowiązek być tutaj, z nami, jak Salvatore. List doszedł w poniedziałek, ale został napisany ponad miesiąc temu. Od czasu, gdy wybuchła wojna, poczta działa fatalnie. Kto wie, może Giovanna już jest w drodze i po powrocie zastaną ją w Bellorotondo.

Giovanna wraca do domu - była to najlepsza wiadomość, jaką mógł otrzymać Vitantonio. Nie podobało mu się, że siostra ryzykuje życie na terenach zajętych przez Niemców. Co prawda chronił ją włoski paszport, ale nie potrafiła ukryć niechęci do nazistów. Nie podzielił się tymi obawami z *zią*, zainteresował się natomiast synem Chudzielca.

- Salvatore jest we Włoszech?

- Niedawno dowiedzieliśmy się, że wrócił sześć miesięcy temu, ale zatrzymali go, kiedy zszedł ze statku w Bari. Nikt go już później nie widział. Mówią, że przetrzymują go gdzieś w Apulii, w więzieniu kontrolowanym przez ludzi z partii faszystowskiej.

Donatą miotają sprzeczne uczucia. Niepokoila się o Giovannę, bała się, że jeśli dziewczyna wróci do Włoch, może ją spotkać taki sam los jak Salvatorego. Z drugiej strony cieszyło ją, że Vitantonio, sam z siebie, coraz bardziej przywiązuje się do swoich prawdziwych korzeni i język tej ziemi uznaje za swój. Na widok uśmiechu na jej twarzy, chłopak uznał, że nadeszła pora na wyznania.

Minęły trzy lata, od kiedy ukrył się w grotach Materzy. Te trzy długie lata utwierdziły go w przekonaniu, że decyzja o odwróceniu się plecami do faszystów była słuszna, a teraz skłaniały do opowiedzenia się po jednej ze stron konfliktu. Ubóstwo wieśniaków stłoczonych w Sassi ostatecznie przechyliło szalę. Było lato 1943 roku, nadszedł czas, by chwycić za broń i udowodnić, że nie jest tchórzem. Czekał niecierpliwie na nadejście trzeciej niedzieli lipca, zdecydowany wyznaczyć *zii* swoje zamiary. Wszystkie jego marzenia i wewnętrzna potrzeba, by opowiedzieć się za sprawiedliwością i wolnością, mogły stać się rzeczywistością, bez konieczności wys-

Klątwa rodziny Palmisano

tępowania przeciwko własnemu krajowi. Wystarczy, że stanie po drugiej stronie i będzie walczył u boku aliantów o Włochy wolne od nazistów i faszystów.

- Niedługo pójdę na wojnę - powiedział nagle, bez ogródek. - Alianci wkrótce wylądują na półwyspie. W Matrze zbieramy grupę przesiedleńców i antyfaszystów, żeby im pomóc, gdy nadejdą.

Donata nic nie odpowiedziała. Ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem. Vitantonio próbował znaleźć słowa pociechy, przytulił ją i pocałunkami zbierał łzy z jej policzków.

- Nie możesz... - zdołała w końcu powiedzieć.

Nic mi się nie stanie. Będziemy z determinacją walczyć z faszystami i z Niemcami, którzy zabili mojego ojca. Zanim się zorientują, przepędzimy ich z Włoch. Hitler i Mussolini popadną w niełaskę, wojna się skończy, Ggiuannin wróci do domu i na Boże Narodzenie wszystko znowu będzie jak dawniej.

- Nie możesz... - próbowała odpowiedzieć *zia*, ale nie skończyła zdania. Prerażona, zdała sobie sprawę, że dwadzieścia pięć lat wcześniej jej mąż złożył taką samą obietnicę jak Vitantonio. Uznała, że to zła wróżba, i zaczęła drżeć na całym ciele.

Przez dłuższą chwilę ona patrzyła zagubionym wzrokiem, dygotała i kręcąc głową, powtarzała „nie, nie, nie”, on zaś próbował ją uspokoić i obejmował jak małą dziewczynkę. Mruczał coś cicho do jej ucha, jakby kołysał ją do snu, ale *zia* wyglądała na coraz bardziej niespokojną. Wiedziała, że go nie przekona, i ta myśl wywoływała nowe spazmy.

- Nie możesz - powtórzyła jeszcze raz stłumionym od płaczu głosem.

- Już postanowiłem. Muszę iść.

Nieeee! krzyknęła, nie panując nad sobą. Rzuciła się na ziemię, waliła pięściami i głową o kamienną podłogę chaty.

Vitantonio nigdy nie słyszał tak rozpaczliwego krzyku. Wystraszył się. Co mogło zadać jej tak wielkie cierpienie? Kiedy podnosił *zię*, poczuł lepką krew w jej włosach. Zraniła się, uderzając głową o skałę.

- Nic mi się nie stanie - powtórzył bez przekonania, świadom, że nie uspokoi jej słowami.

Donata nadal drżała. Gdy uniosła głowę, Vitantonio zobaczył malujące się na jej twarzy przerażenie, podobne do tego, jakie widział u zwierząt, które zabijał na polowaniach z Salvatore. Krew zbierała się na jej wargach; kiedy znowu przemówiła, wyartykułowanie słów kosztowało ją wiele wysiłku. Uklękła i wykrzyknęła:

Nie rozumiesz. Nie możesz iść. Jesteś moim synem! Jestem twoją matką! Jesteś Palmisanem!

Czas się zatrzymał. Na zewnątrz przestały szczekać psy, cykady przerwały swój monotony koncert. Płynęły sekundy, żadne z nich nie miało odwagi przemówić. Słychać było tylko przyspieszony oddech Vitantonio i przerywany szloch Donaty, która oddychała z coraz większym trudem. Jakiś osioł zaryczał w oddali, po drugiej stronie wąwozu. Żałosna skarga zwierzęcia sprawiła, że chłopak wrócił do rzeczywistości.

- Zawsze o tym wiedziałem, mamol - Podeszedł do Donaty i zaczął całować ją po czole, policzkach i dłoniach.

Przytuliła go najmocniej, jak potrafiła. Po długiej chwili wypuściła go z ramion i bacznie mu się przyglądała. Vitantonio był uderzająco podob-

Klątwa rodziny Palmisano

ny do ojca. Poczula się z niego dumna jak w dniu, gdy *norma* ubrała go na biało do bierzmowania.

- Skąd wiedziałaś? Od kiedy? Nie mogłaś znać prawdy.
- Wydaje mi się, że od zawsze, ale nie potrafię ci powiedzieć dlaczego.

Po prostu któregoś dnia poczułem, że jesteś moją matką, i od tamtej pory tak cię traktowałem. Przez cały czas cię za nią uważałem, dlatego przyjmuję to jako coś naturalnego.

Vitantonio sam zadawał sobie pytanie o źródło tego przeświadczenia. Nie mógł być niczego pewien, bo nie miał żadnego dowodu, nawet najmniejszej poszlaki. Wiedział jedynie, że ze wszystkich sił pragnie, by tak było. Ale dlaczego? Czyżby uskrzydlała go myśl, że nie jest bratem Giovanny?

Donata posłała synowi błagalne spojrzenie i dalej z uporem nalegała: Jeśli pójdziesz na wojnę, już nie wrócisz! Kiedy przychodzi co do czego, wcale nie wybierasz strony, po której walczysz, bo ta strona dużo wcześniej wybrała ciebie. Jesteś Palmisanem... Ostatnim Palmisanem!

Właśnie dlatego powinienem walczyć. Masz rację, na długo przed moimi narodzinami, w momencie, kiedy zostałem poczęty, na zawsze połączyłaś mój los z losem Palmisanów. Nie mógłbym go zmienić, choćbym nienawidził ich ze wszystkich sił. Byłbym z nimi związany, nawet gdybym postanowił pozostać neutralny. Ale czy rzeczywiście jestem skazany na śmierć, jak głosi klątwa? Nie jestem wolnym człowiekiem? Nie jestem panem własnych czynów? Nie mogę się zbuntować i walczyć z przeznaczeniem?

- Klątwa cię osiągnie.
- To przeszłość. Człowiek musi zmierzyć się ze swoją przyszłością, nie może przed nią uciec. Przed klątwami się nie ukrywa, trzeba stawić im czoło. Moim przeznaczeniem jest walka z faszystami i nazistami, takie mam przekonania. Uannin zawsze była pewna swoich, dlatego bez wahania wyjechała do Hiszpanii, by walczyć z rebeliantami.

- Ona także odkryła prawdę, od jakiegoś czasu wie, że jesteś Palmisanem. Dlatego wyjechała!

Vitantonio oniemiał ze zdziwienia.

- Uannin o wszystkim wie?
- Dowiedziała się z korespondencji *nonny*, kiedy po śmierci ojca Felicego pomagała jej odpowiadać na listy kondolencyjne. Nie wiem, czy to było przeoczenie twojej babci, czy też zrobiła to celowo; od dawna twierdziła, że powinniśmy jej o wszystkim opowiedzieć. Giovanna poczuła się zdradzona. Dlatego uciekła, chciała, żebyśmy zapłaciły za to kłamstwo.

Przez resztę czasu, jaki spędzili razem, próbowali przetrwać wszystkie te rewelacje. *Zia* w końcu zdała sobie sprawę, że Vitantonio nie zmieni zdania. Wzięła się w garść i zapytała:

- Przyłączasz się do banitów z Matery? Chyba nie zostałeś komunistą? Skąd! Wiesz, że nie znam się na polityce, socjaliści, komuniści, to dla mnie jedno i to samo, ale wolę być po stronie tych, którzy mówią o sprawiedliwości i wolności, jak doktor Ricciardi. Nie chcę przecież, żebym się przyłączył do faszystów. Jestem dezertorem, natychmiast by mnie rozstrzelali. Poza tym nigdy ich nie lubiłem.

Klątwa rodziny Palmisano

- Przeczuwałam, że nie wysiedzisz długo w swojej kryjówce w Materze
- odpowiedziała *zia* i ponownie wybuchnęła płaczem.

Roosevelt

Kiedy Vitantonio patrzył, jak matka schodzi ścieżką przecinającą niskie pagórki, poczuł, że już za nią tęskni. Droga wiła się niczym gigantyczny wąż po otwartej przestrzeni między skałami Murgii. Od czasu do czasu Donata przystawała i odwracała się, zęby pomachać synowi ręką, aż weszła w las i zniknęła mu z oczu pośród drzew. Wychynęła z powrotem nieco niżej, przy zejściu do wąwozu, mała niczym figurka z bożonarodzeniowej szopki, po czym przecięła ściernisko po owsie, który ktoś skosił pod koniec wiosny. Od tego miejsca ścieżka niknęła między wysokimi krzewami i Vitantonio już nic zobaczył matki. Zalewali się łza mi przez całe popołudnie, płakali także w chwili rozstania; teraz chłopak poczuł, że znów wilgotniej mu oczy. Pierwszy raz od trzech lat dawał się ponieść uczuciom, na które nie mógł sobie pozwolić, odkąd ukrywał się w Materze. Do tej pory nigdy nie płakali przy pożegnaniach, jednak tego dnia nie potrafili powstrzymać emocji.

Przez chwilę patrzył ponad wąwozem Gravina di Latcrza w kierunku Bellorotondo. Niebo pokrywały chmury, z przeciwnej strony do Materzy zbliżała się burza. Zapadał mrok, który w ciągu kilku minut całkowicie pochłonął wzgórze. Vitantonio wystraszył się, kiedy ktoś zawołał za jego plecami:

- Święta Barbaro!

To był Roosevelt. Stał cztery kroki dalej, oparty o murek zagrody. Ob serwował go obojętnym wzrokiem; Vitantonio zadał sobie pytanie, jak długo już tak na niego patrzy. Nigdy nie pojmie, jak można się tak cicho poruszać.

Cztery lata wcześniej Roosevelt wrócił z Ameryki. Teraz mieszkał sam ze swoim stadem w chacie położonej dwie godziny drogi od Materzy i spędzał dni samotnie, wypasając konno bydło z Apulii i Lukanii. Jego to warzyszami były psy i kozy.

Na chałupę Roosevelta składało się jedno pomieszczenie, wielka izba, w której główne miejsce zajmowały obraz Matki Boskiej i portret amerykańskiego prezydenta Franklina Delano Roosevelta. Oddawanie czci jednocześnie Najświętszej Panience i prezydentowi Stanów Zjednoczonych Ameryki było czymś zwykłym w wielu domach w Materze i w górskich wioskach. Przypadek tego pasterza był jednak wyjątkowy. Bez przerwy mówił o amerykańskim prezydencie - że Włochy potrzebują kogoś takiego jak Roosevelt, że tylko Roosevelt troszczy się o ubogich, że Roosevelt jest najlepszym szefem państwa na świecie, że Roosevelt niedługo wyzwoli Włochy, że Roosevelt przepędzi Niemców aż do granicy. Pasterze z Górnej Murgii tyle się tego nasłuchali, że postanowili go przechrzcić, i tak Mario Moncluso został na zawsze Rooseveltem.

Donata odwiedzała Vitantonio co dwa miesiące, zawsze w drugą bądź trzecią niedzielę. Roosevelt zostawiał im swoją chatę, by mogli się spotykać w bezpiecznym miejscu, z dala od ciekawskich spojrzeń. Vitantonio przychodził o świcie, żeby nie natknąć się na nikogo po drodze, i czekał na nią, która spędzała noc w massern w Laterzie, gdzie mieszkała jej kuzynka, w połowie drogi z Bellorotondo. W dniu pierwszego spotkania,

Anglik

Kryjówka Vitantonio w dzielnicy Sassi w Materze nie przypominała innych jaskiń; była pionową pieczarą wydrążoną w skale, najprawdopodobniej służącą niegdyś za zbiornik na wodę. Przez niewielki otwór wchodziło się do pomieszczenia pełniącego rolę kuchni, skąd strome schody prowadziły do dolnej jaskini, wiecznie pogrążonej w ciemnościach. Malutkie okienko w górnej części ściany, zawsze zamknięte, wychodziło wprost na wąwóz. Było to jego wyjście ewakuacyjne, do wykrzystania jedynie w ostateczności. Vitantonio mógł stamtąd skoczyć między skały i zejść na dno parowu nieuczęszczaną ścieżką, dostępną tylko dla dzikich kóz i najbardziej zdesperowanych uciekinierów.

Kiedy zapadał zmrok, wychodził, żeby rozprostować nogi, i palił, siedząc na dachu sąsiedniego domu. Rok wcześniej dostrzegł z tego nocnego obserwatorium cień, który przemykał zygżakiem między skałami. Tamtej upalnej, dusznej nocy rozświetlonej blaskiem księżyca w pełni Anglik błąkał się zagubiony w labiryncie Sasso Caveoso, uciekając przed włoskimi patrolami. Vitantonio widział z góry, jak biega zdezorientowany, nieświadomy, że od strony parowu nadciąga oddział karabinierów, który wkrótce zajdzie mu drogę.

Vitantonio zaskoczyło pojawienie się patrolu; karabinierzy służący w Materze bali się wąwozu i z reguły zostawiali jego patrolowanie miejscowym policjantom, którzy mieli pilnować schodów prowadzących do miasta od strony parowu. Kiedy zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie grozi nieznanemu, dogonił go, przemieszczając się po dachach, i zeskoczył na ziemię tuż za nim. Nie dał mu czasu na jakąkolwiek reakcję - jedną ręką wbił mu w skroń lufę pistoletu, a drugą zatkał usta, po czym szybko zaciągnął do ciemnego zaułka. Poczuł, że mężczyzna ocieka potem; domyślił się, że ocenia, czy zdoła stawić czoło napastnikowi. Żeby wybić mu z głowy ten pomysł i dać do zrozumienia, że ma się nie ruszać, mocniej przycisnął lufę do jego skroni. Wówczas usłyszeli kroki zbliżającego się patrolu. Żołnierze przeszli pół metra od nich. Vitantonio poczuł, jak serce zbiega wali. Stali jeszcze przez chwilę nieruchomo, aż patrol skręcił za róg ulicy; dopiero wtedy chłopak schował pistolet i obaj mogli wreszcie odetchnąć z ulgą. Nieznajomy odwrócił się i pierwszy raz zobaczył twarz Vitantonio, który z uwagą mierzył wzrokiem jego wojskowy mundur.

- A to niespodzianka. Amerykanin?
- Anglik.

Odczekali rozsądną chwilę, po czym Vitantonio poprowadził uciekiniera schodami, na których zniknął patrol. Weszli do jaskini, ciemnej jak pochmurna noc. Anglik zatrzymał się przed stopniami. Kilka miesięcy później będzie nimi schodził z zamkniętymi oczami, ale tego dnia nie wiedział, czego ma się złapać. Gdy zeszli na dół, Vitantonio zachęcił Anglika, żeby usiadł.

- Za chwilę przyzwyczaisz się do ciemności.

„Chrum, chrum”, usłyszał Anglik na wprost siebie i skoczył na równe nogi, powalając Vitantonio na ziemię.

Kłątwa rodziny Palmisano

- Spokojnie, to tylko wieprzek - poinformował chłopak, kiedy wstawali.

- Wieprzek? Tu, w jaskini?

- Normalnie powinny być też osły i kozy, ale został nam już tylko wieprzek.

Ponownie usłyszeli chrupkanie, tym razem bliżej.

- Obwąchuje mnie! - krzyknął Anglik. - Zabierz go ode mnie, na miłość boską! Ugryzie mnie w nogę!

- Uspokój się, to nie wieprzek. To *tatónn* nas wita.

- *Tatónn?*

Tak, dziadek Nzignalet. To jego jaskinia.

Odczekali kilka godzin, po czym Vitantonio wyprowadził gościa na zewnątrz, by zaczerpnął powietrza, i wyjaśnił mu sytuację panującą w tym zakątku Lukanii. W dzień panował upał; kiedy usiedli na dachu sąsiedniego domu, kamienie wciąż parzyły.

- Całe szczęście, że zaczyna trochę wiać. Na tych gorących kamieniach moglibyśmy usmażyć sobie jajka.

Anglik roześmiał się pierwszy raz tej nocy.

- Możesz mnie ukryć do czasu, aż przestaną mnie szukać? - poprosił.

- W jaskini jesteśmy bezpieczni. Za kilka dni wyprowadzę cię stąd i zabiorę do mojej kryjówki w Murgii, po drugiej stronie wąwozu. Tam będziemy mieli większą swobodę ruchu w ciągu dnia. Ja też jestem dezertorem.

- Można zaufać starymu...? Jak go wcześniej nazwał?

- Tutaj o dziadkach mówi się *tatónns*. Nzignalet to przezwisko. Możesz być spokojny. Podczas bitwy pod Kobaridem w czasie wielkiej wojny Niemcy zabili jego trzech synów. Nigdy nic spotkałem nikogo, kto by ich tak nienawidził. Biednemu dziadkowi została tylko Donata, moja matka.

Nadal trudno mu było przyzwycząć się do tego, że kiedy wspomina

0 Donacie, mówi o własnej matce.

- Gdzie dokładnie jestem? - chciał wiedzieć Anglik, już nieco spokojniejszy.

- W Sassi w Materze. W dzielnicy jaskiń od tysięcy lat zamieszkiwanych przez te same rodziny. Teraz siedzimy na dachu, który czasami pełni też funkcję ulicy i placu. A czasami nawet cmentarza, bo kiedyś chowano zmarłych w grobach wydrążonych w skale stanowiącej dachy domów. To niebezpieczny labirynt, karabinierzy niezbyt lubią się w niego zapuszczać. Dziwne, że pojawili się tu dzisiaj. Musisz być grubą rybą.

- Jestem porucznikiem Royal Air Force, specjalistą od kartografii. Osiem dni temu odbywaliśmy lot zwiadowczy nad Tarentem. Znam port, bo na początku wojny, dwa lata temu, uczestniczyłem w jego bombardowaniu. Wówczas daliśmy im nieźle popalić, ale w zeszłym tygodniu sprawy się skomplikowały i musieliśmy skakać na spadochronach. Po zostali wpadli do morza, a mnie nie pozostało nic innego, jak ukryć się w górach.

- Skoro pilnujecie portu, to znaczy, że szykujecie się do desantu na kontynencie. To dobra wiadomość. Musimy jedynie cierpliwie czekać

1 starać się wykorzystać ten czas.

Kłątwa rodziny Palmisano

Od tamtej pierwszej rozmowy Vitantonio z nowym towarzyszem minął ponad rok. Jego przewidywania się nie sprawdziły. Anglicy walczyli na północy Afryki, a latem wreszcie zaatakowali Sycylię, nadal jednak nie zanościło się na desant na półwyspie.

Vitantonio nie chciał się pogrążyć w tego rodzaju czarnych myślach. Czekał tylko na moment, aż będzie mógł zacząć działać. Trzy lata wojny pochłonęły połowę jego szkolnych kolegów i kilku najlepszych przyjaciół z internatu. Zginęła także większość mężczyzn z rodu Convertinich. Choć teraz już wiedział, że w ich żyłach nie płynie ta sama krew, wychował się pośród nich i nadal uważał ich za swoją rodzinę. Od śmierci *normy* lista zmarłych bez przerwy się wydłużała. Stryj Luca zginął w wodach Atlantyku wraz z większością z tysiąca pięciuset włoskich jeńców, którzy płynęli *Laconia*, brytyjskim statkiem storpedowanym przez niemiecką łódź podwodną. Kiedy U-Boot wypłynął na powierzchnię, żeby ratować rozbitków, alianci z niezrozumiałych powodów go zbombardowali, posyłając na dno morza kobiety, dzieci, brytyjskich żołnierzy na przepustce i włoskich jeńców. Wśród nich był stryj Luca Convertini.

W niewielkich odstępach czasu zginęli także trzej kuzyni Vitantonio - na wybrzeżu Dalmacji, w Grecji i na północy Afryki - a dwóch innych uznano za zaginionych w Rosji. Tymczasem Giovanna, wystawiona na ogromne niebezpieczeństwo we Francji kontrolowanej przez kolaborantów i Gestapo, przygotowywała się do powrotu do Włoch, by tu walczyć z faszystami. Z każdą mijającą minutą Vitantonio utwierdzał się w przekonaniu, że nie może dłużej siedzieć z założonymi rękami - pragnienie wolności, o którym opowiadali Roosevelt i nowi przyjaciele z Matery, popychało go do udziału w walce.

Kłątwa rodziny Palmisano

Od tamtej pierwszej rozmowy Vitantonio z nowym towarzyszem minął ponad rok. Jego przewidywania się nie sprawdziły. Anglicy walczyli na północy Afryki, a latem wreszcie zaatakowali Sycylię, nadal jednak nie zanościło się na desant na półwyspie.

Vitantonio nie chciał się pogrążyć w tego rodzaju czarnych myślach. Czekał tylko na moment, aż będzie mógł zacząć działać. Trzy lata wojny pochłonęły połowę jego szkolnych kolegów i kilku najlepszych przyjaciół z internatu. Zginęła także większość mężczyzn z rodu Convertinich. Choć teraz już wiedział, że w ich żyłach nie płynie ta sama krew, wychował się pośród nich i nadal uważał ich za swoją rodzinę. Od śmierci *normy* lista zmarłych bez przerwy się wydłużała. Stryj Luca zginął w wodach Atlantyku wraz z większością z tysiąca pięciuset włoskich jeńców, którzy płynęli *Laconia*, brytyjskim statkiem storpedowanym przez niemiecką łódź podwodną. Kiedy U-Boot wypłynął na powierzchnię, żeby ratować rozbitków, alianci z niezrozumiałych powodów go zbombardowali, posyłając na dno morza kobiety, dzieci, brytyjskich żołnierzy na przepustce i włoskich jeńców. Wśród nich był stryj Luca Convertini.

W niewielkich odstępach czasu zginęli także trzej kuzyni Vitantonio - na wybrzeżu Dalmacji, w Grecji i na północy Afryki - a dwóch innych uznano za zaginionych w Rosji. Tymczasem Giovanna, wystawiona na ogromne niebezpieczeństwo we Francji kontrolowanej przez kolaborantów i Gestapo, przygotowywała się do powrotu do Włoch, by tu walczyć z faszystami. Z każdą mijającą minutą Vitantonio utwierdzał się w przekonaniu, że nie może dłużej siedzieć z założonymi rękami - pragnienie wolności, o którym opowiadali Roosevelt i nowi przyjaciele z Matery, popychało go do udziału w walce.

Komunikat

Podczas niedzielnej nocy dwudziestego piątego lipca 1943 roku w Kole Kulturalnym Dziedziców w Bari wyczuwało się podniosłą atmosferę. Kieliszki były pełne, palono dobre kubańskie cygara, partie kart przeciągały się bardziej niż zwykle, a w ogrodzie panował niespotykany ruch. Tej nocy dom schadzek nie nadążał z obsługiwaniem klientów. Niedługo miał się skończyć lipiec, a wraz z nim dni wolności dla członków klubu - w sierpniu mężczyźni wyjeżdżali do nadmorskich miejscowości albo do *masserii* w głąbi kraju, by dołączyć do swoich rodzin, które spędzały tam wakacje już od dnia świętego Jana.

W dużym salonie klubu panowała zaraźliwa euforia, która wkrótce przeszła w istny harmider; mężczyźni mówili podniesionym głosem, rozmowy o polityce przeplatały się z wybuchami nerwowego śmiechu, jaki wzbudzały pikantne komentarze. Wszystkich ogarnęła wesołość, kiedy do salonu wbiegł niski, gruby mężczyzna i potknął się o dywan; był to główny agent morski z portu w Bari. Kiedy zdołał wstać i doprowadzić się do porządku, zaczął wymachiwać rękami, by przyciągnąć uwagę obecnych.

Radio, włączcie radio! Właśnie powiedzieli, że król wystosował uroczysty komunikat do narodu. Zaraz go odczytają.

Rozmowy momentalnie ustały. W salonie zapanowało ogólne poruszenie. Okrzyki zaskoczenia i wyrażające niepokój pytania niesły się od stolika do stolika.

- Król? Co takiego mogło się wydarzyć? Niedobrze!

Najbardziej zdeterminowani podeszli do radia, które barman trzymał na kredensie z alkoholami. W salonie zapadła cisza. Wysoki, rudy mężczyzna o białej cerze, producent zamków, zaczął kręcić gałką. Przesłał, kiedy usłyszał ostatnie dźwięki *Marsza królewskiego*. Pozostali stłoczyli się wokół aparatu.

Spiker niskim, głębokim głosem odczytał powoli komunikat króla:

„Jego Wysokość Król i Cesarz przyjął dymisję ze stanowisk szefa rządu, premiera i sekretarza stanu Jego Ekscelencji *cavaliere* Benita Mussoliniego, i mianował szefem rządu, premierem i sekretarzem stanu marszałka Włoch, *cavaliere* Pietra Badoglię”.

Zanim dotarł do nich sens komunikatu, transmisja dobiegła końca. Ponownie zabrzmiał *Marsz królewski*. Powietrze w salonie tak się rozrzedziło, że większości zebranych trudno było oddychać. Dziedzice spoglądali na siebie zdezorientowani. Nikt nie przewidział upadku Duce, żaden z nich się tego nie spodziewał. Angelo Convertini chwiejnym krokiem podszedł do swojego fotela i zwałił się na niego przybity. Po długiej chwili odezwał się jako jeden z pierwszych.

- Co chciał przez to powiedzieć król? Chyba nie zlikwidował Mussoliniego, prawda?

Angelo, do cholery! Czasami ma się wrażenie, że nie myślisz logicznie. Komunikat nie mógłby być bardziej klarowny. Król usunął Mussoliniego ze stanowiska i zastąpił go Badogliem - wyjaśnił agent morski.

Kłątwa rodziny Palmisano

- Usunął? To niemożliwe. Przecież to dzięki Duce staliśmy się wielcy - wymamrotał przygnębiony Angelo.

- Wielcy? - rzucił producent zamków, który od miesiący nie dostał żadnego poważniejszego zlecenia. - Nie opowiadaj bzdur. Zyskałiśmy cokolwiek na tej wojnie? Nasza gospodarka idzie na dno, podobnie jak armia. Alianci w końcu wygrają wojnę, a kiedy nadejdzie ten dzień, będziemy po stronie pokonanych. Nie wiem, gdzie tu widzisz wielkość.

- Alianci mogą wygrać wojnę? Jak?
- Posuwają się naprzód na wszystkich frontach - odparł producent zamków. - Teraz szykują desant gdzieś w Europie i jeśli tylko zechcą, w krótkim czasie zajmą całe Włochy. Amerykanie mają niesamowitą armię, dużo lepszą niż dwadzieścia lat temu. Czyżbyś nie czytał o tym, co się dzieje?

- Może bez Mussoliniego Włochy wycofają się z wojny, zanim Niemcy pociągną nas ku jeszcze większej katastrofie - wyraził nadzieję agent morski, który miał nosa, jeśli chodzi o ukryte zamiary polityków, jako że żył z międzynarodowych kontaktów i poświęcał cały wolny czas na lekturę prasy z połowy krajów Europy.

- Macie zupełną rację, faszyzm był nonsensem - wtrącił przejęty Scarafile, winiarz, który zachęcony zbożową kampanią obsiał w Alta murze setki hektarów leżących odłogiem nieużytków. W ciągu trzech, czterech lat, podczas których uprawiał pszenicę, zgromadził więcej pieniędzy niż wówczas, gdy butelkował najlepsze wino *primitivo* w regionie.

Angelo spojrział na niego z niedowierzaniem, pamiętał bowiem doskonale dzień, kiedy Mussolini wizytował dywizję alpejską, a oni stali razem na promenadzie w Bari. Dostali miejsce pośród uprzywilejowanych gości, w sektorze naprzeciwko Albergo delle Nazioni. Angelo nie zapomniał, że Fiorenzo Scarafile oklaskiwał Duce z przesadnym entuzjazmem i przepychał się łokciami, żeby podejść do dyktatora i uściśnąć mu rękę.

- Biedny Duce. Myślę, że powinniśmy okazać większą wdzięczność człowiekowi, dzięki któremu mogliśmy się rozwijać - upierał się Angelo, myśląc o swoim synu Trancu i o tym, co się z nim stanie, jeśli faszyzm upadnie.

Sam to powiedziałeś: „Dzięki któremu mogliśmy się rozwijać”, w czasie przeszłym. Kiedy ostatnio sprzedawałeś choćby jedną jodłową deskę? Zresztą nawet jeśli ktoś chciałby ją od ciebie kupić, nie mógłbyś jej sprzedać, bo od trzech lat nie przyplływają z Rosji statki z drewnem. Najlepsi robotnicy są na froncie. Jak mamy cokolwiek produkować bez siły roboczej? - podsumował wytwórca zamków. I uznał dyskusję za zakończoną, bo w ciągu ostatnich minut klub opustoszał.

Nagle wszyscy poczuli się niepewnie, spieszo im było do domów. A może dziedzice z Bari chcieli jak najszybciej uciec na wybrzeże - w miasteczkach na półwyspie Gargano, urwistym cyplu, nie mogło im się przytrafić nic złego, najwyżej sztorm. Angelo uznał, że najlepiej będzie dołączyć do rodziny w Savelletri i tam zaczekać, aż w Rzymie rozstrzygnie się walka o władzę. A że miasteczko leżało blisko Bellorotondo, będzie mógł w każdej chwili podjechać do fabryki, a także nadzorować stamtąd *masserie*.

Klątwa rodziny Palmisano

Ostatni członkowie, którzy opuszczali klub, zauważyli, że dziewczyny z burdelu także zgasiły już światła i pozamykały drzwi i okna. Klienci byli wystraszeni, więc Piękna Antonella nie miała powodów do radości.

Zaniepokojenie członków Koła Dziedziców z Bari było proporcjonalne do euforii, jaka o tej samej porze panowała w kryjówce w Materze. Vitan-tonio i jego przyjaciele nie mieli radia, nie mogli więc wysłuchać komunikatu Wiktora Emanuela III, ale o północy pojawił się Roosevelt z wiadomością, że Mussolini popadł w niełaskę. Tyle im wystarczyło - od trzech lat nie słyszeli równie pomyślnej nowiny.

Viva la liberta!

Giovanna co prawda nie dotarła jeszcze do domu, jak pragnęła *zia*, ale rozpoczęła już ostatni etap podróży powrotnej do Bellorotondo. Zatrzymana w Bari, żeby zasięgnąć informacji o losach Salvatorego. Wiedziała tylko tyle, że został zatrzymany, gdy próbował się dostać do miasta drogą morską, i zamknięty w Alberobello, w więzieniu dla politycznych przeciwników reżimu; od tamtego czasu minęło sześć miesięcy.

Po wyjściu z dworca dowiedziała się z jednodniowym opóźnieniem o zamachu króla przeciwko Mussoliniemu - pierwsze strony porannych gazet nie informowały o niczym innym. W kolejnych godzinach skontaktowała się ze swoimi dawnymi towarzyszami z partii. Zdziwiła ją dziecinna euforia, jaką wzbudził wśród antyfaszystów upadek Duce. Wieczorem, kiedy usłyszała, że najbardziej zaangażowani działacze szykują manifestację, by domagać się uwolnienia więźniów politycznych, postanowiła przedłużyć swój pobyt w Bari; wysłała do *zii* telegram z informacją, że jej powrót do Bellorotondo opóźni się o kilka dni.

Kolejne czterdzieści osiem godzin Giovanna przeżyła jak w gorączce. Rankiem dwudziestego szóstego lipca ponownie spotkała się z częścią znajomych z liceum i z dawnym profesorem z uniwersytetu, Fabriziem Canforą, do którego chodziła na zajęcia z filozofii. Wzięła także udział w zebraniu wykładowców związanych z ruchem liberalnych socjalistów. Cieszył ją zaraźliwy entuzjazm dawnych towarzyszy, szybko jednak zdała sobie sprawę, że nie potrafi patrzeć na nich inaczej niż z pewnym dystansem, jakby byli aktorami w sztuce teatralnej, którą ona ogląda z widowni. Ucieczka z Barcelony i pobyt w obozach dla uchodźców na południu Francji sprawiły, że stała się nieufna. Uważała, że wolność, sprawiedliwość i pokój to ładnie brzmiące słowa, ale w prawdziwym życiu liczy się jedynie to, co pozwala przetrwać; czasami wystarczy zasypiać z nadzieją, że nazajutrz znów będzie nam dane otworzyć oczy.

Następnego dnia przeszła z manifestantami ulicami centrum Bari i po hamowawszy sceptycyzm, krzyczała wraz z nimi *Viva la liberta!* W demonstracji brało udział niewiele ponad dwieście osób, głównie studenci z uniwersytetu, wykładowcy i robotnicy. Przemaszerowali Via Sparano, wykrzykując hasła w obronie więźniów. Kiedy minęli Piazza Umberto i doszli do Via Niccolò dell'Arca, na wysokości kina drogę odcięło im wojsko. Manifestacja została zatrzymana tuż przed miejscową siedzibą Narodowej Partii Faszystowskiej. Gdy oficer krzyknął „Załaduj broń!”, Giovanna pomyślała, że oszalał; zaraz jednak zdała sobie sprawę, że żołnierze wykonują jego rozkaz. Szykowali się do oddania strzałów. Nie mogła uwierzyć własnym oczom,

Przez ostatnie trzy lata spędzone na południu Francji rozwinął się w niej szczególny instynkt, który ostrzegał ją przed niespodziewanym niebezpieczeństwem. Jej uwagę zwróciły podejrzane ruchy w siedzibie faszystów - podniosła wzrok i zobaczyła uzbrojonych mężczyzn kryjących się za oknami. Zaalarmowana, już miała ostrzec towarzyszy, żeby mogli w porę uciec ze śmiertelnej zasadzki, kiedy dostrzegła w budynku znajomą postać. Znieruchomiła ze zdumienia za okiennicą zobaczyła

Klątwa rodziny Palmisano

głowę kuzyna Franca, który przekazywał instrukcje korpulentnemu mężczyźnie wychylającemu się na ulicę z karabinem w dłoni. Patrzyła na niego oniemiała, zareagowała dopiero, gdy usłyszała okrzyk oficera: „Strzelać!”.

Pierwsza seria powaliła tych, którzy stali na przedzie pochodu. Był to znak, na który czekali mężczyźni ukryci w siedzibie faszystów. Zaczęli strzelać z okien. Manifestanci zostali wzięci w krzyżowy ogień, wielu bezbronnych ludzi padło na ziemię pod gradem kul. Żołnierze nie zaprzestali ataku; przeciwnie, stojąc kilka metrów od czoła pochodu, zapamiętale ostrzeliwali antyfaszystów.

Giovanna leżała przygnieciona zwłokami chłopca, który wyglądał na mniej niż osiemnaście lat. Udawała martwą, nie poruszyła się, póki nie miała pewności, że faszyci odeszli od okien. Kiedy zobaczyła, że wojskowi także się wycofali, pobiegła w stronę kryjówki, umówionego miejsca spotkania z dawnymi towarzyszami z partii. Tam dowiedziała się, że zginęło prawdopodobnie ponad dwadzieścia osób i że ogień wroga ranił ponad pięćdziesięciu manifestantów. O północy, powodowani złym przeczuciem, przenieśli się do innego mieszkania. Ocalili życie w ostatniej chwili; tamtej nocy wojsko i tajna policja przeczesały całe miasto. Największą aktywność wykazywał Franco kazał przeszukać mnóstwo mieszkań i sam uczestniczył w zatrzymaniu najważniejszych manifestantów.

Radość antyfaszystów rozwinęła się zaledwie czterdzieści osiem godzin po zdymisjonowaniu Mussoliniego. Dyktator popadł w niełaskę, ale król i armia, z Badoglio na czele, ponosili zbyt dużą odpowiedzialność za wszystko, co się do tej pory wydarzyło, i mieli zbyt wiele do ukrycia, toteż nie zamierzali otwierać na oścież drzwi do wolności. Włosi musnęli koniec wojny opuszkami palców, ale niecni przywódcy skazali ich na dalszą walkę. Kraj miał się wkrótce stać sceną zaciekłych zmagania.

Strasznie długi sierpień

W sierpniu panowała duchota. Anglik i Vitantonio zlikwidowali kryjówki w Murgii i czekali w Materze na desant aliantów. Roosevelt zostawił swoje stada kuzynowi i także przeniósł się do jaskini, za ciasnej dla tylu osób. Wewnątrz utrzymywała się stała temperatura czternastu stopni, zarówno zimą, jak i latem, jednak odkąd przebywali tu we trzech, na dodatek z *tatónnem*, nie dało się oddychać. Na dworze upał był nie do wytrzymania i tylko świerszcze wydawały się dobrze znosić palące powietrze. Nieustanne cykanie dobiegające z wąwozu doprowadzało do szału uwięzionych w kryjówce mężczyzn. Kiedy jednak wychodzili na zewnątrz rozprostować nogi, było jeszcze gorzej - po kilku minutach spędzonych na słońcu opadali z sił i musieli czym prędzej wracać do monotonii jaskini. Giuseppe zwany Profesorem, nauczyciel z północy wygnany do Lukanii, co noc przychodził do groty, żeby przekazać im najświeższe wiadomości. Wyciągał informacje od burmistrza Materii i bardziej liberalnych wojskowych. Najwyżej cenił sobie towarzystwo Francesca Paola Nittiego, oficera, który potrafił prowadzić inteligentne rozmowy. Dzięki niemu dowiedzieli się o zatrzymaniu i uwięzieniu Mussoliniego, najpierw na wyspie Ponza, potem na La Maddalenie; nieco później dotarła do nich informacja, że Duce został zamknięty w twierdzy gdzieś w Abruzji. Na tym jednak kończyły się dobre wieści. Kiedy przyszło co do czego, nowy rząd generała Badoglio okazał się równie reakcyjny i wystraszony perspektywą wolności jak wszystkie reżimy faszystowskie. Alianci wprawdzie szybko posuwali się do przodu na Sycylii, ale nic nie wskazywało na to, by zamierzali przerzucać wojska na półwysep. Zamknięci w jaskini, Vitantonio i jego przyjaciele tracili nadzieję, a euforia zamieniała się w rozczarowanie. Sierpień ciągnął im się w nieskończoność.

Niepokojąca uroczystość

Dziewiąty września 1943 roku przeszedł do historii Bellorotondo. W porze oficjalnej uroczystości temperatura przekroczyła czterdzieści dwa stopnie; dwaj niedoświadczeni karabinierzy nie wytrzymali na słońcu i zemdleli, zanim zaczęła się ceremonia. Stanęli w szyku na placu o dziesiątej, pół godziny przed spodziewaną wizytą biskupa i gubernatora, którzy mieli odsłonić nową tablicę ku czci ofiar wielkiej wojny. O tej samej godzinie na trybunę weszli przedstawiciele lokalnych władz i kościoła, swoje miejsca zajęli także weterani, orkiestra i publiczność, która niecierpliwie czekała na moment, gdy skończą się oficjalne przemówienia; większość myślała wyłącznie o koncercie i okolicznościowym poczęstunku.

Burmistrz przykazał, by wszystko było gotowe, tak aby mogli rozpocząć uroczystość, gdy tylko przyjadą regionalne władze, ale z niewiadomych przyczyn półtorej godziny później nikt się jeszcze nie pojawił. Obchody utknęły w martwym punkcie. W momencie, kiedy dzwony na kościele Niepokalanej wybijały dwunastą, zemdlął pierwszy żandarm

1 sytuacja zaczęła się wymykać spod kontroli. O tej porze już tylko karabinierzy stali w szyku w pełnym słońcu; władze i kler dawno opuścili przypisane im miejsca i schowali się w zbawiennym cieniu dębu przy wejściu na plac. Muzycy i weterani znaleźli schronienie pod dwoma szarańczynami rosnącymi na środku placu, publiczność zaś stłoczyła się z boku, w miejscu osłoniętym przed słońcem przez dwa drzewa i ścianę *palazzo*. Zieleń ogrodu Convertinich stanowiła niewytłumaczalny cud pośród tej skwarnej duchoty.

Signore Maurizio, były burmistrz, siedział na krześle, które kazał sobie postawić w cieniu, i ostentacyjnie krytykował nowego burmistrza, swojego syna Maurizia, który tracił kontrolę nad sytuacją. Tłum się niecierpliwił. Kiedy katastrofa wisiała już w powietrzu, ku zaskoczeniu zebranych rozległ się głośny warkot motocykla jadącego Corso 20 Settembre. Z diabelskiej maszyny zsiadł woźny z ratusza i zaczął szukać wzrokiem przedstawicieli miejscowych władz.

- Mój Boże. Albo przyjadą i wreszcie z tym skończymy, albo roztopimy się jak sople lodu - mruknął w tym samym momencie burmistrz, nie rozumiejąc, co się dzieje.

- To będzie cud, jeśli nikt nie umrze - zawyrokował ojciec Constanzo na potwierdzenie pesymistycznych prognoz szefa władz miejskich. Sutan na przylepiła mu się do pleców, a dwie wielkie białe plamy z soli wyzierające spod jego pach zdradzały, że poci się jak mysz.

W tym momencie na ziemię runął drugi karabinier. Od tej chwili wydarzenia potoczyły się lawinowo. Woźny przywiózł telegram dla burmistrza - kiedy biedak go przeczytał, poczuł, jak uginają się pod nim nogi.

- Nikt nie przyjedzie. Król uciekł zeszłej nocy z Rzymu i przeniósł się do Brindisi - zdołał wytłumaczyć. Władze regionu, z biskupem i gubernatorem na czele, pojechały tam, żeby go powitać.

- Król i biskup w Brindisi, a my tutaj, w tym piekielnym upale, otoczeni przez bandę prostaków, którzy tylko czekają, aż sobie pójdziemy,

Kłątwa rodziny Palmisano

żeby rozpocząć tańce - poskarżył się rektor wikariuszowi. Na jego sutannie pojawiła się kolejna biała plama, dokładnie na środku pleców.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na burmistrza w oczekiwaniu na instrukcje, ale młody Maurizio wyglądał na skołowanego i nie był w stanie przejść inicjatywy.

- Dalej, zakończmy to wreszcie - powiedział ojciec Constanzo, który marzył tylko o tym, by wrócić na plebanie i włączyć radio.

Rektor kościoła Niepokalanej polecił orkiestrze, by zagrała jakiś marsz wojskowy, i wziął pod ramię burmistrza, który wciąż stał jak słup. Przywołał pozostałych przedstawicieli władz, zaimprovizowali nieskładną kolumnę i pospiesznym krokiem ruszyli na środek placu.

Zgodnie z programem na scenę wyszedł miejscowy poeta i zaczął czytać swoje straszne wiersze. Wykonanie także było okropne. Temperatura podskoczyła nagle o trzy, cztery stopnie. Ojciec Constanzo rozpiął sutannę aż do pasa i przetał chusteczką spoconą pierś. Dowódca karabinierów poszedł w jego ślady i także rozchylił przesiąkniętą potem bluzę. Były burmistrz wyrwał z rąk żony wachlarz i zaczął nim nerwowo machać. Trzech czy czterech karabinierów z szyku chwiało się na nogach; wszystko wskazywało na to, że i oni w każdej chwili mogą zemleć.

Burmistrz nadal wyglądał na nieobecnego. Poluzował węzeł krawata, zdjął marynarkę i zarzucił ją sobie na plecy. Potargana grzywka przylepiła mu się do spoczonego czoła, a koszula przyłgnęła do brzucha, także mokrego od potu. Mimo silnego ataku paniki, kiedy już wszyscy spodziewali się najgorszego, w nieoczekiwanym przebytku świadomości uratował uroczystość - zaczął bić brawo, uznając program poetycki za zakończony. Jego decyzja została nagrodzona oklaskami całej publiczności, która nie zamierzała słuchać żałosnej deklamacji ani minuty dłużej. Poeta myślał, że oklaskują jego wiersze, i wrócił do przerwanej lektury z jeszcze większym entuzjazmem. Przeżony burmistrz podszedł do artysty, uściśkał go i sprowadził ze sceny. Plac nagrodził go niesamowitą owacją, na jszczerzą, jaką otrzymał, odkąd zastąpił ojca w ratuszu.

Sielanka między władzami i ludem nie trwała jednak długo. Kiedy burmistrz wrócił na scenę, wyciągnął z kieszeni przewieszzonej przez plecy marynarki plik kartek z zamiarem odczytania przemówienia, które napisał dla biskupa i gubernatora. Po placu przeszedł pomruk niezadowolenia.

- Ten idiota jest gotów czytać, dopóki nie padnie ostatni karabinier - powiedział głośno jeden z weteranów stojący obok Chudzielca w cieniu szarańczynów.

Burmistrz musiał go usłyszeć, a może nadal był poruszony brawami, którymi go nagrodzono, bo ulitował się nad swoimi biednymi współobywatelami bliskimi doznania udaru słonecznego i postanowił oszczędzić im dalszej udręki. Schował kartki do kieszeni, opuścił podest, podszedł do pomnika i gwałtownym ruchem zerwał włoską flagę, odslaniając nową tablicę z nazwiskami czterdziestu dwóch ofiar wielkiej wojny. Następnie wrócił na scenę i krzyknął:

- Pomnik zostaje oficjalnie odsłonięty! Niech żyje Bellorotondo! Niech żyją Włochy!

Plac odpowiedział kolejną entuzjastyczną salwą braw. „Niech żyje burmistrz!”, krzyknęli weterani. Maurizio nie mógł uwierzyć w tyle prze-

Kłątwa rodziny Palmisano

jawów sympatii. Ludzie byli szczęśliwi, że oszczędzono im reszty programu. Miała się zacząć zabawa.

- *A Marsz królewski?* - zapytał błagalnym tonem dowódca karabinierów, zwracając się do burmistrza.
- Niech pan sam wyda polecenie orkiestrze. Tylko, na miłość boską, niech się streszczają. Skończmy to wreszcie.

Orkiestra zagrała pierwsze takty *Marsza królewskiego*. Nagle niektórzy ze stojących na placu weteranów, zachęceni przez Chudzielca, odpowiedzieli pierwszą zwrotką *rratelli d' Italia*, pieśni Mamelego, którą uważali za prawdziwy hymn narodowy. Zaskoczony dowódca karabinierów kazał orkiestrze grać z większą werwą, jednak muzycy wykonywali marsz coraz bardziej anemicznie - chcieli wiedzieć, za którą z melodii opowie się większość publiczności. Stojący w cieniu szarańczynów weterani zaczęli żwawo wyśpiewywać pierwszą zwrotkę hymnu republikanów, a po chwili przyłączyli się do nich miejscowi faszyści, którzy także nie znosili królewskiego hymnu.

- *Fratelli d'Italia, l'Italia s'e desta, dellelmo di Scipio s'e cinta la testa. Dov'e la Vittoria? Le porga la chioma, che schiava di Roma l'iddio la creó..M* - wołał cały plac, któremu udzielił się entuzjazm Chudzielca i grupy weteranów. Tak naprawdę uroczystość zorganizowano ku ich czci, a także ich dawnych towarzyszy broni, żołnierzy, którzy zginęli w okopach dwadzieścia pięć lat wcześniej, między 1915 a 1918 rokiem. Dlatego *zia*, która odrzuciła zaproszenie i nie zasiadła na trybunie, teraz śpiewała wzruszona pośród chłopów i weteranów. Czczono także pamięć jej Vita Oronza. I Antonia Franceski.

Muzycy przyjechali, żeby grać na zabawie, tak więc kiedy zobaczyli, że na placu zapanowało wrzenie, nie wahając się już dłużej, przeszli na stronę ludu. Odwrócili się plecami do dowódcy karabinierów, który wciąż zaklinał ich, by wykonywali *Marsz królewski* z większym przekonaniem, i pośród głośniejszych braw publiczności zaczęli grać pierwsze dźwięki żywego *Fratelli d'Italia*.

Angelo śledził te wydarzenia zza muru ogrodu *palazzo*. Gdy hymn Mamelego odniósł miażdżące zwycięstwo nad *Marszem królewskim*, Angelo dwukrotnie się przeżegnał. Po śmierci *normy* odziedziczył dom i niespełna miesiąc później już w nim mieszkał; był to wymowny sygnał, że od tej pory pretenduje do bycia nowym Panem Bellorotondo.

Kiedy żegnał się po raz drugi, do ogrodu weszła jego żona. Carmelina uznała uroczystość za gigantyczną katastrofę i wykorzystała różnicę zdań między dowódcą karabinierów a orkiestrą w kwestii hymnu, żeby opuścić oficjalną delegację i przemknąć bocznym wejściem do *palazzo*. Chciała poznać zdanie męża, który został w domu i zamierzał wyjść na plac dopiero wtedy, kiedy przyjadą biskup z gubernatorem. A i to wyłącznie z grzeczności, jako że po uroczystości władze były zaproszone do nich na obiad, i nie spieszyło mu się bynajmniej, żeby je powitać.

- Cóż za katastrofa! Okazuje się, że król przeniósł dwór do Brindisi i wszyscy pojechali, żeby go tam przyjąć.

Kłątwa rodziny Palmisano

Z twarzy Carmeliny można było wyczytać niepokój, szukała u męża pocieszenia. Gdy mierzył ją wzrokiem, zauważyła, że na jego obliczu maluje się niezadowolenie.

- Nie uważasz, że powinieneś być pokazać się na placu? - zapytała.
- Ta uroczystość to pomyłka, zresztą i tak byli tam już burmistrz i ksiądz, którzy mnie reprezentują. Za co te brawa?

- Ludzie oklaskiwali przemówienie burmistrza.

- Nie do wiary! Co takiego powiedział?

- Nic! Podobało im się właśnie to, że nic nie powiedział! Schował przemówienie do kieszeni i ograniczył się do odsłonięcia tablicy.

- Na miłość boską! Nic z tego nie rozumiem. Król przenosi dwór do Brindisi, Duce siedzi w więzieniu, lud oklaskuje władze, które nic nie mówią, chłopcy forsują śpiewanie hymnu Mamelego, a ci kretyni, ksiądz i burmistrz, dają się omamić weteranom i organizują huczną uroczystość odsłonięcia odnowionego pomnika upamiętniającego wielką wojnę. Czy nie zdają sobie sprawy, że to zniewaga dla Niemców?

- Nie pomyślałam, że mogą poczuć się urażeni z powodu tak skromnego pomnika...

- Otóż mogą. W tamtej wojnie to oni byli wrogami! - Angeio nabrał powietrza i ciągnął coraz bardziej przerażony: - A jakby tego było mało, ten idiota Franco a to udaje żołnierza, a to bawi się w policjanta i ściga antyfaszystów po okolicznych wioskach; nasza bratanica Giovanna wraca do domu, żeby konspirować, po tym, jak przeszła pół Europy, afiszując się z członkami Brygad Międzynarodowych, a nasz bratanek Vitantonio dezertuje i ukrywa się w górach. Oboje na pewno zostali komunistami. Jeśli komuniści przejmą władzę, powiesz nas za jaja na placu!

Carmelina przeżegnała się i wezwała na pomoc Maryję:

- Matko Boska, nie mów takich rzeczy! - Weszła pospiesznie do domu, a po chwili wróciła z dwoma różańcami.

Co robisz? zapytał Angeio; widać było po nim, że jest wściekły.

- Odmówimy różaniec za naszego syna. I drugi, za króla.

- Różaniec na Anioł Pański? Na miłość boską, poprzesztawiało ci się w głowie. Nasz świat się wali, a ty wyskakujesz mi tu z różańcem! - krzyknął zdenerwowany, popychając żonę w stronę domu.

Carmelina nigdy nie widziała go w takim stanie; wycofała się wystraszona w kierunku schodów galerii. Kiedy była przy drzwiach i już zamierzała schronić się w środku, usłyszała wołanie męża:

- Wracaj tutaj! Może masz rację, że dobrze byłoby poprosić o pomoc

Opatrzność. Franco walczy z faszystami, Vitantonio i Giovanna wyrosli nam na antyfaszystów, a ci idioci z miasteczka prowokują Niemców. Jesteśmy zgubieni. Ktokolwiek wygra, będzie miał nam coś do zarzucenia. Może z tego wyniknąć wyłącznie nieszczęście.

Drżącą dłonią wziął różaniec, który podała mu Carmelina, i skulił się w wiklinowym fotelu.

Zaczynj sama... - powiedział.

- Co mam odmówić? Anioł Pański czy różaniec?

- Odmówimy i to, i to - odparł Angeio. Przeżegnał się i zaczął recytować: Przez znak krzyża, od nieprzyjaciół uwolnij nas, Boże nasz. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Kłątwa rodziny Palmisano

Następnie zmówili Ojcze Nasz, Zdrowaś Mario, Chwała Ojcu i Wierzę w Boga. Kiedy zaczęli Witaj, Królowo, Angelo przerwał. Głosem zduszonym od szlochu, którego już nawet nie starał się ukryć, oznajmił:

- Wyjedziemy do Wenecji, do domu mojej siostry. Południe nie jest już dla nas bezpieczne. - Po czym wrócił do Witaj, Królowo.

Tym razem Carmelina naprawdę się wystraszyła. Włożyła rękę do kieszeni i dotknęła jeden po drugim wszystkich szkaplerzy i świętych obrazków, które w niej nosiła.

Małżonków zaskoczyło niespodziewane pojawienie się w ogrodzie kucharki i służącej - kobiety chciały wiedzieć, co mają zrobić z obiadem przygotowanym na cześć biskupa i gubernatora.

- Zapomnijcie o obiedzie i chodźcie się z nami modlić - nakazał pan domu, który chciał wreszcie zacząć Anioł Pański. Następnie ni stąd, ni zowąd wyrecytował drżącym głosem: - Panie mój Jezu! Prawdziwy Boże i Człowieku, Stwórcu Ojcze, Odkupicielu mój. Przez to, że jesteś Najwyższym Dobrem, i ponieważ kocham Ciebie przede wszystkim z całego serca, boli mnie, że obrażam Ciebie...

Teraz Angelo już głośno szlochał, a kiedy usłyszał własny głos wypowiadający słowa „również boli mnie, że możesz mnie ukarać piekłem...”, zaczęło mu kapać z nosa i musiał wytrzeć go rękawem marynarki. Poprowadził jedna po drugiej cztery tajemnice różańca: radosną, światłą, bolesną i chwalebłą. Po litaniach odmówił modlitwę do świętego Michała i kilka innych, których służące nigdy nie słyszały.

W porze kawy zjawili się burmistrz i ojciec Constanzo, licząc na to, że mimo nieobecności władz regionu Angelo nie odwołał przyjęcia, na które zostali zaproszeni. Gdy weszli do ogrodu, spojrzeli po sobie skonfundowani gospodarze i służba siedzieli pod pergolą, recytując psalmy, które Angelo czytał ze starego brewiarza ojca Felicego.

- Proszę usiąść. Proszę usiąść i modlić się. Niezłej szkody panowie narobili, obrażając naszych niemieckich przyjaciół.

- Aby podnieść morale żołnierzy walczących na tej wojnie, trzeba było, jak Bóg przykazał, uczcić poległych w poprzedniej. Pomnik już się sypał...

- zaprotestował burmistrz, zdopingowany owacjami, które zgotowano mu na placu.

Ksiądz, przytłoczony tą przesadną manifestacją religijnej żarliwości, postanowił zachować milczenie.

- Musi pan wiedzieć, że popełnił pan głupstwo, i to duże - powiedział Angelo. - Powinniście byli, panowie, zaczekać, żeby zobaczyć, jak to wszystko się skończy... Teraz, cokolwiek się stanie, będziemy w poważnych tarapatkach!

Ponieważ burmistrz i kapłan nie wiedzieli ani co się dzieje, ani co może się stać, i nie rozumieli, o czym mówi Angelo Convertini, dołączyli do grupki i zaczęli odpowiadać na psalmy w cieniu wspaniałych bugenwilli i jaśminów, które pięćdziesiąt lat wcześniej własnoręcznie posadziła Signora Angela.

Klątwa rodziny Palmisano

Następnego dnia Angelo i Carmelina pospiesznie zamknęli bramy *palazzo*, opuścili Bcllorotondo i uciekli jak najdalej od południa, którego tak się bali. Nikt nie rozumiał, jakiego bezpieczeństwa spodziewają się znaleźć na północy kraju ani co skłoniło ich, żeby przenieść się akurat do Wenecji, która zgodnie z geograficzną logiką powinna być znacznie dłużej narażona na wojenne zawirowania. Ale Angelo był przekonany o słuszności swojej decyzji - już od jakiegoś czasu ciążyła mu bliskość mieszkańców Bcllorotondo, która w tych burzliwych czasach napawała go strachem. Wenecja była wielkopańskim miastem, wierzył, że tam każdy zna swoje miejsce.

Brytyjczycy w Tarencie

W drugą niedzielę września Donata nie pojawiła się na umówionym spotkaniu. Vitantonio czekał na próżno przez cały dzień, aż wreszcie północ dała za wygraną, ze ściśniętym sercem opuścił chatę Roosevelta i wrócił do Matery, by ukryć się w Sassi i tam czekać na wieści od matki. Jego wejście do jaskini wszystkich obudziło. Zanim zdążyli ponownie zasnąć, zaalarmowały ich jakieś wrzaski.

- Brytyjczycy zeszli na ląd w Tarencie! - krzyknął Roosevelt ze szczytu schodów, po czym podniecony zszedł na dół, zapominając o zasadach bezpieczeństwa; ryzykował, że powita go kula. - Wygląda na to, że nie napotkali oporu i przemieszczają się na północ w kierunku Brindisi i Bari. Do tej pory może już je zajęli - dokończył, pokonując ostatnie stopnie prowadzące na dno kryjówek w stanie euforii, w jakim jego towarzysze nigdy wcześniej go nie widzieli.

Vitantonio i Anglik czuli się bezpieczni w jaskini, ale z każdym mijającym dniem pogłębiało się ich wrażenie, że utknęli w pułapce. Byli coraz bardziej zdesperowani bezczynnością Roosevelta, choć dzielił z nimi kryjówek, jako jedyny mógł się swobodnie poruszać i korzystać z tego, by zasięgać informacji. Giuseppe, Profesor, zaglądał do nich tylko wtedy, kiedy udało mu się zmylić coraz bardziej dyskretny dozór, jakim burmistrz objął wszystkich wygnańców. Godzinami snuli marzenia, że wojna dociera do Włoch i wreszcie mogą wziąć w niej udział. Każdego kolejnego dnia, który nie przynosił nowych wiadomości, coraz bardziej się niecierpliwił, a napięcie zaczęło niebezpiecznie osłabiać morale grupy. Aż do tego ranka, kiedy Roosevelt przybiegł z Montescaglioso i przyniósł im dobre nowiny o desancie.

- Brytyjczycy pędzą Niemców w stronę gór. Za niecały tydzień dotrą tu do nas i wyzwolą Materę - oświadczył. Mówi się, że towarzyszą im żołnierze z Australii i Nowej Zelandii, Kanady, Związku Południowej Afryki; wszyscy poza Amerykanami, którzy najprawdopodobniej dokonają desantu w Neapolu. Zrobili mi świństwo - dodał, po czym wybuchnął donośnym śmiechem, jakim zwykle kwitował własne dowcipy.

- Amerykanie? Anglicy? Co za różnica, kto przyjdzie wyzwolić tę ubogą ziemię? Zależy nam jedynie na tym, by wreszcie zacząć działać i skończyć raz na zawsze z tą bandą skurwysynów wtrącił Giuseppe. Zanim został przesiedlony do Lukanii, zznał tortur i więzień Mussoliniego; miał z faszyzmem rachunki do wyrównania. - Powinniśmy się ruszyć i wszystkich powiadomić. Tej nocy spotkamy się w kościele.

- Tobie może wszystko jedno, ale ja bym chciał walczyć u boku Amerykanów - nalegał Roosevelt.

Lubił sobie wyobrazać, że w Nowym Jorku połączyła go tajemna więź ze wszystkimi nieznajomymi, których mijał w drodze do pracy, i że kiedy nadejdzie właściwy moment, będą walczyć razem jak prawdziwi amerykańscy obywatele.

- Myślę, że walka przeciwko Niemcom ramię w ramię z jankeskimi żołnierzami nadałaby sens niedostatkom, jakie znosiłem przez dziesięć lat w Ameryce.

Spotkanie po latach

Zaalarmowały ich szybkie kroki, które uciły kiedy intruz zatrzymał się u szczytu schodów. Odkąd Roosevelt przyniósł im wiadomość o desancie, nie mieli odwagi ruszyć się z miejsca, ze strachu, że przegapią nadejście aliantów. Od tygodnia siedzieli zamknięci w jaskini i jedynie przekonanie, że Brytyjczycy zwracają się w stronę Matery, utrzymywało ich przy życiu i zachęcało, by przygotować się do działania.

- Vitantonio? - zapytał ktoś półgłosem.

Zerwali się z postać i chwycili pistolety. Wycelowali w wejście, próbując dostrzec schodzącą po schodach postać. Tylko Vitantonio podbiegł od razu do drzwi. Rozpoznał znajomy głos, który tak bardzo pragnął usłyszeć podczas lat dobrowolnej niewoli.

- Giovanna!

Nie widzieli się cztery lata. Padli sobie w ramiona i uścisnęli się ze wzruszeniem. Dotykali swoich twarzy, włosów, ramion, całowali się w czoło i w policzki. Powtarzali na głos swoje imiona, jakby wypowiadali zaklęcia: „Vitantonio!\ „Giovanna!”. I znów obsypywali się pocałunkami. Nagle chłopak przypomniał sobie o matce. Odsunął się od Giavanny i zapytał z poczuciem winy:

- A *zia!* Dlaczego nie przyszła w niedzielę do chaty?

Giovanna wybuchnęła śmiechem.

Pracuje jako pielęgniarka w Bari. Doktor Ricciardi wrócił z wygnania na Lipari i przekonał ją, żeby pojechała z nim do miasta i pomagała mu w szpitalu przy rannych. Mieszka w starej dzielnicy, w pobliżu katedry. Przed wyjazdem prosiła, żeby przekazała ci wiadomość: „Powiedz twojemu bratu, temu bałwanowi, że ja też poszłam na wojnę”.

Szatan, nie kobieta! Vitantonio nie mógł zaprzeczyć, że jego matka jest odważna. Znów przytulił Giovanę, po czym podniósł ją i zakręcił w kółko, a kiedy postawił z powrotem na podłodze, chwycił ją mocno w pasie i kolejny raz obsypał pocałunkami. Giovanna płakała, on także nie potrafił powstrzymać łez. Nagle przypomniał sobie, że nie są sami, i zaproponował:

- Wyjdźmy na zewnątrz, zabiorę cię nad potok.

- Oszalałeś?! - wykrzyknęli równocześnie Anglik i Profesor. - Od ośmiu dni Niemcy patrolują drogi prowadzące do miasta.

Giovanna wystraszyła się na widok mężczyzn, których wcześniej nie zauważyła.

- Kto to?

- Towarzysze niewoli - uspokoił ją Vitantonio, po czym zwrócił się do pozostałych: - O tej porze na nikogo się nie natkniemy. Patrole nie lubią schodzić nad strumień, boją się chłopów i urwisk.

- Nie żartuj sobie, nie możesz teraz ryzykować. Nie dziś!

- Wieczorem będę z powrotem.

- Nie pozwól mu wyjść - zwrócił się Profesor do Anglika.

- *A ddo tres usol' na'n tres u nidch.* - **wtrącił tatónn.**

Giovanna rozpoznała głos dziadka Nsignaleta i rzuciła mu się na szyję. Zawsze lubiła tego posępnego starca, który bez przerwy ciskał gromy na

Klątwa rodziny Palmisano

faszystów i Niemców.

- Co on mówi? zapytał Anglik, który tracił cierpliwość, kiedy Vitantonio i staruszek rozmawiali w lokalnym języku.

- „Tam, gdzie wchodzi słońce, nie wchodzi lekarz” - przetłumaczył Roosevelt. - Chodzi mu o to, że temu młodzieniaszkowi zakochanemu w swojej siostrzyczce dobrze zrobi trochę swobody.

- Kretyn! - zaprotestował Vitantonio, popychając Giovannę w stronę schodów.

- Nie wiem, dlaczego twoja siostra w ogóle jeszcze się do ciebie odzywa! - prowokował dalej Profesor. - Ta piękność nie może być córką tej samej matki co takie brzydkie, nieokrzesane zwierzę jak ty.

- To jego siostra? - zapytał zdezorientowany Anglik. Patrząc na wylewność młodych, był pewien, że są parą zakochanych. - Co za kraj degeneratów! - zawołał oburzony.

Giovanna i Vitantonio spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Ze śmiechem wspięli się po schodach. Zdali sobie sprawę, że widzą się pierwszy raz, odkąd oboje odkryli, że nie są rodzeństwem.

- *Bell i britt s'spós'ntiU* - zawyrokował *tatónn* z głębi groty, kiedy wychodzili.

Roosevelt natychmiast przetłumaczył jego słowa:

- Mówi, że ładni czy brzydko, wszyscy się żenią,

Nad potokiem

Vitantonio miał rację - nikogo nie spotkali. Wieśniacy z Sassi jak co dzień wyszli z miasta nocą, by o brzasku dotrzeć na pastwiska; karabinieri jeszcze spali. Niebo było czyste, a słońce wschodzące nad Murgię zapowiadało, że jeśli od morza nie powieje choć trochę wiatru, czeka ich kolejny upalny dzień. Tamtego roku lato wydawało się nie mieć końca. Zeszli do wąwozu najkrótszą drogą, ścieżką pozornie nie do przebycia. Kiedy byli już prawie na dole, niedaleko szlaku biegnącego wzdłuż strumienia, Vitantonio wyczuł coś osobliwego i raptownie przystanął. Nie czekał, aż odkryje, co wzbudziło jego czujność. Coś było nie tak. Błyskawicznie objął Giovannę w tali, gwałtownie pociągnął ją do tyłu i zakrył jej usta dłonią. Sekundę później usłyszeli głosy. Niemcy, nie ruszaj się - szepnął jej do ucha.

Przylepieni do skał obserwowali, jak biegnącą równoległe do strumienia drogą idzie niemiecki patrol. Przystanął na wysokości ich ścieżki. Vitantonio i Giovanna wstrzymali oddech. Paniczny strach uniemożliwił im szukanie jakiegokolwiek wyjścia z sytuacji. W wąwozie prawie nic nie roso. Poza skałami, za którymi się schronili, nie było się gdzie schować. Niemcy chwilę się o coś spierali; potem poszli dalej na północ, aż w końcu zniknęli za krzakami jeżyn. Giovanna cofnęła się i ciężko oparła o Vitantonio, który szybko oddychał, tuż przy jej uchu. Przez chwilę stali w ciszy. Gdy dziewczyna odwróciła głowę, ich usta prawie się zetknęły.

- Cieszę się, że nie jesteś moim bratem - wyznała.

Popatrzył w jej szmaragdowe oczy, które hipnotyzowały go już jako małego chłopca, i zadrżał. Delikatnie ugryzł jej wargę, jakby ją smakował. Potem wszystko nagle przyspieszyło. Poruszył prawą ręką, którą nadal trzymał na jej brzuchu, przesunął ją z rozmysłem na biodro, przyciągnął Giovannę i pocałował ją z namiętnością powściąganą od dnia, kiedy leżał chory, a ona pojawiła się w progu pokoju w sukience w kwiaty i kolczykach z czereśni.

Zeszli, trzymając się za ręce, i ruszyli na południe z biegiem strumienia. Od czasu do czasu spoglądali na siebie z uśmiechem, jakby na nowo się odkryli.

Szli pośród pokrzyw i ciernistych krzewów. W dole rzeczki roślinność była bardziej zróżnicowana; tymianki, rozmaryny i dzikie róże sphywały po zboczach aż po brzegi potoku, gdzie mieszały się z kolcoroślami, malwami i lawendami. Rosły tam również lentyszki i głożyny, tu i ówdzie widać też było zapowiadające bliskość Zatoki Tarcnckiej tamaryszki. Vitantonio zerwał garść jeżyn z uginającego się od owoców krzewu.

Wkładał je Giovannie po jednej do ust; były dojrzałe i bardzo słodkie. Ponad godzinę szli wzdłuż rzeczki w stronę Montescaglioso, aż dotarli do stawu luro. Padli na trawę, w cieniu sitowia i trzciny. Vitantonio spojrzął w zielone, błyszczące oczy Giovanny, znów ją pocałował i oboje zapomnieli o całym świecie.

Kochali się długo, ukryci wśród traw, zielonych dzięki wilgoci zbierającej się w naturalnych zagłębieniach o dnie z szarego kamienia. Staw był zupełnie innym światem, dalekim od wojny i ludzkiej nędzy. Delikatne

Klątwa rodziny Palmisano

granie cykad łączyło się z odgłosami ożywionych pszczoł, os, koników polnych, biedronek i całej armii ważek o intensywnych kolorach. Gdy skończyli się kochać, nad stawem zaroilo się od kolorowych motyli. Latały zygzakiem, jakby chciały wszystko dokładnie obejrzeć, po czym delikatnie siadały na ostach, koniczynach i tymiankach. Wydawało się, że rozmyślnie wybierają rośliny, by zgrupować się według kolorów. Dwa wielkie pазie królowej, w żółte i czarne wzory, wykonały kilka okrążeń nad kępą kopru włoskiego i odfrunęły, przelatując nad nagim ciałem Giovanny. Vitantonio oglądał ją, jakby musiał nauczyć się jej na pamięć. Wsparty na lewym łokciu, prawą dłonią gładził powoli jej czarne włosy i piersi. On też czuł motyle w brzuchu.

- Ggiuannin - wymknęło mu się niczym westchnienie.

- Ggiuannin? Nikt tak mnie nie nazywał od tamtego lata, kiedy *zia* pokłóciła się z *nonna*, bo babcia nie pozwoliła ci przystąpić do bierzmowania.

Znowu przyglądali się sobie z ciekawością, nawzajem dotykali swoich oczu, ust, szyi, całowali je, jakby chcieli odkryć ich gładkość, smak, zapach, zachować je na później, gdy znów będą musieli się rozstać. Kochali się drugi raz, w porywie niekontrolowanej, niemal brutalnej namiętności. Kiedy leżąc na plecach łapali oddech, Vitantonio zapytał:

- Wyjechałaś pogniewana, bo moja matka me powiedziała nam prawdy?

Giovanna uniosła się i oparła głowę na dłoni, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Jak mogłabym się na nią pogniewać? Wiesz, ile wycierpiała, żeby cię ratować?

- W takim razie dlaczego wyjechałaś?

Żeby zachować milczenie, me zdradzić tajemnicy. Wiedziałam, że jeśli zostanę, nie będę w stanie ukryć przed tobą prawdy. Wyjechałam, żeby pomóc *zii* chronić cię przed klątwą rodziny Palmisano.

Vitantonio pocałował ją w usta i zaproponował:

- Chodźmy stąd! Martwi mnie patrol, który spotkaliśmy. Od kilku dni Niemcy zachowują się bardzo nerwowo.

O czym rozmawialiście, kiedy weszłam do jaskini? Macie ukrytą broń?

- Alianci idą w stronę Matery, organizujemy się, żeby ich wesprzeć. Od dawna szykujemy się do walki, by wspólnie z nimi wyzwolić Włochy.

- Myślałam, że wojna cię nie obchodzi, że wierzysz tylko w siebie i w rodzinę - powiedziała z nieco wyniosłą miną.

To, że nie wierzę w twoich przyjaciół z partii ani w żadne inne zgrupowań, które walczą z Mussolinim, nie oznacza, że nie nienawidzę faszystów i Niemców tak samo jak oni, a może nawet jeszcze bardziej. Jedni i drudzy doprowadzili nas do nędzy i pozbawili godności.

- Uważaj na siebie. Teraz nie mogę cię stracić. - Jej oczy przesłonił ponury cień.

Bez Duce wyzwolenie Włoch to kwestia trzech, czterech tygodni.

- Tak się tylko mówi, ale wojny trwają coraz dłużej, są coraz bardziej krwawe i okrutne. Poznałam piekło w Katalonii, kiedy włoskie samoloty bombardowały kolumny republikańskich uciekinierów idących w stronę granicy. Wtedy myślałam, że nie zobaczę już niczego gorszego, bo nie znałam jeszcze okrucieństwa obozów we Francji. Potem przyszli Niemcy

Kłątwa rodziny Palmisano

i odkryłam zwyrodnienie oddziałów SS, które praktykują okrucieństwo zinstytucjonalizowane, zamienione w nawyk, używane jako broń. Kto wie, co czeka nas teraz...

Vitantonio wyciągnął rękę i pomógł jej wstać. Posuwali się wzdłuż strumienia, wśród sięgających im do bioder krzaków, w stronę przeciwną niż ta, z której przyszli rano. Vitantonio zerwał garść kłosów dzikiego jęczmienia i cisnął nimi w plecy Giovanny. Dwa zaczęły się na jej bluzce.

- Widzisz? Masz już dwóch zalotników - powiedział ze śmiechem.

Giovanna zrobiła figlarną minę, ale natychmiast spoważniała. Wzięła go za rękę i przystanęła.

- Co teraz będzie? Co mam powiedzieć Salvatoremu? - zapytała, patrząc mu w oczy.

Kie wiem, to wszystko jest bardzo dziwne - odparł zakłopotany. Pytanie go zaskoczyło. - Wychowaliśmy się razem... Myślisz, że możemy tak nagle przestać być rodzeństwem?

Wbiła wzrok w ziemię i odeszła dwa kroki dalej. Zatrzymała się i znowu spojrzała mu w oczy. Odpowiedziała ze stanowczością, którą zawsze wykazywała w najtrudniejszych momentach.

Pozwólmę, żeby upłynęło trochę czasu. Prawda jest taka, że teraz ty szykujesz się do pójścia na wojnę, a na mnie czeka Salvatore, mamy iść w góry z grupą komunistów, którzy właśnie wyszli z więzienia. Walki potrwać jeszcze bardzo długo, bo ani król, ani Badoglio nie zrobią niczego, żeby wyzwolić Włochy, a wręcz przeciwnie. W Bari przekonałam się, czym jest dla nich wolność: chcą zastąpić jednych faszystowskich wżniaków innymi. Kiedy to się skończy, będziemy mieć większą jasność.

Zbliżyli się do kamienistego wyjścia z wąwozu, skąd można było dojść do drogi prowadzącej do Bosco di Lucignano. Giovanna obskubywała bukiet maków polnych, ostatnich w tym roku, zostawiając za sobą na ścieżce ślad z czerwonych płatków.

- Jak droga miłości - zażartował Vitantonio.

- Jak ślady krwi - odparła Giovanna poważnym tonem.

Czy wolno mu zakochać się w Giovannie? Nie byli rodzeństwem, ale od pierwszego dnia wychowywali się jako bliźnięta. Czy to nie tak, jakby łączyła ich ta sama krew? Czy ten pociąg jest naturalny? Wszystko to nie miało sensu. Nadal jednak czuł na ustach smak Giovanny, a jego ubranie zachowało jej zapach. Podobało mu się to.

Odprowadził ją na drugą stronę Bosco di Lucignano, potem wrócił kawalek tą samą drogą, by trafić do lasku Comune. Idąc po śladach zwierząt, dotarł do polanki zrytej przez dziki, które desperacko szukały wilgotnej ziemi, by się w niej wytarzać. Nieco dalej zszedł do wąwozu i pomaszerował w stronę miasta wzdłuż koryta strumienia, tą samą drogą, którą rano przebył z Giovanną. Tuż przed Materą minął kobietę zrywającą olbrzymie kapary i strąki lucerny. Nie zatrzymał się, coś mówiło mu, że powinien jak najszybciej dotrzeć do jaskini.

Klątwa rodziny Palmisano

Gdy widział już pierwsze domy Sassi, natknął się na dwóch starsuszków, którzy siedząc na skale, palili ziołowe skręty. Dziadkowie z Matery lubili popalać liście bielunia, rozszerzało im to oskrzela i pomagało pokonywać niemal pionowe schody prowadzące do bram miasta. Znał tych ludzi, byli przyjaciółmi *tatónna*, ale nie zatrzymał się, by z nimi porozmawiać. Przyspieszył kroku. Przy kościele Cappuccino Vecchio wspiął się po skałach, by dotrzeć do miasta drogą z Potenzy. Kiedy zbliżał się do Via dei Cappuccini, zobaczył kolumnę ciężarówek i czołgów zaparkowanych w szeregu przed Palazzo della Milizia. Od kilku dni Niemcy przetrzymywali tu jako zakładników włoskich cywilów i żołnierzy. Zawrócił i zniknął pośród jeżyn w opuszczonym ogrodzie schodzącym tarasowato poniżej państwowego gmachu. To było szaleństwo: ktoś mógł go zobaczyć z okien siedziby milicji. Vitantonio chciał jednak za wszelką cenę dojść do jaskini i sprawdzić, co się dzieje.

Był na otwartej przestrzeni, gdy usłyszał potworny wybuch, który rzucił nim o ziemię. Ku niebu wznosił się stęp ognia - budynek milicji wyleciał w powietrze. Nie rozumiał, co się stało. Korzystając z tego, że wszystko zastonił obłok pyłu, ruszył biegiem i kilka minut później zagłębił się w labirynt Sassi.

Deszcz gwiazd

Przy drogach prowadzących do Sasso Caveoso wieśniacy wzniesli barykady z furmanek i przyniesionych z domu gratów. Vitantonio dowiedział się później, że również w Sasso Barisano zablokowano ulice, by zapobiec wejściu oddziałów niemieckich, walki skoncentrowały się jednak w centrum Matery. W grocie zastał tylko dziadka, który szykował worki na barykady. Pozostali wyszli, by bronić strategicznych budynków, które Niemcy zamierzali wysadzić w powietrze, zanim wycofają się z miasta. Vitantonio chwycił broń i szybko wybiegł na zewnątrz. Pod katedrą zobaczył pierwsze ślady po bitwie, która rozgorzała niespodziewanie za ledwie godzinę wcześniej. Nie kryjąc się, pobiegł z karabinem w dłońi w stronę, z której dochodziły odgłosy wystrzałów.

Kiedy dotarł do centrum, w Palazzo di Governo i w budynku prefektury na Piazza Vittorio Veneto trwały starcia. Była szósta po południu. Karabinierzy skoszarowani przy Via San Biagio i członkowie straży celno-podatkowej z Via Cappelluti, którzy przeszkodzili Niemcom w wejściu do budynków i umieszczeniu tam ładunków wybuchowych, zdołali się dozbroić w koszarach. Na Piazza Vittorio Veneto Vitantonio zobaczył Roosevelta i Profesora, którzy strzelali w otoczeniu grupki źle uzbrojonych cywilów. Stwierdził ze zdumieniem, że powstańcy zaczynają zdobywać przewagę.

- Tutaj przejęliśmy już kontrolę. Radio mówi, że w okolicach stacji kolejowej sytuacja jest bardziej skomplikowana. Będziemy musieli im pomóc.

Wiadomości przekazywane z ust do ust, od drzwi do drzwi, z jednego końca miasta na drugi, nazywano tu „radiem”. Był to najszybszy sposób łączności, który nigdy nie zawodził, uznali więc informację za prawdziwą i pobiegli w stronę Via Cappelluti. Na miejscu zorientowali się, że na placu przed dworcem trwa zażarta bitwa i walki toczą się również w budynku zamieszkanym przez urzędników państwowych. Czterech czy pięciu mężczyzn w cywilnych ubraniach strzelało, mierząc precyzyjnie z płaskiego dachu domu; widać było, że mają przygotowanie wojskowe. Vitantonio rozpoznał Anglika, który kierował operacją. Przyjaciel trzymał w szachu pluton Niemców próbujących podejść, by wysadzić budynek w powietrze. Przybyłe z pomocą posiłki zaczęły strzelać z drugiego końca ulicy, wśród nich grupka włoskich podoficerów, którzy zdobyli broń w koszarach straży celno-podatkowej. Wzięci w dwa ognie Niemcy się wycofali.

Anglik zszedł na ulicę, żeby wziąć do niewoli jakiegoś Niemca i wyciągnąć z niego informacje, które mogłyby się przydać brytyjskiej Ósmej Armii, kiedy ta wejdzie do miasta. Zobaczyli, że z dachu budynku schodzi kolejny cywil, też wyglądający na Anglika albo Amerykanina. Pozdrowił ich, unosząc prawą rękę, w której trzymał pistolet maszynowy, po czym pobiegł w stronę Via Roma. Za nim wyszli na ulicę młodzieńcy podoficer sił powietrznych i dwaj mężczyźni, z których jeden okazał się porucznikiem Guardia di Finanza, a drugi lotnikiem.

- Vincenzo Bilardi - przedstawił się najmłodszy.
- *Tenente Cavacece.*

Klątwa rodziny Palmisano

- *Aviere Faraci* - poszedł w ich ślady trzeci, po czym się pożegnał. Przeszli kilka ulic, pomagając cywilom się zorganizować. W *rione San Biagio*, gdzie zaczęły się walki, trafili na włoskich żołnierzy strzelających do Niemców. W oficerze, który dostarczył im broń, Profesor rozpoznał swojego informatora *Francesca Paola Nittico*. Mężczyźni padli sobie w ramiona. W latach zesłania do Matery rozmowy z tym człowiekiem były dla Profesora oknem na świat. *Nitti* powiadomił, że w starciach zginęli ich dwaj znajomi, *Emanuele Manicone* i *Vincenzo Rutigliano*, a w gmachu towarzystwa elektrycznego zostało rozstrzelanych kilku urzędników. Żeby podnieść go na duchu, Profesor powiedział, że Niemcy ponieśli duże straty w centrum i musieli się wycofać z *Vittorio Vcneto* i z dworca. Powstanie ogarniało całe miasto.

Chcąc uniknąć starcia z wrogim oddziałem na *Via Rosario*, zawrócili w stronę katedry, by z góry ocenić sytuację panującą w obu *Sassi*. Kiedy zbliżali się do placu, gdzieś niedaleko eksplodował pocisk. Padli na ziemię. Niemcy ustawili przed szpitalem cywilnym siedemdziesięciopięciomilimetrowe działo i ponad płaskimi dachami *Sasso Barisano* ostrzelali sąsiadujące z katedrą domy. Z wykuszu budynku szpitala kilku obserwatorów dawało im rękami znaki, kierując ogniem; pomagali im członkowie miejscowych Czarnych Koszul, którzy wskazywali cele domy najbardziej znanych w mieście dysydentów. Mieszkańcy sąsiednich budynków zerkali z ukrycia przez okna, próbując odgadnąć, kim są olbrzym i ubrany na czarno młodzieniec kierujący miejscowymi faszystami. Nikt nie zdołał ich zidentyfikować: przyjechali z Apulii, uciekając przed nader ającymi oddziałami aliantów.

Kolejny pocisk wybuchł jeszcze bliżej. *Vitantonio* i jego towarzysze po bieglu schować się w pobliskim domu wydrążonym w skale. W najniższej położonej części groty przebywało około dwudziestu uciekinierów. Na progu stała dziewczynka, która z zainteresowaniem przyglądała się wystrzałom niemieckiej artylerii. Jej matka rozpaczliwie nawoływała ją z wnętrza jaskini.

- Jak się nazywasz? - zapytał małą *Vitantonio*.
- *Lucia*.
- Twoja mama ma rację, *Lucio*. Niebezpiecznie jest stać w drzwiach.

Dziewczynka się nie poruszyła. Patrzyła zafascynowana na światła wybuchających pocisków smugowych z niemieckich dział. Nie mogła oderwać od nich wzroku.

- To jest deszcz gwiazd - stwierdziła podekscytowana. Zamknęła oczy i wypowiedziała życzenie.

- Bardzo niebezpiecznych gwiazd - wyjaśnił *Vitantonio*, kiedy kolejny pocisk wybuchł niedaleko domu. Wziął dziewczynkę za rękę i zaprowadził ją w głąb jaskini, do innych.

Następny pocisk eksplodował dokładnie przed domem; drzwi wyleciały w powietrze roztrzaskane na kawałki niszczycielską siłą uderzenia.

Lucia nie była tak mała, na jaką wyglądała, skończyła piętnaście lat. Rozmyślała nad swoim życzeniem. Przeżycia tego dnia wywołały w niej niepokój - widziała rano niemieckiego wojskowego jadącego w stronę koszar milicji motocyklem z koszem, w którym wiózł dwóch jeńców, włoskich żołnierzy. Byli to mieszkańcy Matery, *Pietro Tataranni* i *Natale Farina*. Opuścili swoje jednostki dziewiątego września, dzień po zawieszeniu

Kłątwa rodziny Palmisano

broni. Zatrzymano ich, kiedy wchodzili do miasteczka, po ponad dziesięciu dniach marszu. Przypadek chciał, że motocykl wiozący więźniów zatrzymał się przed domem narzeczonej Tataranniego. Dziewczyna, która nie widziała ukochanego od początku wojny, podeszła do okna, zaalarmowana warkotem motoru, a kiedy otworzyła okiennice, nie mogła uwierzyć własnym oczom: chłopakiem, który stał w koszu i machał do niej rękami, był jej narzeczony.

- Piętro! krzyknęła rozemocjonowana.
- Wiozą mnie do siedziby milicji, ale niedługo wrócę. Dla nas wojna już się skończyła - odpowiedział poruszony. - Kocham cię!

Lucia, która obserwowała tę scenę z chodnika, nie mogła zapanować nad wzruszeniem. Od tej chwili marzyła, że kiedyś podobny chłopak przez dziesięć dni i nocy przemierzy całe Włochy, by ją odnaleźć i wyznać jej miłość.

- Szkoda, że nie widzieliście, jak oni na siebie patrzyli - opowiadała ludziom ukrytym w głębi jaskini. - Chciałabym tam być, kiedy Tataranni wróci z koszar. Wojna rozdzieliła ich na trzy lata! Gdybym mogła zobaczyć, jak się wreszcie spotykają i przytulają...

Na zewnątrz Niemcy przestali strzelać. Vitantonio dał znak Rooseveltowi i Profesorowi, zachęcając ich do wykorzystania tej przerwy. Wybiegli na ulicę, gdzie przekonali się, że powstańcy ostatecznie wygrali bitwę. Godzinę później, gdy zapadał zmierzch, niemiecka kolumna odjeżdżała szosą w stronę Potenzy, raz na zawsze opuszczając miasto. Powstanie z dwudziestego pierwszego września dobiegło końca, ale Matera zapłaciła wysoką cenę: dwudziestu sześciu zabitych.

Kiedy powstańcy dokonali przegrupowania, Vitantonio, Roosevelt i Profesor spotkali się z Anglikiem, który zdołał w końcu zatrzymać jakiegoś rannego Niemca i zostawił go pod strażą w szpitalu. Uczcili zwycięstwo, padając sobie w objęcia, po czym znowu się rozdzieliłi. Anglika ogarnęła euforia, chciał opuścić miasto i ruszyć na poszukiwanie brytyjskiej Ósmej Armii, nadciągającej od strony Montescaglioso.

„Radio” właśnie informowało całą Materę o bilansie wybuchu w budynku milicji, który Vitantonio widział na własne oczy, kiedy wychodził z wąwozu.

- Zginęło piętnastu z szesnastu zakładników, których przetrzymywali w środku Niemcy.

Siła eksplozji była tak wielka, że nie udało się ustalić tożsamości pięciu ofiar. Poczta pantoflowa puściła w obieg nazwiska dziesięciu, których zdołano zidentyfikować: Piętro De Vito, Antonio Nocera, Mario Greco, Raimondo Semeraro, Tommaso Speciale, Francesco Lecce, Natale Farina, Francesco Farina, Vincenzo Luisi...

Gdy mała Lucia opuściła schronienie w jaskini, poprosiła matkę, by poszła z nią pod dom narzeczonej Tataranniego. Bardzo chciała zobaczyć, jak zakochani padają sobie w objęcia. Dziewczynka nie wiedziała, że jej życzenie nie mogło się już spełnić - ostatnim zabitym, którego zidentyfikowano w gruzach gmachu milicji, był Piętro Tataranni.

Wyzwolenie Matery

Kiedy nad ranem Anglik wrócił do Matery, miał na sobie mundur porucznika wojsk brytyjskich i prowadził wóz opancerzony Ósmej Armii. Wjechał do miasta szosą z Montescaglioso. Vitantonio z trudem rozpoznał przyjaciela; nie widział go w mundurze od ponad roku, od wieczoru, kiedy uratował go przed karabinierami przy wjeździe do Sasso Caveoso. Obok Anglika siedzieli włoski lotnik - młody Bilardi - i cudzoziemiec, którego kilka godzin wcześniej widzieli, jak schodził z dachu budynku przy placu dworcowym. Dwa brytyjskie motocykle eskortowały pojazd po bokach, tworząc niewielki konwój, który powoli wjechał do centrum miasta.

Setki mieszkańców czekały gotowe do świętowania przybycia oddziałów wyzwoleniczych. Kiedy wóz Brytyjczyków pojawił się na Piazza Vittorio Veneto, zgromadzeni zaczęli wiwatować na cześć Ameryki. Vitantonio i Profesor przyjęli tę pomyłkę z lekkim zakłopotaniem. Wyglądało na to, że tylko Roosevelta cieszy to nieporozumienie.

- Mimo wszystko wychodzi na to, że walczyliśmy ramię w ramię z Amerykanami - powiedział z satysfakcją w głosie, po czym wybuchnął typowym dla siebie gromkim śmiechem. W porozumiewawczym geście wyciągnął w stronę wysiadającego z wozu Anglika uniesiony prawy kciuk i wykrzyknął:

- Niech żyje prezydent Roosevelt!

Ślady terroru

Z dnia na dzień Anglik stał się porucznikiem Donovanem. Vitantonio, Roosevelt i Profesor stanowili jego drużynę. Nazajutrz po wyzwoleniu Matery opuścili miasto, podeksycytowani, że wreszcie mogą przystąpić do działania. Nie pozwolono im przyłączyć się do regularnych oddziałów, ale Brytyjczycy zaakceptowali ich jako zwiadowców pod rozkazami porucznika. Donovan mówił doskonale po włosku, mógł więc być bardzo użyteczny dla wojsk wyzwoleniczych jako informator albo łącznik z Włochami, którzy przystąpią do powstania.

Posuwał się do przodu, deptając po piętach uciekającym Niemcom. Mieli za zadanie informować o stanie szlaków komunikacyjnych wiodących na północ. Byli dumni z tego, że służą aliantom, choć z drugiej strony bolało ich, że nie mogą się zaciągnąć do regularnej armii jak prawdziwi żołnierze, zwłaszcza Roosevelta, który nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie uznano go za pół-Amerykanina. Vitantonio wolałby się poruszać po szlakach położonych bliżej wybrzeża, żeby zawadzić o Bellorotondo - w ciągu ostatnich trzech lat był tam tylko w dniu, gdy zaryzykował obserwowanie z ukrycia pogrzebu *nonny*. Z racji powierzonej im misji musieli kierować się jednak w stronę Grassano, szosą prowadzącą w głąb kraju.

Po dwóch dniach marszu grupa porucznika Donovanego minęła Potenzę, nie spotkawszy po drodze żadnego Niemca - wszyscy jakby wyparowali. Kiedy jednak zbliżali się do Rionero in Vulture, już z daleka usłyszeli złowrogie echa represji: krzyk i płacz kobiet z miasteczka odbijał się od gór i rozchodził po okolicy. Rionero było pogrążone w żałobie. Niemcy, zachęceni przez kilku wiernych im włoskich komandosów, okrutnie obeszli się z ludnością cywilną i w odwecie za strzały wieśniaka, który próbował zapobiec kradzieży kury, rozstrzelali osiemnaście niewinnych osób.

Od tygodni miasteczko przymierało głodem. Osiem dni wcześniej grupka zdesperowanych chłopów napadła na magazyn z żywnością. Wygłodzeni napastnicy wyglądali tak przerażająco, że jeden z niemieckich żołnierzy ulitował się i pomógł jakiejś kobiecie napełnić worek mąką. Następnego dnia zwierzchnicy kazali go rozstrzelać.

Rozkazy z Berlina były jednoznaczne: zaprowadzić terror we wszystkich miejscowościach i uczynić z niego potężną broń, zdolną powstrzymać Włochów, których kusiliby, żeby zbuntować się przeciwko Rzeszy. Ale część włoskich faszystów z miasteczek Basilicaty i Apulii prześcigała Niemców w podłości. Zamiast próbować ich kontrolować, podjudzali najeźdźców, jeszcze bardziej utrudniając życie najbardziej potrzebujących rodaków. Sprawcą kradzieży, która rozpętała prześladowania w Rionero, był włoski komandos. Jakaś dziewczynka nakryła go w kurniku i krzykiem zaalarmowała rodzinę. Ojciec strzelił z dubeltówki, raniąc złodzieja w rękę. Żołnierz i jego towarzysze zażądali zemsty, a Niemcy postanowili wynagrodzić im afront, zabijając wieśniaka i siedemnastu niewinnych ludzi wybranych spośród najmłodszych mężczyzn w miasteczku. Wśród rozstrzelanych byli żołnierze, którzy zaledwie kilka godzin wcześniej wrócili z frontu, korzystając z tego, że po

Kłątwa rodziny Palmisano

podpisany 8 września rozejmie wielu dowódców opuściło szeregi, przez co włoska armia poszła w rozsypankę.

Kiedy dwudziestego piątego września Anglik, Vitantonio, Roosevelt i Profesor dotarli do Rionero, od rozstrzelania osiemnastu mężczyzn upłynęły niespełna dwadzieścia cztery godziny; kobiety nadal czuwały przy zwłokach. Oplakiwało ich całe miasteczko, a gniew ludzi skierowany był głównie przeciwko włoskim żołnierzom. Sąsiedzi wstawili się za zatrzymanymi, ale komandosi odrzucili prośby o ulaskawienie.

- W imię Duce, nie ma przebaczenia - brzmiała ich odpowiedź.

Świadkowie pomstowali zwłaszcza na dwóch cywilów, faszystów, którzy zachęcali włoskich i niemieckich żołnierzy do większego okrucieństwa. Kobiety, które słyszały, jak przemawiają, drżały na samo ich wspomnienie. Potrafiły powiedzieć jedynie tyle, że było ich dwóch: olbrzym o zepsutych zębach i ubrany na czarno młodzieniec.

W miarę jak posuwali się na północ, odkrywali kolejne przykłady nieuzasadnionej przemocy, stosowanej przez Niemców przy entuzjastycznej współpracy części włoskich wojskowych wiernych dawnym sojusznikom, którzy teraz byli najeźdźcami. Vitantonio i jego towarzysze szybko się przekonali, że największe masakry zbiegały się w czasie ze złowróżbną obecnością dwóch nieznajomych, którzy wcześniej w Materze i w Rionero wzywali Niemców do zemsty. Poprzedzała ich zła sława zbrodniarzy. W całym regionie wizyty obu faszystów obawiano się w równym stopniu co nadejścia Niemców. Gdy dwa dni później Anglik i jego ludzie dotarli do Ascoli Satriano, pierwszy raz doszło do bezpośredniej wymiany strzałów z ariergardą wroga. Kilku niemieckich maruderów okopanych na szczycie wzgórza ostrzeliwało z moździerza bezbronną ludność miasteczka. Kiedy grupa porucznika Donovana zmusiła ich do ucieczki, było już za późno: zginęło dziesięć osób. Sami cywile.

- Od wielu dni racjonujemy żywność, praktycznie nic nam już nie zostało. Niemcy chcieli ograbić nasze domy i spichlerze, a my stawiliśmy opór. Ale nie wyszło nam to na dobre. Było z nimi dwóch Włochów, którzy namówili ich do odwetu, dlatego doszło do masakry.

Towarzysze Vitantonio padli ciężko na ziemię, wyczerpani, opierając się plecami o ścianę pierwszego domu miasteczka. On usiadł samotnie po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko nich. Na fasadzie budynku, nieco powyżej cienia rzucanego przez głowy jego kolegów, ktoś wymalował hasło: *Niech żyje Badoglio, niech żyje król*. Przeczytał je i splunął. Robiło mu się niedobrze na myśl, że znowu przybyli za późno i nie zdążyli ocalić mieszkańców. Nienawidził podżegaczy do tych masakr, pragnął stanąć z nimi twarzą w twarz i kazać im zapłacić za wszystko własnym życiem. Ocaleli mieszkańcy Ascoli nic mieli wątpliwości, kim są winowajcy:

- Dwóch skurwysynów, tutejszych. Ludzie z południa, na pewno z okolic Bari albo z doliny Itria. Jeden sukinsyn to olbrzym, ma czarne zęby przeżarte żółcią, która pewnie płynie mu w żyłach. Drugi jest jeszcze gorszy: zimny, okrutny, bezduszny. Ma się wrażenie, że traktuje to wszys-

Kłątwa rodziny Palmisano

tko jak zabawę. Chodzi ubrany cały na czarno i każe się nazywać Czarnym Rycerzem.

Na te słowa Vitantonio poczuł, jakby ktoś uderzył go mocno pięścią w brzuch. Próbował przekonać samego siebie, że to niemożliwe, w końcu jednak musiał przyznać, że od kilku dni sam coś podejrzewał. Oparty o kamienny mur, przypomniał sobie popołudnie w ogrodzie *palazzo*, w dniu swojego bierzmowania.

- Nauczysz mnie, jak się bić?
- Co to za pomysł? Nie da się nauczyć bić. Kiedy masz rację, bijesz się

1 tyle - odpowiedział.

Jakiś czas później zaczęli walczyć drewnianymi mieczami, które zrobił im w fabryce Chudzielec. Vitantonio zarzucił sobie na ramiona stare białe prześcieradło i oznajmił:

- Jestem rycerzem Frederico z Zamku na Górze i właśnie wyruszam na wyprawę krzyżową.
- Ja jestem Czarnym Rycerzem. Jeśli zwyciężę, zniszczę twój lud ogniem i mieczem - odparł Franco, który zrobił sobie pelerynę z czarnego szala *normy*.

Tej nocy Vitantonio nie mógł zasnąć, podobnie zresztą jak i podczas kolejnych. Próbował odtworzyć przeszłość wypełnioną zabawami i niewinnymi przygodami z udziałem Franca i Giovanni, ale wspomnienia prowadziły go w przeciwną stronę, uzmysławiając mu, że jako je dyny nie chciał przyjąć do wiadomości prawdy, którą inni znali i na którą próbowali otworzyć mu oczy. Przypomniał sobie swój ostatni rok w Bari, dzień, kiedy uciekł z zajęć i poszedł do portu pożegnać się z Giocavazzem, który wypływał na wojnę do Abisynii.

- Nie zdecydujesz się? Nie chcesz nam towarzyszyć? Zobaczysz, że jeszcze będziesz żałował. Tutaj nie mamy nic do roboty, ta ziemia nic z siebie nie wyda.

- Nie mam czego szukać tak daleko. Zresztą sądzisz, że zdążycie?

Mówią, że wojna już długo nie potrwa.

Dotrzemy na miejsce pod koniec kwietnia, akurat na czas, żeby opuścić szturm na Addis Abebę. Wkroczyliśmy do stolicy i przemaszujemy przez nią uroczyste, by uczcić zwycięstwo. Twoja strata. Żałuj, bo z twoim wyglądem wyszedłbyś dobrze na zdjęciach, które opublikują wszystkie włoskie gazety dla upamiętnienia sukcesów naszej armii. Wciąż nie rozumiem, dlaczego najsilniejszy i najodważniejszy chłopak z klasy chce skończyć jako adwokat biedoty w tej nieszczęsnej Apulii, za to najgorszy mięczak ze wszystkich, ten osioł, twój kuzyn, staje na głowie, żeby go przyjęli do Czarnych Koszul.

Vitantonio spojrzął na niego pytająco.

- Nigdy ci o tym nie wspominał? - zdziwił się Giocavazzo. - Wstąpił do ochotniczej milicji. Należy do grupy, która podpala lokale dysydentów i napada na antyfaszystów w miasteczkach. Na obszarach rolniczych między Bari a Toggią podłożyli ogień pod dom kultury i kilka lokali Ligi Chłopskiej.

Kłątwa rodziny Palmisano

- Myślałem, że ekspedycje karne już się skończyły. Że należą do przeszłości.

- Partia już ich nie zleca, organizują je na własny rachunek. Twój kuzyn, kiedy działa w grupie i czuje się bezpieczny, jest najbardziej agresywny ze wszystkich, ale nie nadaje się do walki. Wielu jego towarzyszy z milicji zgłosiło się na ochotnika tak jak ja i już są w Abisynii. On stchórzył.

Giocavazzo wyjął kolejnego papierosa, spojrzał uważnie na Vitantonio i wypalił prosto z mostu:

- Nie rozumiem, dlaczego robisz taką zdziwioną minę. Nie powiesz mi chyba, że nie wiedziałeś, że kiedy pobili Salvatorego, to on na niego doniósł.

Vitantonio nie zczekał, aż statek podniesie kotwicę. Ucisnął przyjacielowi dłoń, po czym pospiesznie opuścił port. Ponieważ nazajutrz była sobota, wybrał się do Bellorotondo. Dotarł do *palazzo* w porze obiadu i zobaczył, że Giovanna i Franco kłócą się w ogrodzie. Kuzyn próbował ją objąć; widok brata bliźniaka sprawił, że na twarzy Giovanny odmalowała się ulga.

- Uwolnij mnie od tego idioty. Nie mogę go już ścierpieć - poprosiła, wieszając się na szyi Vitantonio.

Odsunął ją i podszedł do Franca. Chwytnął go za ramię i pociągnął w kąt ogrodu, za azalie *nonny*. Bez ceregieli przyparł go do ściany.

- Nie będę tego powtarzał. Dla mnie możesz sobie do woli udawać kogucika przed twoimi kolegami z Czarnych Koszul, byle z dala od Bellorotondo. Dla mnie możesz gnąć w towarzystwie faszystów w Neapolu, w Rzymie czy gdzie tylko zechcesz, ale od tej pory ma to być daleko stąd. Słyszaleś o *confino*, na które twoi ludzie skazują antyreżimowych intelektualistów? Teraz to ty musisz się wynieść z Apulii, bo jeśli za miesiąc nadal tu będziesz, powiem Vicinom, że doniosłeś na Salvatorego. A wiesz, że oni mają w górach licznych krewnych i że to ludzie gotowi na wszystko.

Franco zbladł i próbował się bronić.

- Nie rozumiesz. Salvatore nie jest odpowiednim towarzystwem dla Giovanny, Nabija jej głowę bzdurami. Musiałem już kilkakrotnie stawać w jej obronie, bo od jakiegoś czasu śledzą ją ludzie, którzy źle jej życzą.

Vitantonio wpadł w szal i przycisnął kuzyna do kamiennej ławki.

- Jeśli któryś z twoich kolegów tknie ją palcem, zabiję cię!

- Będę jej bronił, przysięgam ci! Chcę tylko, żeby zerwała z Salvatorem. Zastępuje na to, co ja mogę jej dać.

- Odbiło ci! - wybuchnął Vitantonio. - Giovanna naprawdę ci się podoba... Ale, na miłość boską, ona cię nie znosi, poza tym to twoja kuzynka, potrzebowałbyś specjalnego pozwolenia z Rzymu.

Zadał sobie pytanie, czy jest bardziej zaskoczony, czy wściekły. Uznał jednak, że przede wszystkim czuje do Franca pogardę - tym razem nie zamierzał mu wybaczyć.

- Miałem nadzieję, że będziesz się bronił, powiesz, że to nieporozumienie, i wszystkiemu zaprzeczysz. - Spojrzał na niego z odrazą i splunął. - Pamiętaj, masz czas do końca miesiąca.

Patrząc, jak Franco odchodzi wystraszony, pomyślał, że może tylko udawał chojraka przed jego siostrą. Kolejny powód, żeby zmusić go do

Klątwa rodziny Palmisano

wyjazdu - z dala od Apulii zapomni o dziewczynie i o swoich nowych kolegach faszystach.

Kiedy Vitantonio wchodził do *palazzo*, wpadł na Giovannę, która czekała na niego w drzwiach galerii. Spróbował się do niej uśmiechnąć, ale kolejny raz poczuł nieprzyjemne ukłucie; przeklęta siostrzyczka, wszyscy się w niej kochają!

Miesiąc później Franco oznajmił, że wyjeżdża do szkoły w Rzymie, a po roku zaciągnął się do Korpusu Oddziałów Ochotniczych walczącego po stronie frankistowskich rebeliantów w hiszpańskiej wojnie domowej.

Polowanie

Jesień 1943 roku zamienia się w prawdziwy koszmar. W miarę jak grupa Anglika posuwała się na północ, napotykała na drogach coraz więcej ciał rozstrzelanych ludzi, a Vitantonio popadał w coraz większą rozpacz. Przepelnionym bólem wzrokiem patrzył na niewinne ofiary mordów i wyobrażał sobie Franca zachęcającego Niemców do strzelania. Myśli, żeby go schwycić i kazać mu zapłacić za wszystkie te okrucieństwa, zaczynała się zamieniać w obsesję.

Pierwszego października dotarli do Alberony. Zanim się zjawili, cywile stawili czoło Niemcom, a podczas wymiany ognia zginęła młoda dziewczyna. Znaleźli ją przy wjeździe do miasteczka, w przydrożnym rowie. Wyglądała, jakby położyła się, żeby chwilę odpocząć, ale krew na sukience mówiła sama za siebie, podobnie jak ślad, który zostawiła, gdy próbując uciec, czołgała się po poboczu. Vitantonio bezwiednie odwrócił wzrok i zobaczył pazia królowej, który fruwał zygzakiem między pachnącymi anyżem kwiatami kopru, jak w dniu, kiedy kochał się z Giovanną nad stawem.

- Jak droga miłości - powiedział tamtego ranka, gdy Giovanna obrywała płatki maku, teraz wydawało mu się, że wieki temu.
- Jak ślady krwi - odparła mu wtedy.

Przez cztery dni i cztery noce niemiecka ariergarda uniemożliwiała dalszy marsz grupy, blokując im drogę do Celenzy Valfortore. Vitantonio doprowadzało to do szału. W nocy kręcił się na posłaniu, jakby miał gorączkę, próbując oddalić od siebie odpychający obraz Franca, ale lata dzieciństwa i młodości wracały jak koszmar. Zwłaszcza wspomnienie pewnego odległego dnia z października 1934 roku.

Wstali wtedy o świcie i udali się do gaju oliwnego w Cisternino, żeby zapolować na pierwsze w sezonie drozdy i przepiórki. Vitantonio był podekscytowany. *Nanna* sprezentowała mu jego pierwszą strzelbę, i tego ranka zamierzał ją wypróbować. Gdy dotarli na wzgórze, jakiś drozd aku rat podnosił się do lotu. Chłopak strzelił i ptak spadł pionowo na ziemię. Żujek pobiegł po zdobycz i po chwili przyniósł ją w zębach. Vitantonio nauczył się strzelać z broni Salvatorego, u jego boku nabrał doświadczenia. W południe miał już pełną sakwę - upolował osiem drozdów i dwa zające. Jego kuzyn również wielokrotnie próbował strzelać, ale drżała mu ręka; odrzut broni budził w nim strach i Franco ani razu nie trafił. Żeby wyładować złość, zaczął krytykować Salvatorego.

- Uważa się za nie wiadomo kogo. Zachowuje się tak, jakby był przywódcą grupy, chociaż w rzeczywistości to my mamy większą władzę. Jest synem naszego robotnika!
- Nie pleć bzdur, my nie mamy tu żadnej władzy. Salvatore jest starszy, jesteśmy na jego terenie i zna się na polowaniu dużo lepiej niż my.

Kłątwa rodziny Palmisano

Wspięli się nieco wyżej, do kolejnego gaju, gdzie spotkała ich niespodzianka. Siedzieli schowani za krzakami, kiedy zobaczyli stado turkawek, które zrywały się do lotu, jakby wyczuły ich obecność.

- Nie uciekają przed nami, na pewno ściga je sokół. Dlatego przelatują niespokojnie z jednej strony na drugą wyjaśnił im Salvatore.

Vitantonio wstał i powiódł wzrokiem za stadem. Chciał, żeby turkawkom udało się uciec przed sokółem, który właśnie wyleciał zza drzew i zataczał koła, czekając na właściwy moment, by rzucić się na zdobycz. Tranco stanął obok niego.

- Już jedną złapał! - zawołał podniecony, patrząc, jak sokół zaciska szpony na bezbronnym ciałku ptaszka i znika pośród gałęzi sosny. Korona drzewa zakołysała się, jakby wstrząsnął nią powiew wiatru, i do stóp trzech chłopców spadł deszcz białych piór. Franco krzyczał podekscytowany:

- Kurczę, to było fantastyczne! Widzieliście, jak ją zabił?

Vitantonio nie odpowiedział. Stał ze wzrokiem wbitym w ziemię, patrząc na pióra biednego ptaka. Zapomniał o turkawce, kiedy wrócił do *trulli* z pełną sakwą i wszyscy gratulowali mu celności.

Wieczorem Donata i Concetta zdarli na podwórzcu skórę z zajęcy i przed pójściem spać zamarynowały mięso w winie z cebulą, selerem, liśćmi laurowymi, pieprzem i odrobiną posiekanego tymianku. Następnego dnia na cały ranek zamknęły się w kuchni. Wlały do rondla pół szklanki oliwy i podsmażyły na niej kilka kawałków boczku, cebulę, seler i dwie marchwie. Wyjęły zajęce z marynaty, odsączyły i dołożyły do warzyw, żeby się zrumieniły, po czym zostawiły je, by dusiły się na małym ogniu. Od czasu do czasu któraś z nich podchodziła do rondla, żeby dolać szklankę marynaty i odrobinę bulionu. Półtorej godziny później wyciągnęły zajęce z naczynia; usunięcie kości i pokrojenie mięsa na małe kawałeczki zajęło im ponad godzinę.

W południe zjawili się Vicinowic i Galassowic wraz ze wszystkimi swoimi dziećmi. Concetta wstawiła wodę na *orecchiette*, a Donata w tym czasie ponownie umieściła na ogniu rondel z sosem i warzywami, do których dodała pocięte na kawałki mięso. Gdy makaron ugotował się *al dente*, wymieszały wszystko i zanosły na stół. Zapanował niewypowiedziany harmider. Przez jakiś czas wiwaty pod adresem kucharek rywalizowały z pochwałami na cześć myśliwskiej zręczności Vitantoniana. Zazwyczaj kiedy mężczyźni z *trulli* upolowali dorodną zwierzynę, zanosili ją do miasteczka - dziadziom, lekarzom, czasami księdzu. Chudzielec zawsze dostarczał swoje zajęce nonne, także te upolowane przez Salvatorego. Ale tego dnia myśliwym był Vitantonio, który nie musiał się podlizywać żadnemu właścicielowi ziemskiemu. Chłopak uśmiechnął się i spuścił głowę pochwały wzbudzały w nim dumę połączoną ze wstydem.

Choć od czasu tamtej wyprawy ze strzelbami do gajów oliwnych w Cisternino minęło dziewięć lat, Vitantonio znowu poczuł obsesyjny pociąg do polowania. Stał się drapieżnym ptakiem, nie zamierzał spocząć, dopóki

Kłątwa rodziny Palmisano

nie złapie kuzyna i nie każe mu zapłacić za śmierć wszystkich niewinnych ofiar. Do Celczy Valfortore weszli dopiero piątego października. Okazało się, że kolejny raz przybyli za późno - Niemcy opróżnili magazynki karabinów, strzelając do cywilów, ukarali ich także bezlitośnie ogniem artyleryjskim. Tym razem w wybuchach zginęła trójka dzieci i siedemnastoletni chłopak. Vitantonio i jego towarzysze nie starczyło już też na opłakiwanie tylu okrucieństw. Tej nocy ponownie przysięgli sobie, że winni za wszystko drogo zapłacą. Wówczas też Anglik przekazał im wiadomość:

- Dowództwo chce, żebyśmy weszli do paszczy lwa. Jutro przedostaniemy się za niemiecką linię frontu.

Alianci byli przekonani, że Niemcy próbują przeszkodzić im w posuwaniu się naprzód jedynie po to, żeby zyskać na czasie i okopać się jak najdalej na północy. Dlatego ponagli grupę porucznika Donovana, żeby przemieściła się dalej i zajęła pozycje za linią nieprzyjaciela. Potrzebowali wtyczek w terenie. Przyjaciele opuszczali Celenzę z żołdtkami ściśniętymi od wstrząsającego widoku trójki dzieci rozerwanych przez niemieckie pociski.

- Musimy nadrobić stracony czas i przekroczyć linię frontu - dopin-gował ich Anglik.

Trudno było określić, gdzie dokładnie znajduje się front. W ostatnich dniach spadły ulewne deszcze, więc strefy walki nieustannie się zmieniały. Potyczki toczyły się na błotnistych obszarach między rzekami Trigno i Sangro, tamtędy także przemieszczały się obie armie, co znacznie utrudniało ustabilizowanie pozycji. Grupa Anglika dwukrotnie wymieniała strzały z niemieckimi żołnierzami, nie wiedząc, czy to ariergarda walcząca w odwrocie, czy oddziały, które wysunęły się naprzód, żeby przypuścić kontratak. Donovan postanowił zastrzyć środki ostrożności - spali w dzień, a maszerowali w nocy.

W miarę jak zbliżali się do gór, Vitantonio miał coraz większą nadzieję na spotkanie z Giovanną. Nieustannie o niej myślał. Może tamtego dnia nad stawem luro zbyt pochopnie wyraził wątpliwość co do szans ich miłości. Teraz tego żałował i buntował się przeciwko zdrowemu rozsądkowi, pod wpływem którego powiedział jej, że pewnie już zawsze będą dla siebie jak rodzeństwo.

Trzeciego dnia o zmierzchu, gdy wyruszyli w drogę, by przekroczyć rzekę Trigno, natknęli się na grupę pięciu uciekinierów, którzy także kierowali się na północ z zamiarem przeniknięcia przez linie nieprzyjaciela i dotarcia do gór. Przewodził im mierzący ponad dwa metry olbrzym.

- Mówią, że w masywie Majellii organizują się grupy oporu. My też chcemy walczyć - wyznał gigant, gdy zrozumiał, że są sojusznikami i może im zaufać. Nazywał się Primo Camera i dowodził grupką byłych włoskich żołnierzy, którzy zamierzali się przyłączyć do partyzantów.

Primo Camera

Kiedy podpisano zawieszenie broni, żołnierze zaczęli wracać do domów, przekonani, że wreszcie zaczną normalnie żyć i wszystko będzie jak dawniej. Okazało się jednak, że jest na odwrót - wszystko uległo zmianie. Wiele rodzin, pozbawionych rąk do pracy, straciło plony i zostało wyrzuconych z domów; oportuniści wymigali się od poboru i wzbogacili kosztem nieszczęśliwych; zrozpaczone samotnością kobiety nie czekały na powrót mężczyzn i odchodziły z pierwszym lepszym darmozjadem; najmłodsze dzieci nie poznawały i odrzucały wracających z frontu ojców.

Los postanowił wyładować na Primie Carnerze całą swoją złość. Spadły na niego wszystkie nieszczęścia naraz: jego rodzice zostali wyrzuceni z domu i nie przeżyli tej tragedii, żona odeszła z cwaniakiem, który akurat się nawinał, a dzieci na widok ojca wybuchnęły płaczem i nawet nie chciały do niego podejść. W niespełna dwa dni Primo podjął decyzję. Od jakiegoś czasu rodziną byli dla niego koledzy z wojska; na froncie przysięgli sobie dożgonną przyjaźń i Camera był przekonany, że oni by go nie zdradzili. Zebrał więc grupkę żołnierzy równie rozczarowanych jak on i razem ruszyli w stronę gór.

Partyzanci nie poznali nigdy jego prawdziwego imienia, a on twierdził, że już go nie pamięta. Lubił przydomek, który nadano mu we wsi. Mierzył dwa metry i pięć centymetrów, ważył sto dwadzieścia pięć kilo i był silny jak byk. Gdy Primo Camera zdobył w Nowym Jorku mistrzostwo świata, przyjaciele olbrzyma orzekli, że istnieje między nimi pewne podobieństwo, i ochrzczili go imieniem i nazwiskiem boksera. Od tamtego dnia już na zawsze pozostał Primo Carnerą, z czego był bardzo dumny.

Kiedy on i jego grupa spotkali porucznika Donovana, oddali się pod rozkazy Anglika i razem ruszyli w kierunku Majelli. Vitantonio i Roosevelt od razu polubili olbrzyma; szybko zauważyli, że chłopak jest zbyt pocziwy, by można go było zostawić samego pośród zawziętych mężczyzn, którzy zbierali się w górach. Wszyscy partyzanci z oddaniem bronili wolności, ale wielu było rozgoryczonych i zdemoralizowanych przez wojnę. Primo natomiast pozostał niewinny, gotów dać z siebie wszystko, ufny wobec każdego. Także pod tym względem przypominał dobrotliwego giganta boksu.

- Musisz się przygotować na moment, kiedy to się skończy. Po wojnie wszyscy wrócimy do domów, a ty zostaniesz sam - powiedział mu Vitantonio, chcąc skłonić go do refleksji. - W internacie też przysięgliśmy sobie z całą klasą wieczną przyjaźń, a odkąd opuściłem Bari, nie spotkałem więcej żadnego z kolegów. Ciebie czeka to samo.

Primo odpowiedział śmiechem. Zerwał kwiat kopru, włożył go do ust i zaczął gryźć. Następnie wycelował w Vitantonio przeżutą łodygę i zagroził:

- Lepiej dla ciebie, żebyś mnie nie zostawiał! Ty i Roosevelt jesteście moją rodziną.
- Przecież znamy się dopiero od miesiąca.
- Nigdy nie wytrzymałem tak długo z żadną dziewczyną. Nawet z moją żoną.

Klątwa rodziny Palmisano

Ponownie włożył koper do ust i odszedł, zanosząc się śmiechem.

Gdy dotarli do masywu Majelli, odkryli, że ściągają tu dziesiątki ochotników zdecydowanych podjąć nierówną walkę z Niemcami. Przybywali z całych Włoch, skłonni zapomnieć o różnicach ideologicznych, jakie dzieliły ich przez ostatnie lata; w większości byli to dawni żołnierze, którzy nie zamierali się pogodzić z biernością dowództwa. W pierwszym obozie, który dzielili z partyzantami, Vitantonio trafił na ślad Giovanni - od kilku dni przemieszczała się z Salvatore po Majelli i już zdążyli zwrócić na siebie uwagę.

Akurat kiedy zamierzał ich odszukać, Anglik otrzymał rozkazy z alianckiego dowództwa: mieli zaczekać na kolumnę partyzantów dowodzoną przez amerykańskiego kapitana Lewisa Clarka, eksperta od broni chemicznej, z którym powinni ruszyć dalej na północ, ku samemu sercu niemieckiej ariergardy. Ich celem było zlokalizowanie za Linią Gustawa instalacji do przechowywania i produkcji gazu musztardowego. Przez ostatnie miesiące linia frontu między Teramo a Monte Cassino wyznaczała granicę dzielącą Włochy na dwie części: wyzwolone przez aliantów południe i północ kontrolowaną przez marionetkowy rząd Mussoliniego na usługach niemieckich okupantów, którzy podczas ryzykownej akcji zarządzanej przez samego Hitlera uwolnili go z więzienia w Abruzji.

Ten nieoczekiwany rozkaz burzył plany Vitantonio, wkrótce jednak miała go spotkać niespodzianka.

W górach

Partyzanci towarzyszący kapitanowi Clarkowi mieli na sobie sięgające do kolan płaszcze i naciągnięte na uszy czapki. Tego deszczowego listopada chłód paraliżował wnętrzości tych, którzy odważyli się zapuścić na górskie ścieżki. Vitantonio widział, jak nadchodzą. Nagle, kiedy tak przyglądał im się z daleka, serce zabiło mu mocniej kolumnę otwierali Salvatore i Giovanna. Osobliwe stroje nie stanowiły przeszkody, rozpoznałby Giovannę, nawet gdyby miała odsłonięte jedynie usta. Jej śmiechu nie sposób było pomylić z żadnym innym.

Nie widzieli się od dnia spędzonego w Materze; Vitantonio z żalem przyjął wiadomość, że kolumna zamierza zostać w obozie jedynie kilka godzin potrzebnych na to, by się posilić i odpocząć. Giovanna zdołała porozmawiać z nim na osobności dopiero w momencie, gdy partyzanci szykowali się do drogi. Obiecali sobie, że do czasu, aż skończy się wojna, będą przyjmować, co przyniesie im los, że nie będą snuli żadnych planów ani rozmawiali o wspólnej przyszłości. Mimo to Giovanna musiała mu na koniec coś powiedzieć.

- Jestem w ciąży.

Nie zdążył jej nawet pogratulować. Słońce chowało się za góry i kolumna partyzantów wyruszała w drogę powrotną. Vitantonio odprowadził ich do wyjścia z lasu. Patrzył, jak wspinają się po zboczku korytem strumienia. Giovanna i Salvatore szli na czele pochodu. Kiedy przeskakiwali przez strumień, syn Chudzielca podał dziewczynie dłoń i chwycił ją w pasie. Vitantonio znów poczuł to przekłętą ukłucie, świadom, że ból fizyczny potrwa tylko chwilę, ale też że prawdziwe cierpienie sięga dużo głębiej i nie zdoła go uśmierzyć lekami. Odkrył to drugiego lata, które spędzili na wsi w *masserii* Concetty.

Podczas tamtych wakacji w *trulli*, gdy zapadał zmrok, Vitantonio siadał przy drzwiach w cieniu orzechowca, urzeczony tą surową ziemią, która odbierała swoim mieszkańcom siły, dając im w zamian wszystko, czego potrzebowali.

- *Dura ma dignitosa* - mawiał ojciec Chudzielca o życiu w dolinie.

Po drugiej stronie drogi stały dwa olbrzymie dęby, których nie zdołałoby objąć nawet trzech mężczyzn. Vitantonio zawsze uważał, że to cud, iż na tej skąpo nawodnionej ziemi wyrosły drzewa o tak grubych pniach i tak majestatycznych koronach. Nie rozumiał, skąd czerpią siłę te wiekowe dęby ani drzewka owocowe, które z dumą eksponowały na tle czerwonej ziemi delikatne liście w różnych odcieniach zieleni: żywej na czereśniach, ciemnej na figowcach, czerwonej na granatowcach, suchej na śliwach, a na winorośli jasnej, przechodzącej pod koniec sierpnia w żółć.

Po prawej stronie dębów odcinało się wzgórze, na którym leżało Belorotondo, wznosząc się w sercu doliny niczym wieża strażnicza. Jeszcze

Kłątwa rodziny Palmisano

dalej na prawo, w kierunku wschodnim, widać było Cisternino rozsiadane na zboczu wzniesienia, lekko przechylnego, by przepuścić bryzę z nad Adriatyku. Słońce zachodziło po przeciwnej stronie, nad Alberobello; żółte popołudniowe światło rozlewało się po polach, zaznaczając na czerwonej ziemi wypukłości i cienie.

Kiedy zia i Concetta zawołały wszystkich na kolację, zobaczył nadszyczących z daleka Giovannę i Salvatorego. Schodzili drogą biegnącą od strony gaju oliwnego, pomiędzy kamiennymi murkami. Z odrobiną smutku patrzył, jak zbliżają się wolnym krokiem, ze śmiechem wymieniając zwierzenia. Dziadek Vicino, który doglądał drzewek oliwkowych, gdy Chudzielec pracował w fabryce, narzekał, że tego lata Salvatore nie rwie się do roboty.

- Całe szczęście, że ty nam pomagasz - mówił Vitantonio ze śmiechem. - Ostatnio Salvatore do niczego się nie nadaje. Wiadomo: kto zakochany, ten okiełznany.

Zachód słońca był niesamowitym widowiskiem, ale kiedy para weszła na podwórze, Vitantonio przestał go podziwiać, bo całą jego uwagę pochłaniała obecność Giovanny. Po spacerze sukienka dziewczyny kleiła się od potu do skóry, nie mógł oderwać od niej wzroku. Czuł to samo bolesne ukłucie, ale także ciepło, których doświadczył pierwszy raz w dniu, kiedy leżał chory, a ona zjawiała się niespodziewanie w dopasowanej sukience w niebieskie i czerwone kwiaty, z kolczykami z czereśni na uszach, i zaczęła prowokować go z progu pokoju.

Tamtej nocy spędzonej w zaimprovizowanym obozie w Majelli Vitantonio nie mógł zasnąć. Panowało straszliwie dotkliwie zimno, a słowa Giovanny nie dawały mu spokoju:

- Jestem w ciąży - powiedziała spokojnie. A potem spojrzała na niego swoimi szmaragdowymi oczami, pocałowała go w usta i przykazała: - Uważaj na siebie. Nie bądź teraz zbyt odważny. Potrzebuję cię całego i zdrowego.

W ciąży? Od kiedy? Jak dawno byli nad stawem? Czyżby to nie miało dla Giovanny żadnego znaczenia? Dalej sypiała z Salvatore, jakby nic się nie wydarzyło? Natychmiast odsunął od siebie te absurdalne myśli - byli ze sobą tylko raz, za to z Salvatore nie rozstawała się od kilku miesięcy. Odkąd zdołała wyciągnąć go z więzienia w Alberobello, razem przemieszczali się po górach. Dołączyli do działaczy, których Partia Komunistyczna, korzystając z upadku reżimu, potajemnie reorganizowała.

Vitantonio poruszył się, czując, że zamarzają mu palce u rąk i nóg. Wstał, owinął się kocem niczym szalem i przez całą noc krążył po obozie jak zamknięta w klatce bestia.

Broń doktora Saroniego

Zanim październik dobiegł końca, spotkali się ponownie. Tym razem to grupa Vitantonio, która zmierzając na północ, przecinała masyw gorski, zatrzymała się w kryjówece oddziału Giovanni. Przerwali marsz jedynie po to, żeby chwilę odpocząć i uzupełnić prowiant, tak że znów nie mieli czasu na rozmowę. Zdażyli się jedynie uściskać i zapytać, czy wszyscy w porządku. Vitantonio nie znalazł okazji, by zadać jej choćby jedno z dręczących go pytań. Jego oddziałowi polecono przeprowadzić kapitana Clarka na północ od Teramo; zostało im jeszcze kilka dni drogi. W lasach w pobliżu Ascoli Amerykanina mieli przejąć alianccy agenci działający na północy i zabrać go do doliny Padu, daleko za Linie Gustawa.

- Czego szukamy? - zapytał Vitantonio Amerykanina w dniu, w którym wyruszyli w drogę.

- Broni chemicznej.

Clark rozmawiał po włosku ze wszystkimi członkami grupy, angielskiego używał wyłącznie w kontaktach z porucznikiem Donovanem. Był synem emigrantki z Lipari, wychował się we włoskim Harlemie, najbardziej zitalianizowanej części Manhattanu, i doskonale władał językiem matki, dzięki czemu idealnie nadawał się do tej misji. Miał pójść tropem broni chemicznej, którą niemieckie oddziały prawdopodobnie wywiozły z Foggi pod koniec września, zanim rozpoczęły odwrót i wysadziły w powietrze najbardziej wydajne zakłady chemiczne we Włoszech - fabrykę doktora Saroniego. Jeżeli ta broń rzeczywiście istniała, musiała być tymczasowo składowana gdzieś na północ od linii wyznaczającej granicę między dwiema częściami Włoch. Zadaniem Clarka było odkrycie, w którym z możliwych miejsc wskazanych przez alianckich szpiegów przechowują je Niemcy. Na tę kluczową informację czekały bombowce 15. Armii amerykańskich sił powietrznych, stacjonującej na południu kraju.

- Fabryka doktora Saroniego w Foggi należała do najlepszych na świecie. Wytwarzała ponad trzysta ton produktów chemicznych miesięcznie: fosgeny, tlenochlorek węgla, a przede wszystkim iperyt, czyli gaz musztardowy. Niesamowita produkcja! - oznajmił Clark.

Pod koniec pierwszego dnia marszu zatrzymali się na kilkugodzinny nocleg w niewielkiej skalnej grocie. Vitantonio zaczynał żałować, że towarzyszy Amerykaninowi podczas jego misji; odkąd Clark dołączył do ich oddziału, bez przerwy, nie kryjąc fascynacji, opowiadał o broni chemicznej. Tej nocy Vitantonio znów słuchał go z odrazą.

- Jedna bomba z gazem musztardowym może zabić kilkaset osób, a po krótkim czasie nie pozostaje po niej żaden ślad. Moglibyśmy unicestwić całą niemiecką dywizję, nie oddając ani jednego wystrzału i nie niszcząc broni, a kilka godzin później można by przejąć cały sprzęt w nienaruszonym stanie. Wyobrażasz to sobie?

Vitantonio nienawidził broni chemicznej. Kiedy skulony w kącie małej jaskini słuchał Clarka, zaczynał czuć do niego taką samą niechęć, jaką wywoływały w nim wszelkie podstępne sposoby prowadzenia wojny. Matka opowiadała mu, jak wielkie przerażenie gaz musztardowy budził

Klątwa rodziny Palmisano

w jego ojcu, kiedy siedział w okopach na froncie austriackim; mówiła, że Vito Oronzo wspominał o nim we wszystkich listach, że ze zgrozą opisywał lęk, jaki ogarniał żołnierzy na widok wystraszonych twarzy ofiar, które znajdowali w zagazowanych okopach. Uświadomił sobie, że myśli o Vicie Oronzu Palmisano pierwszy raz, odkąd dowiedział się, że to on był jego ojcem. Pogarda, jaką darzył chełpliwego Amerykanina wygłaszającego peany na cześć straszliwej broni, zamieniła się w nienawiść.

Wyobrażasz to sobie? powtórzył rozentuzjzmowany Clark. Moglibyśmy przejąć nawet wozy bojowe. Nie ryzykując życia ani jednego Amerykanina!

Owszem, Vitantonio wyobrażał to sobie. Miał ochotę zwymiotować. Wyszedł na zewnątrz i zmienił na warcie Prima Camerę.

- Ten amerykański skurwysyn jest chory! - powiedział, gdy dotarł do miejsca, w którym stał poczciwy olbrzym.

Primo przyglądał mu się przez chwilę, nie rozumiejąc, o czym mówi, po czym poszedł spać, zaskoczony, że zmieniają go godzinę przed uzgodnioną porą.

Operacja za liniami nieprzyjaciela poszła lepiej, niż się spodziewali. Clark i ludzie z północy zlokalizowali fabrykę, zbliżyli się do niej, zobaczyli wjeżdżające i wyjeżdżające ciężarówki, ustalili, jakich używają surowców i jaką produkują broń, po czym przesłali informacje o współrzędnych geograficznych do Londynu, skąd miała trafić do sztabu generalnego aliantów na południu Włoch. Tydzień później, dziesiątego listopada, w pobliżu Ascoli partyzanci z północy ponownie przekazali Amerykanina grupie Vitantonio. Kiedy jednak wyruszyli w drogę powrotną na południe, tuż za Bosco Martese opuściło ich szczęście.

Na przedmieściach Montorio al Vomano czekał na nich kontakt, niespełna osiemnastoletni chłopak. Powiedział, że inni partyzanci podzielili się na kilkusobowe grupki i rozpierchli po lesie, uciekając przed niemieckimi atakami. Vitantonio i jego towarzysze ruszyli w stronę domu, w którym znaleźli schronienie poprzednim razem, ale na wszelki wypadek najpierw postanowili go otoczyć. Gdy obserwowali z daleka bu dynek przez lornetki, Vitantonio zauważył wymalowane na jednej ze ścian hasła na cześć króla i Badoglii, które z trudem dało się odczytać spod pokrywającej je warstwy wapna. Wyżej, na tej samej ścianie, ktoś wypisał dużo wyraźniej nowe hasło: *Śmierć Badogliowi i królowi zdrajcy. Niech żyje Mussolini*. Kiedy tak stał w lesie z lornetką w dłoni, ogarnęło go złe przeczucie, które potwierdziło się, gdy zobaczyli nadjeżdżający samochód pancerny i dwa niemieckie motocykle.

Góry zostały opanowane przez Niemców. Partyzanci puścili się biegiem w głąb lasu, a kiedy uznali, że są bezpieczni, zaczęli maszerować szybkim krokiem. Nie minęło nawet pół godziny, odkąd oddalili się od domu, gdy usłyszeli głosy i znów musieli się ukryć w lesie. Clark, który został w tyle, na widok zbliżającego się niemieckiego patrolu stanął jak sparaliżowany.

Kłątwa rodziny Palmisano

Kiedy Vitantonio zobaczył z daleka, że spanikowany Amerykanin nie rusza się z miejsca, postanowił po niego wrócić. Nagle usłyszał niemiecki rozkaz *Haiti* Dwaj żołnierze kazali Clarkowi uklęknąć na ziemi i wbili mu w brzuch kolbę karabinu, bo nie odpowiadał na pytania, które zadawali mu po niemiecku z dodatkiem pojedynczych włoskich słów. Vitantonio podczołgał się bliżej i usłyszał, jak krzyczą:

-*Schnell!... Schnell!... Svelti!... Svelti!*

Podniósł głowę i zobaczył, że popychają Clarka w stronę domu, każąc mu trzymać ręce na karku. Amerykanin cały się trząsł, wyglądał tak, jakby zaraz miał zemdleć. Vitantonio szedł za nimi w bezpiecznej odległości. Gdy zauważył, że zatrzymują się na papierosa, wycelował w tego, który zamierzał zapalić, i powalił go strzałem w plecy. Jego towarzysz, zaskoczony, nie od razu zareagował. Kiedy już chwycił broń, Vitantonio ponownie wystrzelił; kula przeszła Niemcowi czaszkę.

Wyskoczył ze swojej kryjówki, podbiegł do Clarka, chwycił go za rękę i pociągnął w górę zbocza. Po drodze spotkali Prima Carnerę i Profesora, którzy właśnie po nich schodzili.

Zmienili trasę. Zagłębiali się w interior, oddalając od niemieckich patroli kontrolujących okolice Bosco Martese. Powrót na Majellę zajął im cztery dni więcej, niż planowali. Kiedy dotarli na miejsce, zastali tam setki dezertersów z włoskich oddziałów, a także dziesiątki Anglików, Amerykanów, Nowozelandczyków i Chorwatów, którzy po podpisaniu zawieszenia broni opuścili obozy jenieckie. Czekaly też na nich nowe rozkazy.

- Trzeba odprowadzić Amerykanina do Bari. Musimy tam dotrzeć przed trzydziestym listopada - poinformował w skrócie Anglik swoich ludzi. - Jutro ruszamy w drogę.

Poranna burza sprawiła jednak, że ścieżki stały się niedostępne, i musieli zostać na cały dzień w obozie. Następnego dnia nadal padało. Vitantonio nie mógł usiedzieć w miejscu. Odkąd się dowiedział, że wracają do Bari, miał nadzieję, że zdoła odszukać Donatę; nie widział jej od dnia, w którym wyznała mu, że jest jego matką.

Trzeciego dnia w południe zaczęło się przejaśniać. Vitantonio stał na skraju obozu, oparty o gigantyczny dąb, i błędził wzrokiem po równinie, próbując wyobrazić sobie Foggię, Gargano i leżące za horyzontem Bari.

- Tęsknisz? - usłyszał nagle.

Odwrócił się i zobaczył dowódcę brygady z Majelli, który bacznie mu się przyglądał.

- Nie wiem, czy to właściwe słowo. Od ponad trzech lat jestem poza domem, myślę, że już się przyzwyczailem. Ale mam do przeprowadzenia kilka rozmów. Niełatwo się ponownie narodzić - odpowiedział.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Ettore Troilo - przedstawił się.

- Vitantonio Conver... Vitantonio Palmisano.

- Już nawet nie wiesz, jak się nazywasz?

-To bardzo długa historia...

Kiedy Vitantonio skończył opowiadać, niebo ponownie zasnuwały chmury. Błyskawica rozświetliła pobliskie szczyty; wyglądały tak, jakby trawił je ogień.

Kłątwa rodziny Palmisano

- Budzi strach - przyznał, gdy odwrócił wzrok od równiny i patrzył w stronę Maj clii.

Za łańcuchem górskim, pośród gęstych ciemnych chmur, otwierał się mały prześwit. Był to mikroskopijny błękitny prostokąt, który sprawiał, że nadciągająca burza wydawała się jeszcze bardziej mroczna. Ten widok budził w Vitantonio niepokój - nigdy nie widział tak czarnych chmur.

Niespodziewanie zapadł zmrok. Druga błyskawica przeszła niebo nad najdalszymi grzbietami, a wkrótce potem kolejna, bliższa, rozświetliła ich twarze. Vitantonio zdążył zobaczyć, jak Ettore Troilo lekko się krzywi, zaskoczony hukiem grzmotu.

Gdyby nie ten prześwit błękitnego nieba i pioruny, przez które chmury wydają się jeszcze czarniejsze, byłoby to kolejne mroczne popołudnie. Tym, co czyni nadciągającą burzę straszniejszą od innych, jest dowód na to, że gdzieś, w jakimś odległym miejscu, świeci słońce powiedział Ettore.

- Nigdy nie patrzyłem na to w ten sposób.

Vitantonio znów spojrzął na burzowe chmury i pomyślał, że przywódca partyzantów ma rację - gdy rozpętuje się burza, opuszcza nas strach; jesteśmy w jej środku, ale jej nie widzimy, brak nam perspektywy. Tylko wówczas, kiedy patrzymy na nią z daleka, jak zbliża się groźnie w pełnej okazałości, budzi w nas niepokój i sprawia, że ściska nas w żołądku.

Pomyślał, że może to ta odrobina światła, nadzieja na pomyślniejsze, spokojniejsze czasy, o które walczą, sprawia, że zachowuje większą czujność niż podczas trzech długich lat spędzonych na wygnaniu w Materze. Odkąd nabrał niezachwianego przekonania, że nadejdą dla Włoch lepsze dni, jeszcze mocniej tęsknił za matką i Giovanną i bardziej się o nie bał. Ich rozmyślenia przerwał pojawienie się Anglika.

- Spróbuj się przespać - zwrócił się Donovan do Vitantonio, uścisnąwszy dłoń dowódcy. - Bez względu na pogodę wyruszamy o świcie.

Kiedy opuszczali obóz, panował jeszcze mrok. Noc była mroźna, ale rozgwieżdżona. Za przewodników służyli im partyzanci, którzy pochodzili z tych gór; sprowadzili ich bez problemów ukrytymi, niezbyt trudnymi do pokonania ścieżkami. Dwanaście godzin później o zmierzchu ich oczom ukazała się rzeka Sangro.

Zaczekamy, aż się ściemni. Przyjdą, żeby przewieźć nas na drugi brzeg - oświadczył szef grupy.

W nocy pojawili się przewoźnicy z dobrymi wieściami.

Anglicy są po drugiej stronie rzeki.

Klątwa rodziny Palmisano

CZĘŚĆ PIĄTA

Bombardowanie Bari

Lustro w barze

Gdy drugiego grudnia Vitantonio dotarł do Bari, nie poznał miasta. Tamtej zimy 1943 roku główne ulice opanowały wojskowe pojazdy, a wszędzie, zwłaszcza w okolicach starówki i nowego portu, kręciły się na pozór beładnie grupki żołnierzy.

Po wyjściu z dworca przez jakiś czas szedł wzdłuż torów Corso Italia. Potem zagłębił się w uliczki dzielnicy Madonnella. Chciał jak najszybciej rozpocząć poszukiwania matki i doktora Ricciardiego we wszystkich cywilnych i wojskowych szpitalach, do których mogli zostać skierowani, wcześniej jednak musiał powrócić się bez celu, by poczuć na nowo tętno miasta.

Kiedy jego twarz musnęła morską bryza, zorientował się, że wyszedł na promenadę, na wprost Albcrgo dcllc Nazioni. Stamtąd pierwszy raz zobaczył portowe dźwigi, które wydawały się gorączkowo pracować. Trudno mu było rozpoznać w tym gwarnym mieście spokojne, malownicze uliczki zapamiętane z ostatnich studenckich lat. Zanim ruszył dalej, postanowił wejść do hotelowego baru i zamówić drinka.

Ponieważ nic był przyzwyczajony do picia alkoholu, poczuł, że pali go od środka. Zakasłał, zawstydzony, i szybko wyprostował plecy, udając, że nic się nie stało. Kiedy podniósł wzrok na wiszące w sali duże lustro, zobaczył odbicie statku, który zbliżał się do portu, zmierzając w stronę wschodniego doku. Gdyby miał przy sobie wojskową lornetkę, dostrzegł by, że to północnoamerykański towarowiec *John Harvey*. Przypomniał sobie, jak pierwszy raz, siedząc plecami do morza, obserwował przepływające statki w gigantycznym lustrze baru Albergo dclle Nazioni; było to w dniu, kiedy pokłócił się ze stryjem Angolem. Tego popołudnia odkrył, że nie istnieje nic przyjemniejszego niż dobiecie do portu po niespokojnej przeprawie. Miał wrażenie, jakby od tamtego dnia minęło tysiąc lat.

Zapłacił i postanowił wrócić na promenadę, żeby podejść do pomostu i z bliska obejrzeć manewr cumowania. Przed wyjściem z baru ostatni raz zerknął w lustro; chciał sprawdzić dokładną pozycję statku i oszacować, jak długo zajmie mu wypłynięcie do portu. Gdy podniósł wzrok, wszystkie jego zmysły uderzyły na alarm - w lustrze, które przed chwilą zajmował *John Harvey*, pojawiła się znajoma twarz kuzyna Franca wysiadającego z samochodu zaparkowanego przed hotelem, dokładnie po drugiej stronie promenady. Vitantonio wstał z walącym sercem, próbując przesyć lustro wzrokiem. Zobaczył, jak Franco żegna się z kierowcą ubranym w mundur włoskiej armii, a następnie oddala od hotelu w stronę Via Dante.

Przygryzł wargę i z wściekłością zacisnął pięści, zaskoczony, że ten morderca bezkarnie przechadza się po mieście. Spędził z Frankiem dzieciństwo i lata szkolne, nie zastanawiając się, dlaczego toleruje wszystkie jednoznaczne przejawy jego złego charakteru. Teraz z całego serca go przeklinał i nienawidził siebie za to, że tyle razy mu przebaczał.

Godzinę wcześniej, kiedy po wyjściu z dworca szedł przez nową dzielnicę Bari, miał wrażenie, że w mieście roi się od wojskowych, ale uznał, że jest bezpieczne; alianci oszczędzili je i przekształcili w swój główny port zaopatrzeniowy na Adriatyku, a rewolta kobiet ze starej dzielnicy

Kłątwa rodziny Palmisano

uniemożliwiła Niemcom wysadzenie w powietrze doków przed opuszczeniem miasta. Po tym jednak, jak zobaczył Franca, Bari nie wydawało mu się już tak spokojne i bezpieczne - było miastem w stanie wojny. Obecność kuzyna przywołała najgorsze koszmary Vitantonio.

Wyszedł z baru i przyspieszył kroku, nie chcąc stracić Franca z oczu. Gdy ten za Teatro Petruzzelli skręcił w jedną z bocznych ulic, Vitantonio niemal go dogonił. Widział wyraźnie krótkie, opuszczone ręce, i przypomniał sobie, jak Franco wymachiwał nimi gorączkowo, kiedy bawili się w rycerzy na dziedzińcu *palazzo*. Szedł za nim Corso Cavour, potem Via Piccini. Gdy zobaczył, że zbliżają się do Piazza Garibaldi, wiedział już, dokąd kuzyn zmierza. Zwolnił i ze wstrętem patrzył, jak Franco wchodzi do bramy budynku, gdzie mieściło się studenckie mieszkanie, które dzielili podczas ostatniego roku nauki, zanim Franco poszedł do Hiszpanii na wojnę. Stryj Angelo kupił je dla syna po incydencie, do jakiego doszło w internacie między Frankiem a Giocavazzem, i wynajął dla niego służącą. Dwa lata później przeniósł się tam także Vitantonio, *norma* uznała bowiem za niedorzeczność opłacanie mu pobytu i wyżywienia w internacie, skoro w należącym do rodziny mieszkaniu było tyle wolnego miejsca.

Vitantonio stał przez chwilę po drugiej stronie placu, obserwując bramę. Lata spędzone w kryjówece w Materze i miesiące partyzantki nauczyły go, że sytuacja zawsze może się skomplikować. Godzinę później jego teoria się potwierdziła - Franco wyszedł w towarzystwie typa z zepsutymi zębami.

W tym czasie *John Harvey* minął sieć służącą do blokowania łodzi podwodnych rozwieszoną między pomostami San Cataldo i Nuovo i zaczekał przy nabrzeżu numer dwadzieścia dziewięć, przy pomocy *Levante*; właśnie wyłączył wszystkie maszyny. Dok wypełniały alianckie transportowce, wiele z nich było po brzegi wyładowanych amunicją. Nowo przybyłemu statkowi nie przyznano pierwszeństwa, czekało go więc kilka dni postoju, zanim rozpocznie się wyładunek.

Vitantonio miał ochotę od razu stawić czoło Francowi i typowi z zepsutymi zębami, mimo to pozwolił im się oddalić w stronę portu. Pół godziny później wszedł do mieszkania; zamierzał tam na nich zaczekać, żeby wyrównać rachunki. Dostał się do środka przez wychodzące bezpośrednio na klatkę schodową okno w przedpokoju, jak to robili za szkolnych lat, gdy zapomnieli kluczy.

Czuł się dziwnie, wchodząc po kryjomu do swojego dawnego mieszkania. Musiało upłynąć sporo czasu, od kiedy ostatni raz je sprzątano, wewnątrz panował bowiem zaduch. Otworzywszy drzwi do pokoi, ze wstrętem odkrył, że człowiek z zepsutymi zębami przywłaszczył sobie jego łóżko; Franco zajmował ten sam pokój co dawniej. W kuchni wały się resztki jedzenia, a z łazienki dochodził nieprzyjemny zapach.

Kiedy Vitantonio wszedł do jadalni, przez otwarte drzwi balkonu zobaczył, jak słońce kryje się za cmentarzem. Jego oczy nie od razu przywykły do ciemności, ale w końcu dostrzegł stojącą na biurku radiostację

Klątwa rodziny Palmisano

i stos dokumentów; niektóre były napisane po niemiecku. Wziął plik kartek i próbował odcyfrować ich treść. Podeszedł do drzwi balkonowych i przeczytał: *Słońce szło w Bari*. A także: *Trzydzieści jeden kaczek w stawie*. Podpisane: *Czarny Rycerz*.

Co oznaczała ta radiostacja? Z kim ci dwaj się kontaktowali? Wciąż po magali faszystom z nowej Republiki Salo, którzy wspólnie z nazistami kontrolowali północ Włoch? Czy też pracowali bezpośrednio dla Niemców? A może dla wszystkich naraz...? Uznał, że to prawdopodobne - ta para zdrajców mogła szpiegować jednocześnie dla Hitlera, Mussoliniego i wszystkich innych łotrów świata.

Ponownie przeczytał dokumenty. Co, do diabła, znaczyły te wiadomości ci? Słońce? Kaczki? O co chodzi? W głowie kłębiły mu się pytania. Dopiero ryk wszystkich syren w mieście przywrócił go do rzeczywistości. Wystraszony, wyrzwał przez balkon i zobaczył, że ludzie, którzy spacerowali po placu, biegną w kierunku schronów.

Ponieważ wcześniej nie miał do czynienia z alarmami, uznał, że najlepiej będzie zostać w mieszkaniu i poczekać na powrót Franca i tego drugiego. Usiadł na podłodze, opierając się plecami o otwarte drzwi balkonu, twarzą do opustoszałej Piazza Garibaldi. Podłoga była lodowata. Noc rozświetlały gwiazdy. Pusty plac wzbudził w nim niepokój. Czas jakby się zatrzymał. Nagle usłyszał ogłuszającą eksplozję gdzieś w pobliżu jego kryjówki i padł na podłogę, by zasłonić się przed odłamkami szyb, które pękły na tysiąc kawałeczków.

Atak Luftwaffe

Personel sanitarny obawiał się próbnych alarmów, bo wyjące codziennie syreny denerwowały chorych. Tego wieczoru, kiedy usłyszeli, że alarm nie cichnie o zwykłej porze, panika wybuchła we wszystkich salach pawilonu polikliniki przeznaczonego dla włoskich cywili. Większość zmodernizowanej części szpitala w Bari została zmilitaryzowana i powierzona Nowozelandczykom.

- Jeśli syrena zaraz nie przestanie wycić, zwiariuję - poskarżył się gorzko świeżo upieczony absolwent wydziału medycyny w Bari. Badał właśnie złamane biodro jakiegoś chłopca i potrzebował spokoju, żeby odwrócić uwagę malca, kiedy manipulował przy jego stawie. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, był ten piekielny hałas.

Jeep armii brytyjskiej potrącił chłopca przed dworcem kolejowym. Kierowca nie zatrzymał się, żeby zabrać go do szpitala. Dwie kobiety, które były świadkami wypadku, wzięły go na plecy i zostawiły w drzwiach polikliniki, by w ten sposób zmusić lekarzy wojskowych do zaopiekowania się dzieckiem.

- Bądźmy dobrej myśli, zaraz ucichnie - powiedział doktor Ricciardi, żeby rozładować napiętą atmosferę.

- Oby Bóg cię wysłuchał. - Donata westchnęła. - Jeśli ten przeklęty alarm za pięć minut się nic skończy, będziemy musieli podać wszystkim pacjentom dodatkowe dawki środków uspokajających...

Nie usłyszeli końcówki skargi Donaty. Fundamentami miasta wstrząsnął potężny wybuch. Następnie powtórzył się w niemającej końca serii eksplozji, która rozeszła się po całym Bari. Wybuchy następowały po sobie w coraz mniejszych odstępach.

W szpitalnej sali zapanowała histeria. Chorzy krzyczeli, doktor Ricciardi zdał sobie sprawę, że zaraz stracą nad nimi kontrolę. Donata patrzyła na niego przerażona; widziała, jak wydaje rozkazy, starając się zapanować nad ogólną paniką. W tym momencie rozległ się kolejny wybuch, jeszcze straszliwszy niż poprzednie; szyby rozprysły się w drobny mak, raniąc tych, którzy znajdowali się najbliżej okien. Fala uderzeniowa wyrwała drzwi i okiennice, porozbijały się buteleczki z lekami, a łózka poprzesuwały jak podczas trzęsienia ziemi. Lekarze, którzy przeprowadzali obchód, zostali odrzuceni na odległość kilku metrów i wylądowali na podłodze, co dodatkowo pogłębiło ogólne wrażenie zagrożenia i chaosu.

Dopiero wówczas zrozumieli, że to atak Luftwaffe. Dziesiątki niemieckich myśliwców i bombowców, prawdopodobnie ponad setka, bezkarnie przelatywały nad Bari, zrzucając bomby, jakby otwarło się niebo i spuściło na nich wszystkie pioruny i błyskawice, jakie w ostatnim tysiącleciu przetoczyły się nad południem Włoch. Za kwadrans ósma wysiadł prąd, ale ponieważ w całym mieście wybuchły pożary, było widno jak w dzień. W tym momencie najwięksi pesymiści doszli do przekonania, że dla mieszkańców tego zakątka świata, zapomnianego przez Boga i ludzi, nadeszła godzina sądu ostatecznego.

Kłątwa rodziny Palmisano

Fala uderzeniowa jednej z eksplozji powaliła Donatę na podłogę. Kiedy wstała, zobaczyła przez okno gigantyczny słup ognia wznoszący się za starą częścią miasta.

- Płonie port, jest też ogień w okolicy katedry i bazyliki Świętego Mikołaja! - krzyknęła, wpatrując się w płomienie.

Bomby znów spadły niedaleko szpitala, tym razem przy dworcu. Doktor rzucił się w stronę Donaty, żeby odsunąć ją od okna. Deszcz kawałków drewna i odłamków szkła poleciał na przeciwległy koniec sali i musnął włoskiego oficera, który właśnie stanął w progu. Donata, zaskoczona refleksem lekarza, spojrzała na niego z wdzięcznością. Zdziwiło ją, że oficer wydaje się równie wystraszony jak oni. Wyszedł na środek sali eskortowany przez dwóch żołnierzy z opaskami z czerwonym krzyżem. Rozjrzał się i krzyknął:

Potrzebujemy ludzi, którzy razem z Brytyjczykami stworzyliby w starej dzielnicy miasta połowy punkt pierwszej pomocy. Po bombardowaniu katedra i port przypominają rzeźnię.

Donata i Ricciardi zgłosili się pierwsi.

Po przejściu przez tory mieli już wstępne rozeznanie co do rozmiarów katastrofy. Prawdziwe przerażenie ogarnęło ich jednak, kiedy dotarli na stare miasto. Ulice zamieniły się w kupy gruzu, a ci, którzy ocalili, biegali zdesperowani z miejsca na miejsce. Niektórzy schronili się w zamku, wierząc, że grube mury fortecy przetrwają atak. Inni zaczęli zbierać się przy prowizorycznym punkcie pierwszej pomocy, od strony zewnętrznego pomostu; były tam zarówno osoby towarzyszące rannym, jak i ludzie, którzy po prostu bali się zostać sami.

Pierwsi poszkodowani, których przyjęli Donata i doktor Ricciardi, przybyli ze Strada Santa Chiara, jednak dopiero ocalali z ruin budynków przy Via Venezia uświadomili im ogrom tragedii. Pierwszy statek, który zdołał trafić niemieckie bombowce, był po brzegi wyladowany amunicją - eksplozja wywołała silną jak tajfun falę uderzeniową, która zrównała z ziemią starówkę i zmiotła z powierzchni kruche szkielety budynków na jednej z najstarszych ulic Bari.

- Domy przy Via Venezia runęły jak kostki domina, jeden po drugim, niczym kartonowe domki dla lalek - opowiadali świadkowie docierający do punktu opatrunkowego.

Zia rozpoznała wśród przybyłych sąsiadkę, która czekała na swoją kolej z siedmioletnim synem na rękach. Mijała ją co ranka przy drzwiach do katedry, w drodze do szpitala. Podeszła zdecydowanym krokiem, żeby uspokoić kobietę. Gdy wzięła chłopca na ręce, zorientowała się, że jest martwy.

Eksplozje na statkach spowodowały w starej części miasta więcej zniszczeń niż bomby Luftwaffe. Budynki waliły się, grzebiąc całe rodziny pod stertami gruzów, sięgającymi na wysokość domów, które jeszcze się ostały. Wiele padło pastwą płomieni. Nie sposób było oddychać gorącym powietrzem z powodu dymu, który niósł się od płonących okrętów. Ocalali nie wiedzieli, gdzie się udać - wszędzie był ogień. Nagle ktoś zaczął krzyzczeć:

- Morze! Musimy się schronić w morzu!

Liczna grupa wystraszonych mieszkańców pobiegła w stronę portu. Rodzice zabierali dzieci, niektóre ciężko ranne. Mając do wyboru pewną

Kłątwa rodziny Palmisano

śmierć w gruzach albo nadzieję na wypłynięcie w morze, byli gotowi zaryzykować i ruszyć w stronę gorejących okrętów. Kiedy dotarli do mola, cały port stał w płomieniach. Niektóre statki wybuchły, inne płonęły, dryfując na wodzie. Z naftociągu trafionego przez jedną z pierwszych bomb wypływała do morza ropa. Woda zrobiła się gęsta i lepka, w kilku miejscach stała w ogniu. Setki marynarzy próbowały się utrzymać na powierzchni, uciekając jakichś dryfujących przedmiotów, albo pływały w płonących wodach pośród szczątków zatopionych statków. Rozpaczyli wołania o pomoc przyprawiły o ciarki tych, którzy obserwowali ich z pomostów ładunkowych.

Kiedy Donata i Ricciardi dotarli na nabrzeże, zobaczyli, jak ludzie w płonących ubraniach rzucają się do wody. Próbowali przekonać rannych, żeby wrócili do punktu pierwszej pomocy i pozwolili się opatrzyć. Część angielskich wojskowych także usiłowała odciąć im drogę, ale tłum przedarł się przez blokadę. Ludzie byli przerażeni bombami i wybuchami na statkach, mimo to nie zamierzali wracać na ulice, które rozpadały się pod ich stopami.

W momencie, gdy tłum na brzegu morza był największy, płomienie dosięgły ładowni *Johna Harveya*. Statek eksplodował z przerażającym hukiem, a wirujący jezior ognia wznosił się na wysokość ponad trzystu metrów, rozświetlając noc nad Bari. Konsekwencje wybuchu były straszliwe. Wielu z tych, którzy podeszli do pomostu, zostało poderwanych z ziemi i rzuconych ponad dwadzieścia metrów dalej, na pobliskie magazyny. Innych przegnioty fragmenty statku albo deszcz samochodów osobożych i ciężarówek, także objętych spiralą ognia. Poszczęściło się jedynie tym, którzy szybko rzucili się do morza; dziękowali Bogu, że ocaleli.

W promieniu pięciu kilometrów popękały od wybuchu szyby. Dachówki domów unosiły się w powietrzu niczym liście w wietrzny dzień. Donata i Ricciardi, którzy stali daleko od wody zostali odepchnięci siłą eksplozji i wylądowali na ziemi kilka metrów dalej, pod osłoną przypory murów. Kiedy dotarło do nich, że należą do niewielkiej grupki ocalałych, Donata spojrzęła na leżącego obok niej doktora, zadając sobie pytanie, co by poczęła przez te wszystkie miesiące bez jego towarzystwa. On także na nią popatrzył. Już miał coś powiedzieć, ale przyłożyła mu palce do ust, nakazując milczenie.

- Nigdy nie znalazłam lepszego mężczyzny od ciebie. Oprócz męża i Vintantonia nigdy żadnego tak bardzo nie kochałam. Ale musimy się pogodzić z losem.

Podeszli do pomostu i pomogli wydostać się z wody niektórym rannym - wszyscy drżeli i byli w stanie szoku, nawet ci, którzy nie mieli widocznych obrażeń. Fala uderzeniowa kolejnej eksplozji rzuciła do morza jeszcze więcej osób. Wprawdzie Donata w ostatniej chwili uczepiła się porzuconego na pomoście obciążnika sieci rybackiej, ale i tak ociekała wodą. Wyciągali ocalałych z lepkiej mazi i przykrywali ich kocami, żeby się ogrzali. Około jedenastej w nocy usłyszeli syrenę ogłaszającą koniec alarmu. Potraktowali to niczym kiepski żart - niemieckie samoloty odlatywały, ale port nadal był piekłem, które coraz zacieklej płonęło.

Donata i Ricciardi przestali dostrzegać pożary. Nie słyszeli też krzyków tych, którzy usiłowali uczepić się przedmiotów dryfujących na powierzchni wody pełnej ropy naftowej. Starali się o niczym nie myśleć, kiedy uwi-

Klątwa rodziny Palmisano

jali się, opatrując rannych i próbując podnieść ich na duchu. Donata była wycieńczona, nie zauważyła nawet, że ma ubranie przesiąknięte cuchnącą substancją, która unosiła się na wodzie. Przeszkadzała jej jedynie zapach czosnku utrudniający oddychanie.

- Ci Amerykanie mają nic po kolei w głowie. Komu przyszło do głowy wysłać wyładowane czosnkiem statki do takiego kraju jak Włochy? - zapytał ktoś obok.

O świcie port nadal stał w płomieniach, ranni tłoczyli się wokół punktu opatrunkowego, a oni pracowali bez wytchnienia. Nie mieli nawet czasu pójść do domu się przebrać.

Blask w oknie

Giovanna otworzyła okiennice i przyglądała się niewielkim spienionym falom spychanym w stronę horyzontu przez *libeccio*. Zakwaterowano ich w pensjonacie przy nadmorskiej promenadzie w Barletcie, w pokoju z balkonem wychodzącym na morze. Noc była pogodna, gwiazdzista. Giovanna skierowała spojrzenie na południe, w stronę Bari, i pomyślała, że chciałaby już mieć to za sobą. Czowała zmęczenie ciążą.

Szli z Salvatorem bez przerwy przez dwa dni, by oddalić się od gór, a trzeciego dnia przed świtem przepłynąć przez rzekę Sangro. Wcześniej przeprowadzili przez linie wroga dwóch amerykańskich instruktorów, których zostawili pod opieką partyzantów z Majelli. W drodze powrotnej do strefy zajętej przez aliantów towarzyszył im Giuseppe Zaniolo, lotnik, który chciał walczyć u boku brytyjskich pilotów z bazy w Lucerze. Po przejściu rzeki przez cały dzień szukali kogoś, kto zabrałby ich z linii frontu w okolice Foggii; w końcu trafili na ciężarówkę, która zostawiła ich w Barletcie. Tu czekali na instrukcje na kolejne tygodnie. W sobotę mogli by pojechać pociągiem do Bari i spotkać się z grupą Vitantonio. A może także odwiedzić Donatę.

- Powinieneś poszukać sobie innego towarzysza przygód. Ja będę zmuszona na jakiś czas to rzucić - oznajmiła Salvatoremu, nie ruszając się od okna. Była wyczerpana. Dotknęła brzucha, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Brakowało jej *zii*. Cięża napawała ją lękiem, potrzebowała rady matki. Salvatore podszedł i objął ją. Już dawno przestał widzieć w niej kobietę, traktował ją teraz jak młodszą siostrę.

- Jutro, kiedy dotrzemy do lotniska w Bari, prześlemy informację grupie twojego brata, a potem pojedziemy do miasta szukać *zii*. Najlepiej będzie, jeśli zamieszkaż u niej do rozwiązania.

Giovanna została przy oknie sama i pomyślała, że ona też zaczęła traktować go jak brata. Parsknęła śmiechem, na co Salvatore zapytał z łóżka:

- Z czego się teraz śmiejesz?

- Z niczego. Takie babskie sprawy... odparła, by wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Nie miała ochoty na rozmowę o uczuciach. Zdała sobie sprawę, że Salvatore i Vitantonio zamieniają się w jej życiu rolami.

Wtedy morze zalała fala światła. Giovanna zobaczyła z okna trzaskającą cy w oddali ogień, w okolicach Bari. Uśmiech zamarł jej na ustach. Skupiła wzrok na blasku, który nie zniknął; zrozumiała, że jej bliscy są w niebezpieczeństwie.

Przerażone miasto

Fala uderzeniowa rozchodząca się z miejsca, gdzie stał *John Harvey*, wyrwała drzwi balkonu od strony Piazza Garibaldi. Vitantonio zrozumiał, że musi pobiec do schronu. Zadawnione porachunki z Frankiem mogły zaczekać. Zbiegł na dół, przeskakując po cztery stopnie; po otwarciu drzwi stwierdził, że skutki wybuchów są jeszcze bardziej przerażające. Przeciął plac i popędził jak szalony Via Alessandro w kierunku torów kolejowych. Zamierzał się dostać na drugą stronę miasta, z dala od portu, który najwyraźniej był głównym celem bombardowania.

Na wysokości Via Crisanzio napotkał na swojej drodze przeszkodę. Kilka domów zawałiło się, grzebiąc rodziny, które o tej porze siedziały za stołem przekonane, że to tylko próbny alarm. Skala zniszczeń pozwalała przypuszczać, że w ruinach mogło być ponad sto ofiar. Strażacy, karabinierzy, straż miejska i żołnierze przeczesywali teren z latarkami, usiłując odnaleźć ocalałych. Vitantonio przyłączył się do ludzi, którzy gołymi rękami rozpaczliwie grzebali w rumowisku, z nadzieją na odkopanie żywych mieszkańców przywalonych stosami gruzu.

Opuścił ich godzinę później. Potrzebowali ciężkiego sprzętu, by unieść dźwigary i belki konstrukcji dachowej. Bomby spadały teraz niedaleko, z czego wynioskował, że celem niemieckich samolotów jest również stacja kolejowa. Nie musiał długo czekać na potwierdzenie tych domysłów: jeden z wagonów towarowych wyleciał w powietrze, a na okoliczne ulice spadł deszcz oliwek i migdałów. Od czasu do czasu od strony portu dochodziły odgłosy potężniejszych eksplozji - musiała wybuchnąć amunicja przechowywana w lukach statków, od kilku dni daremnie oczekujących na rozładunek.

Teraz żałował, że poszedł za Frankiem, zamiast szukać matki. Rozejrzał się; czuł, że Donata jest gdzieś niedaleko, ale nie wiedział, w której części miasta powinien zacząć jej szukać. Skreślił w kierunku starej dzielnicy. Z tego co pamiętał, Giovanna mówiła mu kiedyś o jakimś mieszkaniu w pobliżu katedry. Postanowił tam spróbować szczęścia.

Na skrzyżowaniach Via Piccim z Andrea da Bari i Via Abate Gimma z Roberto da Bań napotkał kolejne zniszczone budynki. Dotarł do katedry po północy i stwierdził, że tu sytuacja wygląda jeszcze gorzej. Pomógł jakiejś rodzinie wyciągnąć przygniecionego gruzami martwego syna. Na Piazza Mercantile przyłączył się do ratowania pasażerów, których wybuch bomby uwięził w autobusie, gdy próbowali dotrzeć do schronu; oni też nic mieli szczęścia, wyciągnięto ich martwych, wszystkie trzdzieści pięć osób. W tych godzinach miasto straciło poczucie czasu. Kiedy dotarł do Via Venezia, musiało być około piątej rano. Nawet w najgorszych koszmarach nie wyobrażał sobie tak smutnego krajobrazu miejskiego. Wyglądało to tak, jakby front przechodził przez sam środek Bari.

Znowu przyłączył się do ludzi kopiących w gruzach gołymi pokrwawionymi rękami, w desperackiej próbie dotarcia do ocalałych. Ich upór został wynagrodzony; gdy najmniej się tego spodziewali, znaleźli dziewczynkę, która jeszcze oddychała. Kopali dalej, coraz bardziej zawzięcie, aż

Kłątwa rodziny Palmisano

nagle nadzieja ustąpiła miejsca gorzkiemu rozczarowaniu - ręka dziecka utknęła pod belką, której ruszenie groziło zawaleniem się domu. Byli zrozpaczeni. Jeśli zaraz nie wyciągną małej, skazą ją na śmierć. Młodziutki chirurg, który dołączył do ekipy ratunkowej, postanowił amputować jej rękę. Rodzice dziecka nie wytrzymali tego widoku i zemdleli. Vitantonio płakał z wściekłości, nagle jednak przypomniał sobie ciężarną Giovannę i w przypiętych determinacji wziął dziewczynkę na ręce, by pobiec z nią do punktu pierwszej pomocy, który widział wcześniej na przystani.

Obsługujący punkt opatrunkowy doktor Ricciardi cierpiał jak nikt inny. Wielu spośród rannych wymagało pomocy specjalistów: chirurgów, kardiologów, chirurgów szczękowo-twarzowych. Był więcej niż świadomy własnych ograniczeń. Miał wprawne oko, to fakt. Wystarczyło, że raz spojrzął na chorego, i już wiedział, czego potrzebuje. W tamtych dniach młodzi lekarze z Bari przychodzili do niego po najrozmaitsze porady - specjalistyczne książki medyczne miał w małym palcu. Był kimś znacznie więcej niż dobrym miasteczkowym lekarzem, ale w obliczu ogromu cierpień rannych na wojnie czuł się bezsilny. Donata za to wydawała się stworzona do tego, by nieść tym nieszczęśnikom pocieszenie.

Ricciardi spojrzął na nią z dumą. Był też dumny z siebie, w końcu to on wpadł na pomysł, żeby poświęcić się pielęgniarstwu. Przyszło mu to do głowy niedługo po śmierci Franceski. Pewnego dnia potrzebował kogoś do opieki nad ciężko chorą pacjentką, której nie stać było na zawodową pielęgniarkę. Ponieważ przez półtora roku patrzył, jak Donata czule zajmuje się kuzynką, nie miał wątpliwości, że to najlepszy wybór. Złożył jej propozycję, jakby chodziło o najnormalniejszą rzecz na świecie, a ona przyjęła ją równie naturalnie, jak gdyby czekała na taką okazję całe życie. Po tym zleceniu przyszły kolejne: czuwała przy chorych, podawała im leki, robiła zastrzyki w domach pacjentów, a w przypadku nagłych porodów pomagała jako akuszerka. Wkrótce pacjenci Ricciardiiego i chłopi, którymi się zajmowała, uznali ją za swoją opiekunkę i ochrztili mianem anioła stróża. Lata później ten sam przydomek hiszpańscy republikanie nadali Giovannie, kiedy uciekając przed wojną w Hiszpanii, w drodze ku Pirenejom robiła co w jej mocy, by pocieszyć nieszczęśliwych uciekinierów, którzy stracili wszystko oprócz godności.

Doktor Ricciardi ponownie podniósł wzrok, spojrzął na Donatę i podziękował Bogu, w którego nie wierzył, za cud, jakim było postawienie tej kobiety na jego drodze. Teraz bał się tylko tego, że ją straci. Zauważyła, że na nią patrzy, i zmieszana odwróciła wzrok. Akurat w tym momencie usłyszeli krzyki nadchodzącej grupki mężczyzn i kobiet, którzy nieśli ciężko rannego. Donata pierwsza zareagowała i wyszła im naprzeciw. Kiedy była tuż przy nich, omal nie zemdlała: w środku grupy siedł Vitantonio, trzymając na rękach małą dziewczynkę.

Pomimo otaczającego ją cierpienia twarz Donaty na moment się rozjaśniła - co noc zasypiała, marząc o tym spotkaniu. Teraz nie mogła uwierzyć, że stoi przed nią jej syn. Objęła go spojrzeniem i wykrzyknęła uszczęśliwiona:

- Vitantonio!

Skupiony na dziewczynce chłopak, nie zauważył, że do niego podeszła. Rozpoznał jej głos dokładnie w chwili, kiedy podnosił głowę, by zobaczyć, kto zaopiekuje się dzieckiem.

Klątwa rodziny Palmisano

- Mama! - zawołał z taką samą radością jak ona kilka sekund wcześniej.

Nie mogła oderwać od niego wzroku. Chciała go pocałować. Chciała go dotknąć. Chciała mu zadać tysiąc pytań. Chciała wiedzieć wszystko o ostatnich tygodniach, które spędził na pierwszej linii walki. Musiała wysłuchać jego opowieści o tym, jak rzucił wyzwanie śmierci i jak z nią wygrał. Musiała nabrać przekonania, że przeznaczeniem jej syna jest przeżycie. Chciała go również zapytać o Giovannę. Trwało to jednak za ledwie krótką chwilę. Kilka godzin wcześniej rzuciłaby wszystko, żeby być z nim i go słuchać. Ale ta noc była inna niż wszystkie. Wydało jej się, że już sam jego widok jest darem losu. Znow objęła go spojrzeniem, a w jej oczach zakreśliły się ukradkiem łzy. Zobaczyła, że wzruszony chłopak też płacze. Przelknęła ślinę i ograniczyła się do pytania:

Co jej się stało? - Zauważyła prowizoryczny opatrunek na kikucie po amputowanej ręce. - Wygląda na to, że ktoś wykonał dobrą robotę w bardzo trudnych warunkach.

I choć w głowie kłębiło jej się mnóstwo pytań, wyciągnęła ramiona, by wziąć od mego dziewczynkę. Matka i syn patrzyli na siebie jeszcze przez sekundę; powiedzieli sobie wszystko to, co chcieli powiedzieć od dnia, gdy rozmawiali w chacie Roosevelta. Potem Donata oddaliła się z dzieckiem na rękach w głąb punktu opatrunkowego, a Vitantonio usiadł wyczerpany na podłodze i nie spuszczał z niej wzroku, podziękował Bogu. Poczł, że to, co wycierpiał podczas pobytu w górach, nie ma już znaczenia: ani zimno, ani ból, ani strach. Nawet nocne koszmary, które dręczyły go, kiedy kogoś zabił, nie mogły się równać z piekłem, jakie poznał tej nocy na zbombardowanych ulicach Bari.

Od czasu do czasu jego matka i Ricciardi podnosili głowy, po czym wracali do pracy, pokrzepieni świadomością, że Vitantonio rzeczywiście siedzi u wejścia do punktu pierwszej pomocy. Podeszli do niego dwie godziny później, kiedy zaczynało świtać. Po drugiej stronie portu słońce musiało wejść już jakiś czas temu, ale w starej części miasta niebo zasnuwała chmura dymu z płonących statków.

Chcesz pójść do domu trochę się przespać i zacząć, aż skończę pracę? - zapytała matka.

- Pod gruzami domów mogą być jeszcze żywi ludzie - odparł Vitantonio. Muszę wrócić pod katedrę.

Gdy nastał dzień, cała trójka nadal pracowała, mimo niedostatków w wyposażeniu zaimprovizowanego ambulatorium. Pomogli też przy organizowaniu prowizorycznych punktów pierwszej pomocy w kilku koś dołach. To była wojna, cywile się nie liczyli; wojskowi porzucili ich, więc musieli sobie radzić sami. Późnym popołudniem Donata, Ricciardi i Vitantonio ciągle jeszcze opatrywali rannych. Około szóstej zrobili sobie przerwę na odpoczynek - pracowali niestrudzenie od prawie dwudziestu czterech godzin. W Bari nadal panowała panika. Dworzec kolejowy zablokowali uciekinierzy: ci, którzy nie dostali się do pociągu jadącego bezpośrednio do Toggii, próbowali znaleźć miejsce w kolejce kursującej wzdłuż wybrzeża, łączącej Bari z Barlettą.

Weszli do mieszkania Donaty, w budynku, który cudem ocalał między zawalonymi domami na Strada Santa Chiara. Po prawie pięciu miesiącach matka i syn wreszcie byli sami, ale nawet przez chwilę nie rozmaw-

Klątwa rodziny Palmisano

iali o partyzantach ani wyprawach za linię frontu. Usiedli przy stole i Vitantonio z oczami pełnymi łez opowiedział Donacie o tym, co widział tej nocy na ulicach Bari. Matka patrzyła na niego, szczęśliwa, że kolejny raz wygrała. Każdy dzień życia Vitantonio był dla niej bezcennym zwycięstwem.

Tajemnica z Bitonto

O dziesiątej w nocy Donata wróciła do punktu pierwszej pomocy. Trochę później, około północy, Vitantonio dotarł do baraku w strefie lotniska, który znalazł dla nich Anglik. Wszyscy rzucili się na niego, chcieli wiedzieć z pierwszej ręki, co zaszło w Bari w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Vitantonio poszedł w kąt i rzucił się na derkę, która służyła za pościel. Był ledwo żywy ze zmęczenia, nie miał ochoty na pogawędkę. Podsumował wszystko najkrócej, jak potrafił:

- Spuścili nam niezłe manto. Bari to piekło.

Odwrócił się plecami do kolegów i zasnął.

Po przebudzeniu zobaczył Roosevelta, który uważnie się w niego wpatrywał. Pasterz z Murgii siedział na podłodze oparty plecami o ścianę wojskowego baraku. Z sąsiedniego pomieszczenia docierały krzyki Clarka i porucznika Donovan. Amerykanin wyglądał na zdenerwowanego, a Anglik odpowiadał mu rozdrażnionym głosem. Roosevelt przyłożył palec do ust

- O czym rozmawiają? - zapytał szeptem Vitantonio, przysuwając się do niego.

- Amerykanin właśnie wrócił z tajnego zebrania w Bitonto. Były tam wszystkie grube ryby z sił alianckich na południu Włoch. Wygląda na to, że w wyniku bombardowania wyleciał w powietrze *John Harvey*, amerykański statek załadowany dwoma tysiącami bomb z gazem musztardowym. Gaz jest w wodzie portu i w powietrzu nad miastem. W ciągu najbliższych dni umrze mnóstwo ludzi.

Tam jest moja matka! Muszę wrócić do Bari - Vitantonio gwałtownie wstał i skierował się do sąsiedniego pomieszczenia.

Roosevelt go zatrzymał.

To nie wszystko. Amerykanie postanowili o niczym nie mówić ani lokalnym władzom, ani alianckim dowódcom z całej strefy. Nie chcą, żeby Niemcy odkryli, że zgromadzili w Europie broń chemiczną.

Vitantonio wpadł do izby niczym furia. Podeszedł prosto do Clarka, wyrażając mu pięścią. Nigdy za nim nie przepadał, nie rozumiał, dlaczego jego grupa pomaga ekspertowi od broni chemicznej. Teraz miał dowód, że popełnili duży błąd.

Co to znaczy, że chcecie zachować wszystko w tajemnicy? Powariowaliście? Nie macie sumienia?

Clark patrzył na niego zdziwiony, po czym z przerażeniem spojrzał na Anglika, jakby żądał od niego wyjaśnień. Od pierwszego dnia był przekonany, że żaden Włoch z grupy nie zna angielskiego - nikt nie opowiedział mu historii Roosevelta. Roosevelt z kolei nie darzył Amerykanina zbytnią sympatią i nie chciał ujawniać mu swojej przeszłości. Na początku robił sobie nadzieje, zwłaszcza gdy się dowiedział, że Clark przyszedł na świat we włoskim Harlecie. Już miał podejść, żeby go uściskać, gdy usłyszał, że Amerykanin wychował się w domu na Pleasant Avenue, róg Sto Osiemnastej. Zatrzymał się gwałtownie: na tej ulicy zamieszkał zaraz po przyjeździe do Nowego Jorku i wyrzucono go stamtąd brutalnie, kiedy nie miał jeszcze pracy. Ludzie, w których żyłach płynęła włoska krew, złamali

Kłątwa rodziny Palmisano

święty obowiązek wspomagania nowo przybyłych. Roosevelt nie miał wątpliwości - po kimś, kto dorastał na rogu Pleasant i Sto Osiemnastej, nie można się było spodziewać niczego dobrego.

Clark spoglądał wystraszony to na Anglika, to na Vitantonio, czekając, aż coś powiedzą. Chciał od nich usłyszeć, że rozumieją powagę sprawy i konieczność zachowania dyskrecji. Jednak żaden z nich nie odezwał się ani słowem.

Niemcy za nic nie mogą się dowiedzieć, że mamy w Europie broń chemiczną. To tajemnica wojenna. Jeśli puścicie parę z ust, zapłacicie za to własnym życiem! - zagroził Amerykanin, ogarnięty nagłym lękiem.

- Ty skurwysynu! - wykrzyknął Vitantonio, po czym ciosem w twarz powalił go na podłogę baraku.

- Nie rozumiesz! Losy wojny zależą od tego, czy Niemcy odkryją nasze ruchy! zawołał Clark, leżąc na ziemi.

- To ty nie rozumiesz! Mieszkańcy Bari to ludzie, jak ty, jak ja. Byłem tam i widziałem setki trupów. Jeśli szybko nie ostrzeżemy władz, zginą tysiące. Moja matka tam jest...

- Nie dam ci stąd wyjść. Jeżeli jeszcze do ciebie nie strzeliłem, to wyłącznie dlatego, że kiedyś uratowałeś mi życie, ale teraz jesteście kwi-
ta. Jeśli się ruszysz, będziesz martwy.

Clark ciągle leżał na podłodze, nie spuszczać go z oczu. Na jego twarzy malowała się nienawiść. Celował w Vitantonio z pistoletu. Wreszcie wstał i podszedł do niego.

Jesteś aresztowany.

- Kto mnie aresztuje? Ty? Jakim prawem?

- W imieniu armii amerykańskiej. Jeśli ruszysz palcem, nie zawaham się strzelić. Twoje życie gównu mnie obchodzi, życie ludzi z Bari także.

Taka jest wojna, czasami trzeba poświęcić czyjeś życie, żeby zająć lepszą pozycję i móc uratować wielu innych.

Primo Camera, który jakiś czas temu wszedł do baraku, stał obok Anglika, przysłuchując się dyskusji. Był zdezorientowany. Obaj zobaczyli, jak do izby zakrada się Roosevelt i cicho przesuwa za plecami Clarka. Vitantonio również go zauważył; fascynowały go niemal niedostrzegalne ruchy kolegi. Wydawało się niemożliwe, by ktoś potrafił poruszać się tak bezszelestnie.

Kiedy Amerykanin zorientował się, że ktoś jest za jego plecami, odwrócił się. Vitantonio wykorzystał ten moment i kopnął pistolet, zmieniając tor wystrzelonej w tym momencie kuli, tak że wbiła się w sufit baraku. Clark wycelował po raz drugi, ale wtedy zaatakował go Roosevelt. Rozległ się wystrzał, pistolet upadł na podłogę. Primo Camera kopnął go na bok. Kiedy Roosevelt oderwał się od Amerykanina, nie mógł ustać na nogach. Miał ogromną ranę w lewym boku, dokładnie pod ramieniem. Vitantonio chwycił go, kiedy upadał, i ułożył ostrożnie na podłodze. Roosevelt tracił mnóstwo krwi, próbował zatamować sobie krwotok, przyciskając do rany szmatę.

Amerykanin podszedł do Anglika i powiedział błagalnym tonem:

- Choć przyjaźnisz się z partyzantami, jesteś oficerem brytyjskiej armii i wiesz, jak ważne jest, by informacja, którą wam niechcący podałem, nie rozeszła się i nie dotarła do Bari. Vitantonio jest teraz zajęty Rooseveltem, musisz mi pomóc go zatrzymać.

Klątwa rodziny Palmisano

- Vitantonio ma rację: jesteś skurwysynem! - odparł Anglik i uderzył Clarka w brzuch, niemal zbijając go z nóg. - Teraz to ty jesteś aresztowany
- dodał - przynajmniej do chwili, kiedy opatrzymy Roosevelta, a Vitantonio pojedzie do Bari. Potem zobaczymy, co dalej. Na razie to ty dopuściłeś się zdrady, bo wyjawiał tajemnicę spotkania w Bitonto. Jeśli chcesz, możemy porozmawiać o tym z twoimi przełożonymi...
 - Krwotoku Roosevelta nie dawało się zatamować.
 - I po co się wtrącałeś? - strofował go Vitantonio. To była moja sprawa.
 - Wcale nie. Kiedy powołał się na amerykańską armię, nie mogłem nie interweniować. Musieliśmy załatwić to między nami, Amerykanami.
 - Roosevelt odwrócił głowę w stronę Clarka i splunął.
 - *Fuckyou!* - wykrzyknął.
- Pół godziny później wojskowy ambulans odwiózł go do kliniki w Bari. W momencie kiedy ruszał, do baraku weszli Giovanna i Salvatore, którzy właśnie przybyli z Barletty. Wystraszyli się na widok plam krwi na podłodze.
- Rana jest bolesna, stracił dużo krwi, ale nic mu nie grozi - uspokoił ich Donovan. - Lekarz mówi, że kula roztrzaskała głowę kości ramiennej. Nie słuchając dalszych wyjaśnień, Giovanna puściła się biegiem i w ostatniej chwili wskoczyła do ambulansu, którym jechał do Bari Vitantonio.

Smród czosnku

Dwadzieścia cztery godziny po bombardowaniu, w nocy z trzeciego na czwartego grudnia, część spośród ocalałych, których wyciągnięto z wody, wróciła do punktu pierwszej pomocy. Chociaż nie odnieśli wcześniej ciężkich ran, mieli poparzenia na całym ciele, zdumiewająco niskie ciśnienie i tak zapuchnięte oczy, że myśleli, iż ślepną. Lekarze z niepokojem patrzyli na kolejki ustawiające się przed ambulatorium. O północy kierujący punktem brytyjski lekarz w stopniu porucznika wezwał Ricciardiego i zapytał, co o tym myśli.

- Nie wiem, co panu odpowiedzieć. Niektórzy pacjenci zaczęli mieć problemy już rano: szczypały ich oczy, leciały im łzy, mieli skurcze powiek, światłowstręt... Nie wyglądało to groźnie. Myślałem, że to z powodu ropy i innego świństwa, które dostało im się do oczu - podsumował lekarz. - Po południu obraz kliniczny się skomplikował: skarżą się na trudności z oddychaniem, palą ich płuca, mają bardzo niskie ciśnienie, ledwo wyczuwalne tętno, kołatanie serca.

- Bez sensu...

- To nie wszystko, są apatyczni, większość ma oparzenia na całym ciele, ale żaden nie czuje bólu w klatce piersiowej, nie doznał perforacji błony bębenkowej ani nie ma żadnych innych objawów charakterystycznych dla obrażeń odniesionych na skutek wybuchu. Próbowałem wstrzykiwać im środki pobudzające, ale nie wywoływały żadnej reakcji. Morfina nie działa! Gdybyśmy mieli krew, spróbowałbym transfuzji. Nie wiem, co jeszcze można zrobić, znane mi książki medyczne nie mówią nic na ten temat.

W czasie kiedy Ricciardi wyznawał porucznikowi, że jest bezradny, Donata kładła się na jednej z pryczy przeznaczonych dla personelu medycznego. Nakazał jej to lekarz. Była tak pochłonięta chorymi, że nie zauważyła, iż sama ma oparzenia na rękach i twarzy. Czuła tylko, że szczypią ją oczy, bez przerwy kasłała i była trochę zmęczona. Przypisała to nadmiernemu wysiłkowi w ostatnich dwóch dniach. Padła na pryczę i zasnęła.

Tej nocy w punkcie opatrunkowym sytuacja z godziny na godzinę stawała się coraz bardziej niepokojąca: ludzie, którzy przychodzili z poparzeniami na całym ciele, twierdzili, że nie mieli kontaktu z ogniem, a ci, którzy zaczęli mieć problemy z gardłem i tchawicą, nawet nie wpadli do wody, wdychali jedynie dym z pożarów w porcie rozchodzący się godzinami nad miastem, zwłaszcza nad najstarszą dzielnicą. Większość osób czekających w kolejce cieszyła się dotąd znakomitym zdrowiem, nie odniosła też ran w wyniku bombardowania, i nagle poczuła się źle. Ricciardi nie wiedział, że personel szpitali wojskowych jest równie zdezorientowany jak on i że próbowano już ratować chorych transfuzjami. Bez powodzenia.

W sobotę czwartego grudnia, kiedy późnym rankiem Vitantonio i Giovanna przyszedli do polikliniki, by ostrzec lekarzy, że mają do czynienia z zatruciem gazem musztardowym, okazało się, że ci już wcześniej podejrzewali, iż niewytłumaczalne przypadki, z jakimi zetknęli się w ciągu os

Kłątwa rodziny Palmisano

tatnich godzin, musiały zostać wywołane jakąś substancją chemiczną. Młodzi ludzie opowiedzieli wszystko, co ustalili na temat tajnego ładunku na *Johnie Harveyu*. Lekarzom wojskowym nie spodobała się jednak diagnoza, że u źródeł choroby leżą nie bombardowania niemieckich junkerów, lecz amerykański okręt. Nie chcieli nawet o tym słyszeć. Zwierzchnicy przestali im wiadomość: Siły *alianckie nie dysponują bronią chemiczną w Europie*. Lekarze w stopniu oficera nie zamierzali podważać oficjalnej wersji naczelnego dowództwa.

Giovanna i Vitantonio zmienili rozmówców i spróbowali przekonać miejscowe władze, jednak i one zlekcewały ich wyjaśnienia. Według oficjalnej wersji, rany odniesione w wyniku działania substancji chemicznej należało przypisać paliwu, które dostało się do morza ze zbombardowanych rurociągów i statków. Młodzi ludzie byli przygnębieni, ale nie rezygnowali. W południe zabiegali o rozmowę z kierownictwem Secondo Distretto Sanitario, koordynującego pracę wszystkich szpitali ogólnych podlegających dowództwu alianckiemu. Nie tylko nie chciano ich wysłuchać, ale wręcz zagrożono, że zostaną oskarżeni o sianie nieuzasadnionej paniki.

W tym czasie w punkcie pierwszej pomocy Ricciardi mierzył puls Donacie. Stwierdził, że jej stan ewoluuje w niekontrolowany sposób, podobnie jak u pozostałych chorych. Miała spuchnięte oczy, nic też nie tłumaczyło nienormalnego tętna. Lekarz zaczynał się niepokoić, przekonany, że coś musiało ujść ich uwagi.

Vitantonio i Giovanna wrócili do szpitala. W drzwiach minęli kapitana, lekarza, który wcześniej z największą uwagą wysłuchał ich relacji. Nazywał się Denfeld.

- Wydaje się oczywiste, że mamy do czynienia z wyciekami jakiegoś toksycznego gazu - przyznał konspiracyjnym tonem. - Idę do portu. Jeśli macie rację i chodzi o wycieki gazu musztardowego, musiały gdzieś pozostać jego ślady.

Tym razem zostali wyproszeni ze szpitala. Opuścili go oburzeni i przygnębieni - mieli informację, która mogła uratować setki istnień, ale dla dowództwa wojskowego dyscyplina była ważniejsza od prawdy. Roosevelt na darmo ryzykował życie!

Późnym popołudniem poddali się i postanowili odwiedzić Donatę w punkcie opatrunkowym. Ponieważ jej nie znaleźli, podeszli do Ricciardiego, który osłuchiwał jakiegoś pacjenta. Doktor uściskał Giovannę, której nie widział od kilku tygodni. Vitantonio spojrzął na niego pytająco.

Zmusiłem Donatę, żeby położyła się do łóżka. Za dużo pracowała, musi odpocząć. Jest tam, z tytu. - Pokazał Giovannie parawan w głębi namiotu. Następnie wziął Vitantonio pod ramię i odciągnął go na bok. - Od kiedy widziałeś ją ostatni raz, parametry jej funkcji życiowych uległy zaburzeniu, całe ciało ma pokryte oparzeniami. Bardzo się o nią martwię, ma takie same objawy jak ludzie wyciągnięci z wody w porcie. Nie znaleźliśmy żadnego racjonalnego wytłumaczenia.

- To gaz! - wykrzyknął Vitantonio.
- Gaz? Jaki gaz? O czym ty mówisz?
- Gaz musztardowy. W porcie stał *John Harvey*, amerykański statek z ładunkiem osiemdziesięciu ton bomb z gazem musztardowym.
- Nikt nam nic nie mówił o żadnym gazie...

Kłątwa rodziny Palmisano

- I nikt nic nie powie. Chcą to zachować w tajemnicy. Rozmawiałem z lekarzami aliantów i z lokalnymi władzami. Przysięgają, że we Włoszech nie ma broni chemicznej i że chorzy po prostu wdychali opary ropy, która dostała się do morza ze zbombardowanego rurociągu. Byliśmy też w szpitalu, wyrzucili nas stamtąd, ale kilku lekarzy coś podejrzewa i badają sprawę...

- Mówimy o setkach poszkodowanych, może o tysiącach! Nie mogą być tak bezwzględni. Jeśli w wodzie była jakaś substancja toksyczna, koce i trzymanie chorych w ciepłe tylko pogarszają sytuację. Musimy to wiedzieć na pewno i zmienić sposób leczenia...

- Możesz być pewny, że w wodzie i w dymie nad portem był gaz musztardowy. Wczoraj doszło do spotkania wysokich rangą dowódców alianckich w tajnym centrum operacyjnym w Bitonto. Postanowili zachować wszystko w tajemnicy. Całą sprawę zna sam generał Eisenhower. Wiem o tym od amerykańskiego kapitana, który był na spotkaniu.

- Ale to jest nieludzkie... Nie mogą ukryć czegoś takiego. Dla nich to mniejsze zło, straty uboczne, niezbędne, by zmylić Niemców. Pod pretekstem, że ważne jest tylko końcowe zwycięstwo, te skurwysyny będą popełniać kolejne błędy nie czując potrzeby żeby się przed kimkolwiek tłumaczyć.

Kiedy podeszli do pryczy Donata, która właśnie się przebudziła, obejmowała Giovannę za szyję - nie widziały się od końca września. Następnie chwyciła ją i Vitantonia za dłonie.

- Zabierzcie mnie do domu - poprosiła.

Lekarz zaoponował.

- Nie martw się, nic mi nie jest - nie ustępowała. - Jutro będę się czuła znacznie lepiej. Teraz chcę pobyc sama z dziećmi.

Ricciardi ustąpił. Tego wieczoru i tak mieli likwidować punkt opatrunkowy i przewozić rannych do szpitali. Poza tym nie odkrył jeszcze, jak należy leczyć dolegliwości Donaty uznał więc, że może obserwować rozwój jej choroby niezależnie od tego, czy będzie leżała we własnym łóżku w domu, czy na pryczy we włoskim pawilonie polikliniki.

Wnieśli ją do mieszkania. Giovanna wykąpała ją i zmieniła jej ubranie, które nadal śmierdziało gazem.

- Cuchniesz czosnkiem - zażartowała.

Położyli ją do łóżka. Ricciardi przemył jej oczy wodą z solą i dla ochrony przed światłem przykrył je gazikami. Teraz, kiedy już wiedział o gazie, był jeszcze bardziej zaniepokojony; postanowił przeprowadzić konsultacje z kolegami. Gdy się pożegnali, Donata znowu zasnęła.

- Postarajcie się, żeby nie wychodziła z łóżka. Wróć o świcie.

Donata obudziła się o północy. Wstała i przetrząsnęła szafę, czegoś szukając. Kiedy weszła do jadalni, trzymała w rękach dwa pudła po herbatnikach.

- To pamiętki, moje i Franceski - powiedziała, stawiając je na stole. A także rzeczy, które mieli przy sobie wasi ojcowie, kiedy zginęli na wielkiej wojnie. W pudełku Vita Oronza są też przedmioty należące do

Klątwa rodziny Palmisano

jego braci, Stefana i biednego Domenica, który był prawdziwym aniołem. Chudzielec przywiózł to wszystko z frontu na rozkaz swojego kapitana. Zachowałyśmy te pamiątki, czekając, aż będziecie dorośli. Do tej pory bałam się powrotu do przeszłości... ale może nadszedł już czas.

Usiadła na krześle. Była zmęczona, mówienie kosztowało ją wiele wysiłku. Otworzyła pudełko Giovanni. Z powodu opuchlizny miała zamknięte oczy, niczego już nie widziała; zawartość pudełka wypadła na podłogę. Dzieci popatrzyły na siebie wystraszone. Donata zrobiła strapioną minę, usiadła na podłodze, żeby pozbierać rozsypane przedmioty, zaczęła je macać palcami. Na listach i zdjęciach Antonia Convertiniego leżała książeczka z bajką o Czerwonym Kapturku.

- Skąd się to wzięło? - zapytała Giovanna, zdumiona widokiem opowiadania, które jako dziecko przeczytała milion razy. - Minęło mnóstwo lat, od kiedy ostatni raz widziałam tę książkę.

- Znalazłam ją podczas porządków, zaraz po twoim wyjeździe do Hiszpanii. Schowałam ją razem z rzeczami twojej matki, pomyślałam, że się ucieszysz.

Giovanna otworzyła książeczkę na rozkładance przedstawiającej chatkę, drzewa w lesie i wszystkie postacie bajki. Na pierwszym planie, niczym widownia, siedzieli w rzędzie odwrócone tyłem długouchy króliczki i patrzyły na domek. Dziewczyna wróciła do pierwszej strony i zaczęła czytać:

*Ukryta pośród rozłożystych drzew bardzo zielonego lasu stała chatka
drwala, który ponad wszystko kochał żonę, córkę i swoją pracę. Z chatki
wychodził codziennie czerwony aniołek, skakał i śpiewał niczym leśne ptaszki,
które towarzyszyły mu, kiedy szedł zanieść babci koszyczek z jedzeniem.*

Był to Czerwony Kapturek...

- Jako dziecko zawsze wyobrażałam sobie, że to ja jestem Czerwonym Kapturkiem, a ty jednocześnie ojcem i matką - powiedziała Giovanna, spoglądając czule na zię. - Norma była chorą babunią... a ten łotr Franco żałosnym wilkiem, który zawsze coś knocił.

- Widzę, że ja nie miałem żadnej roli... - obruszył się Vitantonio.

- Ty byłeś myśliwym, który nas ratował!

Donatą zaczęły wstrząsać silne drgawki; dzieci chciały położyć ją do łóżka, ale zaprotestowała.

- Chcę spędzić noc tutaj, z wami.

Na jej nogach i szyi pojawiły się nowe poparzenia i pęcherze. Oddychała coraz szybciej, ale i coraz płycej, tak że niewiele powietrza docierało do płuc. Krwawiła z nosa. Zamknęła oczy, bo coraz bardziej ją bolały. Usiadła pod ścianą i chwyciła dłoń Giovanni. Vitantonio podłożył jej pod plecy poduszkę. W końcu zasnęła.

- Cierpi! - powiedziała Giovanna przez łzy.

Spojrzeli na siebie wystraszeni. Przez całą noc czuwali nad Donatą, starając się wychwycić objawy, które pomogłyby im ocenić, jak rozwija się choroba. W końcu Giovanna także zasnęła. Śniła jej się, że jest Czerwonym Kapturkiem, ale teraz w lesie czaiło się mnóstwo krwiożerczych wilków i nie były już tak niezdarne jak Franco w dzieciństwie; miały na sobie brunatne i czarne koszule i niosły czerwone flagi ze swastykami.

Klątwa rodziny Palmisano

Vitantonio obserwował ją poruszony. Kładł jej akurat dłoń na brzuchu, kiedy Donata obudziła się z drzemki. Ból nie dawał jej wytchnienia, drżała na całym ciele, była spragniona i zlane zimnym potem. Chłopak wstał i poszedł po wodę. Kiedy wrócił, wyglądała na jeszcze bledszą. Sprawdził jej tętno - było nieregularne. Oddychała tak szybko, jakby próbowała rozpaczliwie złapać ustami choćby odrobinę powietrza.

Chłopak z zaciekawieniem wpatrywał się w brzuch Giovanny, na którym już widać było ciążę. Potem spojrzął na poparzenia, które coraz wyraźniej pokrywały ciało matki; nie wyglądało to dobrze. Ogarnęło go złe przeczucie - jedno życie miało się wkrótce rozpocząć, ale drugie niespodziewanie dobiegało końca.

Serce Palmisanów

Niech no cię dotknę - powiedziała matka i palcami prawej dłoni przebiegła kontur jego twarzy.

Ręka jej drżała. Wiedziała, że opuszczają ją siły, ale zdołała jeszcze wymacać jego oczy i usta. Dotknęła ich czule, przesunęła opuszkami po policzkach, po czym zsunęła dłoń na lewy obojczyk, szukając znamienia. Kiedy wyczuła pod palcami serce Palmisanów, pogładziła je z uśmiechem na ustach. Był to ostatni uśmiech *zii*, jaki miał zobaczyć jej syn.

- W dniu, w którym twój ojciec mi się oświadczył, wziął moją dłoń, przesunął nią delikatnie po zarysie czerwonej plamki na swojej piersi i powiedział z powagą w głosie: „Teraz moje serce należy do ciebie”. W tym momencie zrozumiałam, że Vito Oronzo Palmisano jest mężczyzną mojego życia.

Donata ostatkiem sił przyłożyła wargi do piersi syna i ucałowała znamię. Potem zdołała jeszcze odezwać się cichym głosem, niemal niesłyszalnym pośród rozpaczliwego rżenia. Vitantonio przysunął ucho do jej ust.

- Opiekuj się Ggiuannin, jak żoną albo jak siostrą! Nie pozwól, żeby stało jej się coś złego! Przysięgam to jej matce.

Wspomnienie Franceski wywołało na jej twarzy uśmiech. „Jeśli to będzie chłopiec i dziewczynka, poženimy ich, kiedy dorosną”, powiedziała w dniu, w którym okazało się, że obie są w ciąży.

Donata odchyliła głowę, żeby ostatni raz spojrzeć na syna. Jej powieki były tak spuchnięte i zdeformowane, że nie zdołała otworzyć oczu. Znów dotknęła dłońmi jego twarzy.

- Nie było łatwo, mój synu, ale wygrałyśmy z przeznaczeniem - powiedziała zduszonym głosem. - Gdybym mogła cofnąć czas, niczego bym nie zmieniła.

Były to jej ostatnie słowa. Głowa Donaty opadła na pierś syna, wprost na czerwoną plamkę w kształcie serca. Vitantonio zrozumiał, że właśnie stracił matkę.

Pudełko po herbatnikach

Giovanna i Vitantonio zawsze wiedzieli, że są inni niż wszyscy - ich ojciec zginął na wojnie, zanim się urodzili, a kiedy mieli zaledwie cztery lata, musieli pochować Francescę, pierwszą z dwóch kobiet, które uważali za swoje matki. Może dlatego od dziecka rozwijał się u nich pierwotny instynkt dodający im siłę, które aż do tego dnia pozwalały im w naturalny sposób przewycięzać przeciwności losu. Ale ta śmierć różniła się od poprzednich. Nie byli na nią przygotowani. Jeżeli komuś groziło niebezpieczeństwo z powodu wojny, to im dwojgu, zwłaszcza podczas akcji sabotażowych przeprowadzanych na terenie wroga; Donacie, która pracowała w szpitalu jako pielęgniarka, nie powinno być nic zagrażać. Po raz drugi przeżywali śmierć matki. Tym razem nie potrafili odważnie stawić jej czoła.

Kiedy Vitantonio zobaczył, że matka zastygła na jego piersi, nie był w stanie powstrzymać okrzyku wściekłości, takiego jak ten, który ona wydała z siebie w chacie Roosevelta w dniu, gdy oznajmił jej, że wyrusza na wojnę. Giovanna obudziła się wystraszona i odkryła, że nie ma już z nimi *zii*. Przytulili się i objęli Donatę, by czuć przy niej na swój sposób.

Siedzieli w milczeniu, Giovanna bez przerwy szlochała, i tylko od czasu do czasu wołała: *Zia!* Vitantonio zamknął się w sobie, przypominał bezbronne dziecko.

Tej nocy pragnął dla niej szybkiej śmierci, bo widział, jak cierpi; teraz jednak dałby wszystko, byle tylko na chwilę ją wskrzesić i ostatni raz pocałować. Przez kolejne dwie godziny czas jakby się zatrzymał. A może trwało to dłużej, w tamtych dniach bowiem dzwony w Bari, wyczerpane dzwonieniem za zmarłych, przestały wybijać godziny i trudno było oszacować ich upływ. Świeczka oświetlająca pokój wypaliła się i siedzieli po ciemku. Żadne z nich nie ruszyło się z miejsca, czuwali nad martwym ciałem Donaty. Dopiero o świcie Vitantonio złożył głowę matki na kolanach Giovanny i wstał, żeby zapalić nową świecę.

Lodowata tramontana wdzierała się przez szyby częściowo rozbite w noc bombardowania. Płomień drgał, oświetlając kąty pokoju. Kilkakrotnie omiótł stół, na którym leżało pudełko po herbatnikach przyniesione przez Donatę. Jego błysk przyciągnął uwagę Vitantonio, który odruchowo usiadł przy stole. Zdjął pokrywkę; w środku znajdowały się listy, medale, zdjęcia, wycinki z gazet, dokumenty i urzędowe pisma. A także portfel, który jego ojciec miał przy sobie ostatniego dnia wojny, kiedy został śmiertelnie ranny przez austriackiego snajpera.

Vitantonio wysypał zawartość pudełka na blat i sięgnął po portfel, który wyglądał dokładnie tak samo jak w dniu, kiedy Chudzielec przyniósł wdowom rzeczy po Vicie Oronzu Palmisano i Antoniu Conventinim. Był to najbardziej osobisty przedmiot ojca, jaki kiedykolwiek trzymał w dłoniach. Ostrożnie go otworzył. Pierwszym, co zobaczył, było zrobione w młodości zdjęcie jego matki - patrzyła tym łagodnym spojrzeniem, które zawsze go uspokajało. Kiedy był mały, znajdował schronienie w jej brązowych oczach; pomyślał, że podobnie musiał czuć jego ojciec.

Kłątwa rodziny Palmisano

Wyobraził sobie, że na froncie Vito Oronzo Palmisano całował codziennie to zdjęcie i zasypiał ukojony spojrzeniem żony.

W portfelu znalazł również dokumenty ojca, wśród nich przepustkę zezwalającą na opuszczenie kompanii w dniach od czternastego do dwudziestego szóstego października 1918 roku. A także ostatni list, który napisała do niego Donata, dzień po pożegnaniu na dworcu w Bellorotondo. Wrzuciła go do skrzynki, kiedy ojciec był jeszcze w drodze do Vittorio Veneto, gdzie miał się spotkać z towarzyszami, którzy rozpoczęli już ostatnią ofensywę tamtej wojny.

Vito Oronzo Palmisano

94 Pułk Piechoty

Bellorotondo, piątek. 25 października 1918 r.

Mój ukochany!

Dyktuję ten list Francesce, wstydzę się jej mniej niż urzędnika z ratusza, więc będę mogła powiedzieć Ci dużo więcej rzeczy, znacznie bardziej osobistych.

Wczoraj, w czwartek, kiedy wróciłam do domu, wciąż czułam w nim Twój zapach, tęskniłam za Tobą bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Odkąd wyjechałeś, za każdym razem, kiedy spoglądam na stół w kuchni, czuję łaskotanie w całym ciele i umieram z tęsknoty. Tak bardzo chciałabym Cię obsypać pocałunkami i pogładzić czerwone serce na Twojej piersi. To prawda, że całe to serce należy do mnie? Mojego nie widać, ule także mocno dla Ciebie bije

Jak mają się sprawy na froncie? Nadal wierzysz, że ta przekłeta wojna zaraz się skończy? Przysięgasz, że wrócicie do domu na Boże Narodzenie? Lubię sobie wyobrazać, że na najbliższą pasterkę idziemy razem do kościoła Niepokalanej, wchodzimy pod rękę i siadamy w pierwszym rzędzie, jak dziedzice. Po niemal czterech latach na wojnie zasłużyłeś sobie na ten honor, by wszyscy zobaczyli Cię tam, z przodu, z dumnie wyprostowanymi plecami. Może ojciec Constanzo, nowy rektor, skieruje nawet do Ciebie kilka słów powitania

W przyszłym tygodniu skończymy zbierać oliwki. Dziś zerwaliśmy to, co zostało do zebrania w dwóch gajach Rosse. Mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu uporamy się ze wszystkimi gnastre za domem. Pomagają mi Francesco, nasza szwagierka Concetta i moja kuzynka Bruna, a także żona Vicina. Może wrócisz na czas, żeby pomóc mi segregować oliwki na kuchennym stole, może potem pozwolę, żebyś mnie na nim położył i jeden po drugim rozpiął mi guziki bluzki.

Uważaj na siebie, potrzebuję Cię w domu całego i zdrowego. Szczerze mówiąc, nie wiem, co bym zrobiła, gdyby któregoś dnia mi Ciebie zabrakło. Umarłabym.

Napisz do mnie i opowiedz o wszystkim, co robisz i o czym myślisz. Całuję Cię tysiąc razy i mocno ściskam. Kocham Cię do szaleństwa

Tvoja Donata

PS Francesco uczy mnie czytać i pisać. Mówi, że niedługo będę radziła sobie sama.

Raz jeszcze Cię całuję.

Donata

Kłątwa rodziny Palmisano

Vitantonio poczuł ucisk w gardle i zaniósł się płaczem. Wziął dwa pliki listów starannie przewiązanych białą wstążką i przez chwilę trzymał je w dłoniach - była to cała korespondencja, jaką wymienili jego rodzice podczas pobytu Vita Oronza Palmisana na froncie. Każda paczuszka zawierała około trzydziestu wiadomości; przez ponad trzy lata pisali do siebie regularnie, co najmniej raz w miesiącu. Odłożył listy na bok, żeby przeczytać je później, i zaczął oglądać jeden po drugim resztę małych skarbów swojej matki.

Pociągnął za łańcuszek złotego medalionu w kształcie serca, z tych, co to otwierają się w pofowie i kryją zdjęcia zakochanych. Ujrzał twarze ojca i matki i przypomniał sobie, że kiedy był mały, Donata zakładała ten medalion na wszystkie rodzinne uroczystości. Ze smutkiem zdał sobie sprawę, że minęło już trzy i pół roku, odkąd opuścił Bellorotondo, i że przez cały ten czas nie mieli okazji do świętowania. Wziął do ręki złote kolczyki z perłami, które *norma* podarowała *zii* na czterdzieste urodziny; uśmiechnął się, przypominawszy sobie, że matka wstydziła się je nosić, bo uważała, że są dla niej za ładne.

Następnie zaczął przeglądać pamiątki po ojcu. Najpierw sięgnął po legitymację związków zawodowych; jej widok go nie zaskoczył, bo Chudzi-elec opowiedział mu o przynależności Vita Oronza do związku. Wówczas jeszcze Vitantonio myślał, że jest synem Antonia, i to właśnie o niego wypytywał Chudzielca. Dostrzegł też inną legitymację i odkrył, tym razem z zaskoczeniem, że ojciec był również członkiem Partii Socjalistycznej; to wyjaśniało jego sympatie, których przed laty nie był w stanie zrozumieć.

Pośród pamiątek znajdowało się także urzędowe pismo złożone starannie niż pozostałe. Kiedy je rozprostował, jego oczom ukazało się *awiso di morte* - dokument był w nienaruszonym stanie, wyglądał tak jak wówczas, gdy podpułkownik protokolant 94. Pułku Piechoty przesłał go burmistrzowi Bellorotondo, żeby ten powiadomił oficjalnie rodzinę o śmierci ostatniego Palmisana. Od tamtej pory minęło zaledwie dwadzieścia pięć lat, a Europa przeżywa kolejny barbarzyński konflikt. Vitantonio pomyślał, że gdyby ojciec nie zginął ostatniego dnia wielkiej wojny, może teraz znów powołaliby go do wojska i zmusili do powrotu na front. Nie mógł się obronić przed ogarniającym go przygnębieniem,

Wciąż nad tym rozmyślał, kiedy zdał sobie sprawę, że trzyma w dłoniach wycinek z gazety popodkreślany ołówkiem i pełen entuzjastycznych adnotacji, których autorką musiała być Donata, bo staranny charakter pisma wskazywał na osobę, która nauczyła się pisać już jako dorosła. Był to artykuł z września 1914 roku, z „Il Seme”, socjalistycznej gazetki z Bellorotondo. Vitantonio zaczął czytać tekst niejakiego Giovanniego Gianfratego.

Do matek Włozek!

Matki Włozki! Głos należy do was!

Mamią Waszych synów tytoniem, szampanem, retoryką i prowadzą ich na wojnę. Spieszcie im z pomocą, matki!

Oderwali Wam ich od piersi i wysyłają daleko, na pola pustoszone przez szrapnele i ogień. Matki Włozki, trzymajcie ich mocno przy sobie!

Setki, tysiące zostały już popchnięte na rzeź. Odebrano ich radzeństwu, odebrano ich żonom. Wykarmijcie ich, żeby żyli, nie żeby umierali... Matki

Kłątwa rodziny Palmisano

Włoszki, stawcie opór!

Wasi synowie są dobrzy, a oni czynią z nich nikczemników; są zdrowi i piękni, a oni ich kaleczą; są łagodni, a oni uczą ich zabijać...

Najbardziej egzaltowana część odezwy była podkreślona grubszą kreską; Vitantonio miał wrażenie, że już wcześniej ktoś ją zaznaczył, może sam Vito Oronzo. Na marginesie Donata napisała „*Bravissimo!H*”, z trzema zamaszystymi wykrzyknikami, a pod spodem, mniejszymi literami i z dużym znakiem zapytania: *Przeczytać to Vitantoniovi?* Znów poczuł ucisk w gardle, litery zaczęły się rozmazywać i musiał przerwać lekturę.

Dobry Boże, jak bardzo musiała cierpieć, skoro zachowała niczym skarb wszystkie te płomienne apele przeciwko wojnie! Czy wptynęłyby na niego te wersy, gdyby jednak dała mu je do przeczytania? Podejrzał, że nie, ale wtedy decyzyjnie chwycił za broń i przyłączył się do walki na pewno byłaby dla niego jeszcze bardziej bolesna. W słowach z „*Il Seme*” było równie dużo pasji co zdrowego rozsądku - pokazały to ostatnie miesiące trwającej wojny. Ale właśnie dlatego musieli teraz walczyć, pokonać nazistów i faszystów. Odsunął od siebie te myśli, wytarł oczy i dokończył czytanie artykułu.

W pudełku znajdowały się jeszcze dwie inne starannie złożone strony tytułowe „*Il Seme*”. Na jednej zamieszczono manifest Włoskiej Partii Socjalistycznej broniący neutralności kraju w europejskim konflikcie. Na drugiej widniał kolejny antywojenny nagłówek: *Abbasso la guerra!* Vitantonio był zaskoczony, że matka nigdy nie opowiadała mu o działalności politycznej Vita Oronza. Nawet w ostatnich latach! Była tak uprzedzona do wojny, że chciała zataić wszelkie wspomnienia z czasów ostatniego konfliktu. A przede wszystkim pragnęła trzymać syna z dala od polityki.

Schowwał wycinki do pudełka i sięgnął po kupkę zdjęć. Pierwsze przedstawiało ojca z profilu, ubranego w wojskowy mundur; trzymał pod rękę żonę i przysuwał usta do jej policzka, żeby złożyć na nim pocałunek. Ona stała z twarzą zwróconą do aparatu i spod oka figlarnie spoglądała w obiektyw. Oboje byli roześmiani, wyglądali na szczęśliwych, przekonanych, że życie szykuje im fantastyczne niespodzianki i że nie może ich spotkać nic złego. Zdjęcie musiało zostać zrobione podczas pamiętnej przepustki jesienią 1918 roku. Kiedy Vitantonio przysunął je bliżej do świecy, odkrył zdumiony, jak bardzo jest podobny do ojca - miał taką samą twarz, taką samą długą szyję, a przede wszystkim takie same szerokie ramiona. Przejrzał się w lustrze kredensu i uśmiechnął do własnego odbicia. Wziął kolejną fotografię. Na tle egzotycznych dekoracji przedstawiających holenderskie wiatraki, namalowanych przez jakiegoś rozentuzjadowanego artystę, jego rodzice stali, trzymając się pod rękę, obok Antonia Convertiniego i Franceski. To zdjęcie zrobiło na Vitantoniu jeszcze większe wrażenie - nie mógł uwierzyć, że dziewczyna z fotografii to nie Giovanna! Czarne włosy, ciemna karnacja i zielone oczy Franceski - identyczne jak hipnotyzujące oczy Giovanni. Matka i córka miały tak przepiękne oczy, że czasami ich widok sprawiał ból. Gdy jednak otwierały usta, ich zaraźliwy śmiech zamieniał te dwie dzikie istoty w dwa anioły.

Odkładając zdjęcia na bok i ponownie sięgnął po paczuszkę z listami. Odwiązał opasującą je wstążkę i czytał jeden po drugim z nadzieją, że od-

Kłątwa rodziny Palmisano

kryje w nich coś, co pomoże mu wyobrazić sobie, jacy byli i o czym rozmawiali jego rodzice podczas krótkiego czasu, który spędzili razem. Nie poszczęściło mu się; wszystkie listy były do siebie podobne, pełne miłosnych wyznań powtarzanych z użyciem tych samych konwencjonalnych zwrotów. Vitantonio przypomniał sobie, że w tamtym okresie rodzice musieli dyktować je urzędnikowi, który pewnie zawsze wypisywał takie same banały.

Kiedy już miał schować listy do pudełka, zauważył, że jeden z nich leży luzem i jest napisany innym charakterem pisma. Został wysłany w tym roku, zaledwie przed miesiącem.

Bari, 2 listopada 1943 r.

Droga Donato!

Nadchodzi dzień, w którym pożegnamy się na zawsze, w związku z czym chciałbym przekazać Ci ostatni raz wyrazy uznania i szacunku. Ostatnie tygodnie w szpitalu utwierdziły mnie w przekonaniu, że masz szczególnie dar pocieszania ludzi. Tyle wycierpiałas, że wystarczy Ci jedno spojrzenie, by rozpoznać ból? Tak bardzo się bałaś, że jesteś w stanie wyczuć przerażenie innych, zanim poproszą Cię o pomoc? Tak bardzo się poświęciłaś, że jesteś gotowa dzielić się tym, co Ci zostało? Im bardziej oddajes się pocieszaniu innych, tym jesteś mi bliższa i tym bardziej przeklinam te Włochy, które nie potrafiły docenić swoich najlepszych dzieci ani dać im szansy.

Przeżyliśmy straszliwe dni, jedynie Twoje towarzystwo motywowało mnie do dalszej pracy i pomagało spoglądać z nadzieją w przyszłość. Jakże ciężko patrzeć na tych chłopców przysłanych nam z frontu z ranami, z których się nigdy nie wylizą. Jakie przerażenie mają wypisane na twarzach! Jak cierpią nawet we śnie! I jak Ty potrafisz ich uspokoić czułymi słowami, które płyną prosto z serca, bo opiekujesz się nimi tak, jak chciałabyś, żeby opiekowano się Vitantoniem i Giovanną, gdyby to oni zostali ranni.

Zawsze podziwiałem Twoją odwagę, ale teraz wiem, że z czasem mój podziw przekształcił się w uczucie. Zrobiłbym wszystko, żeby wynagrodzić Ci to, przez co przeszłaś, żeby zwrócić Ci chociaż część tego, co dałaś innym. Może gdzieś daleko od tej niewdzięcznej ziemi moglibyśmy stworzyć sobie na starość raj. Ale teraz, kiedy odzyskałaś na dobre syna, nie będziesz umiała już nigdy się z nim rozstać. Żałuję, że Cię straciłem, ale cieszę się, widząc Cię z Vitantoniem i Giovanną, nareszcie bez sekretów i kłamstw. Zawsze uważałem ich trochę za moje dzieci, pewnie od tamtej nocy, gdy zostałem wtajemniczony w Wasz sekret, Twój i Franceski. Potem, patrząc, jak dorastają, czułem się z nich dumny, i odkryłem, że Twoje poświęcenie miało sens.

Kiedy skończy się ten straszliwy koszmar, wyjadę daleko stąd. Mówią, że na Ziemi Obiecanej dokonują się cuda. Jak wiesz, jestem agnostykiem i nie wierzę w takie rzeczy, w cuda bogów, ale nie mogę przestać wierzyć w cud narodu, który nadal trzyma się na nogach, mimo że został tak okrutnie doświadczony przez historię. Ty dawno temu zdecydowałaś, że Twoją jedyną ojczyzną są Palmisanowie. Ja wiem teraz, że mającą rodziną jest naród żydowski.

*Zawsze będę Cię nosił w sercu. Szczerze oddany,
Gabriele Ricciardi*

Klątwa rodziny Palmisano

Słyszac jęknienie, Vitantonio zorientował się, że Giovanna już nie śpi. Uporządkował papiery i przedmioty, których nie zdążył przejrzeć, i schował pudełko do kredensu. Usiadł obok dziewczyny, otoczył ją ramieniem i oparł się plecami o ścianę. Spojrzał w stronę balkonu - zaczynało świtać, zdziwił go spokój tej mroźnej grudniowej nocy. Jedyne zapach spalenizny, który nadal dolatywał z portu, przypominał o tragedii. Martwe ciało Donaty wydało mu się nierealne. Podłożył Giovannie poduszkę pod plecy i dotknął jej brzucha. Nagle zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma w dłoni list doktora Ricciardiego

- Musisz to przeczytać. Ricciardi napisał do mamy - powiedział.

Z wyrazu twarzy Giovanny wynioskował, że to odkrycie nie zrobiło na niej oczekiwanego wrażenia.

- Nic z tego, co napisał w tym liście, nie zdradzi mi więcej, niż to, co czytałam tysiące razy w jego spojrzeniu - powiedziała. - Przez wszystkie te lata, kiedy patrzył na *zię*, widziałam w jego oczach miłość.

Vitantonio słuchał jej ze zdziwieniem. Giovanna pocałowała *zię* w czoło i wybuchnęła płaczem.

Kaczki w stawie

Podskoczyli, słysząc łomotanie do drzwi. Przez chwilę patrzyli na siebie, zastanawiając się, kto to może być o tej wczesnej porze.

- Ricciardi! - wykrzyknął w końcu Vitantonio.

Zupełnie o nim zapomnieli. Doktor miał nocny dyżur w poliklinice, czuwał nad pacjentami, których stan z godziny na godzinę bez wyraźnej przyczyny się pogarszał. Vitantonio otworzył drzwi i poczuł rozdzierający ból - siwowłosa mężczyzna czekający za progiem był wrakiem człowieka. Doktor Gabriele Ricciardi nagle się postarzał; wyglądał na chorego, był chudszy niż kiedykolwiek, od kilku dni się nie golił, miał worki pod oczami, a jego ubranie wciąż cuchnęło gazem. Na wyczerpanej twarzy lekarza Vitantonio po raz pierwszy dostrzegł upływ czasu. Od dziecka przywykł do jego gęstych siwych włosów, zawsze starannie ostrzyżonych, i białych wąsów, które sprawiały, że już jako młody człowiek wyglądał niezwykle dojrzałe i elegancko. Mimo upływu lat zachował zadbane wygląd, trudno było określić jego wiek. Był radosny, pełen pasji, prawy, wykształcony, do brzo wychowany; *charmant*, jak mawiała *zia*. Teraz wyglądał na wystraszonego i chorego.

Jak minęła jej noc? - zapytał od wejścia, z nadzieją, że stan Donaty się poprawił.

Vitantonio pchnął drzwi do jadalni i odsunął się na bok. Lekarz zobaczył Giovannę, która leżała na podłodze i płakała, obejmując ciało Donaty, i zrozumiał, że przyszedł za późno. Jego twarz wykrzywił grymas bólu. Ugięły się pod nim nogi; gdyby Vitantonio go nie podtrzymał, runąłby na podłogę. Doktor oparł rękę o drzwi i próbował się wyprostować, ale wyglądał na zdezorientowanego, jakby się wahał, czy ma wejść, czy się wycofać. Vitantonio odwrócił się do niego plecami i pozwolił mu płakać. Po przeczytaniu listu miłosnego Ricciardiego miał wrażenie, że już i tak wystarczająco naruszył prywatność doktora.

Giovanna wstała i przytuliła doktora. Często pełnił w ich życiu rolę ojca, była mu także wdzięczna za wyraz szczęścia, jaki pojawiał się na twarzy *zii*, kiedy odwiedzał ich w domu. Młodzi ludzie wymienili porożu niewawcze spojrzenia, sygnalizując sobie w dyskretny sposób, że powinni opuścić pokój i zostawić Ricciardiego z Donatą. Gdy wyszli, lekarz padł na podłogę obok ukochanej i zapłakał jak dziecko. Zaczął do niej przemawiać - miał jej jeszcze tyle do powiedzenia.

Zostawili go samego na ponad godzinę, po czym wrócili do jadalni. Ricciardi przetarł rękawem zaczerwienione oczy i podniósł wzrok znad podłogi.

- W dniu, kiedy oddała cię Francesce zwrócił się do Vitantonio chcąc znaleźć oszukane przeznaczenie, ale bogowie kazali jej za to drogo zapłacić. Za każdym razem, gdy wydawało jej się, że szczęście jest w zasięgu ręki, życie dawało jej w kość. Mimo to nigdy się nie poddała. Nie wiem, skąd brała siły, żeby zaczynać od początku, nie wiem też, skąd ja będę je teraz czerpał. To piekło jeszcze się nie skończyło, a nie jestem pewien, czy bez niej warto dalej walczyć.

Kłątwa rodziny Palmisano

- To piekło będzie trwało znacznie dłużej, niż myśleliśmy, a na koniec wszyscy zapłacimy bardzo wysoką cenę zgodził się z nim chłopak. Wyrzekłem się swoich, żeby bronić wolności u boku aliantów, a los odplaca mi najgorszą zdradą. Bomby i kłamstwa Amerykanów odebrały mi matkę w momencie, kiedy ją odnalazłem. Ale nie możemy przestać walczyć. Sam pan powiedział: ona nigdy by się nie poddała.

- Nie wiem, co jeszcze może nam się przytrafić. - Giovanna westchnęła i wbiła wzrok w podłogę, świadoma, że Ricciardi nic zna odpowiedzi na jej pytanie.

- Gdyby Bóg był sprawiedliwy, nie powinno nam się już przytrafić nic więcej - powiedział sentencjonalnie doktor. Ani temu miastu. Nikt nic może płacić tak wysokiej ceny ani być tak niesprawiedliwie karany. Władze ukrywają liczbę ofiar, żeby nie zdradzić informacji o gazie, ale dziś dokonały oficjalnego bilansu strat materialnych i przyznały, że bombardowanie było największą klęską poniesioną przez oddziały alianckie od czasu Pearl Harbor. Niemieckie samoloty zatopiły siedemnaście z trzydziestu jeden jednostek pływających, które w noc bombardowania cu mowały w porcie w Bari. Trzydzieści jeden łatwych celów skupionych na zamkniętym terenie, jakby czekały, by upolowano je niczym bezbronną zwierzynę. Okazało się, że nic działały radary, które powinny pokierować obroną przeciwlotniczą. Kiedy ogłoszą oficjalną listę ofiar, zdamy sobie sprawę, jak potworny był ten atak...

- Chwileczkę, może pan powtórzyć? - przerwał mu niecierpliwie Vitantonio. Miał napięte mięśnie twarzy, a oczy otwarte tak szeroko, jakby zobaczył diabła.

- Co mam powtórzyć?

To o statkach stojących w porcie jak bezbronna zwierzyna, która zaraz zostanie upolowana. Powiedział pan, że ile ich było?

- Trzydzieści jeden... - powtórzył doktor, nie rozumiejąc, jakie znaczenie może mieć ta informacja.

- *Trzydzieści jeden kaczek w stawie...* Chodzi o trzydzieści jeden statków cumujących w porcie! A to skurwysyn!!! *A stonce zaszło w Bari* mogło się odnosić do sabotażu radarów...

- O co chodzi? - zapytali równocześnie doktor i Giovanna, zaintrygowani. - O czym ty mówisz?

Nie odpowiedział. Skupił uwagę na zdjęciach, które zapomniał schować do pudełka matki. Pierwsze promienie słoneczne wpadające przez drzwi na balkon oświetlały wizerunek nagiej dziewczyny. Podeszedł, żeby jej się przyjrzeć. Miała łagodne anielskie spojrzenie i idealnie wyrzeźbione ciało, które doprowadziłoby do szaleństwa samego diabła. Przez chwilę z zaciekawieniem oglądał zdjęcie, nieświadomy, że właśnie poznał „narzeczoną Domenica Palmisana”. Zaraz odłożył je na bok i z wściekłością sięgnął po drugą fotografię, tę, która przykuła jego uwagę i sprawiła, że napięły mu się wszystkie mięśnie twarzy. Przedstawiała jego i Franca w ogrodzie *palazzo* w dniu bierzmowania. Kuzyn siedział na ławce ze zwisającymi nogami w ciemnych lakierkach i białych podkolanówkach. Vitantonio zobaczył siebie, jak stoi przy ławce w odświeżonym mundurku, z zawiązaną na czole chustką. Franco patrzył na niego i coś mówił. Vitantonio poczuł wściekłość, która paliła mu gardło

Klątwa rodziny Palmisano

i rozplamieniała policzki. Podarł zdjęcie na kawałki, po czym podszedł do Giovanni

- Powinnaś zabrać ciało mamy do Bellorotondo, żeby została pochowana obok mego ojca, w grobowcu Palmisano - powiedział, patrząc jej w oczy. Doktor ci pomoże.

Ricciardi wciąż miał łzy w oczach, ale zrozumiał, że musi wziąć się w garść. Przytaknął skinieniem głowy.

- A ty? - zapytał.

- Ja mam do wyrównania rachunki z pewnym skurwysynem, który już nigdy więcej nikogo nie skrzywdzi... Dołączę do was później.

Przepełniony wściekłością, która wzbierała w nim przez ostatnie miesiące, wyszedł na ulicę. Wiedział doskonale, co musi zrobić, i był zdecydowany doprowadzić swój plan do końca. Kiedy jednak znalazł się na zewnątrz, zamiast ruszyć w stronę katedry i najkrótszą drogą opuścić starówkę, skierował kroki na Via del Carmine i poszedł w przeciwnym kierunku, ku bazylice Świętego Mikołaja i morzu. W porcie zobaczył siedemnaście częściowo zatopionych okrętów i przypomniał sobie ciała dryfujące wśród płomieni w noc bombardowania. Minęły zaledwie trzy dni, a on miał wrażenie, że upłynęła wieczność. Ponownie usłyszał rozpaczliwe krzyki marynarzy, którzy błagali z wody o pomoc, zobaczył zwłoki poćwiartowane fragmentami statków zamienionymi w pociski. Opuścił port i przeszedł Via Venezia wzdłuż domów, które zwały się jeden po drugim niczym kostki domina. Pośród gruzów walały się sprzęty kuchenne i strzępy materiału; na ich widok Vitantonio znów poczuł bezsilność, podobną do tej, jakiej musiały doświadczyć oddziały ratunkowe, kiedy nie były w stanie wyciągnąć tamtej dziewczynki, dopóki chirurg nie podał jej środków usmierających i nie amputował ręki. Nieco wyżej minął schron, który zalała woda; utonęło w nim około dwudziestu osób ukrywających się przed bombardowaniem. W końcu przeszedł obok zawalonego domu, gdzie zostali pogrzebani żywcem matka z siedmiorgiem dzieci.

- Bóg odwrócił się do nas plecami - poskarżył się w noc bombardowania jakiś człowiek, gdy odwalając gruz, znalazł zwłoki najmłodszego z siedmiorga rodzeństwa.

Ale nie, to nie była sprawa bogów, winni byli ludźmi z krwi i kości. Kiedy Vitantonio raz jeszcze przeżył przerażenie z najgorszych godzin swojego życia, zrozumiał, że jest gotów dotrzymać przysięgi, którą złożył sobie po tym, jak opuścił Materę i ruszywszy z towarzyszami na północ, zobaczył straszliwe ślady niemieckich represji.

Przyspieszył, opuścił stare miasto na wysokości Corso Vittorio Emanuele i zdecydowanym krokiem poszedł w stronę Piazza Garibaldi.

Strzelanina przy Piazza Garibaldi

Kiedy stał w bramie przy Piazza Garibaldi, odniósł wrażenie, że ktoś wymyka się tylnym wyjściem, ale nie przywiązał do tego większej wagi. Spieszno mu było załatwić to, po co przyszedł, i pojechać do Beiforotondo. Wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Po dotarciu na trzecie piętro usłyszał hałas i domyślił się, że Franco jest w domu. Wszedł nieco wyżej i ukrył się w kącie, żeby złapać oddech i sprawdzić pistolet. Gdy był gotowy, zszedł na piętro, jednym kopnięciem wyważył drzwi i zaskoczył Czarnego Rycerza.

Franco zareagował krzykiem. Rozpoznał Vitantonio i strach ustąpił miejsca zdumieniu.

- Sądziłem, że jesteś w górach. Po co ci ten pistolet? Chyba nie zamierzasz strzelać do własnego kuzyna? - zapytał na widok broni.

Vitantonio nie odpowiedział. Podeszedł do stołu, zmiotł z blatu papiery i zrzucił na podłogę nadajnik.

- Nadal pracujesz dla faszystów czy teraz już bezpośrednio dla niemieckiej Abwehry? - zapytał wzburzony,

- Jestem patriotą i wypełniam moje obowiązki - zaczął się bronić Franco, świadom, że kuzyn przejrzał jego grę. Niemcy są naszymi sojusznikami.

- Ty skurwysynu! - Vitantonio splunął, patrząc mu w oczy. - Zdajesz sobie sprawę, ile zła wyrządziłeś?

- Król i Badoglio to dwie kukielki...

Vitantonio poczerwieniał z gniewu. Nie nosił takiej fałszywej naiwności; trudno mu było uwierzyć, że Franco nie potrafi odróżnić dobra od zła. Podeszedł i uderzył go w twarz.

- Oni nie mają z tym nic wspólnego. Mówię o dobrych ludziach, którzy zginęli z twojej winy. Przez całe swoje życie zadawałeś jedynie ból. Ty i twój przyjaciel jesteście chorzy i zgnijecie w piekle.

Kiedy wypowiadał te słowa, uświadomił sobie, że w salonie nie ma towarzysza Franca. Zupełnie o nim zapomniał! Spojrzał w stronę swojego dawnego pokoju, ale było już za późno. Drzwi właśnie się otworzyły, a człowiek z zepsutymi zębami mierzył do niego z pistoletu.

Po pierwszym wystrzale wszystko potoczyło się bardzo szybko. Vitantonio poczuł pieczenie z boku czoła kula musnęła mu skroń. Nieporuszony, oddał dwa strzały, które przeszły pierś napastnika - padł rażony na podłogę, niczym kukielka, gdy odetnie się podtrzymujące ją sznurki.

Vitantonio dotknął dłonią skroni i poczuł nieprzyjemną, lepką maź z wydartych przez kulę tkanek i włosów. Kiedy odsunął rękę, po policzku pociekła mu ciepła krew, nie stracił jednak opanowania. Zanim zdążył zareagować, zobaczył, jak otwierają się drzwi i na scenę wkracza nowy aktor. Na początku go nie rozpoznał, dopiero po chwili zorientował się, że przybysz ma na sobie mundur amerykańskiego oficera. Kapitan Lewis Clark trzymał w dłoni pistolet. Wystrzelił; tym razem Vitantonio poczuł pieczenie w brzuchu. Musiał przytrzymać się stołu, żeby nie upaść.

- Dałem ci szansę, żebyś siedział cicho i ocalił życie, ale z niej nie skorzystałeś. Teraz muszę cię zabić. Nie mogę pozwolić, żebyś rozgłaszał his-

Kłątwa rodziny Palmisano

torie o broni chemicznej, zaprzepaszczając naszą wielomiesięczną pracę.

Kiedy Amerykanin szykował się do oddania drugiego strzału, zza drzwi wyszła jakaś postać i stanęła między mężczyznami. Rozległy się dwa kolejne strzały i Vitantonio zobaczył, że ranny w nogę Clark ucieka po schodach. Wtedy rozpoznał od tyłu człowieka, który właśnie zwał się na podłogę. Podbiegł, żeby go podtrzymać, ale nie zdążył - Salvatore upadł, na piersi miał dużą krwawiącą ranę. Kiedy Vitantonio usiadł przy nim, ich krew się wymieszała. Żeby uspokoić przyjaciela, spróbował skłonić go do rozmowy.

- To ty chowałeś się wcześniej w bramie...

Czekałem na gościa z zepsutymi zębami, żeby wyrównać rachunki i załatwić sprawę, która od lat nie daje mi spokoju. Zobaczyłem, że Amerykanin cię śledzi i wchodzi za tobą po schodach, więc pomyślałem, że powinienem interweniować, żebyś nie został wzięty w dwa ognie. Zan- im opuściłem lotnisko, opowiedzieli mi o waszej bójce...

Nagle Salvatore zamilkł i ostrzegawczo poruszył oczami. Kiedy Vitantonio odwrócił głowę, zobaczył Franca celującego do niego z pistoletu należącego do jego kompana. Drżała mu ręka, więc spuścił. Franco lubił zabijać, ale nie nadawał się do strzelania; żeby wyrządzić krzywdę, zawsze potrzebował pomocy innych. Vitantonio wstał. Z nim było na odwrót - nie lubił strzelać, ale przychodziło mu to z łatwością. Zobaczył, że Franco nadal się trzęsie, próbuje ponownie pociągnąć za spust, ale palec odmawiał mu posłuszeństwa. Vitantonio ze wstrętem spojrzął na kuzyna i wycełował w niego.

Ciągle się wahał. Przypomniawszy sobie, jak Tranco napastował Giovannę w ogrodzie *palazzo* w dniu, kiedy *nonna*, żeby go ukarać, nie pozwoliła mu przystąpić do bierzmowania; oczami wyobraźni zobaczył go, jak rok później bawił się z nim mieczem, przebrany za Czarnego Rycerza; odtworzył w pamięci dzień, gdy faszyci pobili Salvatorego; pomyślał o małym Michele, rozplaszczonym na dnie wąwozu, o zwolnieniu Chudziela z pracy i wygnaniu doktora Ricciardiego; przypomniał sobie wysadzony w powietrze budynek milicji w Materze, siedemnastu nieszczęśników z Rionero rozstrzelanych na placu i pozostałe ofiary, na które natknęli się w drodze na Majellę. W końcu ponownie przeżył straszliwe bombardowanie Bari i zrozumiał, że nie może się cofnąć.

Załadował pistolet. Ostatnią osobą, która stanęła mu przed oczami, była matka, próbująca oddychać, desperacko łapiąca ustami powietrze. Rozjuszony, oddał dwa strzały, celując w czoło. Głowa Franca gwałtownie odskoczyła do tyłu, jakby ktoś szarpnął przywiązany do niej sznurkiem, a nogi ugięły się pod nim, jakby były z masła. Czarny Rycerz padł martwy na podłogę, nie zdążywszy nawet okazać niedowierzania. Vitantonio stał nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w krew i odtamki czaszki. W obryz-ganej lepką mazią ścianie dostrzegł dwie dziury - kule przeszły głowę na wylot i wbiły się przy drzwiach balkonowych, roztrzaskując gips. Spuścił wzrok i pierwszy raz spojrzął na zwłoki kuzyna. Przyglądał mu się przez chwilę; z tylnej części przedziurawionej czaszki płynęła obficie krew, rozlewając się po płytkach. Vitantonio nic nie czuł.

Podbiegł do Salvatorego, który się dusił. Zdjął mu koszulę i oczyścił nią ranę. Życie uchodziło z jego przyjaciela jak powietrze z koła roweru. Na krwi ciekącej z otworu na piersi, tworzyły się bąbelki - kula musiała

Kłątwa rodziny Palmisano

przebić prawe płuco. Syn Chudzielca zakasłał i z ust popłynęła mu krew. Otworzył je najszerszej, jak mógł, próbując zaczerpnąć więcej powietrza, ale osiągnął jedynie tyle, że posiniała mu twarz. Z wysiłkiem zdołał usiąść i, ku własnemu zaskoczeniu, odezwał się mocnym głosem:

Zrobiłeś tu już wszystko, co miałeś do zrobienia. Teraz biegnij i znajdź Giovannę.

- Musimy iść do szpitala... - zaprotestował Vitantonio.

Nie możemy - odparł Salvatore. Teraz mówić znacznie ciszej, więc Vitantonio musiał przysunąć ucho do jego ust. - Strzelaliśmy do amerykańskiego oficera, a jeśli złożymy na niego donos, nikt nam nie uwierzy.

Aż do tego momentu Vitantonio nie zdawał sobie sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa. Mógł zostać uznany za zdrajcę; w ciągu ostatnich godzin dwukrotnie uczestniczył w starciu z użyciem broni z kapitanem północnoamerykańskiej armii i zabił dwóch faszystów, którzy prawdopodobnie uchodzili w Bari za lojalnych wobec rządu generała Badoglio. Zaczął oceniać sytuację, próbując przewidzieć konsekwencje. Pomyślał, że skoro napastnik uciekł, może i jemu nie zależało na tym, żeby wyszedł na jaw jego udział w całym zajściu, i nie chciał ryzykować, że zwróci na siebie uwagę żandarmerii wojskowej. Uczestnictwo w strzelaninie nie było incydentem bez znaczenia dla eksperta od broni chemicznej, oficera jednostki specjalnej, która oficjalnie nie istniała i stawiała sobie za cel przede wszystkim dochowanie tajemnicy.

Vitantonio odkaslnął; rana na jego czole zaczęła krwawić obficie.

- Musisz znaleźć w Bari kogoś, kto cię opatrzy, zanim zaczną cię szukać we wszystkich szpitalach w okolicy - poradził mu Salvatore. - Ta rana nie wygląda dobrze.

- Albo idziemy obaj, albo zostaję.

- Moja godzina już wybiła.

Vitantonio zauważył, że twarz przyjaciela przybrała niebieskawy kolor. Pomyślał, że Salvatore pewnie ma rację - jego życie uciekało przez ranę, której nie mogli zatkać. Mimo to nie zamierzał go opuścić.

- Nie zostawię cię. Pójdziemy do szpitala razem.

- Nie zgrywaj bohatera! Teraz masz obowiązki. Dla mnie to koniec.

Salvatore odwrócił głowę i popatrzył na zwłoki mężczyzny z zepsutymi zębami. Mocno chwycił rękę Vitantonio, spojrzał mu w oczy i powiedział:

- Dziękuję.

Przyglądał mu się przez chwilę z tajemniczym uśmiechem, po czym objął go za szyję i pocałował w policzek.

- Ucałuj ode mnie Giovannę. - Ponownie pocałował Vitantonio, tym razem w czoło, i dodał: - I malucha, kiedy się już urodzi. Mówią, że to będzie chłopiec, bo Giovanna ma spiczasty brzuch.

Wybuchnął śmiechem, który przyprawił go o atak kaszlu i pozbawił resztek sił. Uśmiechnął się.

- To twoje dziecko, zostało poczęte tego ranka, gdy Giovanna odwiedziła cię w Materze...

Vitantonio poczuł, że wali mu serce. Chciał coś powiedzieć, ale Salvatore mocno do niego przylgnął, po czym stracił świadomość. Vitantonio objął przyjaciela i położył sobie jego głowę na kolanach. Kiedy próbował

Klątwa rodziny Palmisano

go ocucić, zorientował się, że Salvatore przestał oddychać. Przywarł z płaczem do martwego ciała, tak jak przytulił się tego ranka do zwłok matki.

- Boże! - wykrzyknął. - Czego jeszcze od nas chcesz?

Ostatni raz mocno go uściśnął, wdychając zapach czarnej kurtki, tej samej, którą syn Chudzielca miał na sobie tamtego wrześniowego dnia, gdy wioził go motocyklem do szkoły w Martina Franca. W kilka sekund odtworzył w pamięci lato spędzone w *masserii*, kiedy uznał Salvatorego za swojego starszego brata. W tym momencie on także stracił świadomość.

W krypcie

Obudziły go głosy dzieci biegających po placu, obojętnych na nieszczęście, jakie spotkało miasto. Chciał wstać, ale poczuł w boku dotkliwy ból. Kręciło mu się w głowie. Przez chwilę siedział bez ruchu, czekając, aż sala przestanie wirować mu przed oczami. Zamknął powieki i skupił się na oddychaniu. Kiedy uznał, że świat już się zatrzymał, otworzył oczy i zobaczył dwie czerwone i dwie białe świece. Wciągnął głęboko powietrze, rozejrzał się i odkrył, że znajduje się w krypcie bazyliki Świętego Mikołaja. Nie miał pojęcia, jak tu trafił.

Gdy usłyszał rozlegające się w oddali głosy, doznał tego samego dziwnego wrażenia, jakiego doświadczał, gdy jako dziecko leżał w łóżku w swoim pokoju i czytał albo oglądał przez okno cienie, które popołudniowe słońce kładło na spichlerzach wieńczących domy w Bellorotondo, a z Piazza Santa Anna dobiegały krzyki bawiących się dzieci. Zawsze wydawało mu się wtedy, że istnieją dwa światy: świat rzeczywisty tych, którzy są na placu, i świat wyobrażony, zaczynający się i kończący w jego sypialni. Na pozór niemal się stykały, ale w rzeczywistości były tak odległe, że nigdy się nie spotykały. Dzięki temu miał wrażenie, że znajduje się po drugiej stronie, z dala od pozostałych. Było to pokrzepiające uczucie, które sprawiało, że czuł się wyjątkowy, choć czasem także budziło w nim niepokój. Tak jak teraz.

Chciał wstać, ale znów zakręciło mu się w głowie, postanowił więc podnosić się stopniowo: najpierw usiadł, potem oparł plecy o mur, a wreszcie, chwytając się oparcia ławek, podszedł do ściany wychodzącej na plac. Stał na ławce i przez jedno z okien znajdujących się na wysokości ulicy zobaczył bawiące się dzieci. Zdziwił go widok zwalów gruzu na Largo Urbano II; można było odnieść wrażenie, że Niemcy i alianci przenieśli tu swoje okopy.

Minęło trzy i pół roku, odkąd ostatni raz widział dzieci biegające i bawiące się przed bazyliką Świętego Mikołaja. Było to na kilka dni przed tym, zanim został zbiegiem. Wyszedł wtedy bardzo zadowolony z egzaminów, czując się już trochę jak prawnik. Pamiętał, że tamtego czerwonego wieczoru panował straszny upał i że ze wszystkich domów w Bari w oczekiwaniu na morską bryzę wystawiono na ulice krzesła. Mógłby napisać całą rozprawę o sztuce szukania ochłody uprawianej przez mieszkańców starej dzielnicy miasta. Potrafił przyglądać się im godzinami - niektórzy wystawiali krzesła na środek ulicy, inni pozostawiali w progu, byli też tacy, którzy woleli czekać dyskretnie w sieni przy otwartych na oścież drzwiach. Kiedy podeszło się bliżej, okazywało się, że wszyscy oni wybrali najbardziej przewiewne miejsca, w dodatku takie, które pozwalały widzieć innych i umożliwiały prowadzenie ożywionej rozmowy. Wyglądali jak aktorzy na scenie, choć w rzeczywistości aktorami byli przypadkowi przechodnie przemierzający miasto, a ci, którzy wychodzili się orzeźwić - publicznością oglądającą spektakl.

Vitantonio odsunął się od okna i schodząc z ławki, stracił równowagę. Wtedy zobaczył, że ktoś wszedł do krypty. Rozpoznał ojca Catalda, ulubionego ucznia ojca Fcliciego. Jego pojawienie się było dla chłopaka

Kłątwa rodziny Palmisano

dużym zaskoczeniem, bo nie wiedział, że ksiądz został proboszczem bazyliki. Duchowny podbiegł i zdążył go przytrzymać, zanim Vitantonio upadł na podłogę.

- Nie powinienes się ruszać. Straciłeś dużo krwi.
- Co ja tutaj robię, ojcie? Jak się tu dostałem?
- Przyniósł cię jakiś olbrzym o sympatycznej twarzy. Kiedy

zobaczyłem, że jesteś ranny, chciałem cię zabrać do szpitala, ale on poprosił, żebym ukrył cię w krypcie. Potem wyruszył na poszukiwanie lekarza i samochodu, którym można by cię przewieźć. Skoro potrzebowałeś pomocy, nie mogłem ci jej odmówić, więc nie zadawałem pytań.

Vitantonio zachodził w głowę, skąd, do diabła, Primo Camera wiedział, że on leży ranny w mieszkaniu Franca przy Piazza Garibaldi i że pilnie potrzebuje pomocy. Ciekawiło go także, jak wyglądał pocziwy olbrzym dźwigający na plecach konającego mężczyznę. Roześmiał się, wyobrażając sobie ten widok, ale zaraz pomyślał, że w tych dniach już nic nie mogło nikogo zaskoczyć. Mieszkańcy Bari widzieli znacznie gorsze rzeczy.

Wyczerpany, położył się na ławce. Śniło mu się, że ścigają go Czarny Rycerz i typ z zepsutymi zębami. Kiedy stawał im czoło i zwyciężał ich w walce, pojawiali się znowu i kolejny raz go atakowali. Obudził się i usłyszał głosy, których nie zdołał rozpoznać; wydawały się spowolnione i dobiegające z daleka. Gdy ponownie oprzytomniał, była ciemna noc; zauważył, że ktoś opatrzył mu ranę. Primo Camera niósł go przewieszzonego przez ramie jak worek - nie wyglądało na to, żeby kosztowało go to wiele wysiłku.

- Dokąd idziemy? - zapytał Vitantonio.
- Muszę cię zabrać do Bellorotondo. Giovanna będzie wiedziała, co robić. Straciłeś dużo krwi.
- Skąd wiedziałaś, że jestem w mieszkaniu Franca?
- Poszedłem za tobą. Giovanna prosiła, żebym cię pilnował.

Zaczęła wiać tramontana; Vitantonio był wdzięczny za ten lodowaty podmuch na twarzy. Primo Camera skręcił z Piazza San Nicola w jedną z wąskich uliczek. Ojciec Cataldo szedł przodem, żeby ich ostrzec, w razie gdyby natknął się na patrol. O tej porze największy ruch panował w porcie i przy promenadzie, mogli więc bez przeszkód dotrzeć do seminarium. Primo położył Vitantonio na tylnym siedzeniu jeepa należącego do brytyjskiej armii i uruchomił silnik. Skinieniem głowy podziękował księdzu, a ten dyskretnie przemknął w głąb dziedzińca. Samochód, jadąc Via Corridom, opuścił starówkę, dotarł do Corso Vittorio Emanuele i włączył się do miejskiego ruchu.

Vitantonio leżał na tylnym siedzeniu i obserwował migające górne piętra pograżonych w ciemnościach budynków. Przypomnił sobie, że w dniu nalotu, kiedy Niemcy spuścili już połowę bomb, miasto przypominało latarnię, zapaloną jakby specjalnie po to, by przyciągnąć uwagę bombowców. Rana w boku coraz bardziej mu dokuczała. Już miał krzyknąć z bólu, gdy zobaczył budynek, z którego buchały gigantyczne płomienie, nie potrafił jednak określić, w jakiej części miasta się znajdują. Primo także zauważył ogień.

- Schowaj się szybko pod kocem! - rozkazał, zobaczył chłopaka, który biegł od strony pożaru, i zawołał:

Kłątwa rodziny Palmisano

- Co się dzieje?
Siedemnastka przy Piazza Garibaldi pali się jak pochodnia!
Primo Camera rozpoznał adres. Płonęło mieszkanie Tranca.
- To na pewno sprawka kumpli twojego kuzyna, którzy chcą zatrzeć ślady, żeby policja nic weszła w mieszkaniu! - krzyknął, odwracając się do Vitantonio. - A może Amerykanin wrócił i odkrył, że trafił do niebezpiecznej centrali szpiegowskiej. Ani jednym, ani drugim nie jest na rękę, żeby powiązano ich z tym gniazdem żmij! Tu akurat mieliśmy szczęście, przynajmniej na ciebie nie doniosą - próbował uspokoić przyjaciela, jadąc szybko w stronę dworca.
Vitantonio go nie usłyszał, bo ponownie stracił przytomność.
Na dworcu czekał na nich Anglik. To do niego należał jeep, którego prowadził Primo. Galony porucznika brytyjskiej armii pomogły im przejść kontrolę. Gdy wnosili Vitantonio do ostatniego wagonu, nadal był nieprzytomny.
- Chciałbym móc się z nim pożegnać. - Porucznik Donovan westchnął z żalem. - Za trzy dni czekam na ciebie w Foggi! krzyknął do Prima Carnery, kiedy pociąg ruszył.
Pasażerowie oblegali pomosty, zajęli także lokomotywę, co utrudniało pracę maszyniście. Trzy dni po bombardowaniu wieść o broni chemicznej w porcie rozeszła się po całym Bari, więc mieszkańcy uciekali z miasta. Gdy przejeżdżali przez Putignano, Vitantonio obudził się z krzykiem.
- Ciało Salvatorego jest w płonącym mieszkaniu przy Piazza Garibaldi!
Kiedy leżałeś w krypcie, zniosłem go na ulicę i zostawiłem w ruinach domu przy Via Abate Gimma. Jeśli znajdą zwłoki, pomyśl, że zginął w bombardowaniu - uspokoił go Primo.
Vitantonio się rozluźnił i znowu stracił przytomność.
Gdy wysiedli na dworcu w Bellorotondo, chłód żelaza, jakby miał zacząć padać śnieg, ale dla Vitantonio była to najmroźniejsza noc tego roku.
- Zabierz mnie do domu przy Piazza Santa Anna - poprosił. - Zamarzę na kość.
Nic możesz tam iść. Jeżeli cię szukają, będzie to pierwsze miejsce, które sprawdzą.
Primo Camera ze strachem spojrzął na twarz przyjaciela. W takim stanie nie mógł go nigdzie zabrać. Zaryzykował i zapukał do pierwszych napotkanych drzwi. Był to dom rodziny Raguseo; matka rozpoznała wnuka *Signory Angeli* i wpuściła ich do środka. Ułożyli rannego na łóżku Pasqualego, syna, którego Niemcy rozstrzelali niedawno na Kefalinie. Kiedy Primo Camera wyruszył na poszukiwanie Giovanni, kobiety zajęły się Vitantonioem równie troskliwie, jakby chodziło o Pasqualego.

Czereśnia

Dotarli do *palazzo* po północy i weszli do ciemnego wnętrza. Kiedy otworzyli drzwi do gabinetu, zorientowali się, że dom został ograbiony. Dokumenty z archiwów *nonny* były rozrzucone po całym pokoju, na podłodze leżały szuflady biurka. Z salonu zniknęły obrazy z białymi i czerwonymi kwiatami, z biblioteki zaś - intarsjowanc szkatułki i terako to we figurki.

Gdy weszli do bawialni, podmuch powietrza wpadającego przez rozbite okno zgasił świecę, w świetle której się poruszali. Domyśliли się, że złodzieje weszli do domu tą drogą. Giovanna ponownie zapaliła knot, tym razem chroniąc płomień dłonią. Światło rzuciło na ściany cienie i rozproszyło się po bawialni, odsłaniając porozrzucone po podłodze książki i zabawki. Wagoniki kolejki elektrycznej zniknęły, zobaczyli tylko walające się wszędzie kawałki torów i gór. Vitantonio odsunął stopą na bok kilka elementów - były to domki z ośnieżonymi dachami.

W salonie złodzieje otworzyli kredens i opróżnili szuflady.

- Czujesz się na siłach wejść na piętro? - zapytała Giovanna.

- Tu będzie mi dobrze. - Vitantonio chwycił się fotela i powoli położył się na dywanie.

Giovanna wsunęła mu pod głowę poduszkę w kwiaty.

- Zaczekaj, zniosę ci materac - powiedziała.

- Nie! - powstrzymała ją. - Nie umiałbym na nim spać. Lepiej mi będzie na podłodze.

Trawiła go gorączka, pot spływał mu z twarzy na szyję. Giovanna przyniosła z kuchni mokre ścierki, żeby trochę go obmyć. Była wycierczona i kiedy Vitantonio zasnął w jej ramionach, ona także zamknęła oczy.

Obudziły ją snopy światła wpadającego przez przesuwane drzwi galerii. Uśmiechnęła się do patrzącego na nią Vitantonio.

- Otwórz okna. Chciałbym zobaczyć ogród.

Wstała i rozsunała aksamitne zasłony. Gdy otworzyła okiennice, zauważyła, że ktoś nie zamknął w ogrodzie furtki dla służby. Z okna na bocznej ścianie można było zobaczyć przez nią plac, o tej porze wyludniony. Podeszła do przesuwanych drzwi, które wypadły z prowadnicy. Naciskała na nie całym ciałem, aż ustąpiły.

- Zaprowadź mnie na galerię poprosił Vitantonio.

Salon zalewało słońce. Giovanna przestraszyła się, widząc, że rana Vitantonio znów krwawi, a jego twarz jest jeszcze bledsza. Pomogła mu wstać i wyszli na galerię. Usiadł pod boczną ścianą ze szkła witrażowego i błędził wzrokiem po ogrodzie. Od dawna nikt się nim nie zajmował. Na kamiennej werandzie *nonny* stały wiadro i miednica. Klomby i ścieżki wyścielane warstwą na wpół zgniłych liści. Nagie drzewa przypominały trupy porzucone na polu bitwy. Takie jak on. Jak partyzanci polegli w górach Abruzji. Jak marynarze zagazowani w porcie w Bari. Ale drzewa wkrótce znów zakwitną. Z nostalgią spojrzął na czereśnię.

Giovanna nie wiedziała, jak zatrzymać jego krwotok; zaczęła wpadać w panikę. Jeśli Chudzielec albo Concetta nie przysłą jej natychmiast po-

Klątwa rodziny Palmisano

mocy, to będzie koniec. Popatrzyła na bladą twarz Vitantonio, który oddychał z coraz większym trudem.

Zamknął oczy i niemal niesłyszalnym głosem powiedział: „To niesprawiedliwe”, po czym nagle zamilkł.

Pomyślała, że go straciła, i wybuchnęła płaczem. Zdziwiła się, słysząc jego głos, tym razem mocniejszy.

- Niedługo cały ogród znówu odżyje, ale kiedy zakwitnie czereśnia,

mnie już nie będzie. Czy to nie dziwne?

- Widzisz? - Żeby zachęcić go do dalszej walki, pokazała mu kwitnące geranium, które odkryła wśród uschniętych, zmarzniętych roślin. Azalie *normy* były na wpół martwe, ale gigantyczne donice najwyraźniej osłoniły geranium przed podmuchami wiatru, jakby rosło w szklarni. Kwiaty miały intensywny krwistoczerwony kolor, zwisały niczym kardynalska szata.

Vitantonio zdobył się na ostatni wysiłek i otworzył oczy. Zobaczył geranium, które wskazywała mu Giovanna. Potem spojrzął na jej brzuch.

Jak go nazwiesz?

- Vitantonio... Vitantonio Palmisano. Będzie nosił twoje nazwisko otwarcie, na oczach całego miasteczka.

Uśmiechnął się smutno

- Zabija mnie klątwa, ale dziecko, które nosisz w brzuchu, to dowód na to, że znów wygraliśmy... Przez całe życie świadomie kierowałem swoimi czynami. Tylko o jednej rzeczy nie było mi dane swobodnie zdecydować: kiedy się urodziłem, przyszedłem na świat jako Palmisano. Nie mogłem wybrać strony. Kochałem do szaleństwa Convertinich i jestem z tego dumny, ale pozostałem wierny mojej rodzinie. Umieram jako Palmisano. Zmieniłem również stronę podczas wojny i oddałem się lojalnie sprawie aliantów, oni jednak nigdy nie uważali nas za swoich. W końcu zabija mnie amerykańska kula...

Nie mów już. Odpoczywaj. - Giovanna otarła mu pot i przyłożyła do rany czystą szmatkę. Nieświadomie zaczęła nucić francuską piosenkę.

- Co śpiewasz? - zapytał Vitantonio.

Le temps des cerises, czas czereśni. To piosenka francuskiego ruchu oporu: Mais s'il est bien court, le temps des cerises, ou l'on s'en va deux cueillir en revant des pendants d'oreilles... Cerises d'amour aux roses pareilles, tombant sous la feuille en gouttes de sang... Mais il est bien court, le temps des cerises, pendants de corail qu'on cueille en revant.

Ogarnęła ją rozpacz, gdy odkryła, że Vitantonio już niemal nie oddycha. Zaraz go straci. Ilu jeszcze mężczyzn zginie do czasu, kiedy za kilka miesięcy zakwitną drzewa? Vitantonio miał rację - czereśnia odżyje i wyda słodkie, soczyste owoce. Wróci czas czereśni, obojętny na dramat, który przeżywają mieszkańcy tej przeklętej Apulii. Próbowali pozostać wierni sprawie wolności, ale musieli walczyć jednocześnie z haniebną zdradą swoich władz i niegodziwym brakiem zaufania ze strony aliantów. Zastępowali na inny los.

Vitantonio uśmiechnął się po raz ostatni, jakby czytał w jej myślach. Wyobraził sobie kwitnący ogród i czereśnię uginającą się od czerwonych, dojrzałych owoców. W scenie, którą miał przed oczami, Giovanna trzymała go za rękę i oboje głośno się śmiali. Wtedy jakimś cudem znalazł jeszcze siłę, by skierować do niej ostatnią prośbę.

Klątwa rodziny Palmisano

- Kiedy dziecko zacznie chodzić, zrób mu ode mnie kolczyki z czereśni.
W tym momencie przed boczną furtką wychodzącą na plac zaparkował jeep z dużym czerwonym krzyżem namalowanym na brezentowej plandecie. Giovanna dostrzegła z galerii, że wysiada z niego doktor Ricciardi.

EPILOG
24 sierpnia 2012 roku, o zmierzchu

Kłątwa rodziny Palmisano

Już jakiś czas temu słońce skryło się za wzgórzami Alberobello. Na placu w Bellorotondo powoli gasł dzień. Był to jeden z tych letnich zmierzchów, które leniwie się przedłużają; światło dnia wahało się, nie chciało ustąpić miejsca nocy. Wiał lekki wiatr, na pewno od strony morza, od Ostuni. Temperatura szybko spadała. Po męczącym dniu nareszcie zaczynało się robić przyjemnie.

W oknach pozapalały się pierwsze światła, a ulice wypełniły grupy roześmianych spacerujących nastolatków. Mieszkańcy wielu domów powynosili na ulice krzesła, żeby odetchnąć rześkim powietrzem. Z nowoczesnych alei w dolnej części miasteczka docierały odgłosy samochodów i motocykli, których właściciele jeździli dla szpanu w górę i dół ulicy. Bellorotondo nagle zamieniło się w zupełnie inne miasteczko.

Ukryte w szarańczynach cykady grały coraz głośniejsze, żeby pokonać hałaśliwą konkurencję atakującą nieoczekiwanie ze wszystkich stron. W punkcie widokowym pojawiły się pary zakochanych, a na środku placu stanęła grupka matek, które rozmawiały, pilnując kątem oka dzieci bawiących się w chowanego za pomnikami poświęconymi ofiarom obu wojen. Jakaś kobieta krzyknęła z pobliskiego okna:

- *Normo!*

Staruszek poruszył się i ja i Anna pomogliśmy mu wstać. Podaliśmy mu ramiona, a on bez skrępowania uczył się nas obojga. Ruszyliśmy w stronę południowego krańca placu. Mężczyzna przystanął na wysokości pomnika ku czci ofiar pierwszej wojny światowej. Podeszedł do tablicy, pochylił się i zaczął delikatnie przesuwać palcami po wyrytych w kamieniu nazwiskach. Wyprostował się, kiedy młoda kobieta, która do niego podbiegła, kazała mu szybko wracać do domu. Na jej widok odwrócił się do nas i powiedział z dumą:

-To moja wnuczka!

- Tata mówi, że jeśli zaraz nie przyjdiesz, możesz sobie iść na kolację do kantyny, bo w domu kuchnię zamyka się o dziewiątej... - powiedziała wesoło, pozdrowiwszy nas skinieniem głowy.

- Sami widzicie. Kiedy będziecie mieli dziewięćdziesiąt cztery lata, będą was ganić, jakbyście znów byli dziećmi! - zawołał do nas staruszek.

Z śmiechem podeszliśmy do zdyszanej kobiety. Wyglądała na niewiele ponad trzydzieści lat. Była bardzo ładna; miała na sobie obciste dżinsy i koszulkę na ramiączkach, wyróżniały ją zielone oczy, ciemna karnacja i czarne długie włosy zebrane w koński ogon. W czasie biegu kucyka przesunął jej się na bok i opadł na lewe ramię.

Staruszek pożegnał się z nami. Wziął mnie za obie dłonie, uściśnął je mocno, po czym powtórzył ten sam gest wobec Anny, posyłając jej szeroki uśmiech. Podziękował nam i chwycił wnuczkę pod ramię.

Kiedy odwracali się, żeby odejść, kobieta poruszyła głowę, chcąc zarzucić włosy na plecy, i częściowo odsłoniła obojczyk. Przed oczami mignął nam cień przypominający zamię; chyba chcieliśmy dostrzec kontur czerwonego serca, ale zanim to do nas dotarło, kobieta odwróciła się

Klątwa rodziny Palmisano

plecami. Wymieniliśmy z Anną zaskoczone spojrzenia. Stojąc przy pomniku, patrzyliśmy, jak powoli kierują się na drugi koniec placu.

Pobiegliśmy za nimi, ale było już za późno. Dotarli do muru, który otaczał ogród i wyznaczał południową granicę punktu widokowego. Staruszek odwrócił głowę, podniósł rękę, by jeszcze raz się z nami pożegnać, i zniknął w bocznej furtce.

Kiedy opuszczaliśmy plac, wiejący od strony morza wiatr sprawił, że temperatura wreszcie przyjemnie spadła. Tym razem apokalipsa postanowiła ominąć Bcllorotondo. Historia prawdopodobnie już dostatecznie ukarała ten przeklęty zakątek na południu Włoch.

Klątwa rodziny Palmisano

Nota od autora

Jest to zmyślona opowieść, za przedstawione w niej fakty i postacie wyłączną odpowiedzialność ponosi autor. Natomiast opisy działań wojennych i towarzyszących im wydarzeń odpowiadają ściśle prawdzie historycznej: dotyczy to ruchu antywojennego w Locorotondo, rozwoju sytuacji na frontach włoskich w okresie wielkiej wojny czy powstania w Materze, bombardowania Bari i wysadzenia w powietrze statku *John Harvey* w czasie drugiej wojny światowej. Powieść jest hołdem dla tych wszystkich ludzi - często zapomnianych przez historię - którzy na południu Włoch zbuntowali się przeciwko nazistowsko-faszystowskiemu sojuszowi.

Sceny, których tłem jest bombardowanie portu w Bari drugiego grudnia 1943 roku i wybuch gazu musztardowego na amerykańskim statku, zostały zainspirowane włoskim wydaniem książki *Disaster at Bari*, napisanej w 1971 roku przez Glenna B. Infielda, byłego majora U.S. Air Force, na podstawie relacji naocznych świadków. Czytelnicy zainteresowani tym wątkiem mogą sięgnąć po ostatnie wydanie tej pracy, opublikowane w 2003 r. nakładem Mario Adda Editore, ze wstępem profesora Vita Antonia Leuziego, autora *Inferno su Bari*. Choć nadal pozostało do odtajnienia kilka raportów poświęconych wydarzeniom w Materze dwudziestego pierwszego września 1943 roku, sporządzonych w tamtym czasie przez oficjalną komisję śledczą aliantów, niedawno nakładem Edizioni Giannatelli w 2014 r. ukazała się książka Vittoria Sebastianiego zatytułowana *Matera Atrocities are Murders*, jak dotąd najbardziej znacząca pozycja dotycząca dochodzenia brytyjskich oficerów. *Voci di Sassi* Antonia d'Ercolego przybliży nam życie codzienne i język mieszkańców Materzy, a oprócz tego zawiera relacje świadków tamtych wydarzeń.

Bellorotondo to wytwór wyobraźni autora, ale czytelnicy znajdą w jego opisie ślady Cisternino, Martina Franca, Altamury, a przede wszystkim Locorotondo, pięknego miasteczka w dolinie Itria, którego odwiedzę nie gorąco polecam. Jeśli ktoś nie zna jeszcze tej części południowych Włoch, nie powinien pominąć krainy *trulli*. Tak samo zresztą jak resztę Apulh i Basilicaty, z ich unikatowym skarbem: Sassi w mieście Matera.

Kłątwa rodziny Palmisano

Podziękowania

Powstanie tej książki zawdzięczam wszystkim mieszkańcom Apulii i Basilicaty, z którymi miałem do czynienia w ciągu ostatnich lat: wieśniakom, księgarzom, nauczycielom, lekarzom, wykładowcom uniwersyteckim, ogrodnikom, kucharzom, rybakom, importerom drewna. Okazali mi uprzejmość i zaufanie zdecydowanie wykraczające poza zwykłą grzeczność. Nie wiem, czy potrafiłem wystarczająco im podziękować osobiście, dlatego korzystam teraz z okazji, by przekazać im wyrazy szczerzej wdzięczności.

Szczególne podziękowania należą się profesorowi Ferdinandowi Mirizziemu z Uniwersytetu Basilicaty, za jego cierpliwość i stymulującą wymianę listów, którą rozpoczęliśmy po dwóch bardzo interesujących rozmowach przeprowadzonych w Materze i na placu przed katedrą w Altamura. A także historykom: Angelantoniovi Spagnolettiemu, który otworzył przede mną swój dom i służył mi za przewodnika w Molfetcie, oraz Vitowi Antoniowi Leuzziemu za przyjęcie mnie w Apulijskim Instytucie Historii Antyfaszyzmu i Współczesnych Włoch im. Tommasa Fiorego. Również Albertowi Pcllegriemu i Paoli Lo Cascio, profesorom historii z Barcelony, którzy wprowadzili mnie w zawitości włoskiej historiografii.

Annie Marii Aprilc jestem winien wdzięczność za ciepłe przyjęcie w jej *masserii* w Locorotondo i za zaufanie, jakim mnie obdarzyła, pozwalając zabrać do Katalonii albumy z jej pamiątkami. Jestem również dłużnikiem Margherity Currc i Peppina Serrary, właścicieli restauracji U curdunn, Giovanniego Loparca z Trattoria Centro Storico, Tranca Basilego i Grazieli D'Onofrio; wszyscy oni mieszkają w Locorotondo. A także Nicoli Furia i jego matki Marii Campanelli z Savclettri, oraz braci Franca i Giuliana Lombardich, którzy w swojej restauracji Tramonti w Barcelonie serwują znakomite *pappardelle al sugo di lepre*.

Maria Lucia Colucci, obdarzona niezwykłą pamięcią i jasnością umysłu, opisała mi deszcz gwiazd, za który, kiedy miała szesnaście lat, w noc wyzwolenia Matery wzięła smugi po pociskach artylerii niemieckiej. Nicola Frangione udzielił mi nieocenionej pomocy, oprowadzając mnie po miejscach, w których walczyli powstańcy z Sassi. Doktor Josep Arimany, specjalista od medycyny sądowej, wyjawiał mi kilka sekretów z tej dziedziny, a doktorzy Antoni Mirada i August Andres rozwiali moje wątpliwości dotyczące specjalizacji lekarskich w okresie międzywojennym. Dzięki notariuszowi Juanjowi Lópezowi Burniolowi odkryłem włoską instytucję „sędziego opiekuńczego”.

Z Quimem Españolaem, Josepem Marią ronallasem, Pepem Nadałem, Arturem San Agustinem, Evą Piąquer i Xavierem Folchem rozmawiałem o różnych aspektach powieści w czasie nadawania jej ostatecznego kształtu - należą im się podziękowania za cierpliwość i uwagi.

Ester Pujol była moim wydawcą i to ona miała decydujący wpływ na tak piękne wydanie książki. Ona i Berta Bruna jako pierwsze przejrzały

Klątwa rodziny Palmisano

zapiski z podróży dotyczące powieści i jako pierwsze przeczytały manuskrypt. Obie bez reszty zaangażowały się w projekt. Podobnie jak zespół wydawnictwa Columna złożony z Emili Rosales i Glorii Gasch, które entuzjastycznie i wykazując się ogromnym profesjonalizmem towarzyszyły mi od pierwszego dnia. I pracownicy agencji literackiej Pontas: Marina Penalva, Ricard Domingo i Anna Soler Pont, którzy nie tylko mnie reprezentują, ale także, jak mogą, ułatwiają mi życie. Wszystkim im składam podziękowania.

Bracia Włosi, Italia się budzi,
hełmem Scypiona zdobi swą głowę.
Gdzie jest Zwycięstwo? Niech
schyli swą głowę, gdyż niewolnicą
Rzymu uczynił ją Bóg...

„Ale czas czereśni jest bardzo krótki,
kiedy we śnie idziemy razem zry-
wać kolczyki do uszu... Czereśnie
miłości są jak róże opadające na
liście kroplami krwi... Ale czas cz-
ereśni jest bardzo krótki, koralowe
kolczyki, które zrywamy we śnie”
(Jean-Baptiste element, 1866).